

A movie poster for the film 'Kiregi'. The background is a composite image. On the left, a close-up of a man's face and shoulder, wearing a dark jacket and a necklace with a circular pendant. On the right, a woman in a light-colored dress running through a field of tall grass. The overall color palette is warm, dominated by browns and yellows. The text 'ZBIGNIEW ZBOROWSKI' is in white, bold, sans-serif font. The title 'KIREGI' is in large, yellow, distressed, block letters. A geometric pattern of white lines and circles is overlaid on the bottom half of the image.

ZBIGNIEW
ZBOROWSKI

KIREGI

Zbigniew Zborowski

KRĘGI

znak *litera
nova*

Kraków 2018

– Spójrzcie.

– Kręgi.

– Na wodzie.

– Na początku są małe. A potem spójrzcie,
jak się powiększają. Ale musi być ktoś, kto zacznie.

(Pocahontas)

*Gwałtem zabija się albo kaleczy
Bliźnich osobę, a dobra i mienie
Pożarem gubi, rabuje, niweczy.
Stąd skrytobójców i morderców cienie,
Zbrodniów, złodziei oddzielną komorą
Dostały pierwszy krąg na posilenie.*

(Dante Alighieri, *Boska Komedia*,
przeł. E. Porębowicz, pieśń XI)

PROLOG

Warszawa. Lipiec 1992

Obudziła się nagle, od razu przytomna, z poczuciem, że jest źle. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Jak tonący, który wynurzył się na powierzchnię, lecz wie, że nie starczy mu sił, by się dłużej na niej utrzymać. Zimne światło jarzeniówek pod wysokim sufitem ukazało jej obszerną, pozbawioną okien halę. Leżała na szerokim i długim metalowym stole, nad którym zwieszała się piła tarczowa.

Poczuła, jak przerażenie zalewa jej serce, i raptownie usiadła. Nie była związana. Zeskoczyła. Przebiegła kilka metrów. Bose stopy zadudniły na zimnej, betonowej podłodze, pokrytej jedynie poplamionym linoleum. Zatrzymała się. Wróciła. Ruszyła w przeciwnym kierunku. Znowu stanęła.

Była sama w tym dziwnym pomieszczeniu, w którym oprócz stołu i piły zgromadzono mnóstwo zagadkowych przedmiotów. Z sufitu zwisały wielkie haki, pod ścianami stały pojemniki na kołach, a tuż obok niej piętrzyło się coś, co wyglądało jak taboret olbrzyma. Wszystko lśniące, metalowe, zimne.

– Co to za miejsce? – Jej szept uleciał ku sufitowi, by po chwili wrócić echem, które wwierciło się w mózg nieznośnym bólem.

– To rzeźnia! – Usta ułożyły się w słowa, których nie miała odwagi wypowiedzieć. – Obudziłam się w rzeźni.

Spróbowała zebrać myśli. Skoncentrować się. Bolała ją głowa, a w ustach czuła cierpki, chemiczny smak, od którego robiło jej się niedobrze.

– Jak się tutaj znalazłam?

Całkiem niedawno, niemal przed chwilą, rzuciła wszystko, czego nie

znosiła, zakwestionowała model życia, który pętał ją jak grobowy całun. Dusiła się w nim, nudziła, gardziła nim. Długo nie miała odwagi, żeby się z tego wyzwolić. Trudno być odważną, kiedy się ma dopiero piętnaście lat. Ale w końcu się udało. Oznajmiła rodzicom i całej małomiasteczkowej reszcie, że rusza w Polskę. Sama. Było piękne lato. Pojechała na festiwal rockowy do Jarocina – miał zagrać Dżem. A raczej chciała pojechać. Teraz pamiętała tylko biało-szarą szosę, przy której łapała stopa, i dwóch sympatycznych panów zatrzymujących się przy niej wielkim mercedesem. A potem cierpki, chemiczny smak tamponu, który ktoś przyciskał jej do ust i nosa.

– Uśpili mnie. Dranie.

Po co to zrobili? Odpowiedź przyszła szybciej niż wypowiedzenie w myślach tego pytania. Przestraszyła się jeszcze bardziej. Nie była już dzieckiem. Przynajmniej do tej chwili tak sądziła.

Spojrzała na swoje odbicie w wypolerowanej metalowej ścianie dziwnego – jak wszystko wokół – urządzenia. Miała na sobie dżinsy z bazarku na rynku i koszulkę. Żadnych dziur, rozdarć, sińców. Zginęły jej tylko buty. Może więc nie jest tak źle?

Ponownie ruszyła przed siebie. Tym razem już jednak nie biegła. Zrozumiała, że to nie koniec. To raczej początek. Oni gdzieś tutaj są. Czają się, knują, obserwują.

Rozejrzała się. Wokół nie było żywego ducha. Ostrożnie podeszła do ciężkich i grubych metalowych drzwi. Były uchylone. Wyjrzała i zaraz cofnęła głowę. Znow wyjrzała.

Korytarz był oświetlony błękitnym światłem brzęczących cicho jarzeniówek. Nadal żadnych okien. Po prawej odrapane drzwi do łazienek, po lewej kolejne uchylone stalowe wrota. Pod ścianami więcej pojemników i wózków. Wszystkie na kółkach. W powietrzu zapach stęchlizny, kurzu i czegoś jeszcze. Ledwo uchwytny, metaliczny, drażniący nozdrza zapach. Znała go. To był zapach krwi.

Szła korytarzem, ostrożnie rozglądając się wokół. Ogromny betonowy bunkier wypełniony był lśniącymi urządzeniami do zabijania, krojenia, odzierania ze skóry. Plątanina korytarzy, sal dużych i mniejszych. Wciąż ani jednego okna, choćby świetlika. Jednak przecież gdzieś, do licha jasnego, musi być stąd jakieś wyjście.

Wtedy usłyszała zwielokrotniony echem, odległy śmiech. Potem odgłos kroków. Przerazenie żarzące się w środku klatki piersiowej nagle się rozpało – jak palenisko gwałtownie otwartego piecyka. Rzuciła się biegiem w przeciwnym kierunku. Za nią rozbrzmiało dudnienie biegnących nóg. Ścigał ją nie jeden, nie dwóch, ale kilku ludzi. Zniekształcone echem głosy zdawały się brzmieć po niemiecku.

Niemcy? W ogromnej rzeźni? A może to tylko koszmarny sen?

W tym momencie jej spanikowany i wciąż otumaniony umysł wreszcie się przebudził.

– Muszę wrócić tam, gdzie się obudziłam!

Stół, piła, rząd haków pod sufitem. To jasne. Tam trafiają zwierzęta tuż po uboju. A więc gdzieś obok musi być hala, w której są uśmiercane, a za nią rampa, przez którą są pędzone do rzeźni.

Wyjście.

Zawróciła na pięcie i pognąła z powrotem. Byle zdążyć przed tamtymi. Kimkolwiek są.

Była szybka. W kilku susach dopadła ciężkich drzwi, przez które dopiero co wyszła. Skoczyła do hali, minęła stół i piłę, dostrzegła kolejne drzwi, pewnie prowadzące do ubojni. Rzuciła się ku nim.

I zaraz zahamowała.

Zobaczyła ich. Wchodzili kolejno, zatrzymywali się, mierzyli ją wzrokiem. Jakby oceniali półtuszę.

Mężczyźni. Nie wyglądali na potwory. Ten z prawej był niski i pulchny, o jowialnej twarzy. Środkowy był wyższy, ale znacznie starszy.

Po lewej stał najmłodszy, z brzuszkiem rysującym się pod dresową bluzą. Może nie jest tak źle? Może chcieli tylko ponapawać się trochę jej strachem? Zażartować?

Nie. W ich oczach było coś, co odbierało nadzieję. Oni chcieli ją skrzywdzić. Skoro jednak sprawiali wrażenie zwyczajnych facetów w wieku jej taty, to może da się ich ubłagać? Przeprosić? Przekonać, żeby zostawili ją w spokoju?

– Nie róbcie mi nic złego – usłyszała własny, potwornie zachrypnięty głos. – Ja... Ja jestem dzieckiem.

Gwałtownie drgnęła, kiedy ktoś się odezwał tuż za jej plecami. Nie zrozumiała słów, mężczyzna mówił po niemiecku. To musiało być coś zabawnego, bo ci przed nią tubalnie zarechotali.

Odwróciła się powoli, bojąc się tego, co zobaczy. Ujrzała sympatycznego kierowcę mercedesa, faceta między trzydziestką a czterdziestką, lekko łysiejącego, dosyć wysokiego. Patrzył na nią ciemnymi, lekko zamglonymi oczami wesołka, który nadużywa alkoholu. Znała takie spojrzenia. W pobliskim miasteczku pełno było takich facetów.

Struchlała. Płytki oddech nie mógł zapewnić jej trzepoczącemu przerażeniem sercu wystarczającej ilości tlenu. Za gardło zaczął łapać ją szloch.

– Dalej już nie uciekniesz, ty mała kurwo.

W jego głosie brzmiała nie tyle złość, ile raczej drwina. Szydził z niej. Sycił się jej przerażeniem. To ją otrzeźwiło. Wzbudziło złość. Oszust. Porywacz. Gnojek, który ją uśpił i ułożył na stole do dzielenia mięsa.

– No dalej, dziwko. Błagaj o litość.

W piersi wzbierała jej furia. Zwyczajny facet w stadzie innych zwyczajnych facetów, mówiący językiem bestii. Nie, nie będzie go o nic prosić.

Spojrzała w górę, ku rzędowi lśniących i ostrych jak diabli haków.

Zrobiła dwa kroki rozbiegu, podskoczyła i chwyciła jeden. Tak jak myślała, był tylko luzem włożony w otwór prowadnicy. Bez trudu go z niej wybiła.

Facet stojący przed nią wybałuszył ze zdziwienia oczy.

– Co? Co ty...

Nie pozwoliła mu skończyć. Nagle wydał jej się żaloszny i słaby. Cała jego siła opierała się na podstępnie i aplauzie tych pajaców w dresach.

Z rozmachem wbiła mu ostry i lśniący hak w ramię. Wysoko, aż pod sam rozjarzony zimnym światłem jarzeniówek sufit, wzniósł się jego kwik.

CZĘŚĆ I

Warszawa. Listopad. Środa

Korek zaczynał się już w połowie ulicy Sanguszki. Opadającą łukiem ku Wisłostradzie drogę wypełniały samochody rozedrgane poranną nerwowością kierowców. Pół metra do przodu, trochę w lewo, trochę w prawo. Na sąsiedni pas. Z powrotem. Byle zachować złudzenie, że jednak posuwam się do przodu.

Z miejsca, w którym uliczka łączyła się z najważniejszą arterią stolicy, dobiegały wysokie dźwięki klaksonów, złowrogie pomruki motorów, nerwowe błyski czerwonych świateł stopu. Na wszystkich – obojętna wobec buchającego złą energią kłębowiska – padała sobie drobna, jesienna mżawka.

– Tylko spokojnie – wyszeptał do kierownicy Bartosz Konecki. – Jeszcze parę chwil i będę w biurze.

Wyobraźnia natychmiast podsunęła mu tę wyczekiwaną chwilę. Zobaczył, jak otwiera drzwi i od razu kieruje się do biurka. Przeszukuje szufladę, wyjmuje opakowanie alpraksu, bierze tabletkę i popija kranówką. Kilka chwil i wszystko się kończy. Ogarniają go spokój i poczucie bezpieczeństwa. Myśli się prostują, a wspomnienia wracają tam, gdzie ich miejsce – do ciemnej jamy zapomnienia.

Korek znów ruszył. Dwa, cztery, pięć metrów. Ładny skok. Zdezelowany golf dwójka, zabytek motoryzacji kupiony przez Bartka pół roku temu za grosze od faceta, który nie patrzył mu w oczy, zadymił czarną sadzą, zaterkotał wysłużonym silnikiem diesla i minął łuk obok stacji benzynowej. Dalej rozpościerał się widok na kompletnie zapchaną autami trzypasmówkę biegnącą wzdłuż rzeki.

W tylnej szybie samochodu jadącego przed golfem – granatowe suzuki liana, rzadki model – Konecki zobaczył twarz młodej kobiety.

Odwrócona w jego stronę dziewczyna musiała chyba klęczeć na swoim fotelu. Jej wzrok wydał mu się nieprzytomny, błędny, zagubiony. Pijana? Ćpunka? A może wariatka?

Alprax. Że też musiał zostawić go w biurze. Gdyby miał teraz przy sobie choć jedną pigułkę... Ale cóż. Jolka zrobiła się ostatnio bardzo czujna. Zmieniał leki i opakowania, żeby ją zmylić, ale to przestawało już działać. Szybko nauczyła się rozpoznawać tabletki każdej odmiany benzodiazepiny, która pomagała mu utrzymywać się w pionie: Diazepam, Lorafen, Xanax. Od kiedy wywaliła mu ledwo napoczęte opakowanie Neurolu, wolał nie ryzykować i trzymał leki w pracy. To skazywało go jednak na bolesne konfrontacje z każdym kolejnym porankiem.

– Odstaw to świństwo, Bartek! – Jolka mówiła to poważna i zatroskana, co budziło w nim jeszcze większy niepokój. – Dlaczego znowu bierzesz? Co się dzieje? Robię coś źle? Czymś się gryziesz?

Cholera. Jasne, że to nie jej wina. Tylko jak jej to wytłumaczyć? Ich życie było sielanką. Było? Właściwie powinno być. Jolka się starała. Kochała go, to pewne. I on ją też. Spędzali ze sobą fantastyczne chwile. A jednak od środka zżerał go robał o wielu imionach. Niepewność. Strach. Przerażenie. Nuda.

Znów spojrzał na dziewczynę za szybą. Nie zmieniła pozycji. Wciąż wyglądała zza zagłówek swojego fotela. Ich spojrzenia się spotkały. Naraz wydało mu się, że w jej zamglonym wzroku dostrzega prośbę. Błaganie o pomoc.

Nie wariuj – upomniał się w myślach. Nic się nie dzieje, laska po prostu nie zdążyła napić się kawy.

Mimo to niepokój narastał. Bartek zaczął już nawet całkiem serio rozważać wyjście z samochodu, podejście do tamtego auta, a potem...

Mógłbym zapukać w szybę i grzecznie spytać, czy wszystko w porządku. A gdybym uznał, że...

Zauważył go w ostatniej chwili. Srebrna mazda przecięła podwójną ciągłą, wyprzedziła kilka aut, pędząc po łuku drogi pod prąd, i teraz, unikając czołowego zderzenia z jadącą pod górę ciężarówką, wepchnęła się właśnie przed niego. Tuż przed balustradą rozdzielającą na zakręcie dwa pasma ulicy. W ostatniej chwili zahamował i odruchowo nacisnął klakson. Golf szarpnął się na zużytych amortyzatorach. Kierowca mazdy otworzył okno i wystawił środkowy palec. Ręka w białej koszuli, dobry zegarek na nadgarstku. Pewnie menedżer średniego szczebla w drodze do swego korporacyjnego rajku.

Konecki zacisnął wielkie dłonie na wątłym kole kierownicy. Twardy ebonit – czy z czego tam przed ćwierćwieczem robiono koła sterowe volkswagenów – zaskrzypiał i lekko ustąpił.

– Spokojnie, zaraz będę w biurze – powtórzył swoją poranną modlitwę Bartek.

Już nie myślał o tamtej dziewczynie.

Wiedział, że ma problemy z kontrolowaniem agresji. To był efekt uboczny abstynencji benzodiazepinowej, pojawiający się zawsze wtedy, kiedy nie łyknął na czas kolejnej tabletki. Dwa miesiące temu, gdy próbował odstawić psychotropy, stłukł do nieprzytomności pewnego tatusia, który w jego obecności strzelił na odlew w pysk swojego kilkuletniego chłopca. Tatusia miał tylko wyśledzić na zlecenie mamusi. Facet zgarnął swojego syna spod szkoły i zniknął. Jego żona, z którą koleś właśnie toczył w sądzie bezpardonowy bój zwany sprawą rozwodową, odchodziła od zmysłów. Tatuś wcześniej niezbyt interesował się dzieciakiem, wolał towarzystwo tancerek go-go, ale gdy żona złożyła pozew, uznał, że odbierze jej chłopaka. Konecki wypełnił swoje zadanie i czekał tylko na przyjazd zleceniodawczyni. Nie miał prawa się mieszać. A jednak się nie powstrzymał.

Sznur samochodów znów ruszył. Pierwszy bieg, a potem – alleluja! – nawet i drugi. I w tym momencie facet w srebrnej maździe raptownie zahamował. Nie musiał, mógł jechać dalej, ale najwyraźniej uznał, że sprawa z golfem, który na niego zatrąbił, wymaga dokończenia.

Bartek wdepnął środkowy pedał, a klocki hamulcowe zaprotestowały wysokim piskiem. Omal nie zarył nosem w przednią szybę.

– Spokojnie. – Po raz trzeci spróbował swojej mantry. – Tylko spokojnie.

Sprawa pobicia tamtego tatusia, mimo korzystnych zeznań chłopca złożonych w obecności psychologa, wciąż była w toku. Nie mógł sobie pozwolić na kolejną burdę. Siedział więc napięty jak pięść za kierownicą dychawicznego volkswagena i niemal błagał w myślach tamtego, żeby odpuścił.

Jednak kierowca mazdy najwyraźniej brak reakcji na zaczepki odczytał jako słabość. Srebrne drzwi otworzyły się i wypłuły ubranego w koszulę, spodnie od garnituru i krawat osiłka o sprężystych mięśniach, w pocie czoła wypracowanych w klubie fitness w ramach karnetu pracowniczego VIP plus.

– Coś ci się nie podoba? Masz jakiś problem, frajerze? – Głos dobiegł do wnętrza kabiny golfa przez zamkniętą szybę.

Bartek rozpaczliwie wpatrywał się w majaczącą w oparach mgły Wisłę.

– Spokojnie, zaraz będę w...

Plask! Krawaciarz potraktował maskę golfa z otwartej. Bartek niemal usłyszał szmer osypującej się rdzy. Alprax. Potrzebował go.

Kierowca mazdy był już przy drzwiach. Szarpnął klamkę. Zamaszyście otworzył.

– Pytałem, czy coś ci się...

Konecki powoli oderwał wzrok od skłębionych wirów Wisły

i przeniósł go na korporacyjnego rekina. Niespiesznie odpiął pas i wystawił przez próg nogę, a za nią resztę swojego nazbyt zwalistego ciała. Oczy podobno są zwierciadłem duszy. Kiedy spojrzenia Bartka i krawaciarza w końcu się spotkały, goguś cofnął się, przyklapł i zerknął nerwowo w bok, jakby czekał na odsiecz. Odchrząknął, a jego grdyka wykonała rozpaczliwy skok w górę i w dół.

– Ja, ee... – W jego głos wkradły się nieco piskliwe tony.

Bartek położył ciężką dłoń na śnieżnobiałym ramieniu, nachylił się nad opaloną w solarium twarzą i pojednawczo zamruczał wprost w rozszerzone strachem źrenice:

– Miłego dnia. A teraz spadaj, pajacu.

Konecki nie lubił swojego biura. Miejsce niby idealne – między rondem Wiatraczna a placem Szembeka. Tuż nad salonem gier Las Vegas, blisko sklepu Alkohole 24 h, obok ruchliwej Grochowskiej. Skromny szyld widać było z przejeżdżających obok tramwajów, autobusów i stojących na światłach samochodów. Mimo to nie umiał zapuścić tutaj korzeni. A może to nie była wina miejsca, lecz katastrofalnego stanu jego finansów? Wciąż nie chciał się do tego przyznać, nawet sam przed sobą, ale wyglądało na to, że się przeliczył. Na palcach obu rąk mógłby policzyć wszystkich klientów, którzy zgłosili się do niego w ciągu pierwszych trzech miesięcy funkcjonowania firmy.

– Cześć, Brudny Harry! – wesoło powitał go podobny do wieprza blondyn, ochroniarz z salonu gier, na oko sto dwadzieścia kilo muskulatury wymęczonej na siłowni.

– Cześć, Piggy – odburknął.

– Nie nazywaj mnie tak! – usłyszał oburzony głos, kiedy wspinał się po schodach długiego pawilonu handlowego.

„Agencja Detektywistyczna. Grupa Konecki” – powitała go tabliczka na drzwiach. Tabliczka jak tabliczka, zdążył się przyzwyczaić nawet do tej „grupy”, której dopisanie doradziła mu Jolka. Twierdziła, że „grupa” brzmi poważniej niż jakiś tam „prywatny detektyw”. Zdziwiło go co innego – o drzwi jego biura opierał się jakiś facet.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Tamten był ubrany w garnitur. Zapięta marynarka ujawniała charakterystyczne uwypuklenie pod lewą pachą. Konecki natychmiast skojarzył je z kaburą pistoletu. Odkąd został detektywem, też sobie taką sprawił. Tyle że nosił luźniejsze marynarki.

Nieznajomy był o dobre pół głowy niższy od Bartka, ale przysadzista sylwetka i zdeformowane, pokryte bliznami uszy zdradzały byłego zapaśnika. Niedokładnie wygolona głowa ujawniała sięgającą głęboko łysinę i parę starych blizn. Oczy miał czarne, pewne siebie, spokojne. Był także starszy od Koneckiego o kilkanaście ładnych lat. Może nawet dwadzieścia? Na pewno dawno przekroczył już pięćdziesiątkę.

To jeden z tych, którzy zawsze dostają dokładnie to, czego chcą – pomyślał Bartek, a na głos zapytał:

– Pan do mnie?

Facet zaciągnął się papierosem i niespiesznie wypuścił strugę dymu w kierunku sufitu. Jego mięsiste usta wykrzywił cień asymetrycznego uśmiechu. Lewy kącik w górę, prawy w dół.

– Znasz się na ludziach – wycedził. – Słusznie nazwałeś tego z dołu ciotą.

– Nazwałem go Piggy. To kukiełka z *Muppet Show*, a nie ciota.

Bartkowi nie podobał się ten człowiek. Niepokoił go.

– Dla mnie Piggy to ciota, ale jak tam sobie chcesz. – Łysy pojednawczo wzruszył barami, po czym zgasił peta w dwóch palcach i pstryknął nim w dół schodów, ku popatrującemu na nich ochroniarzowi.

– Przyszedłem w interesach. Otwierasz to swoje Miami Vice czy mam iść do konkurencji?

Wchodząc do środka, Bartek uświadomił sobie z rozdrażnieniem, że chwila sięgnięcia po alprax znacząco się oddała. I to też mu się nie spodobało.

Klient ostentacyjnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Biurko, fotel, komputer, szafa pancerna, półka skoroszytów, telewizor. I mały komplecik w rogu: niski stolik, sofa, dwa wątłe krzesła. Obok drzwi do mikroskopijnej kuchenki.

– Trochę tu drętwo. – Gość rozejrzał się z błazeńskim wyrazem twarzy. – Przydałby ci się, chłopie, barek na kółkach. Albo chociaż akwarium.

– Wolałbym, żeby się pan najpierw przedstawił. Gwarantuję dyskrecję, ale chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Zapaśnik opadł na sofkę. Mebel jęknął, coś w nim trzasnęło, ale wytrzymał. Konecki oparł się o biurko, splatając ręce na piersi.

– Grunt, że my wiemy, z kim mamy do czynienia – odparł tamten, zakładając ręce za głowę. Wypukłość pod marynarką omal nie wyrwała jej guzików.

Co on tam ma? Przedłużonego glocka? Magnum? Strzelbę myśliwską?

– Były komisarz elitarnego Wydziału Terroru Kryminalnego, obiecujący detektyw, człowiek, który miał siłę podnieść się z ciężkiego załamania nerwowego, by znaleźć ukojenie w ramionach koleżanki po fachu, a wcześniej zastrzelić podłego przestępcę. Á propos, jak ci się układa z uroczą komisarz Jolantą Bończak? Koledzy już chyba nie nazywają jej lesbą?

Góra mięsa spoczywająca na jego sofce zamilkła i przyglądała mu się z uśmiechem.

Koneckiemu pojaśniało przed oczami. Jaskrawa biel zalała pokój. Ramiona rozplotły się, dłonie zacisnęły w pięści.

Spokojnie! – surowo rozkazał sobie w myślach.

Ta prowokacja miała jakiś cel. Tamten chciał go wybadać. Chciał sprawdzić, na ile panuje nad sobą? Zweryfikować krążące swego czasu po Komendzie Stołecznej plotki, że bywa porywczy? A może wręcz przeciwnie, wybadać, czy nie jest tchórzem? Wszystko jedno. W razie potrzeby znajdzie przecież czas, żeby mu dać po gębie.

– Podkomisarz.

Brwi zapaśnika poszybowały na środek niskiego czoła w wyrazie zdziwienia.

– Co: podkomisarz?

– Kiedy mnie wywalono z policji, byłem podkomisarzem.

– Aha.

– No to skoro nie mam już przed tobą tajemnic, gadaj, grubasie, z jaką sprawą przychodzisz. Albo zrzucę cię w końcu z tych schodów.

Człowiek w opiętym garniturze rubasznie zarechotał. Kiwnął głową z uznaniem.

– Już lubię twój styl. Dam ci więc to zlecenie.

– Jakie zlecenie?

Zapaśnik przestał się śmiać.

– Amelia Stokrocka – oznajmił z lekkim patosem.

Bartek czym prędzej przeszukał zakamarki pamięci, ale nie znalazł w niej żadnego pliku o takiej nazwie.

– Kto to taki?

Wąskie, ale najwyraźniej bardzo ruchliwe brwi znów poszybowały na środek czoła.

– No co ty, chłopie? Telewizji nie oglądasz?

– Okazjonalnie. – Konecki rzucił okiem na zakurzone LCD stojące w przeciwległym rogu. Odbiornik nie był nawet włączony do kontaktu.

– Wschodząca gwiazdka ekranu. Na razie właściwie tylko pogodynka,

ale już dostała rolę w jakimś filmie, a poza tym przebąkuje się, że ma wejść do telewizji śniadaniowej. W branży wróży się jej karierę równie wielką jak jej cyce.

– Aha.

– Słabo znasz to środowisko, co? – Mężczyzna przyjrzał mu się badawczo.

– Przeszkadza ci to?

– Ani trochę. – Tym razem facet pokazał w uśmiechu nawet zęby. – Ważne tylko, żebyś jej nie spłoszył. Były glina chyba tyle potrafi?

Konecki nie odpowiedział. Patrzył na gościa i zastanawiał się, z kim ma do czynienia. Wbrew swojej powierzchowności facet był całkiem inteligentny. Umiał narzucić własne warunki w rozmowie, zręcznie manipulował. Wyglądał na bandytę, ale Bartek raczej obstawiałby, że to były gliniarz. Jak on sam. Pytanie tylko, komu teraz służy?

– Mam ją śledzić? Po co? Jeśli w celu dokonania jakiegoś przestępstwa, to ci powiem od razu, żebyś...

– Spokojnie, spokojnie! – Łysy nieświadomie użył dzisiejszej mantry Bartosza Koneckiego. – Masz ją śledzić, prawda, ale tylko po to, by sprawdzić, czy się laska nie puszcza na boku. *Capisci?*

Zamaszystym gestem sięgnął do bocznej kieszeni marynarki i wyjął złożone na cztery dwie kartki maszynopisu. Rzucił je na stolik, a Konecki zanotował, że na jego nadgarstku błyszczący zegarek wart co najmniej dwadzieścia tysięcy.

– Przeczytaj i wyryj to sobie na pamięć. – Gość znów odezwał się władczo. – Nie mogę ci tego zostawić.

Bartek oderwał się od biurka, uświadamiając sobie, że wszystkie mięśnie ma napięte. Podszedł sztywno, rozprostował kartki i rzucił okiem. Na pierwszej adres Amelii Stokrockiej i jej cechy fizyczne. Wzrost 175 centymetrów, oczy niebieskie, szczupła budowa ciała. Na drugiej zobaczył

zdjęcie pięknej blondynki z włosami związanymi w kok. Patrzyła w obiektyw lekko skośnymi, może odrobinę zbyt blisko osadzonymi oczami z intensywnością, która wypalała dziury na jego siatkówce.

– Zazdrosny mąż? – zapytał.

– Nie jest mężatką.

– Narzeczoney, który chce ją sprawdzić przed ślubem?

– O ile wiem, nie planuje w najbliższym czasie małżeństwa.

– To dla kogo mam ją śledzić?

– To *show-business*, kolego. *Show-business!* – Zapaśnik poklepał się po kieszeniach, wydobyl paczkę cameli i zapalił, nie pytając o zgodę ani nie częstując. – W tym świecie ludzi łączą najróżniejsze powiązania. Nie nadążysz za tym. I nie próbuj. Masz tylko wynotować, z kim i kiedy ta księżniczka się spotyka. Zdjęcia, nazwiska, o czym rozmawiali. No i oczywiście, czy daje komuś dupy.

Dym tytoniowy uderzył Bartka w nozdrza, budząc natychmiast rozpaczliwą tęsknotę za paleniem. Rzucił papierosy pół roku temu, kiedy wprowadził się do Jolki. Trzymał się tamtego postanowienia. Wystarczy, że wrócił do zażywania psychotropów... Żeby zająć czymś ręce, poszedł więc do kuchni po spodeczek (popielniczki nie miał) i podstawił gościowi. Nie chciał, żeby grubas wypalił mu dziurę w niespłaconych jeszcze meblach.

– Skoro to taka gwiazda, czemu nie wybraliście jakiejś sprawdzonej sieciówki detektywistycznej? – spytał. – Aha, i wciąż jeszcze nie wiem, z kim mam do czynienia.

Zapaśnik zaciągnął się jak lokomotywa, wstał i zhartował ledwo nadpalonego papierosa na talerzyku. Wyraźnie zbierał się do wyjścia.

– Wybraliśmy ciebie właśnie dlatego, żebyś nie zadawał takich pytań. Chyba nie narzekasz na nadmiar roboty, co? – Puścił oko. – Chcemy być pewni, że nie schrzanisz zlecenia. Byłeś niezłym gliną. Pasujesz nam.

I wszystko w temacie.

Konecki dobrze wiedział, że powinien odmówić i że zgodnie z prawem nie wolno mu przyjąć zlecenia bez podpisania umowy. Ta sprawa cuchnęła na kilometr. Jednak z drugiej strony faktycznie musiał ostatnio pozwolić, by to Jolka go utrzymywała. Nie miał pieniędzy. Miał długi. A do tego codziennie śniło mu się, że jest gliniarzem. Kiedy budził się rano i dopadała go świadomość, że zamiast do pałacu Mostowskich musi jechać do jakiejś kanciapy, miał chęć wbić zęby w ścianę. Jeśli będzie odrzucał oferty z powodu etycznych czy proceduralnych rozterek, zamknie ten biznes jeszcze przed końcem roku. Kim się wtedy stanie? Utrzymankiem? Cieckiem w supermarkecie? Menelem?

– Wiem, że zastanawiasz się, w co cię wrabiam. – Zapaśnik przerwał mu te rozmyślenia. – Otóż bądź spokojny. Ta sprawa nie ma drugiego dna. Po prostu chodzi o laskę, której być może trochę zbyt łatwo rozjeżdżają się nogi. To twoja zaliczka.

Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, a na stoliku już lądował cały rulon banknotów. Bartek energicznie przełknął ślinę.

– Pięć tysięcy. Zadanie jest proste, więc spraw się szybko. A jak skończysz, zadzwoń pod ten telefon. – Mężczyzna pstryknął w jego kierunku wizytówką z samym tylko numerem. Wtedy dorzucę jeszcze dwa razy tyle.

Powiedziawszy to, od razu odwrócił się do drzwi. Nie czekał nawet na odpowiedź.

– Od jak dawna nie pracujesz w policji? – zawołał za nim Bartek.

Szerokie jak kredens z czasów sanacji plecy zeszywniały. Masywny korpus zamarł w pół kroku. Kiedy jednak łysy się odwrócił, na jego ustach znów igrał asymetryczny uśmiech.

– Od początku powtarzałem mojemu wspólnikowi, że komisarz Konecki to bystrzak – zarechotał. – I że najlepiej nadaje się do delikatnej

roboty. Tylko proszę... – Znów puścił oko. – Tym razem nikogo nie zabijaj.

Wyszedł, a po chwili z dołu dobiegło jego tubalne: „Cześć, Piggy!” i urażone protesty ochroniarza. Bartek pozostał w swoim biurze z nieprzyjemną świadomością, że naprawdę został dokładnie prześwietlony. Czy tak postępuje ktoś, kto chce złożyć detektywowi banalne zlecenie? Doskonale znał odpowiedź na to pytanie. Pakował się w kłopoty. Ale jaki miał wybór?

Jednym ruchem zgarnął pieniądze ze stołu i schował je do kieszeni marynarki. Czuł, że przepalają mu kieszeń.

Dwa, trzy dni pracy, a potem zgarniam forszę i o wszystkim zapominam – solennie obiecał sobie w myśli, kierując się ku szufladzie biurka.

I wtedy zdał sobie sprawę, że w ogóle nie ma ochoty na tabletkę prasującą zwoje mózgowie. Może i właśnie popełnił błąd, a nawet złamał prawo. Ale znów czuł, że jest w swoim żywiole. Jak dawniej.

Warszawa. Lipiec 1992

„Sprawa wykryta, sprawa opita” – tej maksymie hołdowano w jego sekcji z pełnym oddaniem. Dlatego naczelnik Chałka kiwał się teraz sennie w swoim gabinecie nad aktami, rozłożonymi na biurku dla niepoznaki, brodaty komisarz Wilczyński z impetem przeszukiwał całe piętro w nadziei ustalenia miejsca pobytu ostatniej flaszki, a starszy sierżant Ława walczył ze snem w pokoju obok, udając, że przesłuchuje głównego podejrzanego, który zamiast odpowiadać na z trudem formułowane pytania, wolał gapić się na rybki w akwarium. Żenada.

Aspirant Norbert Pałucha z najwyższym trudem skrywał złość i pogardę. Siedząc beczynn timer za swoim biurkiem, na wprost maszyny do pisania, w której część zużytych przycisków zastąpiono przyciętymi pod wymiar kawałkami drewna, ćmił papierosa, żuł fusy z wystygłej, przesłodzonej kawy i wodził oczami po tym bajzlu, zwanym sekcją do spraw zabójstw Wydziału Kryminalnego Komendy dzielnicowej Warszawa Śródmieście.

– Banda pijaków i nieudaczników – wyszeptał bezgłośnie. – Jak się stąd nie wyrwę, utknę w tym bagnie na zawsze. Jutro napiszę na nich notatkę służbową.

Dobrze wiedział, że tamci go nie lubią. Nie ufali mu, nie uznawali za „swojaka”. I pewnie podejrzewali – nie bez racji zresztą – że na nich kabluje. Starzy gliniarze, do niedawna jeszcze milicjanci, nie tolerowali młodzika, który do resortu wstąpił po sierpniowych wyborach 1989 roku, a stopień aspiranta dostał już po niespełna dwóch latach służby.

To dlatego teraz musiał siedzieć beczynn timer, kiedy cała sekcja

celebrowała swój triumf.

– Triumf – prychnął w głąb siebie Pałucha. – Też mi triumf...

Tego dnia do spółki z burakami z komendy powiatowej w Wyszkwowie zgarnęli cały tamtejszy gang Oriona.

– Chyba raczej gang Olsena – kontynuował swój szyderczy monolog.

Banda trudniła się drobnymi wymuszeniami, pokątnym handlem marihuaną oraz kradzieżą samochodów. I gdyby jeden z nich, niejaki Orion *vel* Stanisław Orecki, nie wdał się parę tygodni temu w strzelaninę pod warszawską dyskoteką Hybrydy, chłopcy bezkarnie działaliby dalej. Nikt z tych wieśniaków z Wyszkowa w życiu nie odważyłby się dobrać im do tyłków. Ale że postrzelony przez Oriona koleś wykrwawił się na śmierć, w sprawę włączyli się policjanci z ulicy Wilczej.

Przecież to ja wpadłem na to, kto strzelał! – krzyczał w myślach Pałucha, zerkając równocześnie, jak Wilczyński, w ostatniej nadziei znalezienia wódki, przetrząsa jego własną szafę pancerną, bez mrugnięcia okiem zrywając odcisnięte w plastelinie plomby. – A teraz, mimo że jestem jedynym trzeźwym w tym towarzystwie, nie pozwalają mi nawet przesłuchać tamtego nygusa.

– Te, Nowy, jest sprawa – zagaił komisarz Wilczyński. – Trzeba iść do nocnego na Marszałkowską.

Jeszcze czego! Był z nich najlepszy, ale zamiast go szanować, jedynie się nim wysługiwali. Dość tego.

– Nowy, głuchy jesteś czy niegramotny?

– Nie mogę iść – odparł hardo Pałucha. – Jestem na służbie.

Znad sąsiednich biurków, w niemym rozbawieniu, uniosły się głowy pozostałych członków sekcji – chudego jak tyczka podkomisarza Łukasza Góreckiego, krępego i obdarzonego wąsem gęstym jak lina cumownicza sierżanta Wiesiołka i kaszlącego astmatycznie posiadacza żółtej cery gruźlika komisarza Żelazko.

– Weź dwie! – Wilczyński nie zwrócił nawet uwagi na jego odmowę. – I pół sztancy papierosów. Też się zaraz skończą.

Zły jak osa Pałucha wyszedł na miasto. Ciepła noc, a właściwie już niemal brzask, była ostoją różnej maści pijaczków, a niski wzrost i ostentacyjnie elegancki wygląd Norberta Pałuchy prowokowały ich do zaczepiek.

– E, koleś, wyskocz ze szluga!

– Uważaj, olbrzymie! Żebyś nie potknął się o swój krawat!

Normalnie w takiej sytuacji wyciągnąłby policyjną blachę oraz kajdanki i zgarnął jednego z drugim na dołek. Był legalistą. Nie tolerował żadnych przejawów łamania prawa, zwłaszcza gdy wykroczenie uderzało w jego kompleksy. A natarczywe domaganie się papierosa podpadało przecież pod agresywne żebractwo. Tej nocy nie chciało mu się jednak walczyć z wiatrakami. Oficer dyżurny i tak wypuściłby meneli zaraz z rana, a przełożony, znaczy się Chałka, nie przyjąłby od niego raportu w tak błahej kwestii. Lepiej zachować rozsypującą się ze starości maszynę do pisania na poważniejsze sprawy.

Z Wilczej skręcił w prawo i przeszedł przez opustoszałą o tej porze Marszałkowską. Pod sklepem nocnym jak zwykle kwitło ożywione życie towarzyskie. Podstarzałe prostytutki z pobliskiego pigalaka u zbiegu Wspólnej i Poznańskiej rozpijały alpage „Kwiat jabłoni” z chwiejącymi się facetami, sprawiającymi wrażenie gości z prowincji w podróży służbowej. Dwóch doliniarzy, dobrze znanych organom ścigania, zaciągało się papierosami, żarłocznie zerkając na opuszczających sklep klientów. Jakiś wytatuowany zakapior bez koszulki przeżył mięśnie w ten sposób, że wzorek skorpiona na kłacie zdawał się to unosić, to opuszczać ogon.

– Dobry wieczór, panie komisarzu! – Sprzedawczyni o zmęczonym życiem twarzy rozpromieniła się na jego widok. I dodała, kompletnie ignorując długą kolejkę spragnionych klientów: – Co podać?

– Dwa razy pół bochenka chleba i pół sztancy schabowego z kością.

Wziął dwie flaszki, wypchał wszystkie kieszenie marynarki paczkami Ekstra Mocnych z filtrem, zapłacił 322 tysiące złotych z własnej kieszeni (trzeba pamiętać, żeby oddali mu po wypłacie), wyszedł. Doliniarze spod sklepu obrzucili jego siatkę pożądlivym spojrzeniem, ale zaraz rozpoznali glinę i ostentacyjnie odwrócili głowy. Koleś bez koszulki, niezrażony obojętnością publiczności, wciąż poruszał skorpionem. Dziwki chichotały.

Idąc do komendy, Pałucha rozpamiętywał szczegóły z dzisiejszego zatrzymania gangu Oriona. Do Wyszkowa pojechali całą sekcją – w dwa nieoznakowane polonezy. Na miejscu Łukasz Górecki trochę spanikował, kiedy koledzy z Wyszkowa spytali, gdzie jest ich broń długa i kamizelki.

– To oni mogą do nas strzelać? Dlaczego nikt mi wcześniej nie powiedział?! Pierdołę, nie idę! Ja mam żonę i dziecko! – darł się pod tamtejszą komendą piskliwym głosem.

Reszta popatrzyła po sobie niepewnie. O cholera, faktycznie o tym nie pomyśleli. A przecież wystarczyło tylko wypisać kwit do zbrojowni...

Na szczęście zatrzymanie poszło jak po maśle. Wyszowska gangsterka okazała się tylko grupą spasionych sterydami ćwoków, którzy na widok policji od razu robili w gacie. Jedyнным problemem okazał się Orion, który był uzbrojony, mieszkał na parterze i próbował uciec. Chałka podszedł do jego drzwi ze wsparciem dwóch miejscowych, a Norbertowi kazał czaić się pod oknami. W pojedynkę! Kiedy trójca szeryfów załomotała w drzwi, herszt gangu w samych slipach hycnął przez okno... dokładnie w ramiona Pałuchy, który od razu przystawił mu do czoła swoje służbowe p-64. Na szczęście to wystarczyło, by wyższy od niego o dwie głowy cielak od razu spokorniał i dał się skuć. Strach pomyśleć, co by było, gdyby zaczął się stawiać.

– Cwaniaki, zawsze dają mi najgorsze zadanie – podjął swoją litanie Pałucha, wracając do komendy.

Sierżant Ława już spał z policzkiem wtulonym w biurko, a podejrzany patrzył na niego zde gustowany. Rybki z akwarium puszczały bąbelki. Chałka, apatycznie i bez wiary w sukces, usiłował przekonać Wilczyńskiego, żeby przejął zatrzymanego, ale brodacz był niedopity, zły i ogólnie niechętny do współpracy. Górecki dopieszczał raport, Wiesiołek palił, Żelazko zanosił się kaszlem. Nic nowego.

Telefon. Nikt nawet nie spojrział na aparat. Drugi sygnał, trzeci. Aspirant Norbert Pałucha niechętnie sięgnął po szarą, ebonitową słuchawkę.

– Sekcja zabójstw, Pałucha.

– Dyżurny z tej strony. Sierżant sztabowy Borowy Maciej, znaczy się.

– Dawaj.

– Jest sztywniak na Polach Mokotowskich, przy Niepodległości.

Norbert tylko przewrócił oczami. Pewnie znów jakiś bezdomny „Aborygen” dał w piórnik po przedawkowaniu wody brzozej.

– To granica naszego rewiru. Zwał to na chłopaków z Mokotowa.

– Próbowałem, ale mówią, że w zeszłym tygodniu robili za nas tego dziadka, który wykitował w Łazienkach, i teraz nasza kolej.

Przez długie pół sekundy Pałucha chciał bez słowa odłożyć słuchawkę. Niech się dyżurny martwi, skoro zabrakło mu jaj, żeby od razu odmówić. Coś jednak go powstrzymało. Intuicja? Nos detektywa? A może po prostu nie chciało mu się więcej latać po wódkę.

– Znasz już jakieś szczegóły?

– Na dziewczynę natrafił patrol ciemniaków z Batalionu Patrolowo-Interwencyjnego podczas rutynowego...

Dzwonek alarmowy. Adrenalina. Powiedział „dziewczyna”. To wszystko zmieniało.

– W jakim stanie są zwłoki? – przerwał.

– Dość fatalnym, że tak powiem.

– Do rzeczy, człowieku!

– Ktoś jej... chyba że źle zrozumiałem... No, w każdym razie ktoś podobno obciął jej dłonie. No i jest naga. Zgwałcona, zdaje się...

Aspirant Norbert Pałucha wciągnął głęboko powietrze, przytrzymał, a potem powoli wypuścił z płuc. Sprawa przez duże S. Coś, co podchwycą media, na co będą patrzeć przełożeni. Na czymś takim można wreszcie wypłynąć. Wydostać się z tego bajzlu.

Szybko rzucił spojrzeniem na lewo i prawo. Nikt się nim nie interesował. Wilczyńskiego kompletnie wciąło, Chałka kiwał się nad swoim biurkiem. A więc już nikt mu tego nie zabierze. Poprowadzi to.

– Przygotuj mi kluczyki od poloneza, zaraz zejde. Bierzemy tę sprawę.

Przez dwa lata w policji i ponad pół roku w sekcji zabójstw Norbert widywał już różne rzeczy. Samobójcę, którego rozczłonkował pociąg, zawałowca, który wykorkował w wannie, a gorąca woda w połowie go ugotowała, trupa, który miesiąc przeleżał w wersalce... ale dopiero ta martwa dziewczyna nim wstrząsnęła. Dziewczyna? Raczej dziewczynka. Dziecko właściwie.

Leżała na plecach w krzakach, zaledwie parę metrów od chodnika, na którym czerniły się ślady opon. Siniaki i zadrapania na jej skórze kontrastowały z opalenizną widoczną wciąż na ramionach, nogach i twarzy. Sine i nabrzmiałe ślady na szyi. Jasne włosy rozsypane wśród źdźbeł trawy. Białe, równe ząbki odsłonięte przez wargi wykrzywione w agonii. No i te kikuty zamiast dłoni...

– Nie zginęła w tym miejscu. Morderca przywiózł ją samochodem i wyrzucił w krzakach – usłyszał Pałucha.

Aspirant drgnął i obrócił się gwałtownie, uświadamiając sobie, że od dłuższej chwili stoi nad zwłokami jak wryty. Obok siebie zobaczył doktora

Kalinę, anatomopatologa z Instytutu Medycyny Sądowej przy Oczki.

– Dziękuję, że pan przyjechał, doktorze – szepnął, przypominając sobie, że prokurator, którego obudził zaraz po telefonie od oficera dyżurnego, zrugął go w niewybrednych słowach i powiedział, że pojawi się dopiero na sekcji.

– Ściągnął pan tutaj techników, aspirancie?

– Mają zaraz dojechać, boję się jednak, że oni – zerknął na dwóch ubranych w czarne mundury osiłków z BPI, przestępujących nad ciałem z nogi na nogę – już zdeptali ślady.

– Grunt, żeby technicy zrobili odcisk gipsowy tych opon – rzeczowo zauważył lekarz. – Ja zajmę się zwłokami.

Stary doktor przerwał na moment i spojrzał na Pałuchę.

– Mam wnuczkę mniej więcej w jej wieku. Zrobię wszystko, żeby mógł pan dorwać tego sukinsyna.

Norbert nie odpowiedział. Doktor podszedł do zwłok. Mundurowi nerwowo ćmili papierosy. Od strony Wisły niebo zapłonęło czerwienią, w koronach drzew zaczęły wrzaskliwie nawoływać się ptaki. Na miejsce przestępstwa podjechali technicy, a zaraz po nich kilku posterunkowych, których Pałucha rozstawił tak, by piesi i spacerowicze nie pchali im się pod nogi. Patrol drogówki w volkswagenie passacie zablokował jeden pas ruchu w Alejach Niepodległości.

– Od razu, na gorąco, mogę powiedzieć tyle, że dziewczynka zginęła tej nocy. – Doktor Kalina zakończył oględziny i dał znać technikom, że mogą zaczynać pracę. – Tak jak myślałem, zmarła w innym miejscu. Plamy opadowe i otarcia naskórka, które pojawiły się *post mortem*, wskazują, że ciało było przenoszone. Zgon nastąpił przez zadzierzgnięcie. Udusił ją, mówiąc po ludzku. Najprawdopodobniej skórzanym paskiem.

Pałucha oderwał spojrzenie od dziewczyny i uniósł je ku koronom parkowych drzew.

Czy dam radę? Czy mnie to nie przerośnie?

Zaraz się jednak zreflektował i opuścił wzrok na ziemię. Oczywiście, że da radę. Był dobry, najlepszy. A to jest sprawa, która wyniesie go do Komendy Stołecznej lub jeszcze wyżej. Takie nygusy jak Chałka będą się przed nim płaszczyć.

– Panie doktorze... – zająknął się.

Kalina spojrział na niego spod siwych, krzaczastych brwi, opadających mu na półprzymknięte powieki.

– Chce pan spytać o ręce? – domyślił się.

Norbert skinął głową.

– Prawie na pewno zostały odjęte już po śmierci. Równo, gładko, jednym cięciem. Obstawiałbym jakiś diaks czy inną piłę tarczową. Lub lekarską piłkę używaną do amputacji kończyn. Tyle że nie zrobił tego lekarz. Jedna dłoń została amputowana powyżej nadgarstka, a druga niżej, na wysokości obu kości czworobocznych, główkowej i haczykowej. Krótko mówiąc – partacka robota.

– Ale dlaczego?

Doktor nie odpowiedział od razu. Powoli obszukał kieszenie swojego bezrękawnika w kolorze khaki, opatrzonego wieloma zakamarkami. Znalazł wymiętoloną paczkę i pytająco skierował ją w stronę Pałuchy, a gdy ten odmówił, sięgając po własną, wyłuskał pokrzywionego papierosa.

– Nie jestem psychologiem – odezwał się, kiedy otoczył go sinawy obłoczek dymu. – Powiedziałbym jednak, że sprawca zrobił to, by utrudnić panu robotę.

– Chodzi o linie papilarne?

– To też. Ale poza tym przypuszczam, że dziewczyna walczyła. Pewnie głęboko zadrapała napastnika. Sprawca zdawał sobie sprawę, że pod jej paznokciami jest jego grupa krwi.

Aspirant podziękował i zrobił krok ku technikom, którzy już ustawiali wokół ciała numerki oznaczające ślady, sporządzali szkic sytuacyjny i szykowali się do zdjęć. Obok zwłok stała walizka z proszkiem daktyloskopijnym i zestawem pędzelków do jego nanoszenia.

– Aspirancie?

Odwrócił się do doktora.

– Niech się pan spieszy. Wydaje mi się, że to jest robota seryjnego. Może to jego pierwsze zabójstwo. Może wcześniej tylko gwałcił. Ale teraz, gdy już zasmakował we krwi, będzie mordował, póki go nie powstrzymacie.

– Dopadnę go – obiecał Pałucha.

Warszawa. Listopad. Czwartek

Ogolony, w najlepszej marynarce i wyglansowanych butach, siedział w swoim golfie, obserwując wyjście z apartamentowca przy małej uliczce Nowaka-Jeziorańskiego na Gocławiu. Z pradawnego, trzaskającego radia płynęły wiadomości. Nie zdziwił się nawet specjalnie, kiedy w pewnym momencie usłyszał głos Jolki. Przedstawiona przez reportera jako rzeczniczka prasowa komendanta stołecznego policji, mówiła o jakimś brutalnym morderstwie popełnionym na młodej kobiecie, której jeszcze nie udało się zidentyfikować. Obcięte dłonie, nagie ciało porzucone w Mazowieckim Parku Krajobrazowym. Koszmar, który Bończak opisywała w krótkich słowach, tchnących zawodową pewnością siebie. Żadnych emocji, żadnego jąkania się czy niepotrzebnych szczegółów zbrodni. Fakty podawane przez znającego swoją wartość fachowca.

Wyrobiła się – pomyślał z dumą Konecki.

Z dumą, ale i bolesnym ukłuciem zazdrości. Ona wciąż była policjantką. A on już nie.

Pamiętał jej początki w wydziale prasowym, zaledwie kilka miesięcy temu. Wtedy wydawała się nieco zagubiona, przytłoczona presją dziennikarzy uzbrojonych w dyktafony i kamery. Pocieszał ją, dodawał otuchy, kibicował. Teraz już tego nie potrzebowała. Brylowała w programach śniadaniowych, wieczornych debatach publicystycznych, ulicznych relacjach na żywo. Kamera ją lubiła, media akceptowały. Już teraz miała kilka propozycji pracy w kilku stacjach. Nagle strasznie zachciało mu się wziąć ją w ramiona.

Bezwiednie poprawił wsteczne lusterko, w którym odbijała się fasada

obserwowanego przez niego wielopiętrowca. Musi się skoncentrować, żeby nie przegapić wyjścia Stokrockiej. Pewnie wyjedzie z podziemnego garażu swoim lexusem RX. Dzięki starym znajomościom w drogówce znał jego numery rejestracyjne, kolor i historię mandatów. Wyłącznie dwa rodzaje wykroczeń: przekroczenie prędkości i parkowanie w miejscach niedozwolonych. Wyglądało na to, że „Stokrotka” miała żywy temperament i nie liczyła się z innymi.

Żeby tylko za nią nadażył tym struclem. – Uśmiechnął się do siebie.

Ciągle nie mógł oderwać myśli od Jolki. Kurczę, jak dziwnie się to wszystko poukładało. Jeszcze na początku roku, podczas tamtej sprawy, która ostatecznie okazała się grobem dla jego policyjnej kariery i trampoliną do awansu Jolki, zadziorna policjantka budziła jego niechęć. Rzeczywiście pokątnie przezywali ją lesbą. Była nieprzystępna, zimna, ubrana w stylu militarnym. A potem to wszystko wywróciło się do góry nogami. Śledztwo zakończyło się krwawym paroksyzmem, w wyniku którego on musiał zastrzelić człowieka, a ona, cóż, rozkwitła. I spojrzał na nią zupełnie innymi oczami.

– Czy to, co jest między nami, przetrwa? – zadał pytanie swojemu odbiciu w lusterku.

Bo przecież nie dotrzymywał jej kroku. Źle znosił wydalenie ze służby. Nie mógł odnaleźć się w samotnej pracy prywatnego detektywa. Kiedyś, gdy był na służbie, nie mógł opędzić się od innych gliniarzy. Kiedy chciał spokojnie pomyśleć, musiał zamykać się w kiblu albo wychodzić z komendy na parking. Teraz brakowało mu tego wiecznego gwaru, zaczepek, nawet awantur. Dziś w pracy był sam jak palec. A świadomość, że musi osobiście płacić podatki, składki na ZUS i raty kredytu, przyprawiała go o mdłości. Wcześniej nie martwił się o przyszłość. Pensja była, jaka była, ale wpływała na konto regularnie. Teraz regularnie przychodziły do niego jedynie monity z banku. To wytrąciło go z niepewnej równowagi, jaką po śmierci córki i odejściu żony odzyskał

raptem niewiele ponad pół roku temu. I żeby nie zacząć wariować, znów sięgnął po benzodiazepiny. Kiedyś psychotropy wyciągnęły go z czarnej otchłani. A teraz? Nie był w rozpacz, tylko się bał. Tylko? Wydalenie z policji wstrząsnęło nim mocniej, niż sam przed sobą przyznawał. Nie był już gliną, a nie czuł się detektywem. I, szczerze mówiąc, nie chciał się nim poczuć. Kim więc był?

Tymczasem Jolka wyrastała na gwiazdę, osobę rozpoznawalną. Nadskakiwali jej przełożeni. On nie mógł się pochwalić choćby cieniem podobnych sukcesów. Nawet licencję prywatnego detektywa zdobył z niemałym trudem. Jako człowiek zwolniony z policji w zasadzie nie powinien jej dostać. Na szczęście resort rozstał się z nim na zasadach porozumienia stron, a nie dyscyplinarce, jakoś więc udało się ominąć tę rafę. Potem jednak wypłynęła sprawa pozwolenia na broń. Egzamin zdał bez problemu, ale badania psychologiczne... Musiał niemal klękać przed policyjnym profilerem o szerokich znajomościach w świecie psychologów, Grzegorzem Pac-Zamajskim, z którym nie bardzo się lubili, kiedy był jeszcze gliniarzem, i prosić go o pośrednictwo w wygładzeniu paru punktów w teście. Ile czasu Jolka będzie tolerować u swego boku sfrustrowanego, uganiającego się za banalnymi zleceniami prywatnego „łapsa” ze zwyżkującą nadwagą?

– Myśl o zleceniu! – Bartek przywołał się do porządku, koncentrując wzrok na szczegółach widocznych w zamglonym patyną dziejów wstecznym lusterku.

Musiał, bezwzględnie musiał uporać się z tym szybko. Dlatego dobrze się przygotował. Przez swoje dawne kontakty sprawdził Stokrocką w Urzędzie Dzielnicy Warszawa Praga-Południe. Mieszkała sama, była stanu wolnego, bezdzietna. U zaprzyjaźnionego teleoperatora ustalił numer jej komórki i – co było trudniejsze, a w dodatku wymagało wyłożenia pięciu stów łapówki – typ jej telefonu. Na szczęście miała smartfona, mógł więc wysłać jej ukrytego esemesa z wirusem wygenerowanym przez

całkiem legalnie kupiony program MobileSpy. Teraz już miał ją na oku. Pozycja GPS, numery połączeń, strony, na jakich logowała się w internecie.

Sarkastycznie uśmiechnął się na myśl o tym, że wszystkie te czynności, które wykonał wczoraj w ciągu jednego dnia, zajęłyby mu – gdyby nadal był policjantem – co najmniej tydzień. Samo uzyskanie zgody sędziego i prokuratora na tak szeroko zakrojoną inwigilację wymagałoby wypełnienia szuflady kwitów. Zdawał sobie jednak dobrze sprawę z tego, że postępuje nielegalnie. Bezczelnie łamie prawo. I, szczerze mówiąc, mocno go to uwierało.

– Tylko ten jeden raz – obiecał sobie. – Szybka forsa, uregulowanie zaległych rat oraz czynszu i wracam do uczciwej działalności.

Z budynku wyszła kobieta. Początkowo nie zwrócił na nią specjalnej uwagi, bo spodziewał się raczej, że Stokrocka wyjedzie samochodem. Smukła sylwetka, krótka kurteczka, artystycznie podarte džinsy, sportowe buty. Rozejrzała się wokół, zlustrowała samochody zaparkowane wzdłuż ulicy. I to dało mu wreszcie do myślenia. Czy to ona? Szła szybko, drobnymi krokami, w kierunku centrum handlowego Promenada. Blond włosy upięte w kok, na nich różowa bejsbolówka z daszkiem nasuniętym na oczy. Tak, to Amelia Stokrocka.

Odczekał chwilę, a potem wygramolił się z samochodu. Niespiesznie ruszył jej śladem. Była wysoka, nosiła się prosto, więc nawet gdy po przekroczeniu obrotowych drzwi oboje wmieszali się w tłum kłębiący się między drogerią a sklepem spożywczym, wciąż widział ją z daleka. Szła, nie zatrzymując się przy wystawach, prosto do celu. Czyli dokąd?

Dziewczyna minęła przeszkloną windę z wypukłym oknem i doszła do sztucznego stawu ciągnącego się wzdłuż głównej alejki. Obojętnie przeszła obok wejścia na schody prowadzące do górnych restauracji i kompleksu fitness.

Czy kierowała się do drugiego wejścia? Może zaparkowała tam

samochód i w ten sposób chce przechytrzyć ewentualny ogon?

Nie. Załedwie pięćdziesiąt metrów od drzwi zatrzymała się przy małej kafejce. Stoliki ustawione wokół fontanny, mały barek, jedna kelnerka. Usiadła. Konecki minął ją i wszedł na pobliskie schody, a potem na antresolę, z której mógł bezpiecznie obserwować jej stolik.

Bartek założył, że mogła zapamiętać wysokiego faceta w garniturze idącego jej śladem, więc włożył okulary OTP z wbudowaną minikamerą, zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Drobną zmianą wyglądu, ale zawsze.

Mógł sobie na to pozwolić, bo nie zabrał ze sobą sig sauera – legalnie kupionego kopyta, na które wykosztował się po zwolnieniu z policji. Zakładał, że Stokrocka umówi się z kimś w restauracji lub klubie, w którym jest selekcja. Nie chciał narobić rabanu, gdyby ochrona zauważyła szelki kabury pod marynarką.

Do jej stolika podszedł jakiś facet. Dżinsy o niemodnym kroju i skórzana kurtka tureckiego typu, nałożona na sweter ze wzorkiem. Czarne włosy gęsto przetykane siwizną. Bartek uruchomił nagrywanie w okularach i lekko zbiegł po schodach. Podszedł bezpośrednio do barku, poprosił o kawę, dyskretnie się obejrzał.

Na Don Juana, który uwiódł telewizyjną gwiazdę, gość raczej nie wygląda – pomyślał.

Siedzieli załedwie kilka metrów od niego. Stary pokazywał właśnie Stokrockiej zawartość tekturowej teczki wiązanej na tasiemki. Nie dało się usłyszeć, o czym mówili, nie widział dokładnie zawartości teczki, wydało mu się jednak, że są to wycinki gazet. Raczej starych, poźółkłych.

Zaszumiał ekspres, barmanka zdążyła dopiero nalać mu espresso, kiedy tamci już wstawali. Amelia Stokrocka wcisnęła dziadkowi jakiś banknot, chyba stówkę.

– Niech pan go znajdzie, bardzo proszę!

Ostatnie słowa dziewczyna powiedziała głośniej i Konecki nareszcie coś usłyszał. Tamten najpierw ostentacyjnie protestował, potem schował forszę do kieszeni.

– Spróbuję – obiecał.

Na pożegnanie cmoknął ją w dłoń. Ona skierowała się z powrotem w głąb galerii handlowej, on do drzwi na zewnątrz.

Za kim teraz?

Wahał się tylko parę sekund. Łyk kawy i ruszył za mężczyzną. Niższy od niego o pół metra człowieczek szedł zamasyżycie w stronę kładki wiodącej na drugą stronę dwupasmowej Ostrobramskiej. Bartek z powrotem włożył marynarkę, ale zostawił sobie okulary. Dziewięćdziesiąt minut nagrywania na jednej baterii, nie ma co oszczędzać. Na kładce trzymał się dość blisko za swoim obiektem, zastanawiając się równocześnie, jak to rozegrać. Musiał dowiedzieć się, kim jest ten facet, a równocześnie nie spłoszyć Stokrockiej, do której dziadek na pewno by zadzwonił, gdyby Konecki przycisnął go za mocno.

Siwowłosa szedł prosto na przystanek. Wychylił się poza krawężnik, patrząc na jezdnię biegnącą prosto aż do wiaduktu nad węzłem Marsa. Do przystanku zbliżał się autobus.

Zaraz wsiądzie. I co dalej? Telepać się za nim przez miasto i zostawić Stokrocką bez nadzoru?

W ostatniej chwili, kiedy pospieszne 520 już zwalniało, Bartek zaszedł tamtemu drogę. Człowieczek podniósł na niego zaskoczone, ale całkiem przenikliwe oczy. Miał gęste, krzaczaste brwi opadające nierówną firanką na powieki, szerokie usta i pobrużdżoną zmarszczkami cerę. Konecki uświadomił sobie, że jest starszy, niż wydawało się z daleka. Jakies sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat.

– Dzień dobry panu! – Wyciągnął rękę do nieznajomego.

Tamten niechętnie odwzajemnił uścisk. Lekki, spotniały,

niezdecydowany.

– Nie poznaje mnie pan? Nazywam się Arkady Wodecki.

Oczy tamtego zmierzyły go badawczo, twarz jednak nawet nie drgnęła.

– Przyznam, że pana nie poznaję – wycedził.

– No tak – zmartwił się nieszczerze Bartek. – To już parę ładnych lat.

Uczynił gest, jakby miał się wycofać. Smętnie zwiesił głowę.

– Przepraszam – zreflektował się facet. – Naprawdę nie pamiętam.

Tyle spraw, tyle osób...

Bezradnie rozłożył ręce, a Konecki pospiesznie analizował każde jego słowo. „Tyle spraw”? Czyżby emerytowany policjant? Albo prokurator? Nie wyglądał na gliniarza.

W tym momencie na przystanku zatrzymał się autobus.

– Muszę lecieć, to mój – usprawiedliwił się tamten. – Proszę kiedyś zadzwonić, pogadamy – rzucił, robiąc krok do wejścia.

Ostatecznie się jednak zawahał i zapytał jeszcze:

– Pisałem kiedyś o panu?

Bartek, nawet gdyby chciał, nie zdążyłby odpowiedzieć. Drzwi zamknęły się z sykiem. Bingo. „Pisałem kiedyś o panu?”. A więc dziennikarz.

Lubił mieszkanie Jolki przy ulicy Świętojerskiej, a mimo to – choć mieszkał tu już pół roku – wciąż jeszcze nie umiał pomyśleć o nim: „Mój dom”. Leżały tam jego rzeczy, sypiał tam codziennie, dorzucał się do czynszu, wciąż jednak czuł się jak gość.

Ostatnie, czwarte piętro, dwa obszerne pokoje, wąska, ale widna kuchnia. Okna salonu i balkon wychodziły na Świętojerską, sto metrów od ulicy Freta, czyli oblepionego turystyczną melasą Starego Miasta. Z kuchni i sypialni widać było z kolei porośnięty olchami skwerek, z ławkami

zajętymi przez emerytów. Cisza, spokój, dyskretny urok luksusu. Zanim się do niej sprowadził, mieszkał w małej klitce w dziesięciopiętrowcu przy Gibalskiego. Okna tamtego mieszkania wychodziły na parking, na którym dzieciaki kopały piłkę, przy drzwiach do klatki pijaczkowie konkurowali z zakapturzoną młodzieżą o najlepsze miejsca na gazonach dawno zdeptanych kwiatów. Tam jednak czuł rozedrgany nerw miasta. Tu miał wrażenie, że trafił do scenografii rodem z sitcomu. Nie wyobrażał sobie jednak, żeby Jolka zgodziła się zamieszkać z nim na Gibalaku. Zresztą mieszkali już tam lokatorzy, a pieniądze z wynajmu zasilały bieżący budżet Joli i Bartka.

– O, zjawił się mój Philip Marlowe! – Jolka siedziała w szlafroku przed telewizorem.

Zabawne, ale na ekranie też ją widział. W regulaminowo zapiętym czarnym mundurze z napisem „Policja” na kołnierzyku, z intensywnym spojrzeniem zielonych oczu i gładko zaczesanym kokiem mówiła o zamordowaniu młodej kobiety, której personalia oraz profesję już ustalono. Marta S., osoba nieletnia trudniąca się prostytutką.

Bezwiednie porównał obie wersje komisarz Jolanty Bończak. Tę służbową, prostą jak struna, z biustem wypiętym dumnie ku oku kamery, i domową, w lekko zmechaconym szlafroku, ze związanymi kokonem ręcznika świeżo umyтыми włosami i w grubych okularach, które zastąpiły rozjaśniające barwę oczu szkła kontaktowe. Ta druga bardziej go kręciła.

– Gdzie byłeś? – Jolka podniosła się z fotela.

Kiedy wstawała, poła szlafroka odchyliła się, pokazując drobną, zadziornie sterczącą pierś. Bartkowi zrobiło się gorąco.

– Mam zlecenie! – Szybko zdjął marynarkę i zaczął rozpinać koszulę.

– Niewierny mąż? Podejrzana niania? Barman podkradający drobniaki ze słoika na napiwki? – Przesunęła palcem po jego porośniętym blond loczkami torsie.

Rzucił jej szybkie, badawcze spojrzenie. Czy z niego kpiła? Zaraz jednak parsknął tylko odrobinę wymuszonym śmiechem.

– Śledzę taką jedną...

– Ładna? – Kolejne pytanie nadeszło, zanim jeszcze przebrzmiała jego odpowiedź.

Piękna i bestia – pomyślał.

Czy to możliwe, że była o niego zazdrosna?

– Jakie nagranie? – zapytał, uświadamiając sobie, że Jolka coś powiedziała.

– Pytałam, czy masz ją na filmie – odparła, wskazując na okulary OTP wystające z wewnętrznej kieszeni marynarki, którą dopiero co powiesił na oparciu krzesła.

– Nie mogę ci pokazywać materiałów dotyczących klienta. – Bartek postanowił się z nią poprzekomarzać.

– W takim razie sam odgrzewaj sobie kolację! – Jolka podjęła grę, teatralnie wzruszając ramionami i odwracając się do telewizora.

Na ekranie nie było już jej twarzy. Zastąpiły ją „operacyjne zdjęcia policji”. Leżące w krzakach, chyba na leśnym igliwiu, zwłoki nagiej kobiety z odciętymi dłońmi. Twarz i miejsca intymne oczywiście zamazano, ale widok i tak raził bezceremonialną brutalnością. „Wyjątkowe okrucieństwo”, „diabelska perfidia”, „zbrodnia bez precedensu” – spiker nie szczędził mocnych słów komentarza. Cóż, było po jedenastej w nocy, stacja mogła pokazać więcej, żeby zadowolić co bardziej wymagających odbiorców...

Konecki się wzdrygnął. Nigdy nie lubił widoku trupów. Nawet kiedy oglądał je regularnie w Wydziale Terroru Kryminalnego. Czym prędzej przeniósł spojrzenie na Jolkę i dostrzegł, że kołnierz szlafroka zsunął jej się z ramienia, odsłaniając opaloną skórę.

Samoopalacz czy chodzi do solarium?

Ogarnęła go fala pożądania. Podszedł, nachylił się, musnął jej ciało ustami. Skóra Jolki nie pachniała samoopalaczem. Delikatnie wsunął dłoń przez połą szlafroka, dotykając jej drobnych piersi.

– Przestań, łaskoczesz mnie! – Lekko go odepchnęła.

– Dobra, pokażę ci to nagranie.

– Nie musisz. Żartowałam.

Stała odwrócona do ekranu, na którym brutalne obrazy zbrodni zdążył już zastąpić głupiutki uśmiech prezenterki zapowiadającej prognozę pogody. A potem przyciągnęła go do siebie.

– Bo wiesz... – powiedział pół godziny później, kiedy leżeli nadzy na dywanie, przykryci jedynie kapą z sofy. – Pomyślałem, że mogłabyś mi pomóc rozpoznać na tym moim dzisiejszym filmie takiego jednego facia.

Zerknęła na niego z uśmiechem.

– Ciągłe stare gliniarskie nawyki, co? – Klepnęła go w ramię. – Nawet w czasie radosnego bzykanka myślisz o robocie?

Poczuł się głupio.

– Przyszło mi to na myśl dopiero teraz!

– Mnie też obowiązuje tajemnica służbowa! – Tym razem to ona się przekomarzała.

Oparła głowę na zgiętej w łokciu ręce. Narzuta zsunęła się z jej ramion i piersi.

– To nie jest związane z twoją pracą w policji – zaczerwienił się. – Chodzi o zidentyfikowanie... – poczuł, że znów ogarnia go podniecenie – pewnego dziennikarza. A ty masz przecież znajomości w świecie mediów.

– Próbujesz skłonić funkcjonariuszkę policji do popełnienia wykroczenia.

– Ale przynajmniej nie jesteś na służbie. Zawsze to jakaś okoliczność

łagodząca.

– Skąd wiesz? Może jestem agentką pod przykryciem?

– W takim razie musisz bardziej zaangażować się w swoją rolę... – Spróbował przyciągnąć ją do siebie, ale zwinnie mu się wymknęła.

– Dam się skorumpować, jeśli obiecasz mi jeszcze jeden numerek.

– Z największą ochotą!

– W takim razie pokaż, co tam nagrałeś.

Jolka wstała. Narzuta spłynęła po jej ciele, a on zapatrzył się w jej zgrabny tyłeczek.

– Chcesz zaliczkę już teraz?

Podeszła do odwieszanej marynarki, wyjęła okulary OTP i sprawnie połączyła ich pamięć z telewizorem.

– Wolę zainkasować całość później – odpowiedziała, włączając odtwarzanie.

Na ekranie pojawiła się scena z Promenady.

– Amelia Stokrocka. – Natychmiast rozpoznała dziewczynę. – To ją masz śledzić?

Bartkowi wydało się, że w jej głosie słyszy nutę podziwu. Czyżby jej zaimponował?

– Co o niej wiesz? – spytał.

Bardzo kobiece wzruszenie ramion, mające dać mu do zrozumienia, że temat nie jest godzien specjalnego pogłębienia.

– Podopieczna pewnego producenta filmowego. Ma w środowisku opinię puszczalskiej, ale takiej, która się umie ustawić. Mówi się o niej, że może zajść wysoko.

Puszczalska – odbiło mu się echem po głowie.

– Tak naprawdę to chciałem cię spytać o tego faceta – przewinął film, zatrzymując klatkę na scenie z przystanku autobusowego.

– Nie kojarzę.

– To dziennikarz, ale chyba z jakiejś gazety – uściślił Konecki, przypominając sobie pożółkłe wycinki z teczki przekazanej Stokrockiej. Co było w tych zetłających skrawkach papieru, że dała mu za nie sto złotych?

– Pismaków gorzej kojarzę. Mam do czynienia raczej z telewizorami.

Pismacy. Telewizory – zaśmiał się w duchu. – Już przyswoiła ten medialny slang.

– A mogłabyś trochę popytać? Tak przy okazji. Może któryś z dziennikarzy go sobie przypomni?

Skinęła głową.

Puszczając kadr ze swojego filmu na drukarkę, poczuł, jak Jolka zarzuca mu od tyłu ręce na szyję. Powoli się do niej odwrócił.

– Pani komisarz, to bezprawne użycie środków przymusu bezpośredniego!

– Bądź cicho i rób, co ci każe, bo inaczej przykuję cię do kaloryfera! – wydyszała mu prosto do ucha.

Kalisz. Koniec lipca 1992

Tracił nadzieję. W letnim upale snuł się uliczkami: Dworcową, Wrocławską i jakimiś tam jeszcze wokół dworca kolejowego w Kaliszu, zaczepiając bezdomnych, taksiarzy, bileterki w kasach i konduktorów. Przepytał chłopaków z najbliższego komisariatu, a także nielicznych śledczych, którzy chcieli z nim gadać w miejskiej komendzie. Nic. Zero. Próżnia.

Pod wznoszącą się nad nim z godnością kolumnadą dworca urywał się ślad. A przecież aspirant Norbert Pałucha zasłużył na to, żeby coś uchwycić.

Po pierwsze, pogonił techników, żeby szybko ustalili typ opon, których ślady pozostały na chodniku i trawie obok miejsca porzucenia zwłok. Niemieckie, prawie na pewno należące do „beczki”, czyli osobowego mercedesa W123. W ramach bonusu trafiło mu się też otarcie lakieru na pniu parkowego drzewka, o które morderca przytarł błotnik swojego auta. Kolor butelkowozielony.

Po drugie, z niemałym trudem ustalił personalia zamordowanej. Krystyna Talko, lat piętnaście. Wyłuskał ją z dziesiątków zgłoszeń zaginięć nastolatków, które – normalnie, jak to w wakacje – zalewały komendy, komisariaty i posterunki policji jak kraj długi i szeroki. Łatwo nie było. Nie istniała przecież ogólnopolska baza danych na temat zaginięć. Dzwonił więc i faksował po wszystkich komendach rejonowych policji, zataczając coraz szersze kręgi wokół Warszawy. Po tygodniu takiej roboty, w której nie pomagał mu nikt (bo Chałka, któremu ktoś musiał szepnąć, że Pałucha napisał na niego notatkę z donosem, nie przydzielił

mu nawet posterunkowego), wreszcie znalazł pasujące zgłoszenie. W Zduńskiej Woli. Zaginięcie córki zgłosili rodzice.

Wezwał ich więc do Warszawy w celu rozpoznania zwłok. Przyjechali we czworo, z wystraszonym kilkuletnim brzdącem – ich młodszą córką – oraz jakimś bladym i roztrzęsionym chłopakiem o imieniu Daniel, którego przedstawili jako „przyjaciela Krysi”. Przyjaciel? Pałucha od razu wziął go w obroty. Okazało się, że Krystyna Talko i ów Daniel byli parą od roku. Chodzili za rączki i do kina, a nawet dawali sobie buzi-buzi. Zwykła, nudna jak flaki z olejem szczenięca miłość. Nastolatek co chwila popłakiwał i walił czołem w sfatygowany blat jego służbowego biurka. Śmierć Krysi kompletnie go rozwaliła. Pałucha niechętnie wykluczył go wstępnie z grona podejrzanych. Ten nadwrażliwy dzieciak naprawdę był załamany. Może nawet bardziej niż rodzice denatki – prości, bogobojni ludzie. W sumie to jednak on w końcu pchnął śledztwo na nowe tory. Pomiedzy jednym a drugim chlipnięciem chłopak wystękał, że Krysia – wbrew jego stanowczym protestom – związała z domu i pojechała na Festiwal Muzyki Rockowej do Jarocina. Wyznał też, że sam nie znosi ani rockowej, punkowej czy bluesowej muzyki, ani tłumów spoconych imprezowiczów tańczących pogo. Woli Nirvanę, Republikę i Cohena. Ale w ostateczności zdecydował się z nią pojechać. Kryśka jednak wyśmiała ten pomysł. Urażony, pozostał w domu.

A więc Jarocin. Pałucha wybłagał u naczelnika Chałki służbowy samochód i deputat na paliwo, a potem wydzwonił jednostki w Sieradzu, Kaliszu i Jarocinie. Aspirant z Warszawy dobijający się do szefa komendy miasta. Śmieszne. Spuszczali go coraz niżej, aż w końcu udało mu się porozmawiać z zastępcami szefów prewencji, którzy obiecali mu „daleko idącą pomoc na miarę skromnych możliwości kadrowych”. Czyli nic. Sam musiał oblecieć dworce autobusowe i kolejowe ze zdjęciem ze szkolnej legitymacji Krystyny Talko. Straszna robota. Być może nawet by ją sobie odpuścił, gdyby nie wizja awansu i wyrwania się z dzielnicowego

grajdołka. No i proszę! Wczoraj jego trud został w końcu nagrodzony. Jedna z kasjerek rozpoznała dziewczuchę. Krystyna Talko pięć dni temu kupiła w Sieradzu bilet do Kalisza.

Otarł pot zbierający mu się pod kołnierzykiem koszuli. Z krawata zrezygnował jeszcze rano, marynarkę przewiesił przez ramię pół godziny temu. Upał narastał. Co za lato! Strach pomyśleć, co będzie, jeśli ta susza i tropik potrwać dłużej.

Wstąpił do warzywniaka przy Dworcowej i spytał o oranżadę. Oranżady nie mieli, ale sprzedawczyni poleciła mu nowość – niemiecki napój gazowany w plastikowej butelce. Wypił duszkiem, słuchając trzeszczącego na stoisku radia, w którym spiker informował o powołaniu rządu Hanny Suchockiej.

Jeszcze trochę, a do policji też zaczną przyjmować baby – pomyślał, czując, jak po gardle i języku rozlewa mu się nieprzyjemny, chemiczny smak.

– Pan przyjezdny? – zagaiła sprzedawczyni.

Przytaknął, rozkoszując się strumieniem powietrza z ustawionego na wiśniach wiatraczka. Nie chciało mu się wychodzić na ten upał. Po co? I tak nikt nie kojarzył tutaj tej Krystyny. Nie kupowała biletu ani w kolejowej, ani w autobusowej kasie. Nikt nie przypominał sobie, żeby kręciła się po peronie czy pod dworcem.

Zmęczonym ruchem podsunął sprzedawczyni pod oczy zdjęcie nastolatki.

– Jestem z policji – wychrypiał. – Może ją pani widziała tutaj w ciągu ostatnich ośmiu, dziewięciu dni?

Ekspedientka z nabożną niemal czcią pochyliła się nad fotografią.

– Jaka młoda... – westchnęła. – I ładna. Nie żyje, prawda?

– Skąd pani wie?

– Inaczej policja nie szukałaby jej w taki upał.

Dziwne rozumowanie, ale trafne.

– Niestety, nie widziałam jej. A pytał pan w kasach?

Nawet nie chciało mu się odpowiadać. Wyszedł na rozpalony słonecznym żarem placyk przed dworcem, zastanawiając się, co dalej. Pod kolumnami przy wejściu, w cieniu, chronili się bezdomni. Szybko otaksował ich wzrokiem. Z tym starym, obdarzonym patriarchalną brodą, już rozmawiał. O ile można nazwać rozmową wymianę monosylab. Z tym drugim, wytatuowanym, też. Aha, pojawił się jeszcze jakiś chłopak. Obdartus w dżinsowej kurtce z namalowaną na plecach pacyfą i klapniętym irokezem na włosach. Aspirant Pałucha podszedł do niego ciężkim krokiem.

– Kojarzysz tę dziewczynę?

Chłopak, na oko najwyżej dwudziestoletni, obdarzył go niechętnym spojrzeniem.

– Fajna dupa. Masz jej telefon?

Był od Norberta dobre dziesięć centymetrów wyższy, więc aspirant musiał się wspiąć na palce, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Pozostali menele zachichotali.

– Jestem z policji, błźnie – wycedził, machając mu legitymacją przed nosem. – Dokumenty!

Chłopak posłusznie wyciągnął z kieszeni pomiętą zieloną książeczkę. A więc dobrze go ocenił. Młokos był już pełnoletni.

– Ceglarczyk Janusz – przeczytał Pałucha w jego dowodzie osobistym.

– Zamieszkały w Warszawie. Co cię sprowadza do Kalisza?

– A co? Chyba wolno podróżować po kraju? Komuna upadła, co nie? Wolność mamy.

Nie chciał znowu strugać przed nim kogucika. Było na to za duszno.

– Odpowiadaj na pytania albo cię wrzucę na dołek – odparł bez przekonania, bo wiedział przecież, że koledzy z kaliskiej komendy się

uśmieją, jeśli warszawiak przyprowadzi im zatrzymanego.

– Wracam z Jarocina! – Chłopak nieco spuścił z tonu. – A tej laluni ze zdjęcia nie kojarzę. Przysięgam.

– Pokaż bilet.

– Nie mam forsy na pociąg! Wszystko wydałem na browca i skręty! – Usiłował się zaśmiać, ale słabo mu wyszło.

– Co w takim razie robisz pod dworcem?

– Proszę przechodniów o parę groszy.

Zapadło krótkie milczenie. Kolejne niepowodzenie. Następny niedoszły świadek. Chyba już czas się zwijać do Warszawy.

– Ale ludzie nic nie dają! – Młokos najwyraźniej zmienił front i teraz postanowił zagadać gliniarza. – Będę musiał dalej jechać do domciu autostopem.

Autostop – w ugotowanym umyśle Norberta Pałucha poruszyła się jakaś zapadka. – Autostop, no jasne!

Na ulicy Jasnej Pałucha wysiadł spocony jak mysz z rozpalonej kabiny poloneza. Na szczęście od rzeki Proсны i rozciągającego się na jej drugim brzegu parku tchnęło nieco chłodniejszym powiewem. Siłąc się na zdecydowany krok, wszedł do komendy, machnął policyjną blachą czerwonemu jak piwonia oficerowi dyżurnemu i ruszył do gabinetu komendanta. Udało się. Z protestującą piskliwie sekretarką na plecach otworzył drzwi. Uderzył go kwaśny odór dymu z papierosów i ulotna woń koniaku.

– Kim pan jest? – spytał ostro zwalisty wąsacz w niebieskim mundurze, siedzący za biurkiem.

– Aspirant Pałucha Norbert, sekcja zabójstw Wydziału Kryminalnego Komendy Rejonowej Warszawa-Śródmieście! – wyrecytował w postawie

zasadniczej.

– A... tak. Słyszałem o was. – Komendant machnął ręką. – Co potrzeba?

Sekretarka wreszcie dała za wygraną.

W krótkich, żołnierskich słowach i postawie na baczność Norbert wypowiedział swoją prośbę. Szef kaliskich policjantów nie był zadowolony.

– Kupa papierkowej roboty, a efekt niepewny – sapnął. – Jeśli dobrze zrozumiałem, opieramy się tylko na pańskich luźnych przypuszczeniach?

Norbert stał dalej przed jego biurkiem wyprężony jak struna.

– No dobrze – powiedział w końcu zrezygnowany komendant. – Ale nie wcześniej niż za tydzień. Czy może raczej za dwa – dodał pospiesznie.

– Sami wiecie, sezon urlopowy.

Warszawa. Listopad. Sobota

Pierwszy raz w życiu był na planie filmu. Roboczy tytuł: *Śmiertelna rozkosz*. Jakaś sensacja czy coś. Nieważne. Wprowadził go Zbyszek, znajomy z odległych czasów, kiedy Konecki trenował jeszcze boks w klubie Legii. To były lata dziewięćdziesiąte i Bartek nie wiedział wówczas, że zostanie gliną. A tym bardziej, że go z tej gliniarni wyrzucą.

– Teraz uważaj! – W nostalgiczne wspomnienia wdarł się głos starego druha.

Zbyszek, niewysoki, drobny, ale sprężysty jak resor facet z połamanym nosem – jak to się w bokserskim światku o takich mówiło: waga lekko półśmieszna – wskazał mu strzelistą roгатkę mostu Poniatowskiego, pod którą kręciła się ekipa filmowa.

– Zaraz będzie skakał.

Bartek podążył wzrokiem za jego sękatą ręką i spojrział na faceta stojącego przy balustradzie.

– Ciekawe, czy Jędrzek dziś znów będzie miał pecha. – Zbyszek zanurzył się w rozważaniach.

Konecki zadzwonił do niego wczoraj wieczorem, właściwie w nocy, kiedy w klubie Enklawa podsłuchał, jak Stokrocka spławia jakiegoś napalonego gościa, mówiąc, że jutro od rana ma zdjęcia. Zbyszek, kaskader i weteran takich produkcji jak *Bitwa Warszawska* czy hinduski *Shaandaar* kręcony częściowo w Polsce, od razu skojarzył, co i jak. I choć sam w tej akurat produkcji nie brał udziału, przy drugiej flaszcze obiecał wprowadzić Bartka na plan.

– Pecha? Jakiego pecha? – Konecki machinalnie odpowiedział

pytaniem.

Akurat zauważył Stokrocką. Wyszła z Warszawy, czyli wozu z kateringiem, popijając kawę z papierowego kubeczka. Nie miała makijażu, włosy związała w zwyczajny kucyk, dresowe spodnie sprytnie skrywały jej kobiece kształty.

– No, pecha – nawijał Zbigniew. – Bo widzisz, Jędrzek to specjalista od skoków z dużych wysokości. Ja, na ten przykład, głównie spadam ze schodów albo przelatuję przez szyby. Prosta robota, jak coś nie wyjdzie, łatwo powtórzyć. Ale on to co innego. Niełatwo zrobić *replay* ze skoku z szesnastu metrów, no nie?

Bartek pokiwał głową. Do Amelii Stokrockiej podeszły jakieś dwie rozchichotane aktoreczki, objęły ją kolejno i cmoknęły w policzek. Zamieniły kilka słów, jeszcze jeden uścisk i poszły do Warszawy. Już były w drzwiach, kiedy jedna z nich odwróciła się i z paskudnym wyrazem ślicznej buzi pokazała faka plecami Stokrockiej.

– Grałem z Jędrkiem w *Shaandaarze* – niezmordowanie paplał Zbyszek. – Ja, jak zwykle, dostawałem na szczycie schodów w mordę, on spadał. Z ponad dwudziestu metrów, kumaszą? To jak siódme piętro!

Konecki poczuł się w obowiązku wydać krótkie, wyrażające podziw gwizdnięcie. Do Amelii podeszedł jakiś facet, chyba reżyser, i bez ceregieli zaczął ją opieprzać. Trwało to z pół minuty, po czym dziewczyna w milczeniu wylała mu na buty kawę, odwróciła się i poszła do samochodu będącego garderobą.

– Przy takim skoku lecisz na strażacki skokochron, czyli taki, wiesz, nadmuchiwany materac, na którym dla bezpieczeństwa stoją jeszcze kartony. – Zbyszek nigdy się nie męczył. – No i Jędrzek zrobił swoje. Poleciał, obrócił się w powietrzu, walnął plerami w kartony. Nadążasz?

Bartek pokiwał głową, nie spuszczać z oczu drzwi do garderobianego kampera.

– Tyle że jak walnął i wpadł w te tekturowe pudła, tak zniknął. Nie ma chłopa. Nie wychodzi.

Zbyszek zawiesił głos, wyraźnie spodziewając się ze strony Bartka jakiegoś uszczegóławiającego pytania. Nie doczekał się, więc ciągnął dalej:

– W końcu jakiś ruch, jęki, stękanie. Z tektury wygrzebuje się Jędrak. Na czworaka podpełza do manometru przy skokochronie, chwilę wpatruje się we wskaźnik, a potem z rykiem rzuca się bić technicznego! A facet umie się bić. To były zawodnik taekwondo i w ogóle *freak* na punkcie wschodnich sztuk walki. Żebyś widział, jaki miecz samurajski trzyma u siebie w domu!

Kumpel z bokerskiej sali zaszczeakał donośnym śmiechem, którego Konecki nie podchwycił.

– Bo widzisz – dodał Zbyszek, krztusząc się z radości – na manometrze zamiast przepisowego ciśnienia pół bara było... aż półtora. Techniczny za bardzo napompował i skokochron był twardy jak deska!

Tym razem Bartek zmusił się do śmiechu. Nijak wprawdzie nie mógł zrozumieć, co jest zabawnego w tym, że ktoś przeleciał siedem pięter i uderzył w zbyt twardy materac, ale wolał nie prosić o wyjaśnienia. Chciał mieć tę opowieść za sobą.

Nadal wpatrywał się w drzwi garderoby.

Co ja tutaj robię? – pomyślał.

Ziąb jak cholera, dodatkowo jeszcze ciągnęło wilgocią od Wisły. Przesiąknięta mżawką plaża, a na niej kilka półciężarówek. Trudno sobie wyobrazić, żeby w takich warunkach mógł przyłapać tę gwiazdkę na jakimś romansie.

Nie mógł się jednak powstrzymać. Coś w tej kobiecie go przyciągało. Owszem, była atrakcyjna. Wysoka, dość szczupła, obdarzona niskim, lekko zachrypniętym głosem i hardym spojrzeniem kocich oczu. Ale nie to

go kręciło. Przynajmniej taką miał nadzieję. Wyczuwał wokół niej aurę. Taki szczególny rodzaj fatalizmu, który towarzyszy kobietom przyciągającym kłopoty. Nie zamierzał się w nie pakować, ale ciekawiło go, jakie jest ich źródło. Były gliniarz o powierzchowności bandyty, zramolały dziennikarz wręczający wycinki gazety i obiecujący kogoś dla niej odszukać, tajemniczy kochaś roztaczający nad nią swe opiekuńcze skrzydła... No i on, prywatny detektyw. W jej orbicie krążyli krańcowo różni mężczyźni. Co ich łączyło?

Podsłuchał, kiedy przez skrzeczący głośnik dobiegło go: „Cisza na planie”.

Rozejrzył się zdezorientowany. Kaskader stał już na balustradzie mostu, za nim z pistoletem w dłoniach czaił się rozkraczony policjant. Obok facet z kamerą. Druga kamera, ustawiona na kilkumetrowym torze, stała w dole, na plaży. Siedzący na krzeselku operator celował nią w Jędrka. Na falach Wisły kołysała się motorówka z ratownikiem w nurkowym skafandrze. Ale to nie wszystko. Za dolnym kamerzystą stali układacz kabli, elektryk i oświetleniowiec. Do tego reżyser, jego asystent, jeszcze paru technicznych, zastępczyni garderobianej, cateringowiec, ochroniarz, kilkoro aktorów, jacyś ludzie z krótkofalówkami. Dalej parkował radiowóz, karetka pogotowia i agregat prądotwórczy. Inaczej mówiąc – tłumek ludzi, masa sprzętu, plaża rozjeżdżona samochodami. Ale to dobrze. W takim rozgardiaszu łatwo się zgubić, a Konecki czuł, że wciąż nie powinien pozwolić Stokrockiej, by go zauważyła.

– Dziesięć tysięcy – wyszeptał z nabożnym szacunkiem Zbyszek.

Bartek zerknął na niego, nie rozumiejąc.

– Tyle Jędrak dostanie za ten skok.

Dziesięć tysięcy – powtórzył w myśli.

On też miał tyle dostać. I nic nie ryzykował.

Sylwetka na balustradzie runęła z impetem. Przez chwilę zdawała się

unosić w powietrzu – most był naprawdę wysoki – ale zaraz zamachała rozpaczliwie nogami i rąbnęła w wodę. Donośny plusk słyhać było nawet tam, gdzie stali ze Zbychem.

Sekundę później z zimnych odmętów rzeki wyłoniła się głowa Jędrka, nurek na motorówce pozdrowił go ręką, z brzegu dobiegły rzadkie brawa. Zaraz jednak ucichły.

– Co ty mówisz? Że jak? Chyba żartujesz? – darł się reżyser stojący nad operatorem dolnej kamery.

Na plaży zapanowało nieznośne napięcie. Ktoś szeptał nerwowo do krótkofalówki, ktoś inny trzymał się za głowę, reżyser donośnie kłął. Jędrak, zmarznięty i obojętny na te przejawy ludzkiej słabości, z godnością ruszył do Warszawy. Lekko utykał na prawą nogę.

– Zaczekaj, Jędrus! – Reżyser zastąpił mu drogę.

Kaskader popatrzył na niego w milczeniu.

– Bo widzisz... – Najważniejszy człowiek na planie jakoś nie miał odwagi ubrać myśli w słowa. – Ten idiota... – Wskazał na operatora. – Nie zdążył nakręcić twojego skoku.

Zgromadzeni pod mostem ludzie zamarli w trwoźnym wyczekiwaniu. Nawet garderobiana wystawiła głowę zza drzwi samochodu. Amelii Skrockiej jednak nadal nie było widać.

– Będziesz musiał... Przepraszam, stary. Ale będziesz musiał ten skok powtórzyć.

Przejmujący do kości, listopadowy wietrzyk poruszył zmoczonymi włosami Jędrka. Nisko stojące słońce przesłoniła chmura, zatapiając plażę w ołowianej szarości.

– Mówiłem, że on ma pecha – wyszeptał Zbynio.

Jędrak jednak nie wydawał się poruszony tą hiobową wieścią. Szybkim ruchem potarł nos kciukiem, a potem poruszył głową w lewo i prawo. Donośnie chrupnęło mu w karku.

– Wiesz co? – zaproponował z uśmiechem. – To może teraz niech operator skoczy, a ja będę filmował.

I pokuśtykał dalej w kierunku przyjaźnie otwartych drzwi Warsu.

Siedział na wysokim stołku przy balustradzie antresoli klubu Enklawa, popijając ciepłą herbatę. Wciąż jeszcze nie mógł się rozgrzać po całym dniu spędzonym nad Wisłą, a potem pod blokiem Stokrockiej. Jakieś dziewczyny stojące obok pokazywały go sobie palcem, chichocząc, fioletowe światła błyskające na kwadratowych kolumnach wokół parkietu były po oczach feerią barw. Gdzieś tam, w dole, szalała Amelia. Wyszła z domu godzinę temu ubrana w kurteczkę, lśniące mini i buty na niebotycznym obcasie. Wsiadła do taksówki i zajechała znów na Mazowiecką. Wczoraj, dzisiaj – Enklawa. Wyglądało na to, że to jej ulubiony klub.

Nie czuł się tutaj dobrze. Rozświetlone i oblegane przez balangowiczów barki przyzywały go do siebie. Rozgrzany feromonami tłum mężczyzn. Kiedyś pił i palił za dużo. I włączył się po podobnych do tej knajpach. Byłoby nadużyciem powiedzieć, że właśnie taki tryb życia doprowadził do rodzinnej tragedii i rozpadu jego małżeństwa, teraz jednak, kiedy nareszcie podniósł się z załamania nerwowego, nie chciał do tego wracać. Sam już nie wiedział, czy abstynencja alkoholowo-nikotynowa (na spotkanie ze Zbyszkiem udzielił sobie dyspensy) była głosem rozsądku czy raczej karą, jaką sobie zadawał z powodu tłumionych wyrzutów sumienia.

Ciekawe, co robi Jolka? – oderwał myśli od uwierających jak szkło w bucie wspomnień i skierował je na bieżące sprawy. Pod wpływem tkliwości, która ogarnęła go na myśl o jej zielonych oczach, sięgnął po telefon i napisał esemesa.

„Tęsknię za tobą. Co porabiasz?”.

Jolka. Ich związek zrodził się z wrogości, która wynikała

z wzajemnego niezrozumienia. Na początku roku razem pracowali nad sprawą serii morderstw, które wydawały się dziełem okrutnego szaleńca, a okazały... Z trudem wyrzucił z głowy wspomnienie pożółkłego notesu, który spoczywał teraz w skrytce pod podłogą jego mieszkania na Gibalskiego. Nie, nie o tym chciał teraz myśleć. Jedyna wówczas kobieta w elitarnym Wydziale Terroru Kryminalnego musiała zostać ranna, prawie zginąć, aby Konecki ze zdziwieniem odkrył, że jest mu bliska. A potem trzeba było zwolnienia z policji, żeby odważył się jej do tego przyznać. Nigdy nie był dobry w wyrażaniu uczuć...

To, co ich łączyło – nawet seks – było spokojne, niespieszne, ciepłe. Właśnie – ciepłe. Nie gorące. Ale co w tym złego? Rozbierał ją powoli, całował delikatnie, cofał się od razu, gdy tylko wyczuł, że nie jest jeszcze gotowa na następny krok. I przed, i po, a także w trakcie – żartowali, uśmiechali się do siebie, trzymali za ręce.

Trochę jak brat i siostra – przyszło mu do głowy.

Telefon zawibrował.

„Jestem na służbowej kolacji, nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię”.

Rozczarowanie? Ukłucie zazdrości? Nie był pewien swoich uczuć. Przemknęło mu przez głowę, żeby urwać się z obserwacji, a w drodze do domu nadłożyć drogi i wstąpić do biura po wciąż spoczywający w szufladzie alprax. Tak, trzeba rozgonić te nabrzmiewające w nim pokłady niepokoju, zanim wylęgną się z nich larwy demonów. Za dużo śmierci widział w czasie ostatniego roku. Zbyt wielu stracił bliskich.

A Stokrocka? Miał tylko dziennikarza. Ich spotkanie wyglądało na ukradkowe, ale nie była to randka kochanków. Chyba nie o to chodziło zleceniodawcy... Cóż, na początek lepsze to niż nic. Ustali nazwisko tego pismaka i złoży wstępny raport. Dla świętego spokoju nakręcił jeszcze pięknej Amelii filmik w tym mini i obcisłym topie w panterkę. Wiła się skąpo ubrana na parkiecie, jak kobra zahipnotyzowana przez zaklinacza węży. Faceci pożerali ją wzrokiem. Zdradza czy nie – jej facet i tak ma się

czym martwić.

Na chwilę zgubił ją w tłumie. Szybko przeczesał wzrokiem kłębowisko ciał poniżej i w końcu dostrzegł ją przeciskającą się do wyjścia. Obejmował ją jakiś troglodyta w dobrze skrojonym garniturze i z pieczołowicie wypielegnowanym śladem zarostu na wydatnej szczęce. Oho! Zlecenie chyba dobiega właśnie końca. Z jednej strony czuł się jak nałogowy gracz w Lotto, obserwujący w telewizorze, jak wypadają kolejne liczby z jego kuponu. Z drugiej... jakby sam został zdradzony. Otrząsnął się z tego i ruszył tropem Amelii. Ona i ten facet stanęli w kolejce do szatni, obejmując się, jakby walczyli z mroźnym podmuchem, a on wyszedł na dwór i zasiadł w swoim golfie, uruchamiając silnik.

Puszczalska – pomyślał, przygotowując aparat fotograficzny.

Pół godziny później wyszli. Od razu strzelił im kilka fotek. Objęci, ale nic ponadto. Za mało na końcowy raport. Weszli do taksówki, pojechali. Dał im pół minuty i też ruszył. Musiał być ostrożny, taksiarze są niezli w dostrzeganiu ogona.

Zajechali aż na Ursynów, pod niewysoki ciąg betonowych bloków przy ulicy Rosoła. Wysiedli, facet zapłacił za kurs. Konecki zatrzymał wóz trochę zbyt blisko, ale wtopił się w rząd zaparkowanych samochodów.

Przez chwilę Stokrocka zdawała się wahać, troglodyta chyba ją przekonywał. Wreszcie objął ją jeszcze mocniej, położył łapsko na jej pośladku i popchnął w kierunku wejścia do bloku. Dziewczyna jeszcze przez chwilę stawiała opór, obejrzała się (czy to możliwe, że popatrzyła na samochód Bartka?) i coś powiedziała podniesionym głosem.

Konecki zdziwił się, kiedy odkrył, że ma już uchylone drzwi i jedną nogę wystawioną na zewnątrz. Przed oczami znów migotała mu lśniąca biel, ciało było sprężone do skoku. Wtedy jednak Amelia wybuchła nagle głośnym śmiechem, odchylając w tył głowę i pozwalając opaść na plecy tlenionym włosom. Następnie odwzajemniła uścisk, a nawet klepnęła tamtego w tyłek. Już bez najmniejszego wahania ruszyła z nim w stronę

bloku.

Bartek siedział w samochodzie, powoli uspokajając oddech. Rozjarzona biel blakła, na ulicę znów wpełzały cienie. Cały czas obserwował jednak tamtych. Trzecia klatka, domofon. Facet wbił PIN, zabręczało, weszli. Cóż, trzeba będzie jutro sprawdzić wszystkich mieszkańców. Parter plus cztery piętra, po dwa mieszkania na każdy poziom... dziesięć nazwisk. Jak wytypować to właściwe? Siedział w stygnącym aucie i patrzył na okna. Paliło się na pierwszym i na ostatnim. Nagle klik, zapłonęły szyby trzeciego. A więc to tam. Dobra robota. Teraz będzie łatwiej.

Bezlistne drzewa kołysały się w coraz silniejszym, jesiennym wietrze, który przyniósł krótkie smagnięcie lodowatego szkwału. Był na ulicy sam. Jedyne świadectwo triumfu zimna i ciemności.

Właśnie zapalał silnik, żeby trochę się ogrzać, gdy dostał kolejną wiadomość.

„Kiedy wracasz? Mam już dla ciebie nazwisko tego dziennikarza”.

Warszawa. Sierpień 1992

Że też musiało się to rypnąć akurat w niedzielę. Naczelnik Chałka nie odbierał telefonu, Wilczyński, który miał dyżur, pojechał do jakiegoś „krawaciarza”, znaczy wisielca-samobójcy, Górecki miał wolne, Żelazko znów na zwolnieniu lekarskim, a Wiesiołek siedział na działce pod Wołominem. Cholerny pech!

Aspirant Norbert Pałucha podziękował taksówkarzowi – jednemu z kilkunastu czekających pod hotelem Victoria na dewizowych klientów – i wsiadł do służbowego poloneza. Żar lał się z nieba mimo popołudniowej pory, kabina pulsowała gorącem. Dla uspokojenia myśli włączył radio. Wiadomości. Spiker informował grobowym tonem, że pożar w Kuźni Raciborskiej w końcu udało się opanować. Spłonęło dziewięć tysięcy hektarów lasu, piętnaście wozów gaśniczych, ale najgorsze, że burza ogniowa zabiła trzech strażaków. Sytuacja nie była jednak do końca opanowana, pod spopielonym lasem wciąż tliły się pokłady torfu, a dyżurni meteorolodzy nadal nie zapowiadali ani kropli deszczu.

– Mówiłem, cholera, mówiłem, że te upały się tak skończą – zaklął, uświadamiając sobie od razu, że właśnie ucieka od swojego prawdziwego problemu.

Co robić? Jechać tam samemu? A może lepiej narobić rabanu? Rzucić w eter wezwanie o pomoc i osaczyć tamtych w kilkanaście radiowozów? Tylko co będzie, jeśli jego przypuszczenia się nie potwierdzą? Pewności nie miał, a gdyby bez powodu postawił całe miasto na nogi, byłby skończony. Chałka i Wilczyński by mu tego nie darowali, a on na długo musiałby zapomnieć o awansie.

– Sprawdzę to sam – postanowił, czując, jak mimo upału po plecach przebiegają mu ciarki.

Wtedy, w lipcu, minął tydzień i potem drugi, a wiadomość z Kalisza (a także z Jarocina, do którego zadzwonił z identyczną prośbą) nie nadchodziła. Lipiec przeszedł w sierpień, a z góry, od samego komendanta albo i wyżej, zaczęły płynąć naciski, żeby już kończyć sprawę Krystyny Talko. Tymczasem Pałucha nic nie miał. Sekcja zwłok wykazała wielokrotny gwałt, pobicie, ślady pętania na resztkach nadgarstków i kostkach nóg, otarcia na podeszwach stóp, mogące świadczyć, że przed śmiercią denatka biegła bosą po twardym podłożu, w końcu pozbawienie życia poprzez uduszenie skórzanym paskiem. Dłonie obcięto jej już po śmierci. To wszystko. Norbert próbował jeszcze sprawdzać wszystkich właścicieli mercedesów „beczka” w kolorze butelkowozielonym w rejonie Warszawy i okolic, ale dla jednego człowieka była to robota ponad siły. Naczelnik Chałka wciąż dąsał się, że jego nie ulubiany podkomendny cichcem przejął prowadzenie tej sprawy, i w najmniejszym stopniu mu nie pomagał. Wilczyński okazywał jawną wrogość.

Nic więc dziwnego, że śledztwo stanęło w miejscu. Gazety w końcu przestały się nim interesować, fala upałów dusząca kraj zdominowała media. Pałucha próbował, oczywiście, poganiać chłopaków z Kalisza i Jarocina, ale tamci ciągle mówili, że trzeba czekać. Wreszcie przestał do nich wydzwaniać.

Norbert sam nie wiedział, dlaczego tego niedzielnego poranka przyszedł do pracy. Niewiele miał do roboty, wiszący nad miastem żar rozleniwił nawet włamywaczy i złodziei, o zabójcach nie wspominając. Wieczorem był umówiony z Basią Szreder, jedyną córeczką Andrzeja Szredera, jednego z najbogatszych Polaków. Przyszły teść początkowo nie akceptował gołodupca u boku swej latorośli i podejrzewał – nie bez racji,

niestety – że absztyfikant córki poleciał bardziej na jego forszę i koneksje niż na dziewczynę o nienarzucającej się urodzie. Kiedy jednak doniesiono mu, że Norbertowi wszyscy wróżą błyskawiczną policyjną karierę, zgodził się na zaręczyny.

To wieczorem. A na razie zrobił sobie kawę i w milczeniu odprowadził wzrokiem Wilczyńskiego wyjeżdżającego do „krawaciarza”. Z nudów poszedł pogadać z dyżurnym Maciejem Borowym. Na takich właśnie leniwych pogaduszkach upłynęło mu przedpołudnie, kiedy nagle Borowy przypomniał sobie, że ma w szufladzie list polecony z Wydziału Ruchu Drogowego w Kaliszu.

– Zaadresowany do ciebie! – Dyżurny błysnął szelmowskim uśmiechem, podając Norbertowi kopertę. – Pomyślałem, że to mandat z tej twojej delegacji sprzed miesiąca, wrzuciłem więc pod biurko i zapomniałem.

Aspirantowi Norbertowi Pałusze ugięły się kolana, kiedy przeczytał treść przesłanej notatki. Głosiła, że dnia 6 lipca pomiędzy miejscowościami Piątek Mały a Stawiszyn patrol drogówki zatrzymał do rutynowej kontroli butelkowiezłego mercedesa W123 na warszawskich tablicach, należącego do niejakiego Jacka Wasilewskiego, pracownika Almatouru – jak wynotowano z pieczętki w dowodzie osobistym – zamieszkałego w Warszawie przy ulicy Elbląskiej. Kierowcy, któremu towarzyszył pasażer (nie został wylegitymowany), udzielono pouczenia, by zachowywał bezpieczną prędkość.

– Pouczenie, akurat! – prychnął radośnie Borowy, zaglądający Norbertowi przez ramię. – Cwaniaki zmierzili go suszarką, jak przekroczył prędkość, zatrzymali i wzięli w łapę. A żeby mieć podkładkę, gdyby ich ktoś podkablował, odnotowali to w dziennym raporcie jako „rutynową kontrolę”.

Norbert już go nie słuchał. Poczuł, że się poci, a od natłoku myśli zaczyna go boleć głowa. Coś ostatnio coraz częściej dokuczał mu łeb.

A więc intuicja go nie myliła! Krystynie Talko w Kaliszu skończyły się pieniądze i w dalszą podróż ruszyła autostopem. Tak wpadła w sidła Wasilewskiego. Oczywiście jego obecność w tamtym rejonie mogła być dziełem przypadku, trzeba to sprawdzić. W sprawach kryminalnych zbiegi okoliczności jednak nie istnieją. Miał sukinsyna!

Rozpalony do białości pobiegł na górę i od razu zadzwonił do żoliborskiej komendy na Żeromskiego. Nie byli zachwyceni, kiedy ich poprosił o sprawdzenie akt Wasilewskiego. Poszło im jednak szybko. Już pół godziny później oddzwonili, że nie mają nic na delikwenta. Facet nie był nawet nigdy notowany.

Ślepy zaułek. Trudno. Po chwili namysłu wykonał telefon do siedziby Almatouru. Był w zasadzie pewien, że w niedzielne południe nikt nie podniesie tam słuchawki, ale musiał czymś zająć ręce i głowę.

O dziwo, odebrała jakaś dziewczyna.

– Tak, pan Jacek u nas pracuje – potwierdziła. – A o co chodzi?

Skłamał coś na temat odnalezionych dokumentów i wyciągnął z niej informację, że Wasilewski jest pilotem zagranicznych wycieczek.

– Specjalizuje się w niemieckich myśliwych – wyjaśniła panienka, a kiedy milczenie w słuchawce uświadomiło jej, że rozmówca nie zrozumiał, dodała: – Pilotuje wycieczki Niemców przyjeżdżających do nas na polowania. Jego klienci są zawsze bardzo zadowoleni.

Myśliwi. Polowanie. W jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Nie umiał tego jeszcze posklejać, wyciągnąć wniosków, połączyć, ale czuł, że jest na właściwym tropie.

Krystyna miała otarcia na podeszwach stóp, mogące świadczyć o tym, że biegła po twardym podłożu.

Ucieczka?

Przymilnym głosem poprosił dziewczynę o sprawdzenie, czy w tej chwili Wasilewski prowadzi jakąś grupę.

– Właśnie skończył. W piątek.

– Gdzie jest teraz?

– Nie mam zielonego pojęcia. Przecież jest weekend!

No tak. Weekend. Pałucha przeszedł się na plac Konstytucji i zjadł obiad w jednej z wietnamskich budek. „Kuciapek cie cie”, czyli kurczak w cieście. Bardzo dobre.

Już kończył, kiedy przyszło mu coś do głowy. Wrócił na Wilczą niemal biegiem i wydzwonił Straż Graniczną. Próbowali go zbywać, odsyłali na poniedziałek, ale w końcu zgodzili się sprawdzić to, o co prosił.

Tym razem czekał na odzew półtorej godziny. Wilczyński już wrócił i zamasyście walił w maszynę, przygotowując raport.

– Tak, była grupa Niemców, którzy przyjechali do nas w ramach wycieczki Almatouru – powiedział oficer ze Świebodzina. – Ich autokar opuścił nasz kraj w piątek w nocy.

No jasne. Weekend. Do spotkania z Baską wciąż było parę godzin, miał dość czasu, żeby pójść do domu, wziąć prysznic i przebrać się do wyjścia na dyskotekę, więc jeszcze raz wykręcił numer do Almatouru. Znow odebrała ta sama dziewczyna.

– Czy Wasilewski pilotował wycieczkę myśliwych na początku lipca?

– Tak, rzeczywiście. Ale co to ma wspólnego z tymi odnalezionymi dokumentami? – odpowiedziała leciutko zaniepokojonym głosem.

Ledwo się rozłączył, gdy znow zaterkotał telefon. Straż Graniczna. Oficer przypomniał sobie, że miał jeszcze o czymś powiedzieć. Otóż niemiecka wycieczka, owszem, wyjechała w piątek, ale nie cała.

– Czterech jej uczestników nadal przebywa na terenie naszego kraju. Podaję nazwiska.

Czterech myśliwych incognito. Wasilewski nieuchwytny z powodu weekendu.

Czy polowanie się zakończyło?

Kolejny telefon do Almatouru.

– Z jakiego miasta wracała do Niemiec w piątek wycieczka pilotowana przez Wasilewskiego?

Mocno już wkurzona dziewczyna rzuciła krótko, że z Warszawy.

Okej. No to książka telefoniczna w dłoń i telefony do kolejnych stołecznych hoteli. Polonia – nie meldowali Niemców o takich nazwiskach. Europejski – pudło. To może Marriott? Forum? Nic, zero. A więc Victoria.

– Tak, mieliśmy takich gości – przytaknęła recepcjonistka. – Rezerwacja skończyła im się dzisiaj w południe.

Już nie dzwonki, ale sygnały alarmowe w głowie. I wciąż denerwujące poczucie, że choć intuicja szaleje, to rozum za nią nie nadąża. Co z tego, że zostali dłużej? Może Wasilewski nawet nic o tym nie wie?

Myśliwi. Polowanie. Stopy zdarte do krwi od szaleńczego biegu.

– Nie wie pani, czy szykowali się do wyjazdu z Polski?

– Chyba tak, chociaż...

Niemal zastrzygł uszami.

– Przy recepcji coś rozmawiali o jakiejś imprezie...

– Imprezie? – Telepatycznie usiłował ją zmusić, żeby mówiła dalej.

– Dziś wieczorem, zdaje się. Ale się nie przysłuchiwałam. Był z nimi taki jeden sympatyczny Polak...

Pałucha pobił rekord prędkości na odcinku Wilcza–plac Piłsudskiego. W polonezie prawie zagotowała się chłodnica. Wbiegł do Victorii, wymachując blachą, i przestraszył jakichś gości z USA.

– Nic więcej nie wiem, naprawdę – tłumaczyła się spłoszona recepcjonistka.

– A ten Polak? Jak wyglądał?

– Dość wysoki, raczej korpulentny. Czarne, długie, choć przerzedzone włosy i krótko przystrzyżona bródka. Pewny siebie, głośny. Jak to się

mówi, jowialny.

– Widziała pani, czym odjechali spod hotelu? Może mercedesem koloru zielonego?

Wzruszyła ramionami. Nie widziała.

Taksówkarze. Każdy hotel – a także lotnisko i Dworzec Centralny – obstawiała inna, hermetyczna grupa. Robili kursy i choćby z końca miasta wracali na „swoj” postój.

– Wiózł pan dzisiaj czterech Niemców oraz Polaka o czarnych włosach i z bródką?

– Nie, a bo co? – To pierwszy.

– Ja jestem tu od godzinki, pytaj pan innych. – To drugi.

– A wie pan, że ja też z resortu? Dwadzieścia lat pracy w organach, a potem kopa w dupę, bo nie przeszedłem weryfikacji. Co? Niemcy? Nie, nie widziałem. – To trzeci.

Przepytał pięciu, nie, sześciu, Bez rezultatu. Zaczynał już tracić nadzieję, kiedy trafił na grubego wásacza w fordzie scorpio.

– Wiozłem takich. Dziwny kurs, na Taśmową.

– Taśmowa? – Norbertowi kompletnie nic to nie mówiło.

– W bok od Marynarskiej. Mokotów przemysłowy. Same warsztaty, fabryki i magazyny. W niedzielę na ulicy żywego ducha.

– Gdzie konkretnie wysiedli?

– Konkretnie to pod Państwowymi Zakładami Mięsnymi. Wielka fabryka, panie kochany. Za komuny przerabiali tam dziennie całe stada trzody i bydła. A teraz stoją puste. W upadłości. I komu to przeszkadzało?

Myśliwi. Polowanie. Obcięte dłonie. Opuszczona rzeźnia.

Warszawa. Listopad. Poniedziałek

Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego zawsze robiła na Koneckim wrażenie. Przestrzeń, rozmach, nowoczesność. Tym razem nie podziwiał jednak obszernego holu, nie zezował pokątnie na tłumy rozchichotanych studentek. Zastanawiał się, po jakie lichy w ogóle tu przyszedł.

Czesław Łyko. Tak się nazywał ten stary dziennikarzyna, którego widział ze Stokrocką. Żaden tam wirtuoz pióra czy Caruso reportażu. Ot, knypek, który przez większość swojej kariery pracował w dziale miejskim, a konkretnie – zanim nie zaczął piastować funkcji szefa – w kronice sądowej i kryminalnej. Ludzie, którym Jolka pokazała jego zdjęcie, skojarzyli go tylko dlatego, że był autorem trzech książek dokumentalnych, wydanych na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. *Warszawski pitawał bandycki*, *Macki ośmiornicy* oraz *Sam na sam z Łomiarzem* to literatura raczej niższego lotu, ale w tamtych czasach nie wydawano jeszcze stu książek dziennie i te trzy jakoś przetrwały w pamięci co starszych pracowników mediów.

Bartek potarł w zakłopotaniu szorstkie, pokryte zarostem policzki i przeciągnął łapą po łysinie, na której zaczęły odrastać irytujące, kędzierzawe kosmyki blond.

Nie pakuj się w to – poradził po raz dziesiąty tego ranka sam sobie, po czym skierował się ku schodom na pierwsze piętro. Czytelnia Czasopism Bieżących i Mikroform – oto jego dzisiejsza destynacja. Za wielkimi oknami wiatr bawił się opadłymi liśćmi, niebo przypominało plamę oleju wylaną na stare prześcieradło.

Tylko rzucę okiem.

Nie potrafił się powstrzymać. Przez pół niedzieli siedział w Google. Najpierw sprawdzał redaktora Czesława. Od połowy lat osiemdziesiątych do dziewięćdziesiątego pierwszego Łyko pracował w „Sztandarze Młodych”, potem na kilka lat zakotwiczył w „Życiu Warszawy”. Jak dalej toczyła się jego kariera, nie było istotne, bo wycinki z teczek przekazane Stokrockiej wyglądały na bardzo stare. Aby się im przyjrzeć, Konecki zrobił maksymalne powiększenie obrazu. Kamerka w okularach OTP, choć mała, miała dwa megapiksele, niezłe więc trzymała ostrość. Tytułu gazety jednak nie wypatrzył. Znowu zatem zajrzał do Google i wyświetlił sobie archiwalne strony tytułowe obu czasopism. W sumie podobna czcionka, zdjęcia i tu, i tu czarno-białe. Trudno odróżnić. Po godzinie wytrzeszczania oczu i konsultacji z Bończak w końcu jednak uznał, że w teczce leżały ścinki „Życia Warszawy”.

Podszedł do szerokiej lady, która skojarzyła mu się w jakiś niejasny sposób z wczorajszym barkiem w Enklawie, i poprosił o wszystkie roczniki gazety od roku 1992 do 1995. Bibliotekarka spojrzała na niego ze współczuciem i wskazała mu wolną przeglądarkę. Usiadł i czekał na mikrofilmy.

I znowu opadło go zwątpienie. Po co w to brnąć? Miał już materiał na Stokrocką. Od troglodyty wyszła dopiero koło szóstej rano i łatwo zgadnąć, co tam robiła. Co więcej, miał już nazwisko jej ogiera. Tego poranka wykonał telefon do Urzędu Dzielnicy Mokotów, gdzie pewna zaprzyjaźniona urzędniczka wciąż jeszcze myślała, że jest policjantem. Poprosił ją o sprawdzenie mieszkańców trzeciego piętra bloku przy ulicy Jana Rosoła. Jeden lokal zajmowała para emerytów, drugi – młode małżeństwo, Ksawery i Urszula Mahoniowie. Dla świętego spokoju ustalił jeszcze numer komórki faceta. Zadzwoił, udając telemarketera, i spytał o panią Urszulę Mahoń.

– Żona dopiero dziś wraca z delegacji. A o co chodzi? – odpowiedział Ksawery.

Konecki był w domu. Miał Stokrocką na widelcu.

Posiadał więc piękny materiał dowodowy z jej sobotniej schadzki, poszerzony dodatkowo o informację o dziwnym spotkaniu w Promenadzie oraz o identyfikację pismaka. Wystarczyło tylko zadzwonić, żeby w kieszeń wpadł rulon z dziesięcioma tysiącami.

Pozostawało jednak pewne niewygodne pytanie. Dla kogo pracował? Czy aby na pewno dla jakiegoś zazdrośnika, któremu chodziło jedynie o sprawdzenie, czy stokrotki nie zapyla jeszcze jedna pszczołka? Jeżeli tak, to dlaczego zapaśnik, który parę dni temu rozsiadł się w jego biurze, obstawał nie tyle przy udokumentowaniu ewentualnych skoków w bok pani Amelii, co raczej przy ustaleniu nazwisk osób, z którymi się ona spotyka?

Oczywiście, w grę najprawdopodobniej wchodził jednak stary jak świat motyw zazdrości. Jej producent, który – jak wyraził się kaskader Zbysio – wziął ją pod swoje skrzydła, mógł być zazdrosny. Młoda laska i podtusiały bogacz. Klasyczna sytuacja. Tylko co robił w tej układance stary żurnalista sprzedający lasce poźółkłe wycinki i obiecujący kogoś odszukać?

A może chodziło o coś innego? Może kazali ją śledzić, bo na coś wpadła? Dotarła do niewygodnych faktów z przeszłości? Kurczę, a co, jeśli to nie jej mentor-producent stał za tym zleceniem, tylko ktoś trzeci? Kogo naprawdę reprezentował ten cwany zbir, który omal nie wypalił mu dziury w stoliku?

Konecki nie lubił być robiony w konia. To taka skaza sfrustrowanych byłych policjantów. I dlatego pakował się teraz w kłopoty. Dlaczego w kłopoty? Bo czuł, że wkrótce dokopie się do czegoś ważnego. I będzie musiał podjąć decyzję, co z tym fantem zrobić.

Na tekst Czesława Łyki trafił od razu. Jakies tam gładzenie o chuliganach zakłócających spokój mieszkańcom Starówki. Później było jeszcze coś o Łomiarzu (to stąd ten tytuł książki), który z użyciem tego

właśnie narzędzia napadał na starsze kobiety. Nuda. Przaśna codzienność świata przestępczego pierwszych lat kapitalizmu. Ciekawiej zrobiło się dopiero w drugiej połowie roku. Brutalne morderstwo młodej dziewczyny Krystyny T. Zbiorowy gwałt, tortury, okaleczenie ciała polegające na obcięciu dłoni. Konecki zacisnął zęby. Od razu przypomniała mu się praca, którą wykonywał niewiele ponad pół roku temu. Nie miał ochoty tego czytać, żeby znów nie opadły go ponure refleksje o zmarnowanym powołaniu, ale nie mógł się już oderwać. Z numeru na numer następowały kolejne odcinki tego mrocznego serialu. Zrozpaczeni rodzice, zakochany chłopak, młodsza siostrzyczka rozpaczliwie wyczekująca powrotu swojej Kryni. I dzielny aspirant Norbert Pałucha, zawzięcie tropiący morderców. Chociaż nie. W numerze wydanym pod koniec września okazało się, że Pałucha wcale nie jest taki nieskazitelny i czysty.

Młoda dziewczyna i obcięte dłonie – ostatnio Konecki gdzieś już o tym słyszał.

Pamięć powoli mu się wyostrzała, już prawie sobie przypomniął, gdy trafił na numer z początku października, w którym pewien ważniak z Komendy Stołecznej udzielił Łyce krótkiego wywiadu, wyjaśniając pokrótce, że aspirant Pałucha od początku śledztwa popełnił szereg karygodnych błędów. Konecki otarł pot z czoła. Wywiad opatrzony był zdjęciem oficera. Cholera, rozpoznał go bez trudu.

Warszawa. Sierpień 1992

Czerwona kula plazmy opadała powoli za biurowy budynek typu Lipsk, czerwieniąc jego azbestową konstrukcję. Niebo pałało pomarańczowym blaskiem, a cienie na ulicy Taśmowej się pogłębiały. Zapadał zmierzch.

Budynek Zakładów Mięśnych przytłaczał otoczenie swoją ciężką, pozbawioną okien betonową bryłą. Wyglądał jak śpiąca bestia, gotowa w każdej chwili przebudzić się i połknąć intruza.

– A potem wydalić w postaci parówek i kiełbasy! – Norbert spróbował zasztartować w drodze do głównych drzwi.

Był sam i musiał mieć się na baczności. Wciąż nie był pewien, czy dobrze wszystko skalkulował, nie wszczął więc alarmu. Przez radio przekazał tylko sierżantowi Borowemu informację, gdzie jest i że sprawdza istotny ślad w śledztwie dotyczącym zabójstwa. W razie kłopotów nie mógł zatem liczyć na odsiecz husarii.

Kiedy otworzył zwyczajne, przeszklone drzwi, napięcie opadło. Na rozchwianych krzeselkach siedziało dwóch umundurowanych funkcjonariuszy Straży Przemysłowej, wpatrując się w przenośny telewizor ustawiony na taborecie. Dwóch starszych panów, nad którymi unosiła się kwaśna woń nieprzetrawionego alkoholu. Nawet nie podnieśli na niego oczu.

– Zamknięte do odwołania – zaskrzypiał pierwszy z lewej. Miał na pagonach trzy belki oznaczające stopień starszego wartownika.

– Tak, tak. Proszę wyjść – potwierdził drugi, z jedną belką.

Norbert omiółł portiernię wzrokiem. Na parapecie pod tak brudnym, że niemal nieprzepuszczalnym dla światła oknem stał elektryczny czajnik

i szklanki. Obok kaloryfera, na podłodze, można było jeszcze wypatrzeć słoiki z czymś, co konsystencją przypominało kawę, herbatę i cukier. Stała tam też butelka w plastikowej reklamówce. Wystawała tylko jej szyjka, lecz to wystarczyło, by zauważyć, że to Johnnie Walker o pojemności 0,7 litra. Leśne dziadki ze straży trąbiące Jasia z Peweksu?

Za telewizorem na ścianie umocowany był wieszak. Na haczykach dyndały smętnie dwie czapki z daszkiem i starym godłem państwowym bez korony oraz dwa pistolety maszynowe PPSz z okrągłymi magazynkami.

Pepesze? Rany, co to? Bitwa pod Stalingradem?

– Proszę opuścić budynek! – Trójbelkowiec w końcu uniósł na niego mocno rozwodniony wzrok. Miał nieuczesane, sklezione od potu siwe włosy, a na wielkich chłopskich dłoniach plamy wątrobowe. – Proszę wyjść albo... – Zabrakło mu słów.

Zabrakło, bo zobaczył podetkniętą pod nos policyjną blachę i kaburę z p-64 przypiętą do paska.

– Aspirant Pałucha, sekcja zabójstw. Czy na terenie zakładów są jacyś obcy?

Dwa gnomy w granatowych mundurach spojrzały po sobie niepewnie. To Norbertowi wystarczyło. Tak, tamci tu byli. Przekupili strażników Jasiem Wędrowniczkiem oraz zapewne garścią marek – i zakład był ich.

– Ilu? – warknął.

Jednobelkowiec podrapał się po głowie, trójbelkowiec wydał jakieś nieartykułowane dźwięki.

– Ale, ee, tu nie wolno, hm, hm.

– Ilu ich jest, do kurwy nędzy?!

Krzyk odbił się od wiszącego nad nimi sklepienia i pobiegł w głąb korytarza prowadzącego w stronę rzeźni.

– Czterech szwabów i dwóch naszych – wystękał w końcu ten z jedną

belką. – No i ona...

– Jaka ona?

– Ta, hm... – Jednobelkowiec rzucił płochliwe spojrzenie na swego dowódcę. – Małolata.

Norbertowi więcej nie było trzeba. Zwłaszcza że z mrocznych głębin betonowego bunkra dobiegł akurat jakiś odległy pisk.

– Ty! – Pałucha wskazał na niższego stopniem. – Poprowadzisz.

Niskiemu, pękatemu dziaduniowi z przerażenia aż rozszerzyły się oczy.

– Wolałbym nie. Panie władzo, oni...

– Stul pysk! – uciął Norbert.

– A ty – rzucił oklapłemu nagle dowódcy warty – dzwoń pod 997 i powiedz, że aspirant Norbert Pałucha potrzebuje wsparcia. Idziemy!

Zagłębiał się już w korytarz, kiedy pod wpływem impulsu porwał z wieszaka jedną pepeszę.

– Da się z tego strzelać? – zapytał swego Charona.

– A bo ja wiem? – Dziadulo wzruszył ramionami. – Nigdy przeca nie próbowałem.

Szli. Najpierw za framugą pozbawioną drzwi korytarzem do sporej sali z żeliwnymi umywalkami. Omszałe rury, rdzawe zacieki, stare przerdzewiałe kurki, popękane lustra odbijające już tylko kurz. Na podłodze obluzowane, dwukolorowe płytki. Ciągająca się aż do następnych drzwi szachownica czerni i bieli.

Kolejne wejście było już solidne. Dwuskrzydłowa brama z grubej blachy pomalowanej na wdzięczny, szaroszary kolor. Masywna klamka z mechanizmem zapadkowym, zamalowany farbą okrągły judasz. Prowadzący go staruszek przełknął ślinę, a jego koścista grdyka wykonała salto w górę i w dół.

– Są uzbrojeni?

– Nie wiem. Przyjechali taksówką, z panem Jackiem. Ale wcześniej był tutaj ten drugi.

– Też Polak?

– Tak, Polak. On wjeżdża bramą i parkuje pod rampą załadowniczą obok ubojni. Cholera wie, co tam wniósł z samochodu.

– Oprócz dziewczynki.

Strażnik rzucił mu szybkie, spłoszone spojrzenie.

– Ja tam nic nie wiem, panie władzo. Naprawdę. Dali trochę grosza, powiedzieli, że kręcą tu amatorski film. Rzeźnia i tak stoi pusta, no to się zgodzili. Jeśli to jacy przestępcy, to ja naprawdę...

– Stul pysk. Przed sądem się będziesz tłumaczył.

Dalej szli w milczeniu. Długi korytarz rozświetlony zimnym światłem jarzeniówek. Po bokach ciężkie, stalowe drzwi do chłodni. Ogromnych. Każda pięć metrów wysokości. Betonowe ściany, podesty, wsporniki. Żadnych okien.

Znowu krzyk. Bliższy. Wołanie śmiertelnie przerażonego dziecka. Przyspieszył, poganiając wartownika szturchnięciem lufą w plecy.

Ogromna sala pełna błyszczących, choć przykurzonych urządzeń. Pod sufitem haki, pod ścianami wózki. Norbert nie znał się na sprzęcie masarskim, mógł się więc tylko domyślać, że patrzy na piece do wypiekania kaszanek albo pasztetów oraz monstrualne maszynki do mięsa, z których kiedyś wyskakiwały parówki.

– Są tam! – Dziadek wskazał czarny otwór kolejnych otwartych drzwi, zza którego dobiegały jakieś posapywania, szcęknięcia komend i piski. – W ubojni.

Odbezpieczył pepeszę, przeładował p-64.

– Wchodzimy.

Pierwsze, co zobaczył, to wielki stół. Leżała na nim naga dziewczynka, której nadgarstki pętał skórzany pasek trzymany przez śniadego

mężczyznę o ciemnych oczach, z krótko przyszywaną bródką. Dwóch innych mężczyzn – jeden siwy, niski, pulchny jak Barbapapa, a drugi dość wysoki, o pomarszczonej twarzy starca – właśnie usiłowali uchwycić jej wierzgające nogi. Obok, jakby w upiornej kolejce, stało jeszcze dwóch, ze spodniami opuszczonymi do pół uda. Nad przerażonym dzieckiem zwiślała lśniąca bielą stali obrotowa piła.

– O rany! Tylko nie to – zakwilił stojący przed nim wartownik.

Tamci odwrócili w ich stronę zdumione oblicza. Barbapapa i wysoki puścili chude nóżki.

Gdzieś tutaj powinien być jeszcze szósty. Ten, który przywiózł dziewczynkę.

Myśl pojawiła się i zaraz wyparowała jak woda chluśnięta na rozgrzane kamienie. Pałuchę ogarnęła euforia. Dorwał sprawców na gorącym uczynku! Lekko uniósł lufę pepeszy i nacisnął spust. Grad kul pofrunął nad głowami tamtych, z impetem uderzając o ściany. Zadudniły, gwizdnęły rykoszety, strzeliły snopy iskier. Z głośnym wystrzałem pękła świetlówka, basowo zarezonowała stalowa obudowa jakiejś maszyny, zadzwoniły wiszące pod sufitem haki.

Myśliwi jednym zgodnym ruchem padli na ziemię, kuląc się jak parodia embrionów. Facet z bródką, z pewnością sam Wasilewski, zmarł w pozie wyrażającej skrajne przerażenie.

– Ręce na głowy, sukinsyny.

Cisza, jaka nastąpiła zaraz po kanonadzie, była ogłuszająca. Słowa Norberta Pałuchy odbijały się od metrowej grubości murów, które widziały już wszystko. Na spodniach Wasilewskiego rosła ciemna plama moczu.

– Na kolana. Wszyscy. I niech nikt się nie waży choćby pierdnąć.

W tym momencie znowu padł strzał. Charakterystyczny trzask wydawany przez p-64. Stojący przed Norbertem strażnik jęknął i kucnął, trzymając się za brzuch. Pałucha od razu wycelował w szerokie, choć teraz

tylko lekko uchylone wrota, prowadzące w stronę rampy. Majaczyła w nich jakaś postać. Znowu nacisnął spust, ale pepesza tylko zgrzytnęła.

Zaciał się! – pomyślał, odrzucając rżęcha i wyrrywając z kabury swój pistolet. Schował się za ustawionymi w kolumnę podwoziami wózków. Na szczęście tamten nie strzelił drugi raz. Cień zniknął, z zewnątrz dobiegł tupot nóg, a potem dźwięk zapuszczanego silnika. I charakterystyczny klekot „beczki”.

Pałucha zrobił nawet trzy kroki, żeby dogonić strzelca, ale zaraz sobie uświadomił, że jeśli za nim pobiegnie, zwieje mu cała piątka zatrzymanych. Nie wspominając już o wartowniku, który wykrwawiał się na podłodze. Został.

Potoczył wzrokiem po ubojni. Dziewczynka już zeskoczyła ze stołu i kuliła się w kącie. Strażnik cichutko chlipał. Myśliwi i ich pilot mieli spuszczone oczy.

– Aresztuję was pod zarzutem dokonania morderstwa i usiłowania popełnienia drugiego – wycedził, napawając się ich upokorzeniem.

Na te słowa facet z ciemną bródką poderwał głowę.

– Tamto to był wypadek. Przysięgam!

– Jakie tamto? Mów, Wasilewski!

Na dźwięk swojego nazwiska mężczyzna drgnął, ale po chwili znalazł siły, by tłumaczyć się dalej.

– Tamta laska strasznie się szarpała. Wariatka jakaś! Wbiła mi w ramię hak, uwierzy pan? No i nas odrobinę poniosło... Normalnie je wypuszczamy. Dostają nawet trochę forsy za... ee... fatygę. I wracają do tego swojego domciu.

Norbert poczuł, że brakuje mu tchu. Ściany rzeźni zdawały się przybliżać, powietrze przesycone smrodem krwi i kordytu zrobiło się nieznośnie ciężkie. Miał ochotę uciszyć skurwiela uderzeniem kolby, ale zrozumiał, że to jest ten moment, kiedy coś można z niego wyciągnąć,

zanim sprowadzony na komendę adwokat każe mu milczeć w ramach prawa do nieskładania zeznań mogących być materiałem obciążającym w sądzie.

– Wiele ich było? Ile dziewczynek tutaj zgwałciliście?

Wasilewski zamrugał, ale nie odwrócił wzroku. Nadal był przestraszony, ale już mniej. Chyba myślał, że jeśli podejmie rozmowę, ma szansę się z tego wymigać.

– Panie władzo – zaczął słuźalczo. – Tamta dupcia to był naprawdę wypadek.

– Nazywała się Krystyna Talko. Miała piętnaście lat, młodszą siostrzyczkę i kochających rodziców! – Norbert wyrecytował te słowa grobowym tonem.

Czuł się jak aktor grający główną rolę w filmie o samotnym szeryfie.

Wasilewski posłał mu spłoszone spojrzenie, zatrzepotał powiekami, odchrząknął.

– Bardzo mi przykro, postaram się wynagrodzić... – bełkotał. – No, w każdym razie jeden z łowców trochę za mocno zacisnął pasek...

– Jeden z łowców? – powtórzył Pałucha. – Urządzacie sobie tutaj polowania na ludzi, zakończone brutalnym gwałtem?

– Klienci szukają coraz mocniejszych wrażeń, ustrzelenie dzika w bieszczadzkim Mucznie już im nie wystarcza. – Wasilewski uśmiechnął się przepraszająco. – I są gotowi za to słono zapłacić.

Znacząco zawiesił głos.

– To naprawdę majątni ludzie. Myślę, że byliby gotowi wyłożyć... dziesięć tysięcy. Marek niemieckich. Tylko za to, żeby się pan teraz odwrócił i o wszystkim zapomniał.

Norbert poczuł, że u ramion wyrastają mu skrzydła. Miał ich w garści, był w tej chwili panem ich życia i śmierci. Wasilewski i reszta patrzyli błagalnie, niemal modlili się do niego. Szczerze mówiąc, nic go nie

obchodziła ta przeleciała przez nich smarkula. Ważniejsza była rozpierająca go euforia. Poczucie triumfu, który za chwilę przerodzi się w awans, odznaczenia i sławę. Miałyby to zaprzepaścić dla pieniędzy? Teraz, kiedy jest jak Brudny Harry, Mad Max i Superman? Omal się nie roześmiał. Zamiast tego postanowił się jeszcze przez chwilę nasycić rozpaczliwą nadzieją Wasilewskiego.

– A ona? – wskazał kulącą się w rogu patykowatą postać.

– Naprawdę nie chcieliśmy jej zabijać, przysięgam! Dostanie „odprawę” i odwieziemy ją do domciu. No, panie szeryfie, niech pan da się przekonać! To tylko cwane dziewczuchy z szemranych środowisk, które i tak zaraz się zaczną puszczać w rytm disco polo po wiejskich dyskotekach...

Nie dokończył. Przeszkodziły mu w tym zatrzasujące się na nadgarstkach kajdanki. Nagle ugięły się pod nim nogi i klapnął kolanami wprost w kałużę własnego moczu.

Warszawa. Listopad. Wtorek

Znowu centrum handlowe. Tyle że tym razem Galeria Mokotów. Przeciwna strona miasta w stosunku do Promenady. Jak mawiają co bardziej zgryźliwi mieszkańcy stolicy – ostatni przyczółek cywilizacji na morzu szarzyzny, w jakie zamieniono Mokotów przemysłowy.

Konecki ze starszym aspirantem Januarym Lichockim siedzieli na ostatnim piętrze w restauracji Jeff's. Rozsiedli się na tarasiku, z widokiem na pary wchodzące do kompleksu kinowego.

– O! Ta! Popatrz.

– Co: ta? – Bartek nie zrozumiał.

– Ta ma fajne szyny.

– Jakie szyny, człowieku?

Radosny rechot. Szybkie pociągnięcie palonego konspiracyjnie papierosa z rękawa.

– Nogi.

– Nogi?

– Nogi, czyli szyny. Szyny zawsze prowadzą do stacji, no nie?

Lichocki. Bartek zdążył już się odzwyczaić do jego specyficznego poczucia humoru. Starszy od Koneckiego o kilkanaście lat, notorycznie pomijany przy wszelkich awansach, wciąż balansujący na skraju dyscyplinarki awanturnik, notoryczny rozwodnik, pracoholik, nałogowy palacz. Doprawdy dziwne, że Bartek zawsze wyczuwał w nim bratnią duszę.

Kelnerka w króciutkich, opiętych spodenkach przyniosła im dwa piwa. January natychmiast wydudlił połowę, Konecki wziął swoje w dłoń

i oglądał nieufnie. Czuł, że po nocnym posiedzeniu z kaskaderem Zbynkem powinien znów zacząć unikać alkoholu, bo inaczej powrócą stare nawyki. No, ale sytuacja wymagała poświęceń. Upił łyczek.

– Słuchaj, Bartek – zagał starszy aspirant.

Przerwał, czknął i jednym żarłocznym pociągnięciem wykończył ukrytego pod stołem papierosa.

– Jak to w końcu było ze Zdziśkiem?

Komisarz Zdzisław Zaprawa. Bezpośredni przełożony Bartka w sprawie, która okazała się grobem dla jego policyjnej kariery. Właśnie dlatego Konecki unikał spotkań z dawnymi kumplami. Niezmiennie, zawsze, ktoś w końcu pytał go o Zdziśka.

– Wszystko okej. Uratował mi życie – odpowiedział sztywnym, oficjalnym tonem.

Przez chwilę January mierzył go wzrokiem. Małe, zadziorne oczka, nad którymi zwieszał się okap masywnych łuków nadoczodołowych. Koścista, zbyt chuda twarz, mocno zarysowana szczęka. Szczupłe, ale niebywale żylaste ręce, pobrudzone nikotyną palce splecione na blacie stolika.

– Okej – powiedział w końcu i jednym haustem opróżnił do końca szklankę. – Laluniu! – wyprostował się na krześle, nawołując do oddalonej o trzy stoliki kelnerki. – Jeszcze dwa!

– Jedno, ja swoje ciągle piję – poprawił Bartek.

– Dwa! – twardo obstawał przy swoim January.

– Ale...

– Dwa! Duże.

Zapowiadał się pracowity wieczór.

– Masz to, o co prosiłem? – zapytał Bartek, kiedy oprócz piw dziewczyna postawiła przed nimi dwie porcje żeberek w miodowo-musztardowym sosie.

January Lichocki odkroił kostkę, ujął w dwa palce i dokładnie obgryzł, z lubością miażdżąc zębami chrząstki.

– Mam – odparł.

I tłustymi palcami sięgnął do leżącej pod stołem reklamówki z napisem „Saturn. Żer dla skner”, po czym wyciągnął z niej plik odbitek z kserokopiarki.

– Niedużo tego – zauważył Bartek, wkładając kartki do przyniesionej ze sobą teczki.

– Zamiast narzekać, lepiej byś podziękował – sarknął Lichocki. – Wynoszenie akt, a także ich powielanie, jest przestępstwem.

– Tak, ale nie tych zakończonych już prawomocnym wyrokiem – trzeźwo zauważył Konecki.

– Skoro tak, to trzeba było samemu pofatygować się do sądu i wdychać kurz z ubiegłego wieku. Wiesz, ile się tego naszukali? To sprawa sprzed ćwierćwiecza. Dawne dzieje. Akta są niekompletne i poniszczone.

– Dobra, rozumiem. Dziękuję. Wybacz, że cię fatygowałem, ale nie znałem sygnatury akt ani nawet nazwisk oskarżonych. W gazecie były tylko inicjały.

January Lichocki prychnął z godnością i zapatrzył się na grupkę jakichś roześmianych studentek wychodzących z seansu.

– Zaglądałeś do nich? – Bartek postukał w teczkę.

January wzruszył ramionami z teatralną przesadą.

– Nie, a po co? Mamy teraz huk bieżącej roboty. Oliwa prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa jakiejś dziewczuchy, a ja zostałem przydzielony do Wydziału Realizacji. Ścigamy nigusów, na których nałożono europejski nakaz aresztowania.

Bartek upił kolejny łyk piwa.

– A Zacharewicz? Popytałeś o niego?

Tym razem January nie poprzestał jedynie na wzruszeniu ramion, ale

dorzucił jeszcze pogardliwe prychnięcie.

– To też stara historia.

– Może jednak nie.

Lichocki posłał mu przelotne spojrzenie, ale zaraz na nowo zamoczył swój nieforemny, wielokrotnie połamany nos w szklance.

– Interesujesz się nim zawodowo? – zadudnił ze szklanych głębin.

– Owszem.

– A tak w ogóle, to jak ci idzie w tej detektywistycznej branży?

Bartek na chwilę wstrzymał powietrze.

– Szczerze mówiąc... do dupy.

Napięcie zrodzone jeszcze pytaniem o komisarza Zaprawę nagle puściło. Roześmiali się, a Konecki pozwolił sobie nawet na kilka tęgich łyków piwa.

– Doskonale pamiętam Zygę Zacharewicza. Kojarzę go jeszcze z końca lat dziewięćdziesiątych, kiedy zaczynałem pracę na Cyryla i Metodego, a on przyszedł tam ze Stołecznej na komendanta Pragi-Północ.

Konecki spojrzał na kumpla zaintrygowany. Niby wiedział, że January długo siedzi w policji. Ale żeby aż tyle lat? Większość gliniarzy, którym nie udało się zrobić kariery, odchodziła na emeryturę po piętnastu latach. Wyglądało na to, że starszy aspirant Lichocki naprawdę jest pasjonatem.

– Bezkompromisowy twardziel, były zapaśnik, zakapior. Nam, młodym, bardzo imponował – rozmarzył się January. – Pamiętam, jak kiedyś Cyganie poprztykali się na Bazarze Różyckiego z patrolem prewencji. Jeden nawet napluł naszemu na buty. Zachar zrobił obławę, obstawił wszystkie wyjścia, a potem przez kilka godzin dokładnie cesał bazar. Zero tolerancji. Każda lewizna – pirackie kasety, płyty, ciuchy z podrabianymi metkami – była rekwirowana. A wszyscy handlarze o śniadej karnacji dostawali na wstępie lolą przez plecy, po czym trafiali pod schody na czterdzieści osiem godzin. W życiu nie widziałem tak

zapchanej celi! Od tamtej pory każdy gliniarz mógł wejść na bazar sam, bez broni i po pijaku – i nikt go nie ruszył. Taki właśnie był Zachar.

Bartek Konecki w milczeniu przeciągnął dłonią po głowie. Pod palcami znów wyczuł odrastające kędziorki włosów, których tak nienawidził. Już czas użyć maszynki do golenia.

– Potem jednak zaczęły się procesy gangsterów z Pruszkowa – podjął opowieść Lichocki. – Nie wiem dokładnie, co tam na niego wyszło, ale ludzie gadali, że w zeznaniach mafiosów nazwisko Zachara zaczęło się przewijać niepokojąco często. No i już parę miesięcy później Zyga przeszedł na emeryturę.

Starszy aspirant w milczeniu dopił swoje piwo i sięgnął po drugą szklanekę – Bartka. Przechylił ją tak energicznie, że pienisty płyn pociekł strumyczkiem na jego kraciatą koszulkę.

Odstawił, beknął, potarł dłonią usta. Wbił w Koneckiego uważne spojrzenie.

– Dlaczego się nim interesujesz?

– Złożył mi zlecenie.

Oczy Lichockiego powiększyły się w zdumieniu.

– Zyga Zacharewicz poszedł do prywatnego detektywa?

– Ano właśnie.

January przez chwilę milczał, jakby coś układał sobie w głowie.

– Słyszałem, że nieźle się ustawił na tej emeryturze – powiedział, przenosząc wzrok na kelnerkę w krótkich majtkach, obdarzoną wyjątkowo masywnymi udami. – Do niedawna wykonywał różne zlecenia dla handlarzy roszczeniami reprivatyzacyjnymi w Warszawie. Śliskie zajęcie. Jego nazwisko ponoć pojawiło się w zeznaniach świadków w sprawie Jolanty Brzeskiej.

– Tej działaczki sprzeciwiającej się przejmowaniu kamienic przez dawnych właścicieli, która spaliła się w Lesie Kabackim?

– Tak, zostawiła w kuchni rozmrażające się mięso na obiad i przejechała kawał drogi, żeby się zabić przez podpalenie w leśnej głuszy – uzupełnił z przekąsem Lichocki.

Przez chwilę obaj milczeli, obserwując rosnącą przed wejściem kolejkę chętnych do zjedzenia obiadu.

– Teraz Zyga prowadzi sieć lombardów... – January podjął opowieść. – Pożycza ludziom pieniądze. Nie znam szczegółów, ale podobno działa bez skrupułów. Było o nim nawet coś w gazecie, chyba w „Fakcie”. Mechanizm jest taki: pracownik Zachara podpisuje z jakimś pocziwcem pożyczkę, dajmy na to, na dwadzieścia tysięcy pod zastaw mieszkania. Zachar wypłaca mu z tej kwoty tylko pięć kafli, a potem od razu przejmuje nieruchomość. Pocziwiec zaczyna się oczywiście ciskać i wtedy odkrywa, że u notariusza parafował nie pożyczkę, ale akt darowizny. Notariusz był miły, pracownik Zachara też, sekretarka zrobiła pyszną kawę. A pod drzwiami czekał już następny klient. Pocziwiec nie przeczytał więc dokładnie umowy. I tak, w świetle prawa, sprzedał dorobek całego życia za gówniane pięć tysi.

Bartek poczuł w ustach niesmak. Chyba przez dym papierosowy unoszący się spod stołu. Albo od piwa lub sosu musztardowego. Odsunął od siebie niedojedzoną porcję żeberek, zwalczył chęć, żeby poprosić kolegę o papierosa, pomacał teczkę z odbitkami.

– A przemysł filmowy?

– Jaki znowu przemysł filmowy? – Spojrzenie Januarego po trzecim piwie lekko się już zmąciło.

– Zacharewicz prowadzi w tej branży jakieś interesy?

Starszy aspirant z pietyzmem wyssał ostatnią kostkę, po czym łakomie zerknął na jedzenie Bartka.

– Nie słyszałem – odparł. – I bardzo bym się zdziwił, bo to kompletnie nie jego działka.

Po czym nadspodziewanie szybkim i precyzyjnym ruchem Lichocki sięgnął po talerz Koneckiego.

Kiedy Bartek wyprowadził swojego golfa za bramki parkingu i wyjechał na chłostaną zimnym wiatrem Wołoską, przez chwilę miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Zmienił pas, zwolnił, przyspieszył. Niebieskie ksenony wciąż trzymały się trzy lub cztery samochody za nim. Żeby się upewnić, skręcił wcześniej, niż zamierzał – w Odyńca, a potem w Niepodległości. Światła zniknęły.

Mieszkanie przy Świętojerskiej było puste. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Gdzie ona się podziewa?

Bartek zrobił sobie kawę fusiatkę, posłodził trzy łyżeczki, nie bez wysiłku zwalczył pokusę, żeby ją jeszcze ochrzcić kropelką brandy trzymanej przez Jolkę na specjalne okazje w kredensie. Usiadł w salonie. Za balkonowym oknem ryczeli po angielsku jacyś pijacy. Sięgnął po komórkę, jego palec zawisł nad ikonką z wizerunkiem Jolki. Po chwili jednak zrezygnował i odłożył telefon.

Otworzył akta. Odbite krzywo, miejscami nieczytelnie, rzeczywiście miały sporo luk.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Krystyny Talko, lat piętnaście. Rok 1992. Konecki uważnie wczytał się w wystukane na maszynie protokoły i raporty. Te spisane przez aspiranta Norberta Pałuchę były krótkie, konkretne, opatrzone czytelными wnioskami. Kartkował dalej. Protokół z sekcji zwłok. Raport z ustalenia tożsamości denatki. Protokoły przesłuchania osób z jej otoczenia. Raport z oględzin miejsca porzucenia ciała. Ślady, zdjęcia, ekspertyza kryminalistyczna i rysunek poglądowy. Następnie wywiad środowiskowy w Kaliszu, przesłuchanie Janusza Ceglarczyka, prośba do Wydziału Ruchu Drogowego o sprawdzenie, czy

któryś z patroli nie zatrzymywał zielonego mercedesa W123. Trafienie. Jacek Wasilewski, wycieczka niemieckich myśliwych, Zakłady Mięsne przy Taśmowej, zatrzymanie podejrzanych.

Standardowa policyjna robota.

A potem... Detektyw Bartek Konecki poczuł, że ziąb hulający na zewnątrz przenika mury mieszkania i ścina mu oddech na ustach. Gwałtownie poprawił się w fotelu, omal nie strącając wystygłej kawy, zacisnął i rozprostował palce. Raporty aspiranta Pałuchy zostają w aktach zastąpione przez inne, spisane przez nadkomisarza Zygmunta Zacharewicza z Biura Spraw Wewnętrznych Komendy Stołecznej.

– Zniszczyli go – wyszeptał. – I ukęcili łeb sprawie.

WCZEŚNIEJ

Warszawa. Wrzesień 1992

Pałucha żył w strasznym napięciu. Cholera, nie tak przecież miało to wyglądać! Każdy w komendzie uciekał od niego jak od zadżumionego. Naczelnik Chałka robił wszystko, żeby go nie zauważać i nie włączać do zadań stawianych sekcji zabójstw. Paradoksalnie tylko Wilczyński – do niedawna największy wróg Norberta – był jedynym, który wyciągał do niego rękę.

– Dojadą cię, jeśli nie ustąpisz – wieszczył posepnie.

– Niby jak? Działam dokładnie według zapisów kodeksu postępowania karnego. Artykuł drugi, ustęp pierwszy: sprawca przestępstwa ma zostać wykryty i pociągnięty do odpowiedzialności karnej, a osoba niewinna pozostawiona w spokoju.

– Przede mną nie musisz popisywać się erudycją.

– To prokurator łamie prawo, odmawiając wszczęcia sprawy! – Z Pałuchy ulewała się frustracja. – I Chałka. I oni wszyscy!

Wskazał ramieniem wokół siebie. Siedzący przy sąsiednim biurku Górecki zerwał się jak oparzony i wystrzelił na korytarz. Zostali w pokoju sami.

Wilczyński tylko się skrzywił, co sprawiło, że jego szczeciniasta broda nastroszyła się jeszcze bardziej niż zwykle.

– Przekonasz się – rzucił, wstając z chybotliwego krzesła i kierując się do wyjścia.

Norbert Pałucha przez chwilę wpatrywał się w jego plecy.

– Dlaczego? – zawołał w ostatniej chwili, zanim za tamtym zamknęły się drzwi. – Dlaczego to robią?

Plecy na moment znieruchomiały, ale ich właściciel nie odwrócił głowy.

– Chuj wie. Ale co za różnica?

Norbert nudził się strasznie. Siedział z nogami zarzuconymi na blat biurka, wpatrując się w zacinający na zewnątrz deszcz. Deszcz. Nareszcie. Po tym cholernie gorącym lecie każda jego kropla była bezcenna.

Rano odpękał sprawę jakiegoś bezdomnego znalezionej obok fontanny na Frascati. Lekarz sądowy stwierdził wstępnie, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, a Pałucha w pięć minut wysmażył dla prokuratora notatkę o „braku śladów wskazujących na udział osób trzecich”. Potem był jeszcze telefon z drogówki z pytaniem, czy ktoś z kryminalnych nie miałby ochoty obejrzeć motocyklisty, który przy dużej prędkości przewrócił się w Alejach Jerozolimskich. Z faceta została trzydziestometrowa smuga z krwi i wnętrzności, a Norbert powiedział, że nie ma czasu na pierdoły.

Zwyczajny, niedzielny dyżur. Ostatnio ciągle takie dostawał.

Odwaliał robotę. Zaniedbał związek z Basią. Jedyłą jego obsesją była sprawa Wasilewskiego. Musiał ją zamknąć, bo inaczej po jego dynamicznie rozwijającej się karierze pozostaną tylko zgłiszczka! Tymczasem zatrzymani przez niego Niemcy dostali list żelazny i zostali wypuszczeni po złożeniu zeznań i podpisaniu oświadczenia, że w razie potrzeby stawią się na wezwanie sądu. Wasilewski siedział na Rakowieckiej, lecz prokurator nie pozostawiał złudzeń, że nie ma ochoty wnioskować o przedłużenie aresztu powyżej trzydziestu dni. Kurczę, czy tylko jemu zależało na postawieniu przed sądem zabójców Krystyny Talko?

Telefon. Pałucha niechętnie opuścił nogi i ziewając, sięgnął po słuchawkę.

– Borowy z tej strony.

Przewrócił oczami. W sumie Norbert nawet lubił durnowatego dyżurnego, ale tego popołudnia nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Znowu bolała go głowa.

– Co tam masz?

– Jest ten interesant do ciebie.

– Interesant? Jaki interesant?

– No przecież Stanisław Orecki.

Na dźwięk tych słów Norbert Pałucha stęzał. Orion. Bandzior, którego w lipcu zgarnęli w Wyszku. Co on tutaj robi? Dlaczego nie siedzi?

– Naczelnik Chałka mówił, że cię uprzedzał – dodał Borowy, zaniepokojony przedłużającym się milczeniem aspiranta. – Podobno Orecki ma złożyć jakieś uzupełniające zeznanie.

Pałucha trochę się uspokoił. Chałka zna sprawę? Może więc wszystko w porządku? To, że szef zapomniał go uprzedzić, nie było niczym niezwykłym. Wszyscy w komendzie robili wszystko, żeby tylko z nim nie rozmawiać. Dziwne jedynie, że oskarżony ma złożyć zeznanie jednemu policjantowi. Według przepisów powinien być przy tym prokurator lub wyznaczony przez niego śledczy. Z drugiej strony... Nie takie odstępstwa zdarzają się w policji.

Puk. Puk. W drzwiach stanął rosły dresiarz. Bezczelne spojrzenie, kropka wydziergana na powiece, w upierścienionej łapie jakaś koperta formatu A4.

– Miałem to panu przekazać.

Łapa się wyciąga, koperta zawisa w powietrzu nad biurkiem. Żadnego adresu, nadawcy, pieczętki z sekretariatu. Nic.

– Wypuszczono cię z aresztu? Jakim cudem?

– Dostałem dozór. Proszę to wziąć. Oddaję do rąk własnych.

Palce Norberta zacisnęły się na szarym papierze. Orion puścił kopertę, jakby parzyła go w dłoń.

– Czy to naczelnik Chałka kazał ci przynieść tę przesyłkę na komendę?

Pytanie Pałuchy zostało skierowane już właściwie do pleców Oreckiego, który wykonał zwrot jak na musztrze i runął w kierunku wyjścia.

– Wkrótce się dowiesz, piesku.

Bach. Za bandziorem zatrzasnęły się drzwi. Norbert popatrzył na trzymaną w palcach paczuszkę. Wewnątrz było coś, co wybrzuszało jej ścianki. Coś miękkiego i prostokątnego. Rozdarł papier, zajrzał do środka... Gruby plik banknotów.

Bam! Drzwi otworzyły się ponownie, z tym, że teraz przeszedł przez nie niższy od Oreckiego, ale jeszcze mocniej zbudowany facet, patrzący na niego z nieskrywaną nienawiścią.

– Nadkomisarz Zacharewicz, Biuro Spraw Wewnętrznych – przedstawił się. – Jesteście zatrzymani pod zarzutem przyjęcia łapówki.

Oślupiały Pałucha bezwiednie przeniósł wzrok nieco w bok. Przez otwarte drzwi zobaczył, jak jakiś nieznany mu funkcjonariusz zakłada gumowe rękawiczki i sięga po proszek daktyloskopijny, najwyraźniej w celu zdjęcia z koperty jego odcisków palców.

Warszawa. Listopad. Środa

Zimny poranny prysznic niewiele mu pomógł. Bartkowi nadal kleiły się oczy. Do późnej nocy studiował akta. Przejrzał z grubsza każdy protokół, każdą ekspertyzę i każde zdjęcie. Nie umiał się jednak na tym należycie skupić. Teraz, raniem, nie był już pewien, czy się nie oszukiwał. Naprawdę tak go wciągnęło czy po prostu czekał na powrót Jolki? Przyszła po pierwszej, powitała go szybkim pocałunkiem w policzek i zaraz zamknęła się w łazience. Nie zdążył nawet zapytać, gdzie była.

Raniem zrobił sobie kawę, ale nawet nie zdołał jej wypić. Czuł, że nabrzmiewa w nim napięcie, że zaraz pizgnie kubkiem o ścianę, wywlecze ją z łóżka i wytrzęsie z niej odpowiedź. Dlaczego Jolka nic nie powiedziała? To chyba jednak nie jest normalne, że nie pojawiła się w domu przez pół nocy?

No i było jeszcze to jego zlecenie. Musiał się nad nim spokojnie zastanowić. Nie miał już pewności, czy chce podawać Stokrocką na srebrnej tacy takiemu typowi jak Zacharewicz. Z akt dowiedział się, że facet najprawdopodobniej wrobił Norberta Pałuchę w łapówkę i praktycznie przejął kontrolę nad śledztwem. A następnie skierował je na fałszywe tory. Nadkomisarz w działaniach Pałuchy dopatrzył się „poważnych uchybień i ignorowania istotnych dla śledztwa wątków”. Jakie to wątki? Zacharewicz uznał za taki osobę punkowca i anarchisty Janusza Ceglarczyka, z którym Pałucha rozmawiał w Kaliszu. Kazał chłopaka odnaleźć, zatrzymać, po czym osobiście przesłuchał. Ceglarczyk przyznał się do zabicia Krystyny Talko. Pod protokołem przesłuchania podpisali się oprócz niego naczelnik Chałka i starszy sierżant Ława.

Później, na rozprawie, oskarżony chłopak zaklinał się wprawdzie, że do zeznań zmuszono go przytrząskiwaniem jąder szufladą biurka, ale sąd i tak wlepił mu dwadzieścia pięć lat.

Konecki włożył buty, naciągnął kurtkę, chwycił kluczyki do golfa. Przez moment wahał się, czy zabrać też kaburę z sig sauerem, lecz ostatecznie uznał, że lepiej by w tym stanie ducha nie nosił ze sobą broni. Ubrana w szlafrok Jolka przemknęła do łazienki. Ich spojrzenia na moment się ze sobą zetknęły. Uśmiechnęła się przelotnie i zaraz zniknęła. Nie, nie można tak tego zostawić. Czekał. Odgłos elektrycznej szczoteczki do zębów, potem szum prysznica, brzęczenie suszarki do włosów. Czas płynął leniwie. Rozważał już wdarcie się do środka, kiedy w końcu wyszła. Na jego widok uniosła brwi w zdumieniu.

– Nie jedziesz do biura?

Próbowała ominąć go zręcznym unikiem, ale chwycił ją za rękę.

– Gdzie byłaś?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Mówiłam ci przecież parę dni temu. Nagrywaliśmy program.

– Do późnej nocy?

– Po zdjęciach wyskoczyliśmy jeszcze całą ekipą coś przegryźć.

– Mogłaś zadzwonić!

– Myślałam, że śpisz.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Może faktycznie niepotrzebnie się czepia? Ona jest policjantką. Nietypową, ale jednak gliną. I pracuje poza wszelkimi ramami czasowymi. Kto jak kto, ale on powinien to rozumieć. Mało to nocy zawalił, gdy był na służbie?

– Mógłbyś przestać mnie tak ścisnąć? – Usłyszał jej głos. – Trochę boli.

W jednej chwili poczuł się winny. Stary idiota, na sceny zazdrości mu się zebrało. Chciał ją przytulić, ale Jolka była już przy ekspresie do kawy.

Wyburczał więc jakieś niezgrabne pożegnanie i ruszył do wyjścia. Pomachała mu na do widzenia, patrząc w ciurkającą kawę.

Trzasnął drzwiami i pobiegł w dół. Zadudniły betonowe schody. Ich dom, choć stał tylko sto metrów od skrupulatnie odbudowanej po wojnie Starówki, nie był stylizowany na starą kamienicę. Prosta, modernistyczna forma, szerokie schody i widne mieszkania. To też mu się podobało.

Zygmunt Zacharewicz. Ten człowiek niepokoił go coraz bardziej. Nie wolno ignorować kogoś, kto bez skrupułów udupił kolegę policjanta, wrobił w zabójstwo niewinnego człowieka i wybielił prawdziwych morderców. Wasilewski wyszedł z aresztu czysty niemal jak łąza. Prokurator chciał wprawdzie podtrzymać oskarżenie o uprowadzenie ze szczególnym udręczeniem i usiłowanie gwałtu, ale odpuścił po tym, jak jego ostatnia ofiara, czternastoletnia Sandra Konopko, sierota z domu dziecka w województwie wielkopolskim, zrezygnowała ze złożenia doniesienia i odmówiła zeznań.

Wasilewski na zdjęciach po zatrzymaniu. Śniady brunet o inteligentnej twarzy. Krótko przystrzyżona broda czy raczej dłuższy zarost. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Wystraszone spojrzenie brązowych oczu. Nie wyglądał na mordercę. Konecki jednak dobrze wiedział, że tacy nigdy nie wyglądają na przestępców. Szczególnie ci najgorsi...

Samochód stał po drugiej stronie ulicy, pod przeszklonym budynkiem Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Konecki musiał więc wyjść drzwiami od strony skwerku, skręcić w uliczkę Ciasną, okrążyć dom i przejść przez Świętojerską.

Po wieczornym deszczu niebo było czyste. Poranny przymrozek ściał cienkim lodem kałuże. W powietrzu czuć było oddech nadchodzącej zimy.

– Niepokoję się o ciebie.

Na dźwięk tych słów Konecki stanął jak wryty. Rozejrzał się i dopiero wtedy go dostrzegł. Dał się zaskoczyć jak dziecko.

Emerytowany nadkomisarz ubrany był w elegancki płaszcz i skórzane półbuty. Na łysej głowie miał dobraną pod kolor czapkę cyklistówkę. Wielkie jak bochny dłonie trzymał w kieszeniach, tyłkiem wspierał się o czarne bmw X6.

Ksenonowe lampy jadące za mną Wołoską.

– Zygmunt Zacharewicz, no proszę! – Bartek starał się, żeby w jego głosie nie było słycać napięcia. – Co robisz pod moim domem? O ile pamiętam, nie brałem u ciebie pożyczki?

– O, widzę, że nie próżnowałeś w mojej sprawie, detektywie. – Uśmiech faceta w płaszczu nie zdradzał najmniejszego zaskoczenia. – A jak ci poszło ze Stokrotką?

Żeby zyskać na czasie, Konecki poklepał się po kieszeniach kurtki, jakby szukał w nich papierosów. Musiał to dobrze rozegrać. Wkurzało go, że były gliniarz czatuje pod jego domem, jednak nie był to dobry moment na demonstrowanie złości.

– Nieźle – odpowiedział wymijająco.

– Nieźle? – Uśmiech Zacharewicza zniknął jak zdmuchnięty. – To za mało. Chcę mieć wyniki. Teraz.

– Potrzebuję jeszcze kilku dni. – Konecki grał na czas.

– Miałeś już kilka dni. Nie wierzę, że nic się w tym czasie nie wydarzyło. Z kim się spotykała ta cizia? Co robiła?

– Powtarzam, wkrótce dostaniesz raport.

Zacharewicz oderwał tyłek od maski SUV-a i zbliżył się do Koneckiego. Ręce nadal trzymał głęboko w kieszeniach.

Co tam ma? Pistolet? Kastet? Teleskopową pałkę?

– Nie pogrywaj ze mną, dupku – wycedził były nadkomisarz. – Jesteś nikim, ale wciąż pozostało ci co nieco do stracenia...

Przez chwilę Bartek mierzył go wzrokiem. Ostre słowa od dawna nie robiły na nim wrażenia. Najpierw jako bokser nasłuchiwał się pogrózek od

ringowych przeciwników i ich sekundantów. Później łajali go przełożeni w policji i odgrażali się zatrzymywani przestępcy. Słowa nic nie znaczyły. Prawdę można było zobaczyć jedynie w oczach. Spojrzenie Zacharewicza nie wróżyło niczego dobrego. To był wzrok drapieżnika.

Zdziwił się więc, kiedy ten niespodziewanie znów się uśmiechnął.

– Zrozumiałeś *message*? To do roboty. Dziś wieczór, najdalej jutro rano, chcę mieć kompletny raport. – Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i podszedł do samochodu. Miał już wsiadać, gdy znów się cofnął: – Dla przyjaciół jestem Zachar. Skoro i tak już wiesz, kim jestem, możesz tak do mnie mówić. Nie spieprz tego. Nie zawieź zaufania.

Sztywnym krokiem Bartek ruszył w stronę swojego wozu. Podszedł do jezdni, rozejrzał się, przeszedł na drugą stronę. Trzydzieści metrów na lewo od niego, niemal już na granicy Starego Miasta, stała taksówka. Zachar pracowicie wykręcał swoim potężnym autem na ulicy Ciasnej. Przód–tył. Przód–tył. Bartek otwierał właśnie kluczykiem drzwi golf, kiedy tamtemu udało się zawrócić i z rykiem silnika skręcił w prawo w Świętojerską, kierując się ku placowi Krasińskich.

„Wciąż pozostało ci co nieco do stracenia”.

Tak, zrozumiał przekaz. Miał do wyboru – albo całkowicie się podporządkować, albo... Cóż, jakaś tam pogodynka z pewnością nie była warta nadstawiania głowy. Z drugiej strony jednak, skąd mógł mieć pewność, że kiedy wypełni zlecenie Zachara, ten się od niego odczepi? Ktoś taki jak on może chcieć zrobić sobie z Koneckiego szpiega na posyłki. Skoro Bartek raz złamał prawo, przyjmując nielegalne zlecenie, łatwo będzie go szantażować... No i była jeszcze ciekawość. Pałaca chęć dowiedzenia się, o co w tym wszystkim chodzi.

Odprowadził wzrokiem czarne bmw, które zwalniało właśnie przed światłami przy Bonifraterskiej. Jechać za nim? Swoim charakterystycznym golfem nie mógł tego zrobić. Z pewnością Zachar dobrze kojarzył już jego wóz.

Nadal świeciło się czerwone. X6 czekał. Bartek przeniósł wzrok na taksówkę. Stała przy chodniku, kierowca wcinał kanapkę owiniętą srebrzystą folią. Konecki podjął decyzję. Biegiem ruszył ku taryfie, wskoczył do kabiny i wysapał:

– Za tamtą czarną beemką! Jedziesz!

Kierowca ani drgnął.

– Panie, to nie Hollywood.

– Zabawne, że wspomniałeś o planie filmowym – odpowiedział, rzucając tamtemu na kolana stówę.

Hybrydowy silnik toyoty prius zaszemrał z oburzeniem, kiedy taryfiarz wcisnął gaz do dechy. Światło zmieniło się na zielone, potem pomarańczowe, wreszcie czerwone.

– Jedziesz! – Na kolana kierowcy opadła jeszcze pięćdziesiątka.

Prius jakoś przemknął między ruszającymi z lewej i prawej samochodami. Nawet bardzo na niego nie trąbili.

Jechali. Najpierw prosto do Andersa, potem na światłach w lewo obok Komendy Stołecznej Policji – dawnego miejsca pracy Bartka. Potem wielkie i roztrąbione skrzyżowanie z aleją Solidarności. Tam bmw im uciekło, zostali na światłach. Na szczęście dogonili je znów przed Królewską.

Poranny ruch był gęsty, Konecki nie martwił się więc, że popularna w stolicy, biało-zielona taksówka zwróci uwagę Zachara. Na wszelki wypadek wyłączył swój telefon. Skoro on miał program MobileSpy, tamten też mógł z niego korzystać.

Marszałkowska. Korek do skrętu w lewo na rondzie przy Rotundzie.

– Panie, a po co my tamtego śledzimy? – zagadnął taksówkarz. – Nie będzie aby z tego kłopotów?

– Spokojnie! – Konecki poklepał taksiarza po ramieniu. – Jestem prywatnym detektywem. Facet w beemce to niewierny mąż, na którego

żona wystawiła mi zlecenie.

Kierowca wyraźnie się odprężył.

– Ale jaja! – Cmoknął z uznaniem. – Detektywa jeszcze nie wiozłem. Różne świry, z przeproszeniem, się trafiały. Ale detektyw to nie.

Zmiana świateł. X6 był już pierwszy w kolejce do skrętu. Oni czaili się trzy samochody dalej.

Żeby tylko zdążyć za nim przeskoczyć.

– Kiedyś miałem kurs z taką jedną lalą. Młoda, ładna, miała cycki i całą resztę – kontynuował taksjarsz, rozładowując napięcie. – Dowożę pod adres, a ona pyta, czy może się rozliczyć w naturze.

Zawiesił głos, spodziewając się nieuniknionego pytania: „I co pan wtedy zrobił?”. Pytanie jednak nie padło. Zmieniły się światła. Beemka skręciła w Aleje Jerozolimskie, za nią jedno, dwa, trzy, cztery auta. Uf, zdążyli. X6 tym razem szykował się do zjazdu w prawo, w Bracką.

– Oczywiście się zgodziłem – podjął opowieść kierowca. – A ta spryciara... podaje mi jabłko. Ale mnie wkurzyła!

SUV Zachara wjechał na parking na środku placu Trzech Krzyży i zaparkował obok wietnamskiego baru, który dwie dekady temu był miejskim szaletem oraz centrum schadzek dla gejów. Przystanęli przy chodniku, obserwując, co dalej.

Znajoma, pękata sylwetka w płaszczu i cyklistówce wysunęła się z bmw, które zastawiło wyjazd trzem innym wozom. Zacharewicz się przeciągnął, a potem odwrócił do zbliżającego się „parkingowego”. Rzucił mu kilka monet i wręczył kartkę, na której coś nabazgrał. Następnie skierował się na drugą stronę placu, w okolice restauracji Magdy Gessler i firmowego sklepu z garniturami Ermenegildo Zegna.

– Okrąż plac i wróć za dziesięć minut w to samo miejsce – polecił Bartek, sięgając do klamki.

– To będzie kosztowało dodatkowe...

– Nie bądź pazerny – uciął, zatrzasnął drzwi.

Przebiegł przez jezdnię w miejscu niedozwolonym, kierując się na parking. Pomacał spoczywające w kieszeni dżinsów banknoty. Mało tego zostało. Pięć tysięcy od Zachara, po zatankowaniu golfa, opłaceniu elektryczności i zaległego czynszu za biuro oraz łapówki dla znajomka z telekomunikacji, a także obiadu z Lichockim, stopniało do niecałych dwóch. Albo trzeba zamykać to zlecenie, albo zacząć żyć oszczędniej.

– Policja! – huknął na „parkingowego”. – Pokaż mi tę kartkę.

Opalony niczym po wakacjach w Saint-Tropez facet, któremu wystająca dolna warga nadawała nieco głupawy wygląd, wcale głupolem nie był.

– A mnie tam wali, czy pan glina czy papuga – odparł ze spokojną godnością. – To prywatna korespondencja. Bez nakazu nie pokażę.

Koneckiemu opadły ręce. Forsa, forsa, forsa. Wszyscy tylko wyciągali do niego ręce.

– Oto nakaz. – Wręczył mu dziesięć złotych. – I ani mru-mru tamtemu. Mam cię na oku.

Chwilę później wbijał sobie do głowy dziewięć cyfr – numer prywatnej komórki Zachara.

Może podłączę do niej MobileSpy?

Zygmunt Zacharewicz zabawił u Zegny pół godziny. Wyszedł z dużym, płaskim pakunkiem, skrywającym prawdopodobnie garnitur.

Ruszyli dalej. Tym razem Książęcą w dół, a potem w lewo na Powiśle. Czarne bmw zatrzymało się w jednej z dochodzących do Tamki uliczek, pod szyldem z napisem „Lombard”. Ochroniarz w drzwiach wyprężył się na baczność, Zachar protekcyjnie poklepał go po ramieniu.

Bartek został w taksówce. Opadły go wątpliwości. To zbyt zawikłana sprawa jak na jednego człowieka, w dodatku bez żadnych uprawnień do prowadzenia śledztwa. Taksówkarz głądził o klientach pieprzających się na

tylnym siedzeniu, obrzygujących mu tapicerkę lub – o zgrozo! – usiłujących wejść do kabiny z psem. Nie słuchał go. Zastanawiał się, czy sobie nie odpuścić. Co w tym niezwykłego, że właściciel sieci lombardów kupuje markowe ciuchy i pilnuje biznesu?

Nagle strasznie zachciało mu się zapalić. A w następnej chwili zatęsknił za bezpiecznym, ogłuszającym kokonem, którym otuliłaby go tabletką alpraksu. Nie brał nic od prawie tygodnia...

– O, wyszedł! To jak? Za nim? – ożywił się kierowca.

– Dobra, przejedźmy za nim jeszcze kawałek – odpowiedział z wahaniem.

Most Świętokrzyski. Wysoki pylon, a za nim w prawo w kierunku mostu Poniatowskiego. Dalej prosto wałem Miedzeszyńskim obok Stadionu Narodowego. Most Łazienkowski, Siekierkowski... Gnali teraz biegnącą wzdłuż Wisły dwupasmówką ku przedmieściom. X6 przyspieszył, prius za nim nie nadążał. Może to i lepiej? Ruchu prawie nie było, byłego nadkomisarza policji z pewnością w końcu zaniepokoiłaby ta taksówka.

Na wysokości hal filmowych ATM Studio, których ciemna bryła piętrzyła się po lewej stronie, stracili go z oczu.

– Skubany! Leci ze sto sześćdziesiąt! – Taryfiarz nie krył podziwu. – No i co teraz?

Właśnie – co teraz? Konecki nie wiedział. Czuł się zniechęcony bezowocnie straconym czasem, upokorzony porannym zajściem, bezsilny.

– Dojeżdż do ronda w Otwocku i zawracaj – postanowił. – Chyba że po drodze zobaczymy go gdzieś na poboczu.

Nie było już sensu się ścigać. Wlekli się przepisową siedemdziesiątką, mając po prawej wał przeciwpowodziowy, który skończył się po paru kilometrach, ustępując miejsca lokalnej, biegnącej wzdłuż szosy uliczce.

Sklep rowerowy, za nim ogrodnicy, magazyn budowlany,

McDonald's... – leniwie rejestrował Bartek.

Nagle podskoczył. Na parkingu pod restauracją zobaczył X6.

– Jest tu! Zawracaj.

Wykonanie tego manewru zajęło im kilka minut. Byli przecież na dwupasmówce. W końcu jednak taryfa wjechała na podjazd obok ogromnej kukły pajaca i zabudowanej zjeżdżalni.

Bartek nie mógł wejść do środka, bo od razu zostałby rozpoznany. Ale od czego są szyby? Wprawdzie przyciemniane, ale po przyłożeniu czoła dało się jakoś tam zajrzeć. Więc zajrzał. Obszerne wnętrze, lada z terminalami do przyjmowania zamówień, obok część kawiarniana. Stoliki, sofy, wysokie blaty z komputerami. Kilkoro dzieci młóciło na nich grę Angry Birds i pogryzało frytki. Tylko gdzie, u licha, podział się Zacharewicz? Konecki wypatrył go po dłuższej chwili, siedzącego po drugiej stronie sali. Mały stolik, dwie kawy. Obok jakiś facet. Jakby znajomy... Były podkomisarz włożył okulary OTP, zdjął kurtkę, naciągnął na głowę kaptur dresowej bluzy. Nie miał złudzeń: jeśli Zachar podniesie na niego wzrok, natychmiast go rozpozna. Żeby to utrudnić, obszedł restaurację w takim kierunku, by zejść go od strony pleców.

Zerwał się wiatr, który natychmiast przeniknął go na wskroś. Skulił się, wbił ręce w kieszenie, ściskając pod pachą zrolowaną kurtkę. Mocniej nasunął kaptur. Przez szybę widział już z bliska masywne, nachylone plecy Zacharewicza. Skoncentrował wzrok na twarzy jego rozmówcy. Z kim ten szemrany lichwiarz postanowił osobiście spotkać się na takim odludziu? Szyba odbijała chmury, które pojawiły się na niebie, i jakiegoś latającego zygzakiem kruka. Twarz przy stoliku wciąż była niewyraźna, zamglona odbiciem nieba. Bartek zwolnił i wbił w nią wzrok. Rzadkie czarne włosy przetykane siwizną, upięte w kucyk. Brązowe tęczęwki oczu, śniada cera i krótko przystrzyżony zarost – już zupełnie siwy. Siateczka zmarszczek pod dolnymi powiekami, trzy głębokie bruzdy na czole. Facet się zmienił przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, postarzał. Jednak Konecki i tak bez

trudu go rozpoznał. Zbyt długo minionej nocy wpatrywał się w jego zdjęcia zrobione po zatrzymaniu przez aspiranta Norberta Pałuchę. To był Jacek Wasilewski.

Warszawa. Październik 1992

Ile czasu siedział już w tym pokoju? Godzinę, dwie, trzy? W pomieszczeniu bez okien, na niewygodnym krześle, w oparach tytoniowego dymu wydychanego przez tamtych dwóch. Każda komórka jego ciała, każdy boleśnie napięty mięsień wrywały się, by wreszcie się stąd wydostać. Nie mógł uwierzyć, że to naprawdę koniec. Nie jest już błyskawicznie awansującym, docenianym przez przełożonych gliną. Nie ma blachy dającej poczucie siły i przynależności do tych, którzy podporządkowują sobie całą resztę. Po wydaleniu z policji za rzekomo spartaczone śledztwo i postawieniu zarzutów o korupcję czuł się nikim. Ukrył twarz w dłoniach, płakał. Resztką sił bronił się, by nie zrobić tego, do czego nadkomisarz Zacharewicz i jego przyboczny właśnie go namawiali.

– Przyznaj, że sprzedałeś się Orionowi! – już chyba po raz setny darł mu się do ucha oficer Wydziału Wewnętrznego. – Wzięłeś bakszysz za wyczyszczenie mu zeznań! Przecież dorwaliśmy cię na gorącym uczynku!

Pałucha przestał już nawet wstydzić się ciekających po policzkach łez. Był wrakiem człowieka. Dawno przestał się czuć jak Brudny Harry. Tamto to była tylko maska, którą brutalnie zerwano mu z twarzy i wdeptano w glebę. Co bez niej z niego zostało?

Wiedział jednak, że jeśli ulegnie, jeśli dla świętego spokoju podpisze przyznanie się do winy – pójdzie siedzieć. Będzie byłym gliniarzem zamkniętym pod celą z kryminalistami. Trudno sobie wyobrazić czarniejszy scenariusz. W milczeniu pokręcił więc głową. A potem jęknął:

– Nikomu się nie sprzedałem. To wszystko... – Spróbował zebrać

myśli, ale czuł się potwornie zmęczony. – To jakaś koszmarna pomyłka. Nigdy nie przyjmowałem od niego pieniędzy. Wrobiono mnie w tę łapówkę.

Znów zwiesił głowę. Zacharewicz i drugi przesłuchujący go glina krążyli wokół jak hieny. Niby przypadkiem popiół z ćmionych cały czas papierosów spadał na jego koszulę i garniturowe spodnie. Norbert nie mógł się pozbyć niewygodnego wrażenia, że lada chwila ktoś mu zhartuje kiepa na karku. Kulił się, słysząc za sobą ich kroki.

– Wystękać wreszcie przyznanie się do winy. Wyrzuć to z siebie i oszczędź nam wszystkim trudu. Podoba ci się w tej piwnicy? Naprawdę? Nie wolałbyś wyjść na świeże powietrze?

– Ktoś to wszystko ukartował, żeby mnie skompromitować. Żeby ukrećić łeb sprawie Wasilewskiego i...

Uderzenie z otwartej w tył głowy. Niezbyt mocne, ostrzegawcze. Jednak Norbert i tak omal nie zwałił się z krzesła. Zaczął się trząść na całym ciele. Nie potrafił tego powstrzymać. Tamci dwaj zarechotali.

– Takiej sprawy już nie ma, palancie! – W głosie Zacharewicza brzmiała kpina. – Twoje chore ambicje zaniósły cię na zwyczajną męską imprezę. Chłopcy może trochę przesadzili, ale nic by się nikomu nie stało, gdybyś się nie wmieszał.

– Męska impreza? To był zbiorowy gwałt! – wykrzyczał przez ściśnięte gardło.

Zacharewicz pochylił się tak, że ich twarze znalazły się na jednym poziomie. W kąciku ust policjanta tlił się papieros. Dym szczypał Norberta w oczy. Zachar miał ciężki, zły wzrok. Z każdą chwilą Pałucha bał się go coraz bardziej. Próbował cofnąć głowę, ale łapa drugiego gliniarza mocno trzymała go za kark.

– Gwałt? – prychnął Zachar. – Jaki gwałt? Ta twoja niby uratowana dziewczyna, Sandra Konopko, nie chce składać doniesienia o popełnieniu

przestępstwa. A nawet w ogóle odmówiła składania zeznań.

– Ktoś ją zastraszył!

– To raczej ty próbowałeś zastraszyć niemieckich gości i ich przewodnika, strzelając im z pepeszy nad głowami!

– Ten Wasilewski to menda, która urządza dewizowcom polowania na dzieci!

– Masz na to jakiegokolwiek dowody?

– Przyznał się... – wybąkał bez przekonania Norbert.

Śmiech tamtych dwóch omal nie rozsadził mu uszu.

– A masz to na piśmie?

Skulił się jeszcze bardziej. I nagle coś mu przyszło do głowy.

– Wystarczy przycisnąć strażników z tej rzeźni! – zawołał. – Sto procent, że rozpoznają Krystynę Talko! Wasilewski na pewno ją tam przyprowadził na początku lipca.

– Przycisnąć, mówisz? – zasyczał Zacharewicz. – Chyba cię pojebało, człowieku. Jednego już przyciskałeś. Tak, że aż sam się postrzelił. Ciesz się, że wyżyje. Inaczej doklepalibyśmy ci jeszcze nieumyślne pozbawienie życia.

– Sam się postrzelił?! To wspólnik Wasilewskiego do niego wypalił!

– Strażnik zeznał inaczej.

– Gówno prawda!

– Gówno to zrobimy z ciebie, jeśli nie podpiszesz nam w końcu zeznania. No! Albo się przyznajesz, albo cię zaraz przywiążemy za chuja do kłamki. Wybieraj.

Warszawa. Listopad. Środa

Ponownie siedział w golfie zaparkowanym na Świętojerskiej i zachodził w głowę, co ma teraz zrobić z całym tym szajsem. Było południe, jego kieszeń odchudziła się od rana o całe dwie stówki, a do tego zmieniała się pogoda. Wiatr podnosił opadłe liście, ciskał piaskiem po oczach, wywijał piruety z plastikowymi torebkami po zakupach. Ale to nic. Wasilewski i Zacharewicz. Znów razem, chciałoby się powiedzieć. Pierwszego wygooglował jeszcze w taryfie, podczas powrotnego kursu do miasta. Dawny pilot zagranicznych wycieczek był teraz producentem filmowym i telewizyjnym. Grubą rybą, jak wyraził się kaskader Zbyszek, gdy Konecki do niego zadzwonił. To jeszcze nie wszystko. Najlepsze, że właśnie Wasilewski był tym mentorem roztaczającym opiekę nad Stokrocką.

– Czemuś nie spytał o to wtedy, kiedy żeśmy mrozili tyłki pod mostem? – dziwił się Zbynek. – Bym ci od razu powiedział i oszczędziłbyś czas.

No właśnie, dlaczego? Te cholerne benzodiazepiny chyba wyprasowały mu mózg.

Wasilewski, rzecz prosta, to jego tajemniczy zleceniodawca. Podtusiały bogacz pragnący się upewnić, czy jedna z klaczek w jego stajni jest mu wierna. To jeszcze nic niezwykłego. Niczym dziwnym nie było też to, że do prywatnego detektywa nie pofatygował się osobiście, lecz skorzystał z pośrednictwa zaufanego człowieka. Jest pewnie osobą znaną, rozpoznawalną, nie musiał wiedzieć, że Konecki to młot, który nie ogląda *M jak miłość* ani nie wchodzi na Pudelka.

Zagadkowe było natomiast to, że ze swoją poufną sprawą udał się do byłego gliniarza, który ćwierć wieku temu uratował mu tyłek. Aż tak się wówczas zaprzyjaźnili? A może już wtedy dobrze się znali? Do tej pory Konecki zakładał, że w 1992 roku Jacek Wasilewski i jego niemieccy koledzy po prostu znaleźli dojście do przekupnego, postawionego odpowiednio wysoko gliniarza i grubo posmarowali. Ten udupił kolegę, skręcił śledztwo, a potem pa, czółko, koniec interesu. A tu proszę. Dwadzieścia pięć lat później koleś idzie ze swoim sercowym problemem do tego samego faceta. Ciekawe, co ich naprawdę łączy? I jeszcze jedno. Jeśli chodziło tylko o założenie głupiutkiej lasce ogona, czemu nie zajął się tym osobiście Zachar? Albo nie wziął do tej roboty któregoś ze swoich ludzi – bo chyba można założyć, że takich ma? No i ostatnia sprawa. Czy w tym wszystkim naprawdę chodzi wyłącznie o zranione uczucia?

W tym momencie coś mu przyszło do głowy. Czesław Łyko! On może być kluczem do wyjaśnienia tej historyjki. Bartek mógłby się założyć, że wycinki, które dziennikarz przekazał Stokrockiej, dotyczyły sprawy zabójstwa Krystyny Talko z 1992 roku. A więc piękna Amelia z jakiegoś powodu interesuje się tamtą starą zbrodnią. Być może to właśnie jej ciekawość złączyła po latach dwóch starych kompanów. Jej samej Konecki zapytać nie mógł. Jego, przy zachowaniu odpowiednich środków ostrożności, już tak.

Przekręcił kluczyk, ale z silnika dobiegło tylko metaliczne stukanie. Odczekał, wziął kilka wdechów.

Nie psuj się teraz. To zły moment.

Jeszcze raz. Skowyt rozrusznika, klekotanie tłoków i... Wreszcie! Z rury wydechowej wystrzelił czarny kłęb sadzy, który niczym zasłona dymna przykrył spory fragment Świętojerskiej.

No to skręt w Ciasną i dalej. Do biura. Korka nie było, szybko więc wypadł na Wisłostradę. Telefon przy uchu. Żeby tylko Lichocki odebrał! Po piątym sygnale wreszcie znajomy głos:

– Czego? Na razie pytam grzecznie.

– Jarek, mam prośbę...

– Tylko nie Jarek! Januaryy jestem.

– Ustal mi, byle na cito, warszawski adres faceta, który się nazywa Czesław Łyko.

– A co ja jestem? Biuro numerów? Słyszałeś w ogóle o czymś takim jak ustawa o ochronie danych osobowych?

– To gość po sześćdziesiątce, emerytowany dziennikarz, mieszka gdzieś... – przez sekundę analizował w pamięci trasę autobusu numer 520 – w Centrum lub na Żoliborzu.

Pięć minut później, po wysłuchaniu pod swoim adresem kilku słów obelżywych i co najmniej jednej groźby karalnej, miał już zamiar. Ulica Duracza. Kojarzył ją dobrze, bo zaczynała się zaraz za komendą rejonową przy Żeromskiego 7, w której wielokrotnie bywał. Zostało więc jeszcze tylko przygotować się do rozmowy.

Zaparkował na Grochowskiej, dokładnie pod wejściem do Las Vegaz. Ochroniarz chciał chyba zwrócić mu uwagę, żeby nie zastawiał lokalu, ale w pół kroku zrezygnował. W ogóle od czasu pamiętnej wizyty Zachara chłopak okazywał mu więcej respektu. Co by o nim nie mówić, Zacharewicz miał jednak pozytywny wpływ na niektórych ludzi.

Bartek wszedł do biura, starannie ominął spojrzeniem szufladę z ledwie napoczętym opakowaniem alpraksu, włączył komputer, drukarkę i laminator. Kiedy parzyła się kawa, wyszukał w internecie wzór legitymacji policyjnej, skopiował i przeniósł do Photoshopa. Tam wymazał napisy „wzór”, zastąpił zdjęcie jakiegoś pajaca z biura prasowego komendy głównej swoim i puścił na kolorową drukarkę. Awers i rewers.

Siorbnął kawy, starannie wyciął, wygrzebał w szpargałach w dole biurka klej i zlepił oba wydruki, usztywniając przyciętą pod wymiar tekturką. Potem zafoliował w laminarce, wygładził ostre brzegi. Gotowe.

Legitymacja na kilometr śmierdziała fałszywką. Nic to. Może wystarczy na tego pismaka.

Golf nie odpalił. Przeklęty szrot! Konecki walnął piąchą w kierownicę, a potem wysiadł i przywalił mu jeszcze w przednie koło z kopa. I co teraz? Ma się tam tłuc tramwajem?

W tym momencie dostrzegł ochroniarza ćmiącego papierosa na chodniku.

– Ej, kolego! Podejdz no z łaski swojej.

Napakowany młodziak niechętnie oderwał się od fasady salonu gier. Nie był taki durny. Czuł pismo nosem.

– Jak ty właściwie masz na imię?

– Piwoń. A bo co?

– Piwoń, jak?

– Krzysztof Piwoń.

– Bardzo ładnie. Słuchaj, Krzysiu, jest robota dla silnego chłopaka.

– Robota? – Blondyn nieufnie przestąpił z nogi na nogę.

– Trzeba mnie popchnąć. Silnik nie chce zaskoczyć.

– Ale to przecież diesel. Rozrząd można rozwalić.

Konecki miał dość tych pogaduszek. Zrobiła się pierwsza, rozwiewało się coraz bardziej, tylko patrzeć, jak lunie i miasto stanie sparaliżowane.

– Słuchaj, Piwoń – porzucił przyjazny ton. – Jakbym szukał porady mechanika, tobym zadzwonił do Złomeksu. No, dawaj! Powinien zaraz odpalić.

Trzeba przyznać, że Krzysztof Piwoń miał krzepę. Napał na tył golfa i pchnął tak, że Konecki tylko zdążył wrzucić dwójkę, puścić sprzęgło i już z powrotem miał napęd. Pomachał ochroniarzowi ręką przez otwartą szybę i zostawił go na środku małej uliczki biegnącej wzdłuż Grochowskiej, całego pokrytego sadzą.

Duracza. Czteropiętrowy blok, drugie piętro, kręczone schody. Na dole

domofon, ale drzwi od klatki schodowej niedomknięte. No to w górę.

Czy zastanę go w domu?

Bartkowi nie uśmiechało się kiblowanie pod blokiem Łyki w taki ziąb, do tego w aucie, którego silnik nawala.

Ale co emeryt może robić w taką pogodę, jak nie siedzieć sobie w bamboszach przed telewizorem?

Ding-dong. Szur, szur. W szparze drzwi za łańcuchem ukazało się znajome oblicze redaktora.

– Arkady Wodecki? – Krzaczaste brwi dziennikarza wygięły się w dwa łuki, którym strzelistości mógłby pozazdrościć nawet szyld McDonald'sa.
– Jak mnie pan, na miłość boską, znalazł?

Łańcuch w drzwiach wciąż pozostawał napięty, oczy Łyki łypały podejrzliwie.

Zaraz mi zamknie te cholerne drzwi przed nosem.

– Nie jestem Wodecki, nazywam się komisarz Szam-pam Fyfnowski – specjalnie zaseplenił, żeby nie podać tamtemu żadnego konkretnego nazwiska, które można by sprawdzić. – Krótko mówiąc, policja.

Na kilka pikosekund podsunął mu pod sam nos (Łyko był bez okularów, Konecki liczył na jego starczą nadwzroczność) pachnącą wciąż zgrzewaną folią blachę.

– Policja? – W oczach redaktora Czesława zapaliły się ogniki niepokoju. – Czego może chcieć ode mnie policja?

– Komenda Główna, Biuro Śledcze – dorzucił dla większego efektu Bartek. – Czy możemy porozmawiać wewnątrz? Po co niepokoić sąsiadów...

Zgrzyt, brzdęk. Łańcuch zwiśł, drzwi stanęły otworem. Przyczółek zdobyty.

– Kawy? Herbaty? – Łyko bezradnie zadreptał po przedpokoju.

– Darujmy sobie te cegiele, redaktorze – oficjalnym tonem zadudnił

Konecki. – Gdzie pan był w miniony czwartek między godziną siedemnastą a osiemnastą trzydzieści?

Łyko lekko się przygarbił, jakby plecy przycisnął mu niespodziewany ciężar, ale – trzeba mu przyznać – starał się nie tracić rezonu:

– Przecież pan wie, komisarzu. Śledził mnie pan.

– Do rzeczy, panie redaktorze.

– Byłem w Promenadzie, na spotkaniu z pewną damą... – Zająknął się.

– Doceniam, że nie chce pan zdradzić jej nazwiska. – Konecki postanowił go dla odmiany połechtać.

Klasyczna kanapka, stara, ale skuteczna broń śledczych. Ostro, a potem zaraz miękko. Inwektywa–komplement. Kij i marchewka. Najlepiej wychodziło to we dwóch. Dobry i zły glina. Konecki nie miał jednak partnera. Tkwił w tej sprawie samotny jak palec w... Mniejsza o to, w czym.

– Jest pan dżentelmenem, imponuje mi to – kontynuował, patrząc, jak Łyko puchnie niczym ciasto drożdżowe. – Wybawię więc pana z kłopotu. Spotkał się pan z Amelią Stokrocką. Czy to ona pierwsza się z panem skontaktowała?

Łyko skwapliwie pokiwał głową.

– Napisała do mnie kilkanaście dni temu na Facebooku. Podała swój telefon. Zaintrygowała mnie, w końcu to postać ze szklanego ekranu... Oddzwoniłem.

„Szklany ekran”. Cóż za wyszukane słownictwo. Ciekawe, czy te dzisiejsze hieny, które pracują jako dziennikarze, zrozumiałyby, o co chodzi.

– I?

Dziennikarz się zawahał.

– Nie wiem, czy powinienem zdradzać... To bardzo osobiste...

Pora przełożyć kanapkę.

– Może mi pan to powiedzieć prywatnie teraz. Lub do protokołu w obecności prokuratora, na komendzie – syknął.

Łyko wciąż się wahał.

– Prowadzicie w jej sprawie jakieś śledztwo? A może wznowiliście tę sprawę sprzed lat?

– Obowiązuje mnie tajemnica służbowa! – odrzekł oschle Konecki, ale zaraz znów przełożył kanapkę. – Ale podziwiam pańską przenikliwość.

Emeryt aż sapnął z zadowolenia.

– A więc jednak Pałucha nie kłamał.

Pałucha. Serce zabiło mu szybciej.

– Ma pan z nim kontakt?

Starszy pan zdecydowanie pokręcił głową.

– Widziałem go tylko raz. W 1992 roku, w redakcji „Życia Warszawy”. Nigdy więcej się ze mną nie kontaktował.

– Dobrze, zostawmy go. Co z tą Stokrocką?

– Była bardzo tajemnicza. Powiedziała, że ktoś podał jej moje nazwisko. Że niby jestem osobą, która zna szczegóły śledztwa w sprawie zabójstwa tej biednej Krysi Talko.

– I? – Zadawanie jednosylabowych pytań wyraźnie wchodziło Bartkowi w krew.

– I przekazałem jej swoje wycinki z dawnymi artykułami na ten temat. Tam jest wszystko. Albo nic – dodał filozoficznie.

– Dlaczego Amelia Stokrocka interesuje się tą sprawą?

– Nie mam fiołkowego pojęcia, komisarzu.

Konecki podziękował, wstał, zapisał numer telefonu Czesława Łyki na wypadek, gdyby miał więcej pytań. Starannie ukrywając swoje rozczarowanie nic niewnoszącą rozmową, bardzo stanowczo podkreślił, że ich spotkanie było poufne i informowanie o nim osób trzecich, w szczególności Stokrockiej, byłoby przestępstwem.

– To nie Ceglarczyk zamordował, prawda?

Stary redaktorek najwyraźniej wciąż był w niezłej formie.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. – Bartek po raz pierwszy w życiu użył tego wyświechtanego zwrotu.

Komisarz Bończak byłaby ze mnie dumna – pomyślał.

Warszawa. Kwiecień 1993

Stał na szczycie korony Stadionu Dziesięciolecia, odwrócony plecami do zdewastowanych ławeczek widowni. Nie spuszczał z oczu swoich skarpetek. Zeszłej niedzieli jakieś cwaniaki podprowadziły mu aż dziesięć par – skończył handel stratą.

Czarne, białe, szare, różowe. W prążki, w paski, kwadraty, trójkąty i romby. Z Myszką Miki, serduszkami i oczywiście z napisami Reebok, Adiddas oraz Love. Wietnamska tandeta spod jednej sztancy. Pan Rysio, który sprowadza z Azji towar lotniczym cargo, dawał mu to w komis. Tylko ile można zarobić na skarpetkach? Gdyby handlował tureckimi džinsami i swetrami albo chociaż T-shirtami i majtkami z Tajlandii, może wyszedłby na swoje. Niestety, pan Rysio uważał go za marnego sprzedawcę. Musiał się więc zadowolić stoiskiem na rozkładanym, połowym łóżku i nędznym asortymentem.

Były aspirant Norbert Pałucha sięgnął do kieszeni ortalionowej kurtki, zbyt cienkiej jak na początek wiosny, wyjął paczkę kupionych od Ruskich papierosów Prima, wyłuskał jednego i mocno się zaciągnął. Krótko, przesywająco zaboląła go głowa, ale ból zaraz przeszedł.

Diabli wzięli wymuskany wygląd i zdrowy styl życia. Wszystko diabli wzięli, całe jego życie. Bo czy można nazwać życiem tę egzystencję? Pałucha rozejrzał się wokół. Po lewej gruba handlarka, pani Hela, sprzedawała z turystycznego stolika czekoladę z okienkiem z niemieckiego Lidla, soki w plastiku i piwo w puszkach, rzadkie jak małpie szczyny. Po prawej stał namiot z girlandami biustonoszy i kilkoma półkami włoskich butów rodem z Neapolu. Jego właścicielka Justyna narzekała, że te ostatnie

słabo schodzą, bo wśród klientów się rozeszło, że miesiąc temu miała partię butów trumiennych – z tekturowymi podeszwami. Po pierwszym deszczu zalała ją fala reklamacji, których oczywiście nie uwzględniła, i teraz co złośliwsi przezywali ją Trumienka albo wręcz Kostucha.

Życie. Jego życie. Odebrano mu sprawę i wywalono z policji za samowolne działania oraz ignorowanie istotnych dowodów. Do diabła! Lepiej już było przyjąć pieniądze proponowane przez Wasilewskiego. A tak... stracił wszystko. Baśka odeszła. Nawet z nim nie porozmawiała. Wiadomość, że zrywa zaręczyny, przekazał mu lokaj. Kopnęła go w tyłek, zanim jeszcze Zacharewicz zdążył mu załatwić degradację i dyscyplinarkę. Podobno tatuś jej powiedział, że jednak postawiła na złego konia, a to psuje mu wizerunek w świecie biznesu. Potem było już tylko gorzej. Został bez kasy, bez dochodów, za to ze sprawą karną na karku. Jedyna pociecha, że jednak nie pękł do końca w czasie przesłuchania. Podpisał wprawdzie zeznanie, w którym przyznawał się do naciągania wyników śledztwa w sprawie śmierci Krystyny Talko i preparowania dowodów. To wystarczyło, żeby wylecieć dyscyplinarnie z policji. Jednak starczyło mu resztek siły woli, żeby nie przyznać się do czegoś gorszego – współpracy z Orionem. Niewiele brakowało, żeby dał się złamać Zacharewiczowi, ale jeszcze bardziej niż tego typu Pałucha bał się więzienia. I choć prokurator wysmażył w końcu akt oskarżenia, Norbertowi szczęśliwie trafił się sensowny sędzia, który przedstawione przez Wydział Wewnętrzny dowody, mające świadczyć o tym, że przyjął łapówkę od bandyty, uznał za mocno naciągane. Wątpliwości zostały rozstrzygnięte na korzyść oskarżonego. Pałucha nie został skazany. Tyle że bez odznaki był nikim.

Nie umiał się z tym pogodzić. Jeszcze latem wróżono mu wielką karierę, a teraz musiał łaścić się do pana Rysia o choćby ciut lepszy towar.

Spojrzał przed siebie. Naprzeciw stali Ruscy, czyli Czeczeńcy. Wymuskane dresiki, łańcuchy z tombaku na szyi i nadgarstkach, ciemne okulary z wielkim napisem Gucci. Z turystycznego stolika handlowali

papierosami, a spod stolika – wódką. Wszystko tanie, eleganckie, bez akcyzy. W razie gdyby napatoczył się jakiś patrol, mieli przy bramie chłopaka zaopatrzonego w komórkową motorolę wielkości dobrze utuczonej cegły, który dzwonił z ostrzeżeniem. Czeczeni w pół minuty zwijali stragan do wielkich toreb „marsylianek” i posyłali nadchodzącym policjantom życzliwe, złociste uśmiechy. Taka to technika królowała teraz w handlu.

Norbert się wzdrygnął. Kiedy wreszcie nadejdzie prawdziwa wiosna? Po koronie stadionu hulał wiatr, szarpiąc materiałem namiotów, podrywając folie chroniące przed deszczem wyłożony na łózkach i stolikach towar, bujając girlandami biustonoszy.

Równie mocno jak utrata pracy bolało go to, co zrobili z jego sprawą. Zacharewicz i jego przydupasy – nadkomisarz Chałka i sierżant Ława – oczyścili Wasilewskiego oraz Niemców z podejrzeń o morderstwo Krystyny Talko, a na zabójcę tej piętnastolatki wytypowali pierwszego z brzegu kolesia, którego nazwisko przewijało się w sporządzanych przez Pałuchę raportach z wyprawy do Kalisza. Janusz Ceglarczyk. Mrukliwy anarchista i punkowiec z krościatą gębą i pióropuszem na głowie. Idealnie im pasował na kozła ofiarnego. Ponoć po przesłuchaniu przez Zacharewicza na całym ciele miał ranki po oparzeniach papierosami, a jaja sine jak śliwki. Potraktowali go znacznie ostrzej niż Norberta. Nic dziwnego, że się przyznał i złożył obszerne wyjaśnienia, jak to rzekomo ukradł w okolicach Jarocina mercedesa należącego do Jacka Wasilewskiego (co w tamtym rejonie robił Wasilewski, nikt nie pytał – przecież to nie przestępstwo jeździć sobie po kraju), a następnie uprowadził, zgwałcił i zamordował autostopowiczkę, porzucając jej ciało w Warszawie. Butelkowitzelonej „beczki” nigdy nie odnaleziono. Ekspertyza doktora Kaliny z otwarcia zwłok, informująca, że w ciele denatki znaleziono nasienie należące do kilku mężczyzn, gdzieś się „zawieruszyła”.

Skończył papierosa i zdeptał niedopałek. Czeczeńcy z naprzeciwka patrzyli na niego z nieskrywaną ironią. W ich palcach dymiły marlboro, krążył też plastikowy kubek, do którego polewali Stoliczną.

Norbert Pałucha początkowo trochę się buntował. W policji i prokuraturze nikt nie chciał z nim gadać. Tam był spalony, przyklejono mu łatkę łapówkarza. Wprawdzie w resorcie brali w łapę niemal wszyscy, ale brać a dać się złapać – czyniło wielką różnicę. Poszedł więc do mediów. A konkretnie do dziennikarza, który od początku pisał o sprawie Krysi Talko. Reporter „Życia Warszawy” Czesław Łyko miał opinię nieprzejednanego tropiciela kryminalnych zagadek. Kiedy Pałucha przeczytał jego artykuł o zakończeniu śledztwa i wytypowaniu na oskarżonego Janusza C., odwiedził dziennikarza w nowej redakcji, przeniesionej z Marszałkowskiej 1 do dawnego kina Klub przy Trasie Łazienkowskiej. Usiedli w barku, zamówili lurowatą kawę z ekspresu przelewowego i Norbert krótko streścił mu swoją wersję wydarzeń.

– Nie mogę tego opublikować – powiedział po dłuższym namyśle Łyko. – Nie ma pan dowodów, więc rzecznik prasowy Komendy Stołecznej wytoczyłby mi sprawę o szkalowanie funkcjonariuszy policji.

– To może pojedzie pan do zakładu karnego pogadać z tym Ceglarczykiem? – zasugerował Pałucha.

– Po co? – Dziennikarz wzruszył ramionami. – Wiadomo, że powie, że jest niewinny. Więzienia są pełne niesłusznie skazanych.

– Myślałem, że zadaniem prasy jest przedstawianie stanowiska różnych stron – syknął Pałucha. – Nie tylko wersji oficjalnej.

Czesław Łyko podrapał się po głowie.

– No... niby tak – zgodził się ostrożnie. – Zapytam naczelnego, czy da mi delegację. A poza tym...

Pałucha zawisł wzrokiem na jego mięsistych ustach.

– Mogę zadać na łamach gazety kilka niewygodnych pytań.

W następnych wydaniach „Życia Warszawy” na odległych miejskich kolumnach pojawiły się krótkie wzmianki na temat procesu Janusza C. i ubrane w dyplomatyczne słowa wątpliwości co do kierunku i wyników śledztwa. Pojawił się nawet mały wywiadzik „z mordercą”, w którym Janusz C. przysięgał zza krat, że został wrobiony w morderstwo. Artykuliki przeszły jednak bez echa. Nikt z przedstawicieli policji nie pokwapił się nawet, żeby je skomentować. Czytelnicy nie potrzebowali tych dywagacji. Sprawca ohydnej zbrodni został aresztowany i oskarżony. Dodajmy – sprawca budzący u większości praworządnych obywateli głęboką niechęć. Ceglarczyk nie uczył się, nie pracował, nie poszedł do wojska. Śmieć, który trafił tam, gdzie jego miejsce.

Norberta znów zabolęła głowa, sięgnął więc po kolejnego papierosa. Czeczeni stojący po drugiej stronie alejki coś do siebie poszeptali, po czym jeden z nich nalał plastikowy stakańczyk do połowy i podszedł z nim do Pałuchy.

– Na zdrowie! My toż bywsze siłowiki.

To, że rozpoznali w nim dawnego pracownika organów ścigania, lekko mu zaimponowało. Miał ostatnio spore problemy z podtrzymaniem resztek zdruzgotanej samooceny. Skinął głową, przyjął kubek i wypił jednym haustem. Ból znów minął.

Warszawa. Listopad. Środa

Tym razem golf na szczęście zapalił od razu. Konecki, wciąż przeklinając pod nosem stracony czas, skręcił w Żeromskiego, a następnie skierował się w stronę mostu Grota. Przez moment zdawało mu się, że widzi we wstecznym bryłę beemki. Przyspieszył, zwolnił. Żadna X6 go nie śledziła. Może mu się zdawało? Wtedy sobie przypomniał, że po rozmowie z Lichockim zapomniał wyłączyć telefon. Cholera, za dużo błędów! Sięgnął po komórkę, omal nie wjeżdżając w bok autobusu. Wyłączył, choć było już po ptokach. Tamci mogli już mieć zamiar na Czesława Łykę. Ze złością rzucił smartfona na siedzenie pasażera.

Tamci? Czy w ogóle są jacyś tamci? Może zaczynam mieć paranoję?

Dojazd do mostu był już koszmarnie zakorkowany. W dodatku zaczęło padać. Zrobiło się ciemno, mglisto, uliczne latarnie zapłonęły zimnym światłem. Chyba godzinę zajęło mu przejechanie mostem na Pragę. Z ulgą wydostał się z galimatiasu pojazdów wlokących się na Tarchomin i Bródno, a potem zjechał ślimakiem na Jagiellońską, bacznie obserwując w lusterku auta za sobą. Cała masa ksenonów. Teraz to przecież standard. Ale tych, których szukał, nie rozpoznał.

Długą prostą pociągnął aż pod most kolejowy, a potem łukiem obok Wisły do zoo. Gdzieś tu, po prawej, była dyskoteka, pod którą na początku roku oglądał trupa didżeja Krystiana. Lekko się wzdrygnął na to wspomnienie.

Przed mostem Poniatowskiego znów wpadł w korek. Dusił się w nim aż do samego Goławia. Zmęczony, wytrącony z równowagi, zaparkował pod apartamentowcem Stokrockiej. Dopiero wtedy znów włączył telefon.

Nawet jeśli Zachar go szpieguje, ten adres akurat nie wzbudzi jego podejrzeń.

Sprawdził esemesy. Miał kilka standardowych powiadomień z MobileSpy z miejscami kodowania się smartfona pięknej Amelii. Uf. Była u siebie w domu lub jego najbliższej okolicy. Pozostało więc tylko czekać.

Pytanie tylko – na co? Czy chciał ją dalej śledzić? Zaliczyć kolejne wyjście do klubu w charakterze jej cienia? Oczywiście nawet w środku tygodnia była jakaś tam szansa, że ją przyłapie na kolejnym akcie niewierności. Ale co to zmieniało? Powinien teraz pisać raport dla Zacharewicza i zamykać zlecenie. Dosyć się w tej sprawie naganiał po mieście.

A sprawa morderstwa sprzed lat? Dziwne powiązania Zachara z Wasilewskim? Jeszcze dziwniejsza prośba Stokrockiej o wycinki prasowe sprzed ćwierćwiecza?

Trzeba to sobie odpuścić. Sam nie dam rady tego rozkminić – pomyślał.

A więc do domu, na Świętojerską. Napisze grzecznie raporcik, zje kolacyjkę z Jolą, odbuduje ich wspólne relacje. A potem porządnie się wyśpi. Miał dzisiaj długi dzień.

Mimo to siedział dalej. Nie odpalał silnika. Coś go powstrzymywało. Coś? Raczej on sam. Wiedział przecież dobrze, że przekazanie zebranych informacji Zygmunтови Zacharewiczowi oznacza kapitulację. To zresztą jeszcze by przełknął. Nie takie żaby w życiu połykał. Ale pozostawało pytanie – co ktoś taki jak Zachar zrobi Stokrockiej, kiedy się dowie, że kombinowała za plecami jego kumpla?

Nie mógł się zdecydować. Coraz bardziej skołowany postanowił zadzwonić do Jolki. Może ona pomoże mu podjąć decyzję? Byłoby fajnie, gdyby powiedziała choć trzy słowa: „Wracaj do domu”. Od razu by olał to

wszystko i poleciał.

– Myślałam o tobie – usłyszał jej głos.

Dobry początek.

– A ja o tobie. Wiesz, dziś rano jakoś głupio wyszło. Wkurzyłem się, bo... Zresztą nieważne. Dzwonię zapytać, czy...

– Słuchaj, Bartek, co to za odbitki akt zostawiłeś na podłodze? – przerwała mu dość bezceremonialnie.

– A, takie tam – wydukał, starając się, żeby jego głos nie zdradził, że poczuł się urażony.

– Rzuciłam na nie okiem. Pracujesz nad tą sprawą?

– Mniej więcej – odburknął.

Coraz mniej podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ich rozmowa.

– Dziwne, wiesz. Morderstwo tej... – szukała w pamięci.

– Krystyny Talko – podpowiedział odruchowo.

– Właśnie. Talko. Więc to, co ją spotkało, bardzo przypomina sprawę Marty Sobień.

Nic go to wszystko nie obchodziło. Ostatnia rzecz, na jaką miał teraz ochotę, to rozmowa o pracy.

– Marta Sobień? Nie kojarzę.

Po drugiej stronie linii zapadła pełna zdumienia cisza.

– Weź się nie wygłupiaj, Bartek. Co ty? Gazet nie czytasz? Telewizji nie oglądasz?

Mógłby jej odpowiedzieć, że owszem, oglądał. Całkiem niedawno. Gapił się jak sroka w gnat na swoją dziewczynę, która w opiętym policyjnym mundurze, rzeczowym tonem opowiadała o jakiejś denatce, której... O cholera! Poczuł nagle, że oblewa się zimnym potem. Której zabójca obciął obie dłonie!

Kurczę, jak mógł przegapić coś takiego! Czy rzeczywiście kompletnie zgłupiał od tego szajsu w tabletkach? Śmierć Krysi Talko dwadzieścia pięć

lat temu. I śmierć Marty S., znaczy Sobień, obecnie. Dwie młode dziewczyny, których nagie ciała okaleczono w podobny sposób i porzucono w krzakach. Tamtą na Polach Mokotowskich, tę gdzieś w okolicy Wawra. Jasny szlag!

– Przepraszam, muszę kończyć – powiedział, siląc się na spokój. – Zadzwonię później.

Wysokim łukiem posłał komórkę na siedzenie pasażera i ze wzrokiem wbitym w blok Stokrockiej głęboko się zamyślił.

Jego zlecenie skomplikowało się jeszcze bardziej.

Myśl, myśl. Musisz szybko wykombinować, co z tym fantem zrobić.

Uspokoił oddech, wygładził myśli.

Spokojnie. Może to tylko zbieg okoliczności.

Jako dawny śledczy dobrze jednak wiedział, że zbiegi okoliczności istnieją, owszem – w romansach i na portalach randkowych. Ale nie w sprawach kryminalnych. Tak, kryminalnych. Bo jego zlecenie nie było już jakąś tam detektywistyczną babraniną w damsko-męskim bagienku, ale... No właśnie. Czym?

Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Trzeba najpierw przeczytać akta Marty Sobień. Porównać z tymi, które już masz. Przeanalizować.

Znów chwycił telefon, ale tym razem wybrał komórkę Lichockiego. Trzy sygnały, cztery...

– Bartek, tylko nie mów, że masz następną prośbę.

Przez następnych kilka minut January słuchał go w kompletnym milczeniu. Nie odezwał się także wtedy, gdy Bartek skończył.

– Hej, jesteś tam?

– Ty w ogóle wiesz, czego ode mnie żądasz? – Głos Lichockiego nie zwiastował szybkiej odpowiedzi na tak. – Skopiowanie tych akt naprawdę byłoby już przestępstwem.

– Wiem – powiedział.

Nic więcej nie przyszło mu do głowy.

– Powiesz mi, do czego potrzebne są ci te kwity?

– Chcę tylko rzucić na nie okiem. Nie muszę nawet brać ich do ręki.

– Nie.

– Nie? – Mimo wszystko Bartek poczuł się rozczarowany.

– A coś ty myślał? – wybuchł Lichocki. – Że podstawię łeb pod topór? Dam się z hukiem wywalić z policji? W Warszawie nie ma miejsca dla jeszcze jednego prywatnego detektywa.

Akurat z tym argumentem Bartek był skłonny się zgodzić.

– Zrobimy to inaczej – nieoczekiwanie zaproponował January.

Bartkowi do serca wlała się wąska strużka nadziei.

– Postaram się przejrzeć te akta, a potem ci je streszczę.

– Dzięki, stary!

– Czy na coś szczególnie mam zwrócić uwagę?

Bartek w kilku zdaniach powiedział mu o obciętych dłoniach, obrażeniach na ciele denatki i zbiorowym gwałcie. Nadmienił, że byłoby fajnie sprawdzić, czy między rokiem 1992 a chwilą obecną nie było podobnych zabójstw.

– Kurwa, człowieku. W co ty żeś się wpakował?

Skończył rozmawiać i siedział w milczeniu, układając sobie wszystko w głowie. Wasilewski i Zacharewicz. Nierozłączna para. Dwadzieścia pięć lat temu i dziś. Co za koszmarnie *déjà vu*.

Dotarło do niego wreszcie, że to właśnie nadkomisarz Zyga był w 1992 roku tą tajemniczą osobą, która uciekła Pałusze z Zakładów Mięsnych przy ulicy Taśmowej. Facet był szarą eminencją w biznesie Wasilewskiego. Kimś, kto przygotowywał scenę dla łowców i ich ofiarę. To on postrzelił wartownika.

Wszystko sklejało się w całość. To tłumaczyło, dlaczego dla ratowania Wasilewskiego nadkomisarz Zacharewicz postawił na szali swoją karierę. Musiał to zrobić, żeby kompan nie trafił do aresztu na zbyt długo, nie skruszał w nim i nie zaczął sypać. Zachar nie miał wyboru. Musiał działać szybko i bezwzględnie.

No dobrze, ale co stało się kilka dni temu? Czy znów zabili? Na to wygląda. Ale po co? I czemu zrobili to w ten sam sposób?

Na te pytania nie znał odpowiedzi. Na razie ważniejsze było pytanie o Amelię Stokrocką. Czy coś wywęszyła? Podejrzewała swojego kochanka i mentora? Zaczęła zadawać niewygodne pytania?

Czas mijał, a on obracał w głowie wciąż te same pytania. Co teraz? Do kogo iść ze swoimi podejrzeniami? Przecież nie miał żadnych dowodów. Właściwie... nic nie miał. Tym bardziej, że gdyby udał się na policję, musiałby przyznać, że złamał prawo i przyjął nielegalne zlecenie.

Nadal zmagał się z myślami, gdy ją zobaczył. Amelia „Puszczalska” Stokrocka. Szła środkiem chodnika, ubrana w dżinsy i krótką kurteczkę, z torebką zarzuconą na ramię. W tej kobiecie było coś, co działało na mężczyznę jak magnes. Jakiś facet z psem na smyczy, którego właśnie minęła, tak się zagapił, że zdeptał własnego jamnika. Musiała wracać z niezbyt oddalonego miejsca, bo GPS w jej smartfonie, do którego Konecki podłączył się z pomocą programu szpiegowskiego, informował przecież, że przebywa w zasięgu tej samej anteny telefonii komórkowej, która obejmowała także jej dom. Może wyskoczyła do kiosku po papierosy? Albo po prezerwatywy. Nieważne. Jakie to ma znaczenie?

W pierwszej chwili chciał zsunąć się w fotelu jak najniżej, żeby go nie zobaczyła. Zawahał się jednak, zastanowił...

– A, chrzanić to wszystko! – mruknął, otwierając drzwi i wytaczając się na chodnik tuż przed jej nosem.

Wysoki facet z lekką nadwagą, ubrany w wymiętolone po całym dniu,

materiałowe spodnie i rozchełstaną kurtkę włożoną na podkoszulek. Nie wyglądał przyjaźnie i ciepło.

Ona jednak, choć stanęła jak wryta, nie sprawiała wrażenia przestraszonej.

– Pani Amelia Stokrocka?

Zmierzyła go długim spojrzeniem spod zmrużonych powiek. Już podejrzewał, że nie odpowie, gdy jednak się odezwała.

– Widziałam pana w Enklawie. I na planie filmowym.

No tak, to był jego problem jeszcze w czasie pracy w policji. Za bardzo rzucał się w oczy.

– To Zachar kazał panu mnie śledzić?

– W pewnym sensie – odparł wymijająco.

– Dziwne... – Jej przymrużone oczy wciąż były przyklepione do jego twarzy. – Myślałam, że kojarzę wszystkich chłoptasiów, którzy dla niego pracują. Jest pan nowym gorylem w stadzie?

Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ich rozmowa.

– Nie jestem niczyją małpą, panno...

– Pani – sprostowała. – Stokrocka to nazwisko po mężu. Byłym mężu.

Korciło go, by zapytać, czy Stokrocki jeszcze żyje, ale się powstrzymał.

– Dziwne to jest akurat co innego – nawiązał do jej wcześniejszych słów.

Nie zapytała, co takiego. Milczała, mierząc go chłodnym, dość obojętnym wzrokiem.

– Po co telewizyjna, a wkrótce i filmowa gwiazdka zamawia wycinki ze starych gazet? Dlaczego interesuje się morderstwem sprzed dwudziestu pięciu lat?

Zdjęła z ramienia torebkę, otworzyła, wyjęła fajki Vogue. Jeden papieros trafił do jej pomalowanych niebieską pomadką ust, drugiego

wytrząsnęła do połowy i w niemym pytaniu skierowała w stronę Koneckiego. Zanim zdążył powiedzieć sobie „nie”, już go wziął. Chciał jej przypalić, poklepał kieszenie, ale – oczywiście – nie znalazł zapalniczki. Amelia wyjęła własną i mu podała.

Rzucił okiem na jej rękę. Szczupłe, długie palce, cienki nadgarstek, na którym złociła się cieniutka bransoletka Tous z misiem. Paznokcie miała pomalowane na turkusowo.

Niebieskie usta, turkusowe paznokcie.

Przypalił jej i sobie, oddał zapalniczkę, zaciągnął się. Wszystkie komórki ciała przeszył rozkoszny dreszcz. Ile to czasu tego nie robił? Ładnych kilka miesięcy.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Ona czekała, on wiedział już, że wspólny dymek był zachętą do dalszej rozmowy.

– Jacek Wasilewski i Zygmunt Zacharewicz. Norbert Pałucha. Krystyna Talko. Marta Sobień.

Obserwował jej reakcję, ale na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Aktorka.

– Co pani na to?

Wypuściła między nich strugę sinego dymu.

– Wykuł się pan na blachę wielu nazwisk. Dobra pamięć. Nie chce pan zostać aktorem? Mogę spróbować załatwić jakąś małą rolękę.

Rozczarowanie. Już myślał, że przykuł jej uwagę. Wciągnął do rozmowy. A ona mu się wymykała.

– Nie, dzięki. Lubię swój zawód – skłamał.

– Czyli jaki?

– Bartosz Konecki, prywatny detektyw.

Pokiwała głową. Nie był pewien, czy z uznaniem czy szyderczo.

– Rozmawiał pan z Czesławem Łyką?

– Sympatyczny stary nudziarz. – Ledwo to powiedział, zaraz zdał sobie

sprawę, że podczas spotkania z dziennikarzem nie zadał mu najważniejszego pytania.

Jasny szlag! Co się działo z jego głową?

Stokrocka leciutko się uśmiechnęła. Było jej z tym do twarzy.

– Niech pan na siebie uważa. Detektywie.

Rzuciła na wpół spalonego papierosa na chodnik, a potem starannie rozdeptała. Konecki zauważył, że mimo jesiennej aury miała na sobie lekkie szpilki. Turkusowe.

– Czesław Łyko ma dla pani kogoś odnaleźć – rzucił za jej oddalającą się sylwetką. – Kogo?

Nawet się nie odwróciła, nie zwolniła kroku. Patrzył za nią, dopóki nie weszła do klatki schodowej. Wtedy otrząsnął się jak pies po wyjściu z wody. Otrzeźwiało.

Czesław Łyko.

Jeśli Zacharewicz go śledził, jeśli wpuścił Bartkowi na komórkę szpiegowskiego szczura, to staremu dziennikarzowi mogło grozić niebezpieczeństwo. Dzięki niefrasobliwości Koneckiego tamci mogli trafić do emeryta jak po sznurku.

Tamci. Znowu tamci. Bez psychotropów naprawdę ogarnia mnie paranoja.

Nagle straszliwie zapragnął połknąć tabletkę. Odpaść od tego wszystkiego, wyluzować. Tylko na dziś, tylko teraz. Od jutra znów będzie czujnym detektywem.

Dopalając do końca papierosa, postanowił, że pojedzie do biura po alprax. Najpierw jednak musiał zadzwonić do dziennikarza. Ostrzec go, żeby nikomu obcemu nie otwierał drzwi. I spytać, kogo kazała mu szukać Stokrocka. Telefon jednak nie odpowiadał. Stary pryk albo już poszedł lulu, albo gapi się w telewizor.

– Trudno, wydzwonię go jutro – zdecydował Konecki.

Stary volkswagen znowu długo nie chciał zapalić. Co gorsza, nie było nikogo, kogo mógłby zrobić w pchanie. Po Stokrocką przecież nie zadzwoni...

Na szczęście w końcu silnik golfa zagdakał. Bartek wcisnął gaz i pociągnął obok Promenady do Ostrobramskiej. Przeciął dwupasmówkę i jechał dalej w kierunku Grochowskiej. Biuro było tuż-tuż. Czuł w sobie zew alpraksu.

Na dźwięk esemesa podskoczył tak, że omal nie wybił głową szyberdachu. Sięgnął po telefon.

„Przyjeżdżaj natychmiast”.

Od Jolki. Akurat zbliżał się do biura. Tylko skrócić na światłach przez tory w biegnącą wzdłuż Grochowskiej lokalną uliczkę. „Przyjeżdżaj natychmiast”. Co to, u diabła, miało znaczyć? Dziś rano zachowywała się dziwnie. Wcześniej nie było jej przez pół nocy. Czy wpakowała się w jakieś kłopoty?

Zatrzymał się na czerwonym. Tęsknym wzrokiem spojrzął na zieloną strzałkę w prawo. Ile czasu zajmie mu podjechanie pod pawilon handlowy, zaparkowanie przy Las Vegaz i wbiegnięcie na górę po tabletkę? Kilka minut. Tyle że gdy już ją połknie, straci resztki jasności umysłu. A Jola go potrzebuje. „Przyjeżdżaj natychmiast”.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, wdepnął gaz i wyrwał do przodu, aż zadzwoniły zawory. Starał się nie patrzeć w kierunku biura.

Piętnaście minut później, zdyszany jak parowóz, wbiegł na czwarte piętro przy Świętojerskiej. Nacisnął klamkę, otwarte. Wtoczył się do domu.

– Jolka?

Odpowiedziała mu cisza. Światła były pogaszone, tylko w sypialni migotał chybotliwy blask świecy. Świeca? Czyżby wyłączyli prąd? Trzask

– klepnął w kontakt. Nie, przedpokój zalała fala elektrycznej jasności. Odruchowo sięgnął za pazuchę, ale dłoń trafiła w pustkę. No tak, rano nie zabrał kopyta. Ostrożnie ruszył do przodu. Uchylił drzwi pokoju, sprężony do skoku. Zobaczył ją. Leżała na łóżku, przykryta jakimś prześwitującym tiulem. Naga, na boku. Głowę wspierała na zgiętym ramieniu, średniej długości włosy rozsypywały się na barku. Patrzyła na niego... jakoś tak inaczej. Bez uśmiechu, nawet jakby boleśnie, a równocześnie z niezwykłą intensywnością. Jak na kogoś, kogo widzi się pierwszy raz w życiu lub po bardzo długim czasie.

– Czy mógłbyś mnie wypieprzyć?

Koneckiemu opadła szczeka. To naprawdę była jego Jolka? Nigdy, przenigdy nie nazywali tego, co ich łączyło, „pieprzeniem”. Bzykanko, bara-bara, seksik.

– Chyba... – zachrypiął, patrząc na cieniutki materiał oblepiający jej krągłe uda i małe, ale cudownie sterczące piersi. – Chyba powinienem najpierw się wykapać.

– Po prostu chodź tu i mnie przeleć.

Postąpił krok ku niej, walcząc równocześnie z guzikami koszuli. Zaplątał się w spodnie, omal nie przewrócił przy ściąganiu skarpetek. Jolka patrzyła na jego zmagania z ubraniem z nieprzeniknioną miną. No, wreszcie był nagi. Światło świecy bezwstydnie obnażyło jego mocno zaokrąglony brzuch i zbyt cienkie nogi. Podszedł, nachylił się do jej ust.

– Au! – krzyknął, kiedy chwyciła zębami jego wargę.

– Nie chcę żadnego miziania. Wejdz we mnie, już!

To, co robili później, w niczym nie przypominało ich wcześniejszych zbliżeń. Żadnych śmieszków, szeptów, komplementów. Żadnego głaskania po włosach ani pieszczona skóry ciepłym oddechem. Jolka dosiadała go jak Amazonka albo bezwstydnie wystawiała się na ataki. Różni się, pieprzyli, aż stękało łóżko z Ikei, a sąsiadom z trzeciego – parze

siwych jak gołąbki, dobrodusznym emerytów – kołysał się nad głowami żyrandol. Kiedy skończyli niecałą godzinę później, Jolka bez słowa i z wciąż nieodgadniętym wyrazem twarzy poszła do łazienki. Bartek, z poczuciem, że znalazł się na skraju życia i śmierci, spełzył z łóżka i powłókł się do kuchni, żeby nalać sobie wody. Przechodząc przez przedpokój, rzucił okiem w lustro. Zobaczył wielkiego, grubego i spoconego niedojdę z bardzo niepewną miną.

Właśnie przeżyłem być może najlepszy seks w swoim życiu. Czym więc się martwię? – zadał sobie pytanie.

Wypił duszkiem dwie szklanki wody, ochłonał. I doszedł do wniosku, że trzeba jednak zamienić z nią choć słowo. Podeszedł do drzwi łazienki, przybliżył ucho. Cisza, nie słychać prysznic. Zapukał.

– Jolu? Joleńko? – cienkim głosem przemówił do klamki.

Chciał ją przytulić, zapewnić, że ją kocha. Okej, i zapytać, skąd ta niezwykła przemiana w łóżku.

– Och, daj mi wreszcie święty spokój! – dobiegło zza zamkniętych drzwi. Ze zdumieniem odkrył po głosie, że Jolanta Bończak płakała.

Okolice Pleszewa. Październik 2001

Był zmęczony. Jechał bez przerwy od południa. Dwanaście godzin za fajera, która miała takie luzy, że aby wykonać drobną korektę kursu, należało zakręcić niemal pełny obrót.

Po południu przekroczył granicę we Frankfurcie nad Odrą i odtąd telepał się swoim fiatem ducato z lawetą po narowistych polskich drogach. Na przyczepie wiózł dwa ople calibra. Sportowe auta dla ubogich... Jeden miał skasowany przód, drugi tył. Idealna synchronizacja. W Niemczech wozy zostały sprzedane na złom, a w kraju... pan Mietek, jego obecny szef i zleceniodawca z Sochaczewa, zrobi z nich jeden wózek. Wyklepie, zespawa, pomaluje. Będą mieli chłopcy z Garwolina albo Sieradza czym się popisywać przed dziewczynami pod dyskoteką. Oczywiście tylko do chwili, aż dwie połówki odpadną od siebie przy prędkości 140 km na łuku drogi.

Norberta Pałuchy nic to już nie obchodziło. Wiele lat temu, chyba jeszcze na Stadionie Dziesięciolecia, porzucił swoje ambicje i ideały. Od tamtej pory był sprzedawcą odkurzaczy, agentem ubezpieczeniowym, budowlańcem i – teraz – kierowcą wożącym dla pana Mietka szroty z Niemiec.

Sen. Potwornie chciało mu się spać. Łeb mu nie opadł na kierownicę chyba tylko dlatego, że jak zwykle bolała go także głowa. A co tam. Niemal do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Do wszystkiego, tylko nie do takiego życia. Kurczę, choć minęło już dziewięć lat, wciąż nie mógł pojąć, jak to się stało, że stracił wszystko. Przez jeden błąd. Nawet nie błąd. Najwyżej lekki przerost ambicji.

Zbliżał się już do Wrześni. Na zatłoczonej nawet w nocy trasie poznańskiej każdy TIR, każdy wlokący się osiemdziesiątką dostawczak był dla jego landary przeszkodą nie do wyprzedzenia. W tym tempie do Sochaczewa dotelepie się dopiero rano.

Ospałym ruchem sięgnął po dyndający mu nad głową mikrofon CB-radia.

– Witam kolegów i koleżanki – nadał w eter. – Powie mi ktoś, jak tam dróżka z Wrześni na Konin?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

– Lepiej ją sobie odpuść, kolego. Między Słupcą a Goliną był wypadek, smerfy puszczają ruch wahadłowo. Korek sięga do Strzałkowa.

Ze złości walnął w kierownicę. Przyjęła to ze spokojem.

– Nie będę kwitł w megakorku po nocy – postanowił, wyciągając ze schowka atlas drogowy.

Rzucił wymiętoloną książkę na siedzenie pasażera, zapalił lampkę i zerkając na drogę, otworzył na odpowiedniej stronie.

Jest. Września. Jak skręci w mieście na Pyzdry, a później zawinie w lewo na Ciężen, ominie miejsce wypadku. Szosa wprawdzie słaba, ale lepiej się powoli toczyć, niż siedzieć w drogowej obstrukcji.

Pięć minut później szeroko zawinał wyślizganą fajerą, skręcając w prawo. Pyzdry będą za dziesięć kilometrów. Niedaleko. Przetarł twarz spotniałą dłonią, pomasował kark. Byle nie przegapić kolejnego skrętu, bo jak pojedzie prosto, to na tej drożynie nie wykręci i będzie musiał pociągnąć aż do... – Rzucił okiem na mapę.

I omal nie puścił kierownicy. Gizałki koło Pleszewa. Pleszew. Z tej okolicy pochodziła Sandra Konopko – dziewczynka, którą wyrwał z rąk Wasilewskiego i jego sekretnego wspólnika. Mieszkała w domu dziecka położonym właśnie w tej okolicy. Pałucha chciał swego czasu dokładnie zbadać ten wątek, ale po tym, jak nadkomisarz Zacharewicz ukręcił łeb

śledztwu, chyba nikt nie miał już do tego głowy. A przecież dobrze byłoby poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego porywacz wybrał ofiarę z państwowego ośrodka położonego dwieście kilometrów od miejsca, w którym zamierzał dokonać przestępstwa. I dlaczego na miejscu nikt nie zgłosił zaginięcia wychowanki? Zanim go wyrzucono, Pałucha zdążył tylko porozmawiać telefonicznie z dyrektorem – niejakiem Leopoldem Ciskiem – który spokojnie oznajmił, że ma za mało kadry, żeby upilnować wszystkich, zwłaszcza tych nastoletnich wychowanków, którzy co i rusz urywają mu się na wagary.

Teraz, w oblepiającym i gęstym jak syrop mroku jesiennej nocy, Norberta Pałuchę niespodziewanie naszła ochota, by skorzystać z okazji i podjechać do sierocińca.

Tylko rzuciłbym okiem.

Zobaczył skręt na Ciężen i Golinę. Jeśli go zignoruje i pojedzie prosto, za godzinę będzie pod domem dziecka. Wtedy jednak dopadły go wątpliwości. Po co miałby się tam pchać? I to po nocy, kiedy ośrodek jest zamknięty na cztery spusty? Nie jest już policjantem, nie prowadzi śledztwa. A zresztą, o jakim śledztwie tu w ogóle gadać! Przecież nie było przestępstwa! Sandra Konopko nie zawiadomiła organów ścigania o popełnieniu przestępstwa, a gwałt ścigany jest przecież nie z urzędu, tylko na wniosek ofiary. „Męska impreza”. Tak Zacharewicz nazwał to, co w rzeźni zobaczył Pałucha. Może faktycznie całą resztę tylko sobie dośpiewał?

W jednej chwili podjął decyzję. Zwolnił, wrzucił dwójkę, zakręcił fajerą. I skręcił na drogę w kierunku Sochaczewa, pozostawiając za sobą niechlubną przeszłość.

Warszawa. Listopad. Czwartek

Z głębokiego snu wyrwał go muzyczny motyw z *Gwiezdných wojen*. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że to przecież dzwonek w jego telefonie. Poderwał się z łóżka i półprzytomnie rozejrzał. Był już ranek, za oknami kłębiły się szare i wilgotne opary dnia. Która mogła być godzina? Pewnie po siódmej.

Gwiezdne wojny ucichły. Bartek spojrział na łóżko. Był w nim sam. Jolka wyszła już do pracy? Nie budząc go? Aż tak głęboko spał? Wtedy przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Szalony seks, a po nim Jolka zamknięta w łazience. Próbował czekać na jej powrót, ale szybko zmorzył go sen. Nieźle. Pierwszy raz, odkąd przestał zażywać benzodiazepiny, przespał bez przebudzenia całą noc. Potarł oczy, przeciągnął się i leniwie zaczął zastanawiać, czy najpierw się wykąpać, czy zrobić kawę. Zaraz jednak sobie przypomniał, że wczoraj położył się spać brudny, więc poczłapał do łazienki.

Stał pod gorącym prysznicem, gdy przez zamknięte drzwi znowu usłyszał podkład muzyczny filmu Lucasa. Może to Jolka? Czy dzwoni, żeby życzyć mu miłego dnia, czy też... Sam już nie wiedział, co myśleć o tym, co wydarzyło się wczoraj. Z jednej strony było fajnie. Czadowo. Miła odmiana po ich standardowych, nieco już rutynowych i przewidywalnych czułościach. Z drugiej Jolka zachowywała się jednak jakoś niepokojąco i dziwnie. No i dlaczego po wszystkim płakała?

Wcisnął się akurat w nieco pijący pod pachami szlafrok (zbiegł się w praniu?), gdy *Gwiezdne wojny* zaryczały po raz trzeci. Wskoczył z łazienki niczym z procy, w ślad za nim wytoczyły się do mieszkania

kłęby gorącej pary. Zlokalizował telefon na podłodze obok łóżka, doskoczył jednym susem i nie patrząc na wyświetlacz, przyłożył do ucha.

– Dzień dobry, kochanie. Cieszę się, że dzwonisz.

Odpowiedziała mu głucha cisza, a po niej kliknięcie rozłączonej rozmowy. Dopiero wtedy Konecki sprawdził, kto do niego zadzwonił. Czesław Łyko.

– O żesz, ale wtopa.

Czym prędzej wybrał numer dziennikarza i wziął wdech, żeby wytłumaczyć, że to „kochanie” miało być do kogoś innego.

– Abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon – poinformował go automat.

Dziwne. Pismak aż tak się spłoszył, że wyłączył komórkę? Konecki spróbował jeszcze raz. To samo. Wtedy opadły go wspomnienia wczorajszego dnia. Dziwne zainteresowanie Stokrockiej śledztwem sprzed ćwierćwiecza, wizyta u Łyki i spóźnione obawy, że mógł go niechcący wystawić Zacharewiczowi.

– Jasny szlag! – zaklął. – Trzeba się będzie do niego przejechać.

Na szczęście Żoliborz był blisko. Postanowił szybko ostrzec pismaka i przy okazji zapytać, kim jest tajemnicza osoba, którą kazała mu odszukać Stokrocka. A następnie wrócić do domciu na kawę i śniadanie. Powinno wystarczyć pół godziny, góra godzina. Nie warto się nawet jakoś specjalnie stroić. Wskoczył w dres, narzucił kurtkę, chwycił kluczyki i wybiegł do golfa. Oby tylko staruszek zapalił!

Auto zaskoczyło już za pierwszym przekręceniem kluczyka. Konecki zjechał na niemiłosiernie zatłoczoną Wisłostradę, ale tym razem skręcił w lewo – pod prąd porannych korków. Włączył radio, wybrał EskaROCK. Z głośników popłynęło *Thunderstrack* AC/DC. Brian Jones śpiewał o facecie, który wraz z kumplem zabawił się w Teksasie z tancerkami, stracił czujność i w końcu wpadł w tarapaty. Teraz klęczał i błagał o litość,

ale w odpowiedzi usłyszał tylko huk wystrzałów.

Niedługo później Konecki zaparkował pod blokiem przy Duracza. Wysiadł i podszedł do drzwi prowadzących na klatkę. Wciąż, a może znów, były nieomknięte. Tym razem wybrał jednak numer mieszkania Łyki. Odczekał dziesięć sygnałów, aż domofon sam się wyłączył, ale dziennikarz nie odebrał. Po krótkim wahaniu Konecki energicznie szarpnął za klamkę, wszedł i wspiął się po schodach, pokręconych jak polska polityka. Chciał to szybko odbębnić i wracać na Świętojerską, żeby przy kawie przemyśleć strategię postępowania z Zacharewiczem. I zadzwonić do Jolki. Usłyszeć jej głos i dowiedzieć się, że wciąż go kocha. Przez to wszystko był tak roztargniony, że dopiero po dobrych dwudziestu sekundach wciskania dzwonka zauważył, że drzwi mieszkania są uchylone.

Łańcuch. Gdzie jest ten przeklęty łańcuch?

Był. Zwisał sobie spokojnie wzdłuż framugi. Ręka Koneckiego bezwiednie powędrowała za pazuchę kurtki. Sig sauera znowu nie było.

Rozejrzył się. Typowy układ blokowego mieszkania, który widział już przy poprzedniej wizycie. Z przedpokoju trzy wyjścia. Do łazienki i małego pokoju, do kuchni, do salonu. Wszędzie nieprawdopodobny bajzel. Szafy i półki wybebeszone. Nad tym pobjowiskiem unosił się metaliczny smród, którego nie znosił. Mieszanina potu, moczu i krwi. Woń strachu.

Zrobił dwa kroki i zajrzał do pokoju, wyciągając szyję. Ciało leżało pod oknem. Nogi i ręce skrępowane kablami elektrycznymi. Siwe włosy zlepione krwią z tyłu głowy. Skrzepla plama czerwieni na podłodze. Wybałuszone, lecz martwe oczy. Zakneblowane jakimś szalikiem usta.

Radom. Wrzesień 2013

Znów kroki. Dwie... nie, trzy osoby. Ich głosy. Odległe, choć bliskie. Niezrozumiałe, jakby dobiegające spod wody słowa. Dotknięcie. Szorstka i twarda dłoń. Męska chyba. Suche palce zalatujące płynem dezynfekującym. Na czole.

Kolejne słowa, których znaczenia nie potrafił odczytać. Znał je i nie znał. Cierpiał katusze, czując, że już, już chwyta ich sens. Głos się przybliżał i oddalał. Falował. Choć tamci stali tuż obok.

Znak. Dać im jakiś znak. Zawołać, wezwać pomocy. Spróbował odemknąć powieki. Jedna, chyba ta lewa, nawet nie drgnęła. Druga zadrzała jak skrzydło umierającej ważki i uchyliła się, wpuszczając ostrze światła. Ból w gałce, jakby ktoś przebił ją szpilą. Trzask. Zamknięte.

To może ręka. Co tam ręka, palec. Zabębnił nim o podłoże, rozmowa ucichła. Potem owiał go zapach wody kolońskiej. To ten facet. Pytanie zadane z bliska. Usłyszał wyraźnie. Co z tego, skoro znów nie zrozumiał. Mimo to postanowił odpowiedzieć. Wdech, ruch języka, po nim ust. Wyszedł bełkot. Parskanie śliną. Wargi jak dwa zwisające kawałki mięsa. Woda kolońska się oddaliła. Tupot kroków. Jego i jej, bo krótsze, lżejsze. Została jeszcze jedna.

Kolejny wysiłek. Teraz chyba poszło nieco lepiej. Wyczekiwanie. A potem kolejny zawód. Stuknięcie stawianego wiadra, bulgot wody. Wrzeszcząca tysiącem bodźców cisza. Dwa kroki. W jego stronę. Na twarzy cień, więc znów spróbował odemknąć oko. Z powieką tym razem nie wyszło. Udało się natomiast wyraźnie zrozumieć głośne słowa.

– No ładnie. Po prostu pięknie, cholera! I czegoś się znowu zesrał,

ciulu jebany?

Kobięcy głos. Wulgarny, niski. To ona. Gdyby nie tamta dwójka, mógłby rozpoznać ją po krokach. A więc wszystko stracone. Przynajmniej na jakiś czas. Gorzko zapłakał.

– O! I jeszcze się ze mnie śmieje. Popapraniec jeden!

Warszawa. Listopad. Czwartek

Bartosz Konecki stał bez ruchu, by nie zostawić w mieszkaniu kolejnych śladów. Już zresztą i tak odciski jego palców są pewnie na drzwiach, a odciski butów na podłodze w przedpokoju.

Tętno waliło mu w skroniach, na karku czuł mrowienie. Cholera, to jego wina. On przyprowadził do Łyki mordercę. Teraz jednak nie czas na wyrzuty sumienia. Postanowił więc tylko, nie ruszając się z miejsca, jak najstaranniej zlustrować miejsce zbrodni.

A więc sam denat. Leżał na boku, ze skrępowanymi z tyłu rękami, pod oknem. Ubrany tak jak wczoraj w czasie rozmowy z Koneckim. Miał roztrzaskaną głowę. Narzędzie zbrodni też tutaj było. Zakrwawiony młotek, z odłamkami kości i mózgu oraz kilkoma siwymi włosami, leżał pod przeciwległą ścianą. Na kaloryferach pod oknem i na podłodze wokół denata jasne rozpryski czerwieni. Właśnie, rozpryski. Uderzenie w głowę musiało być piekielnie mocne. Kropelki krwi osiadły nawet na oddalonym o dwa metry telewizorze. Wokół głowy intensywnie czerwona plama nie do końca jeszcze skrzepniętej krwi. Oczu denata nie zasnuwała wciąż śmiertelna mgiełka. Śmierć nastąpiła więc najwyżej godzinę temu. Mniej więcej w tym czasie, kiedy Łyko do niego dzwonił. A raczej tuż przed tym. Cholera, cholera, cholera.

Dalej. Morderca oderwał redaktora Łykę od telewizora. Na poręczy leżał starannie odłożony pilot, na ekranie wciąż leciał jakiś program. To plus fakt, że drzwi nie nosiły śladów włamania, a łańcuch był odpięty, mogło wskazywać, że Czesław sam otworzył drzwi. Znał zabójcę? Bardzo prawdopodobne.

Konecki rozejrzał się teraz po przedpokoju. Wieszak na płaszcze po lewej wisiał tylko na jednym haku, ubrania poniewierały się na podłodze. A tak, podłoga. Tu też Bartek dostrzegł kilkanaście kropelek krwi. Tyle że już całkowicie wyschniętych, poczerniałych. Musiały spaść tutaj parę albo nawet paręnaście godzin temu.

A więc Łyko z ufnością komuś otwiera i od razu na dzień dobry dostaje plombę. Upada, próbując przytrzymać się wieszaka. Co dalej? Na środku pokoju, obok fotela z pilotem jest malutka, całkowicie zakrzepła kałuża krwi. Tuż obok przewrócona lampa z wyrwanym kablem i porzucona siatka na zakupy z Biedronki. To tutaj napastnik powalił redaktora, skrępował, zakneblował i założył mu na głowę torebkę. Po co? Jasne jak słońce. Nie zamierzał zabijać, nie chciał więc, żeby ofiara mogła mu się przyjrzeć. Następnie przestępca skupił się na metodycznym przetrząśnięciu mieszkania. Wywalił zawartość półek, szafek, przekartkował książki, rozwalił nawet doniczki z kwiatkami. Czegoś szukał. Złota, pieniędzy, informacji? A może sam nie wiedział?

Coś jednak w tym ciągu zdarzeń mocno zgrzytało. Plamy krwi w przedpokoju i na środku pokoju były wczorajsze. Tak samo jak ubranie redaktora. Kałuża wokół jego głowy i ślady na ścianie natomiast były świeże. Dzisiejsze. Wyglądało to tak, jakby do napadu na mieszkanie, obezwładnienia i związania ofiary doszło wczoraj, a do zabójstwa tego poranka. Bez sensu. Napastnik spędził tu całą noc? Po co? A może zostawił związanego dziennikarza na kilkanaście godzin, po czym wrócił i go zabił? Zbyt ryzykowne. A może było dwóch napastników? Jeden wtargnął tu wczoraj i związał Łykę, a drugi przyszedł niedawno, żeby go dobić? To z kolei wydawało się mało prawdopodobne, choć za taką wersją przemawiałyby pozostałe ślady. Po co ktoś, kto chce zabić, najpierw wiąże ofiarę, następnie zakłada jej na głowę torebkę, żeby nie mogła go rozpoznać, a dopiero po wielu godzinach zmienia zdanie i ją zabija?

Dobra, wystarczy, trzeba się zmywać. Za chwilę ktoś wezwie policję.

Bartek zrobił w tył zwrot i najciszej, jak potrafił, zbiegł po schodach. Otworzył drzwi klatki, czując na twarzy powiew zimnego powietrza. Jeszcze tylko kilkanaście metrów do golfa. Oby zapalił. I wtedy ogłuszył go krzyk:

– Policja! Na kolana! Ręce nad głową!

Dołek w komendzie przy Żeromskiego był trochę ciasny. A do tego śmierdział lizolem. No i Konecki, mimo wczesnej pory, nie był tu jedynym klientem. Naprzeciw niego siedział jakiś chudzielec, dygoczący na całym ciele. Ubrany był w szorty i podkoszulkę, policjanci najwyraźniej wyciągnęli go prosto z wyrka. Obok niego z kolei zasiadał kurdupel o bicepsach i kłacie napompowanych jak weselne balony. Mięśnie i tak rozpychały mu bluzę, ale facet jeszcze co chwilę je napinał. Zachowywał się jak ktoś z nerwicą natręctw. Te same powtarzalne ruchy. Te same słowa: „Powiedział mi, że jestem konus, więc go tak pierdolnałem, ci mówię, człowieku, że tylko numery butów po nim zostały”.

Najbardziej uciążliwy był jednak stary garus miotający się na środku, od ściany do ściany. Darł się, wygrażał współwięźniom, zarzekał się, że zaraz się potnie albo rozwali sobie głowę o ścianę. Co kilka minut szarpał kratę i wyzywał gliniarzy. Jego bluzgi niosły się echem po długim, pustym i obojętnym na to wszystko korytarzu.

Bartek rozsiadł się na ławie, zaparł plecami o róg pomieszczenia i przymknął oczy. Było mu trochę zimno – jego kurtkę zabrano do analizy kryminologicznej – skrzyżował więc ramiona na piersi. Nie miał złudzeń, że na przesłuchanie trafi jako ostatni z tej menażerii. Był podejrzany o bardzo konkretne przestępstwo, a tacy mają szczególne prawa. Najpierw więc śledczy spróbują go wstępnie zmiękczyć, trzymając ładnych kilka godzin w tej dziurze.

Westchnął i ułożył się nieco wygodniej. Splótł ramiona. Najlepiej

byłoby się zdrzemnąć, ale był za bardzo pobudzony. Nie mógł sobie wybaczyć, że wystawił zabójcy dziennikarza. I że dał się złapać. Ta akcja z telefonem od Łyki... Majstersztyk. Zabójca domyślał się, że Konecki od razu popędzi na Żoliborz. Znał dobrze ich relacje. A kiedy już Bartek wszedł do mieszkania, anonimowo – być może z jakiegoś ulicznego automatu telefonicznego – zawiadomił policję.

Ile czasu będzie teraz wyłączony ze śledztwa? Być może całkiem długo... Na pierwszy rzut oka źle to wyglądało. Nie miał alibi (o wczorajszym spotkaniu ze Stokrocką nie chciał mówić – sam właściwie nie wiedział dlaczego – a dziś rano był w domu sam, Jolka nie mogła więc powiedzieć śledczym, o której godzinie je opuścił). Co więcej, zostawił w mieszkaniu denata swoje ślady. I jeszcze miał na karku tę starą sprawę o pobicie.

Do tego wszystkiego nie umiał wytłumaczyć, co robił u Czesława Łyki. A raczej nie mógł. Historia prowadzonego przez niego prywatnego śledztwa była wątlą niczym papierosowy dym i nieprawdopodobna jak narodowy budżet. Przypominała nieudolne próby mataczenia w śledztwie, a nie solidne motywy działania. Wszystko, co miał, to kilka spostrzeżeń i garść publikacji z ubiegłego wieku. Żadnych twardych dowodów. Żadnych świadków. Jego tłumaczenie nawet przeciętny prokurator rozbiłby w sądzie w proch. No i był jeszcze jeden kłopot. Kto wie, jakie dojścia do policji ma dziś Zacharewicz? A przecież to jasne, że on zabił Łykę. Gdyby Bartek zaczął go teraz oczerniać, a ktoś by mu to powtórzył, Konecki tylko by sobie zaszkodził.

Był wkurzony i pobudzony. W żyłach krążyła mu adrenalina. Mimo to, jeśli zignorować ogólny dyskomfort wynikający z obecnego położenia, nawet dobrze się z tym czuł. Już nie myślał o alpraksie.

Czas mijał, posterunkowy kolejno wywoływał zatrzymanych. Cela pustoszała.

– Bartosz Konecki!

Wstał, przeciągnął się, aż chrupnęło mu w krzyżu. Omal nie spadły mu przy tym spodnie, bo przecież sznurek podtrzymujący dresy, a także sznurowadła oraz wszystko, co miał w kieszeniach, musiał oddać przed wejściem do celi. Trzymając portki w garści, kłapiąc zsuwającymi się butami, ruszył po schodach w górę. Gra się zaczyna.

Posadzili go na krześle ustawionym na środku pokoju. Skuli ręce z tyłu i przeciągnęli łańcuszek przez oparcie. Jeden – Konecki nie znał go z widzenia – klapnął tyłkiem na blat biurka o dwa metry od niego i z pochylonym czołem, intensywnie wpatrywał mu się w oczy. Jasny blondyn o piegowatej cerze i oczach albinosa. Dwaj pozostali – starszy aspirant Artur Zrychta (pamiętał go z jakiejś prowadzonej wspólnie sprawy) i młody pistolecik, który aż się trząsł, żeby skłonić go do przyznania – krążyli jak wilki za jego plecami.

Stary numer. Chcieli go zdezorientować, wytrącić z równowagi. Pewnie będą znieścacka wydzierać mu się prosto do ucha, kopać nogi krzesła i strzelać plaskacza w kark. Uśmiechnął się w myśli.

Na biurku, za tym siedzącym, leżały jego rzeczy. Okulary OTP, dyktafon, legitymacja detektywa, prawo jazdy, portfel, klucze do biura przy Grochowskiej. I wydrukowana w biurze, zafoliowana fałszywka – policyjna blacha.

Artykuł 270 kodeksu karnego, fałszerstwo dokumentu – pomyślał przelotnie. Przystępstwo zagrożone karą pozbawienia wolności do lat pięciu.

– Masz przesrane, wiesz o tym? – zagadnął ten na biurku.

Przyjemniak, nie ma co.

– Naprawdę? – Konecki uniósł brwi w teatralnie przejęskrawionym wyrazie zdumienia. – A dlaczego?

– Cwaniaczek. Już mnie wkurwił – padło z tyłu.

– Robert, spokojnie – od razu odezwał się starszy aspirant Zrychta. –

Pan Konecki ma prawo wiedzieć, o co go podejrzewamy.

A więc postanowili bawić się z nim w dobrego i złych gliniarzy. Omal nie parsknął śmiechem.

– Dlaczego go zabiłeś? – rzucił ten na biurku.

– Kogo?

Kopnięcie w krzesło omal nie zwaliło go na ziemię.

– Nie pogrywaj z nami, śmieciu! – zawarczał mu tuż nad uchem pistolecik zwany Robertem.

– Robert! – To karcący głos Artura. – Przepraszam za kolegę, panie Konecki.

Policjant siedzący przed nim oderwał w końcu tyłek od biurka i sięgnął po leżące na blacie przedmioty.

– Co to jest? – Machnął Bartkowi przed nosem żenującą podróbką policyjnej legitymacji.

– Wydruk. Z drukarki. Zafoliowany.

Niemal podskoczył, kiedy Robert klapnął otwartą dłonią w oparcie jego krzesła. Tym razem starszy aspirant nie interweniował.

– Podszylę się pod policjanta i dostanę się do mieszkania ofiary – z emfazą przemówił stojący przed nim policjant. – A potem pobieś, skrępowaleś i na koniec zamordowałeś. Zgadza się?

Tym razem nie wytrzymał i naprawdę się zaśmiał.

– Coś cię bawi, dupku?

– Piękna przemowa, naprawdę – odpowiedział Konecki. – Gdybym nie miał skutych rąk, biłbym ci brawo, Sherlocku Holmesie.

Spodziewał się wybuchu złości, ale z tamtego jakby uszło nieco powietrza. Nawet Robercik darował sobie swoje animacje.

– Albo jesteście ślepi, albo udajecie głupich! – Bartek postanowił iść za ciosem.

Gwałtowne szarpnięcie za łańcuszek kajdanków przygięło go w stronę

ziemi. Nadgarstki przeszył ból.

– Daj mu skończyć. – Tym razem zmęczonym głosem uspokoił Roberta ten, który najwyraźniej kierował przesłuchaniem.

– Napastnik początkowo nie chciał nikogo zabijać. Może najwyżej nastraszyć. Ale przede wszystkim czegoś u Łyki szukał. Domyślcie się chociaż czego? Co mogło zginąć z mieszkania? Założę się, że jego telefon. Czy coś jeszcze?

– My tu zadajemy pytania! – zapiał kogucik, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Co tam robiłeś? – Ten z przodu znów opadł na biurko.

– Czesława Łykę odwiedziłem wczoraj wieczorem w związku ze zleceniem, jakie ostatnio dostałem. A dziś rano do niego wróciłem, bo ktoś do mnie trzy razy zadzwonił z jego komórki.

– Jakie zlecenie? Mów jaśniej.

– Nie mogę. Muszę chronić swojego klienta. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. Artykuł 180, paragraf 1 kodeksu postępowania karnego.

– Człowieku, jesteś podejrzany o przestępstwo z artykułu 148 kodeksu karnego! I to dokonane w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie! Mamy twoje odciski palców z mieszkania, a za chwilę pewnie znajdziemy na twojej kurtce ślady krwi i tkanek redaktorka. I co? Nadal chcesz zgrywać wariata?

– Mów, gnojku, co to za zlecenie i od kogo! – Robert ponownie się ożywił.

– Robert, bez takich wyrazów. To nasz były kolega...

– A ja go pierdolę!

Chwila ciszy. Robert sapał, ten z przodu przeszywał Bartka wzrokiem. Miał tak niebieskie tęczęwki, że niemal zlewały się kolorystycznie z białkami oczu.

Cisza się przedłużała, więc Zrychta uznał najwyraźniej, że teraz jego kolej.

– Bartek... – zagaił. – Mogę ci tak mówić?

Konecki skinął głową.

– Nie pomagasz sobie, idąc w zaparte. Co to za zlecenie?

– Pokażę je wam, jak zobaczę nakaz prokuratora – zblefował, bo przecież nie miał żadnego kwitu. – Inaczej zapomnijcie. Słyszeliście chyba o etyce zawodowej?

Tym razem kopnięcie w krzesło zwaliło go na ziemię. Trudno się pozbierać z podłogi, gdy ma się przypięte do nadgarstków krzesło, a przy każdym ruchu spadają ci spodnie i buty. Przez chwilę Bartek gramolił się jak żuk przewrócony na plecy. W końcu jednak dał radę.

– Chcieliśmy z tobą pogadać jak z kolegą... – W głosie tego na biurku zabrzmiała nutka urazy. – Ale skoro tak... to jedziemy z protokołem. Imię i nazwisko?

– Zawsze zakuwacie kolegów w kajdanki? – zażartował, ale zaraz się szybko przedstawił. Wolał nie lądować ponownie na podłodze.

Zrychta wyszedł, a oni zbliżali się już do końca zeznań (Konecki podał przybliżony czas swojej pierwszej wizyty u redaktora Łyki, a następnie powtórzył, co działo się dalej, skrętnie pomijając wątek Stokrockiej i – oczywiście – wybuchy namiętności z Jolką), gdy na biurku zadzwonił telefon.

– Podkomisarz Sieroń! – Tak przedstawił się najważniejszy człowiek w pokoju.

Podkomisarz. Pół roku temu mogliby przybić sobie piątki.

Sieroń słuchał przez chwilę w milczeniu, co chwila zerkając to na Roberta, to na Koneckiego.

– Dobrze, dziękuję. Sprawdzimy to.

Odłożył słuchawkę. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w Bartka bez

słowa, aż nagle wybuchł gromkim śmiechem.

– Dzwonili z Komendy Stołecznej – wyjaśnił Robertowi. I dodał, krztusząc się ze śmiechu: – Z biura prasowego.

Konecki poczuł niepokój. Czuł, że zaraz usłyszy coś, co mu się nie spodoba. Tymczasem Sieroń znów przeniósł na niego spojrzenie. Uśmiech na twarzy podkomisarza sięgał od ucha do ucha.

– Naprawdę jesteś przydupasem naszej śliczniutkiej pani rzecznik?

Cholera. Co tej Jolce strzeliło do głowy?

– Właśnie ci dała alibi. Pani komisarz twierdzi, że spędziliście całą noc oraz dzisiejszy poranek razem, aż do godziny ósmej. Zapomniałeś nam o tym wspomnieć?

Sieroń zawiesił głos, a Bartek czuł, że ze złości dostaje wypieków na twarzy.

– Może więc chcesz zmienić zeznania i opisać wasze romantyczne spotkanie? – dorzucił głosem niewiniątka. – A my później porównamy wasze wersje.

Stojący za jego plecami Robert parsknął śmiechem:

– No, dawaj, ogierze. Co tam wywijaliście z komisarz Bończak?

– Tylko pamiętaj, że zeznajesz na protokół – dorzucił wciąż wyszczerzony jak rekin podkomisarz. – Przeczyta to tylko pan prokurator, skład sędziowski, ława przysięgłych...

– Nie wasz zaszpany interes – uciął Bartek.

Sieroń spowaźniał.

– Wiesz co? Mnie się wydaje, że pani rzecznik usiłuje mataczyć w twojej sprawie. A to już przestępstwo. To raz. A dwa, nie daję wiary twoim wyjaśnieniom. Jedziesz do aresztu, spryciarzu. Ciekawe, czy koledzy spod celi sprują ci tyłek?

Radom. Marzec 2014

– Zdechłbyś wreszcie. Po co ci takie życie? Tylko kłopot z tobą.

Nie umiał przyzwyczać się do takich słów. Słyszał je często, prawie codziennie. A jednak za każdym razem za gardło chwytała go panika. A właściwie... panika chwytała go wcześniej, już kiedy słyszał kroki tej kobiety. Nauczył się je rozpoznawać z daleka. Człap, człap. I przyspieszony oddech. Musiała mieć nadwagę, skoro męczyło ją przejście w niespiesznym tempie ledwie kilkudziesięciu kroków. Pewnie miała też swoje lata. Kobieta, która wiele widziała i wiele przeżyła. Za co go tak nienawidziła? Dlaczego życzyła mu śmierci?

Nie miał żadnej władzy nad swoim losem, więc się bał. Że rzuci mu na twarz poduszkę, wleje do półotwartych ust szklanek wody. Tyle by wystarczyło, by zgasić ledwo tłące się życie.

Życie. Trzymał się go tym bardziej kurczowo, im mniej go w nim było. Dziwne. Nielogiczne. Ale nie miał na to wpływu. Chciał żyć. Zachłannie, łapczywie. Obronić tę resztkę terytorium. Dlatego bał się tej baby jak nikogo na świecie.

Niespodziewanie uświadomił sobie, że zagrożenie zniknęło. Tak, kroki się oddalały! Wcześniej, jak z głębi studni, dobiegły go czyjeś słowa, na które tamta odpowiedziała. Nie wychwycił ich sensu. Jak zwykle. Jakimś niepojętym zrzędzeniem losu rozumiał wyłącznie tę złoźczą mu babę. Ale niebezpieczeństwo minęło. Tyle tylko, że czuł przy sobie czyjąś obecność.

Poczuł dotyk. Nie taki bezosobowy jak wszystkich tych, którzy z różnych względów dotykali go na co dzień. Ciepły, współczujący,

serdeczny. Dotyk trwał, rozpalał w nim nadzieję i ciepło. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że towarzyszą mu także słowa. Najpierw, jak zawsze, dudniące, odległe, rozmyte w czasoprzestrzeni. Potem coraz wyraźniejsze. Aż w końcu uświadomił sobie, że ten ktoś obok niego stale powtarza tę samą frazę. Coraz bliższą, coraz natarczywiej dobijającą się do zapory, która nie chciała do jego jaźni dopuścić ich znaczenia. Aż nagle zapora pękła i po raz pierwszy od wieczności zrozumiał słowa:

– Wiem, że tam jesteś. Wiem, że mnie słyszysz. Przyszedłem wydobyć cię z tej otchłani.

Oczy, wciąż nieprzydatne, bo zamknięte, zalały mu łzy wzruszenia. Już nie był sam.

Warszawa. Listopad. Czwartek–piątek

Przejściówka w Areszcie Śledczym przy Rakowieckiej. Kurczę, parę razy zaglądał tu jako glina. Uderzał go wtedy smród starych skarpetek, skisłego potu i nieświeżych oddechów. Teraz już nawet tego nie czuł. Obciążony mandżurem, czyli zawiniętymi w koc: poduszką, poszewką, prześcieradłami, naczyniami, rolką papieru toaletowego, pastą do zębów i kremem do golenia, dreptał za funkcjonariuszem Służby Więziennej, zwanym w tym miejscu gadem. Wciąż jeszcze czuł głęboki dyskomfort po rewizji osobistej, podczas której jakiś grubas wkładał mu palec do tyłka.

– Będziesz grypsować? – zapytał gad.

Bartek zaprzeczył.

– No to wchodzisz tutaj.

Trach. Zamknęły się za nim drzwi celi. Zgrzytnął zamek. Rozejrzał się. I zobaczył wpatrzonych w niego facetów o ciałach pokrytych tatuażami. Kropki obok oczu, igielki na powiekach.

Złośliwy sukinsyn. Dał mnie do grypsujących.

Z biegiem czasu uznał jednak, że to nawet lepiej. Dla chłoptasiów spod celi był frajerem, z którym się nie rozmawia, nie je przy jednym stole, nie podaje ręki. Dzięki temu miał spokój. Mógł zebrać myśli.

A było co zbierać. Co łączy Stokrocką z Zacharem? Ich relacje na pewno nie były przelotne – kobieta знаła pracujących dla niego ludzi. Z jednej strony czuł satysfakcję – potwierdziła się jego teza, że Zacharewicz potrzebował osoby z zewnątrz do śledzenia gwiazdki. Z drugiej niepokoił się coraz bardziej – kim naprawdę był eksnadkomisarz Zyga, że dysponował własnymi żołnierzami? I co z kolei łączyło go

z Wasilewskim? Dawniej – to jasne. Ohydna, przestępcza współpraca. Ale obecnie? Szanowany producent filmowy i szemrany lichwiarz. Dziwna para.

Od analizowania tego wszystkiego, układania listy osób, do których powinien dotrzeć, i snucia planów, jak to zrobić, w końcu rozboleła go głowa. Zaczął więc myśleć o czymś innym. Czyli o... Stokrockiej.

Jacy są ludzie, dla których niebieski to ulubiony kolor?

Z lektury jakiejś książki, a może z wykładów w szkole policyjnej, pamiętał, że niebieski to kolor ludzi poukładanych, konserwatywnych i współczujących. Ale już turkusowy oznacza stłumione emocje, wewnętrzną burzę, umiejętność przywdziewania maski.

Wszystko to bzdury. On sam na przykład lubił fiolet. Czy to oznacza, że jest nieszablonowy, tolerancyjny i dowcipny ze skłonnością do sarkazmu?

Nie! Jestem głąbem, który dał się zamknąć w areszcie z podejrzeniem o dokonanie zabójstwa.

Zasnął. Śniło mu się, że rzuca Jolkę na turkusowe prześcieradło i bierze ją niemal siłą. A potem odkrywa, że to nie Jolka, tylko Amelia Stokrocka.

Rano przez dłuższą chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Czuł irracjonalne wyrzuty sumienia, że zdradził swoją kobietę. Od spania na zapadającym się łóżku łupało go w karku. Zwlókł się ze swojej górnej pryczy, odczekał, aż grypsera się umyje, wyszorował zęby. Ogolić się nie miał siły. Więzienie napierało na niego głosami stłoczonych w nim ludzi, skrzekiem radiowężła i gulgotaniem telewizorów. Kiedy otworzyły się drzwi celi, poczłapał na korytarz.

– Hau! Hau! Aport, piesku!

Nie zareagował. Szedł dalej.

– Do ciebie mówię, parszywy psie!

Inni aresztanci zatrzymali się, zaczęli mu się przyglądać, lekko odsuwając się na boki. Wielki jak góra strażnik udał, że przygląda się własnym paznokciom.

No tak. W więzieniu wieści się szybko rozchodzą. Prędzej czy później to się musiało tak skończyć.

Zatrzymał się. Odwrócił. Za nim szedł wysoki i szczupły, ale żyłasty i wysportowany dwudziestoparolatek. Miał wredne spojrzenie. Widać było, że nie odpuści.

A więc nadszedł czas ustalania hierarchii w stadzie.

– Głuchy jesteś? – Chłopak zbliżał się czujnym, kocim krokiem. – A może próbujesz udawać, że nie byłeś psem?

– Nie usłyszałem cię, bo masz taki jakiś piskliwy głosik. Chyba nie próbujesz udawać, że byłeś kiedyś kobietą?

Dookoła rozległy się ostrożne chichoty. Chłopak zacisnął usta, wysuwając szczękę. Wyglądał na kogoś, kto umie uderzyć. Konecki mógł więc mieć tylko nadzieję, że wkurzy go dostatecznie, żeby tamten zaatakował na oślep.

– Nazywasz mnie babą?

– A co? Nie jesteś?

Młody uderzył zwykłym, knajackim „kujawiakiem”. Mocno, choć prawie bez zamachu. Gdyby trafił, pewnie by urwał głowę starszemu od siebie o piętnaście lat Koneckiemu. Ten jednak był przygotowany.

Unik rotacyjny i ręka tamtego tylko musnęła mu odrastające loczki. Wyjście z jego prawej, rzut oka na odsłonięty bok napastnika, mocny, zamachowy sierpowy na sam czubek szczęki. Trafienie w punkt. Ciało młodego runęło na ziemię jak worek cementu. Koniec.

– No proszę, dopiero drugi dzień na oddziale i już idzie do karceru! –

Strażnik wyraźnie się ucieszył.

WCZEŚNIEJ

Opole. Maj 2015

Janusz Ceglarczyk był zadowolony. Miał dobry poranek. Nad stawami w Malince nareszcie zaczynał się sezon, udało mu się więc zebrać aż czterdzieści siedem puszek po piwie. Niemal kilogram! Do tego, można powiedzieć – w promocji – trafił mu się wygięty dwuteownik długości około metra. Przeszło sześć kilogramów stali! Licząc po trzy złote pięćdziesiąt groszy za kilogram aluminium z puszek i trzydzieści pięć groszy za stal powyżej czterech milimetrów grubości, wszystko razem dało mu całego piątaka i jeszcze dwadzieścia pięć groszy. Pieprzona fortuna!

Nie znaczy to jednak, że powinien szastać szmałem. Jutro będzie pewnie gorzej, lepiej oszczędzać. Do południa pokręcił się po osiedlu Związku Walki Młodych, o, *pardon* – obecnie Armii Krajowej, i udało mu się jeszcze dozbierać cały wózek kartonów. Osiem kilo! Razy dwadzieścia cztery grosze. Wyszło niemal dwa zeta. Teraz miał więc ukryte w majtkach siedem zyli. Chował je w majtkach, bo w uliczkach przed jadłodajnią dla ubogich czaili się czasem zbóje. Wciągali człowieka do bramy i obszukiwali niemal do gaci. Kiedyś już tak stracił ponad dwadzieścia złotych, które wpadły mu za łup życia – wyrzucony nad brzegiem Kamionka Bolko akumulator.

Tym razem nikt go nie zaczepiał. Nie musiał się nawet z nikim szarpać o swoje cztery kółka – stary dziecięcy wózek, służący mu do transportu. Dzień był udany.

Odstał swoje w kolejce, a potem usiadł przy stole z zupą w plastikowym talerzyku i pajdą chleba w ręku. Kapuśniak. Pycha. Wychłęptał go niemal bez używania łyżki, beknął i skupił się na pełnym

godności przeżuwaniu chleba.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, wyprostował się i omiótł wzrokiem salę. Wokół niemal sami menele. Śmierdzący, zakutani w łańcuchy, brodaci bezdomni. De-gren-go-la-da. Ceglarczyk wprawdzie od zeszłej jesieni też nie miał dachu nad głową – ten sukinsyn, kierownik zmiany, wywalił go z pracy w Realu, żeby zrobić miejsce dla swojego krewniaka. Z tego powodu mieszkał teraz w działkowej szopie. Kawalerkę wynajmowaną na ZWM-ie musiał zwolnić w styczniu. Dłużej nie dało się bajerować właściciela, że jego problemy finansowe są jedynie przejściowe.

– Wszędzie to samo, cholera – szczerknął w pusty talerz. – Układy, przekręty, cwaniactwo.

W Zakładzie Karnym w Strzelcach Opolskich, w których odbywał ostatnią część wyroku, też padł ofiarą spisku. Fucha w bibliotece, na którą tyle się naczekał, po zaledwie pół roku została mu odebrana, bo rzekomo zgubił jakąś książkę. Akurat, zgubił. Ukradł mu ten gruby, co to później ochoczo wskoczył na jego miejscówkę.

– Pechowy jestem! – Janusz kontynuował swój monolog. – Zbyt uczciwy. Dlatego ciągle w dupę dostaję. Ale ja im jeszcze... kiedyś... wszystkim...

Ze złości aż poczuł skurcz w szczękach.

Czym prędzej się opanował. Nie czas na wyciąganie starych uraz. Trzeba nad sobą panować. Zostało mu już tylko niewiele ponad pół roku dozoru kuratora. Pół roku! I wyrok zostanie uznany za odbyty!

Westchnął, wstał i powłókł się do kolejki po drugie danie. Dziś zawijany krokiet w panierce. Mięśny! Warto poczekać w tym tłumie śmierdziuchów. Kolejka szła wolno, każdy marudził, że krokiet za mały, że ukruszony, z wysypanym farszem. Ceglarczyk więc znów się zadumał.

Pani kurator sądowa Elwira Michalak. W sumie w porzo babka. Poznał ją jeszcze w zakładzie, kiedy powiedział wychowawcy, że będzie

wnioskował o warunkowe odroczenie kary po piętnastu latach. Dużo rozmawiali, chyba go polubiła. Krzywiła się tylko, kiedy podkreślał, że siedzi niewinnie.

– Tu wszyscy niewinni, panie Januszu, proszę wreszcie wydorosnąć – mawiała.

Jego pierwszy wniosek sąd penitencjarny odrzucił. Nie dlatego, żeby się źle zachowywał w kryminale. Nie grypsował, nie sprawiał kłopotów, udzielał się w kółkach zainteresowań. Tyle że nie miał gdzie wrócić po wyjściu z krat. A to, zdaniem sądu, groziło mu degeneracją i powrotem na przestępczą ścieżkę. Rodzice się go wyrzekli, wymeldowali, wydziedziczyli. Zawodu żadnego nie miał, bo niby skąd? Przecież takie owakie syny zamknęli go, kiedy nie miał jeszcze skończonych dwudziestu lat! No trudno, dalej kiblował. Zamiast po piętnastu, puścili go w końcu po prawie osiemnastu latach pod celą. W 2010 roku. I nałożyli pięcioletni dozór kuratora.

Na szczęście nadal patronowała mu pani Elwira. Zgłaszał się do niej regularnie, z dumą pokazywał – kiedy przychodziła na wizytację – skromnie urządzoną kawalerkę i oszczędności skitrane pod materacem. Tyle że w styczniu wszystko się spieszyło.

– Kiedy wreszcie znajdzie pan nową pracę? – pytała raz w miesiącu Michałak.

– Ale roboty dla mnie nie ma!

– Oj, panie Januszu, ciągle to samo. Praca jest, trzeba tylko poszukać. Niech pan się bardziej postara. Nie chciałabym odwoływać panu warunku, ale jak dalej będzie pan żył na ulicy, w końcu wpadnie pan w złe towarzystwo, zrobi jakieś głupstwo, a dalej... – Głęboko wzdychała. – Zbyt wiele już takich historii widziałam. A przecież pan jest inny. Pan nie jest zatwardziałym przestępcą.

Ja jestem inny – powtórzył w myślach, omiatając wzrokiem stołówkę.

Samo barachło. Tylko tam w rogu siedzieli jacyś młodzi ludzie. Chyba skacowani po imprezie studenci.

Wracał już do stołu z krokietem na plastikowym talerzyku. Usiadł. Kolejny raz sprawdził, czy nikt nie buchnął mu wózka. Wbił zęby w miękkie ciasto. Farsz był nadal ciepły.

– Ceglarczyk Janusz!

Drgnął. Od czasów pracy w hipermarkecie nikt nigdy go nie wywoływał.

– Ceglarczyk! Czy może jest ktoś o takim nazwisku na sali?

Ostrożnie podniósł oczy. To pani Krystyna Szwed. Szefowa fundacji organizującej darmowe posiłki. Duża jak dragon, z biustem niczym nawis śnieżny na Evereście, o stalowym spojrzeniu. Trzymała w ręku kopertę. Ostemplowaną z obydwu stron. Leciutko wymachiwała nią w powietrzu.

List. List? Do mnie?!

Powoli uniósł rękę.

– Pan się nazywa Ceglarczyk Janusz? Na pewno?

Wstydliwym ruchem sięgnął do majtek, po czym wydobył blankiet dowodu osobistego. Chciał jej podać, ale nie wzięła. Wyciągnęła szyję, przekrzywiła głowę, przesylabizowała nazwisko.

– W takim razie to do pana. – Wręczyła mu przesyłkę. – Spójrz pan na stemple, list się trochę najeździł po świecie – dodała z uśmiechem. – Ponad rok temu ktoś przesłał go z Warszawy na adres więzienia w Strzelcach Opolskich. – Wyliczała, kolejno zaginając palce. – Ale już tam pana nie było. Poleżał więc parę miesięcy w kancelarii, aż w końcu ktoś wpadł na pomysł, żeby go przesłać do sądu rejonowego w Opolu. Tam wręczono list pani kurator Michalak, a ona od razu przesłała go na pański adres. Tyle że, zdaje się, już tam pan nie mieszka?

Popatrzyła na Janusza znacznie łagodniej. Potwierdził skinieniem głowy. Z niecierpliwością czekał, żeby wreszcie skończyła. Chciał wziąć

kopertę do ręki. Nie wyglądała na urzędowe pismo. Prywatny list... Pierwszy w jego życiu.

– Właściciel mieszkania rzucił go w kąt. – Pani Krystyna ciągle wymachiwała ostemplowaną kopertą. – Nie miał przecież pojęcia, gdzie pana szukać. Aż w końcu ktoś mu powiedział, że jest pan bezdomny i zbiera makulaturę po śmietnikach. Więc odesłał list do mojej fundacji.

Nie mógł już dłużej czekać. Chwycił kopertę i lekkim szarpnięciem uwolnił ją z serdelkowatych paluszków.

Pani Krystyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej, po czym zrobiła zwrot przypominający manewrowanie transatlantyku w zatłoczonym porcie i długim krokiem wróciła do biura.

Ceglarczyk nie bez wysiłku odnalazł nadawcę w gąszczu stempli i urzędowych adnotacji. Zanim jeszcze przeczytał nazwisko, już wiedział. Rozpoznał okrągłe, staranne pismo. Wzruszenie ścisnęło mu gardło.

To od niego. Czyżby nareszcie mi uwierzył?

Warszawa. Grudzień. Wtorek

Fajnie było znów być na wolności. Warszawskie powietrze wydawało się tak świeże, że aż kręciło się w głowie, nisko zawieszona słońce przyjemnie grzało w twarz, no i mógł pójść, dokąd chciał. W lewo. W prawo. Albo na wprost. Tyle możliwości, że pełen radosnego wahania wciąż nie potrafił zrobić kroku spod piętrzącej się za nim żelaznej bramy aresztu.

A przecież to tylko półtora tygodnia – pomyślał.

Co musi czuć ktoś, kto wychodzi po roku? Pięciu latach? Dziesięciu?

Klakson. Rozejrzył się wokół. Drugą stroną ulicy włókł się mini morris cooper. A w nim Jolka. Na migi dała mu znak, żeby czekał, a ona do niego wykręci.

Przyjechała po mnie.

Słońce nagle jakby przygrzało mocniej. Mgliste, późnojesienne powietrze otuliło go ciepłą pierzyną, uszy pieściło krakanie skaczącego po chodniku kruka.

Przyjechała zabrać mnie z aresztu.

– Wsiadaj, Clint Eastwood. Wracamy do domu.

Bartek dobrze wiedział, że nie przypomina tego aktora. Był znacznie grubszy, miał durnowate kędzierzawe włosy i nos boksera. Ale fajnie, że go tak nazwała. Za młodu Clint był przecież przystojniakiem.

Wgramolił się na siedzenie pasażera, aż autko się zakołysało, pocałował ją. Szybko nadstawiła mu policzek. No jasne. Strażnik mógł ich podglądać przez judasza. Nic nie było w stanie wytrącić go z dobrego nastroju.

Ruszyli w kierunku alei Niepodległości.

- Dziękuję – powiedział.
- Za co?
- Że po mnie przyjechałaś.

Wzruszenie ramion. Rondo przy Wawelskiej. Czerwone światło. Kilka czekających samochodów.

– Ale z tym daniem mi alibi to się wygłupiłaś. Powiedziałaś im, że byłaś ze mną w domu przez całą noc do ósmej rano, a tak naprawdę kiedy wyszłaś? Jak zwykle? Koło siódmej?

Przytaknęła skinieniem głowy.

– W takim razie do Komendy Stołecznej musiałaś dotrzeć najwyżej po piętnastu minutach. System identyfikacji na bramce wejściowej musiał to odnotować, więc łatwo sprawdzić, że kłamałaś. Mam nadzieję, że nie masz przez to kłopotów?

Posłała mu szybkie spojrzenie.

– Spanikowałam. Powiedzieli, że szykują ci oskarżenie z artykułu jeden-cztery-osiem!

– Przesada. To, w co mogliby mnie zrobić, to najwyżej zabójstwo z zamiarem ewentualnym.

Nie roześmiała się. Zmarszczyła brwi, zaciskając usta.

- Zawsze musisz grać macho, co?
- Role romantyczne mi jakoś nie wychodzą.

Centrum. Po lewej strzelista erekcja Pałacu Kultury, po prawej nudna jednostajność Domów Towarowych. Bartek docenił, że nie wypytywała go, co robił w domu denata. Kiedyś jej to wyjaśni. Ale jeszcze nie teraz.

– Muszę ci coś powiedzieć... – zaczęła, ale jej przerwał, bo nagle wpadł na pewien pomysł.

– Mogłabyś mi pożyczyć auto?

Z dezaprobatą wrzuciła kierunkowskaz, energicznie zmieniła pas, wyprzedzając zwalniający przed światłami samochód, i dodała gazu. Przez

skrzyżowanie na placu Bankowym przeskoczyła na końcu pomarańczowego.

– Muszę wracać do pracy.

Bartek odprowadził wzrokiem bryłę pałacu Mostowskich po lewej. Już skręcali w Świętojerską.

– Daj spokój – powiedział. – Z domu masz tutaj ze trzysta metrów. A mój golf został odholowany na policyjny parking.

– Dokąd chcesz jechać? – Jej głos nabrał ostrości.

– Skoczę tylko do biura i zobaczę, czy Sieroń i jego ekipa nie narobili za dużego bałaganu. Wrócę w ciągu godziny.

– Dobrze – westchnęła, parkując pod Instytutem Wzornictwa Przemysłowego.

– A co chciałaś mi powiedzieć?

– Porozmawiamy o tym później.

Ledwo zdążyli wysiąść, a już zobaczyli podinspektora Sieronia. Blondas w pikowanej kurtce mierzył ich ironicznym wzrokiem.

– Niedługo nie będę mógł wynieść śmieci, żeby się nie natknąć na byłego lub obecnego gliniarza – westchnął Konecki.

Z dłońmi w kieszeniach ruszył w stronę znajomej sylwetki. Na dworze było ciepło, niemal wiosennie, ale w areszcie nie oddano mu kurtki. Wciąż była potrzebna tym z laboratorium kryminalistycznego.

– Dzień dobry! – Sieroń zmierzył Jolkę od stóp do głów. – Mogę panią na moment przeprosić, pani komisarz?

Jolanta Bończak wytrzymała jego spojrzenie. Przez chwilę zdawało się, że chce coś odpowiedzieć, ale się rozmyśliła.

– Zaczekam w domu – powiedziała. – Nie rozgaduj się. – Dość ostentacyjnie dotknęła palcami policzka Koneckiego, posłała policjantowi zimne spojrzenie i ruszyła w stronę wejścia do klatki.

Zostali sami. Od strony ulicy Freta dobiegał turkot dorożki i gruchanie

gołębi.

– Jak ci tam na wolności? – spytał podkomisarz.

– Podobnie jak w kryminale. Gdzie nie spojrzysz, tam same zakazane gęby.

Zmierzyli się wzrokiem.

– Nie bądź taki hardy, szybko możesz wrócić za kratki – zauważył Sieroń.

– A co? Oskarżysz mnie o jazdę bez pasów?

Policjant wyjął ręce z kieszeni i wyłamał kostki palców. Przez chwilę Koneckiemu się wydawało, że ma zamiar go uderzyć.

– Na razie wyszedłeś, bo na twoim ubraniu nie było śladów krwi. No i jedyne należące do ciebie odciski palców, na jakie natrafiliśmy w mieszkaniu, to te na klamce.

– A sprawdziliście lokalizację mojego telefonu, kiedy dzwoniono do mnie z aparatu Łyki?

– Tak – przyznał z niechęcią Sieroń. – Rzeczywiście, o ósmej aparat kodował się do anteny obsługującej Świętojerską.

– To znaczy, że nie było mnie w mieszkaniu redaktora, kiedy go mordowano – podsumował Konecki.

Podkomisarz łypnął na niego ze złością.

– To znaczy jedynie, że nie było tam twojej komórki! – wyrzucił z siebie z pasją. – Mogłeś zadzwonić sam do siebie z miejsca zbrodni, żeby stworzyć sobie alibi. Przyznasz, to trochę dziwne, że ten, kto zamordował Łykę, od razu po rozwaleniu mu łba dzwoni akurat do ciebie...

Na to już Konecki nic nie odpowiedział. Sam się nad tym zastanawiał. I jeszcze w areszcie doszedł do wniosku, że Zacharewicz pogrywa z nim dokładnie tak samo, jak kiedyś z Norbertem Pałuchą. Gdy chciał dwadzieścia pięć lat temu ukreścić łeb śledztwu prowadzonemu przez aspiranta, najpierw go zdyskredytował, próbując zrobić we wzięcie

łapówki. I choć ostatecznie Pałuchę oczyszczono z tego zarzutu, gównem, którym obrzucił go nadkomisarz, już się nie odkleiło. Pałuchę wydano ze służby, przyłgnęła do niego łatka sprzedajnego gliniarza. W takich okolicznościach łatwo było zakwestionować jego ustalenia ze śledztwa w sprawie zabójstwa Krystyny Talko. Teraz tę samą strategię Zacharewicz przyjął wobec Bartka. Stworzył wrażenie, że łączy go coś z zabójstwem dziennikarza, a tym samym uderzył w jego wiarygodność. Na wypadek, gdyby Konecki zechciał powiedzieć policji, że to Zacharewicz wynajął go do śledzenia narzeczonej faceta, który przed laty był podejrzewany o dokonanie zbrodni identycznej z tą, do której doszło kilkanaście dni temu.

– Na twoją korzyść wskazuje jednak, że nie znaleźliśmy przy tobie rękawiczek chirurgicznych.

– Rękawiczek chirurgicznych?

– Napastnik ich używał. Na szafkach i innych przedmiotach, które przeszukiwał, nie zostawił odcisków palców. Technicy znaleźli jednak ślady pozostawione przez lateksowe rękawiczki.

Podkomisarz zamilkł, wpatrując się w Bartka. Dorożka już dawno odjechała w stronę Barbakanu, teraz od strony rynku Nowego Miasta nadchodziła hałaśliwa wycieczka szkolna.

– Wystękać wreszcie, jaką masz do mnie sprawę – odezwał się Konecki. – I przestań mnie straszyć. Jestem pewien, że w życiu byście mnie nie wypuścili, gdybyście nie mieli wytypowanego prawdziwego zabójcy.

Sieronowi drgnęły brwi. Trafiał. Bartek postanowił więc jeszcze go trochę przycisnąć.

– Kto to jest? Zacharewicz?

Policjant długo badał go wzrokiem.

– A co to za jeden, ten Zacharewicz? – odpowiedział pytaniem.

– Człowiek-legenda. Długo by opowiadać – wycofał się Konecki. – No to kto wpadł w wasze sidła?

– Komenda Stołeczna próbowała odebrać nam śledztwo. Twój były szef, Żywuski, robił już przymiarki. Ale nie zdążyli. Rzeczywiście, mamy już wytypowanego podejrzanego. – W jego głosie zabrzmiała z trudem skrywana satysfakcja. – To jakiś idiota. Zostawił całą masę odcisków palców.

– Przecież mówiłeś, że miał rękawiczki!

– Właśnie dlatego nazywam go idiotą! – Na twarzy Sieronia po raz kolejny zagościł kpiarski uśmiech. – Kiedy przeszukiwał dom, a wcześniej obezwładniał ofiarę, miał je na rękach. Ale gdy zdecydował się zabić, to je zdjął!

– Bez sensu...

– A jednak. Znaleźliśmy jego paluchy na podłodze wokół ciała i na młotku, którym rozłupał łeb dziennikarza. Kretyn wsadził nawet łapę w świeżą plamę krwi i ostemplował nią wszystko wokół, nawet ubranie denata. Ale to nie koniec. Stary redaktor walczył o życie. Pod paznokciami miał zdrapany naskórek napastnika. Jeszcze za wcześnie na określenie profilu DNA, ale grupę krwi już mamy. Zgadza się z tą u wytypowanego przez nas chłoptasia.

– Szybko go ustaliliście. To recydywista?

– Tak. Już zresztą siedział za morderstwo.

– A jak się nazywa?

Podkomisarz zamrugnął nerwowo, uświadamiając sobie, że się zagalopował. Nie powinien tyle gadać.

– Nie twoja sprawa – uciął.

Wycieczka przeszła, płosząc przy okazji opasłe gołębie. Wokół nich zapanowała cisza.

– Ale nie ciesz się za bardzo. Wciąż siedzisz po uszy w gównie! –

Sieroń powrócił do starej śpiewki, przypominając sobie najwyraźniej, że chciał Koneckiego przycisnąć. – Nie wyjaśniłeś, co robiłeś na miejscu przestępstwa, usiłowałeś stamtąd uciekać, a do tego posługiwałeś się sfalszowaną legitymacją policyjną. Wystarczy, żeby cię wsadzić na pięć lat.

– Aleś mnie teraz przeraził! – Bartek teatralnie chwycił się za serce. – A może zamiast mnie straszyć, zdradzisz nareszcie, jaką masz do mnie sprawę?

Sieroń posłał mu mordercze spojrzenie.

– Chcę wiedzieć, kto jest twoim klientem – wycedził. – I dlaczego posłał cię do Czesława Łyki. Przyznasz, że to jednak trochę dziwne, że pismak padł ofiarą napadu rabunkowego zaraz po tym, jak go odwiedziłeś. A tuż po tym, jak został zamordowany, ktoś trzy razy zadzwonił z jego telefonu do ciebie. Coś cię łączy z zabójcą. Albo to ty zleciłeś to morderstwo, albo...

– Albo co?

– Albo sam znalazłeś się na celowniku – powiedział Sieroń, po czym wyjął wizytówkę i wręczył ją Koneckiemu. – Zadzwoń, jak zmądrzejesz.

Bartek wziął długi pryznic, porządnie się ogolił i wypachnił. Kiedy wyszedł z łazienki, Jolki nie było już w mieszkaniu. Na stole w kuchni leżały kluczyki do mini morrisa. Włożył ostatni czysty dres i te same sportowe buty, w których wyszedł do Łyki. Trochę przewiewny ubiór jak na początek grudnia, ale drugiej kurtki nie miał. Przez chwilę wahał się, czy zabrać pistolet.

Nie będę przecież paradował z kaburą na wierzchu – pomyślał z niesmakiem.

Wsuwać kopyta za gumkę spodni też nie zamierzał. Jeszcze wypadnie.

Zabrał drugi komplet kluczy do biura (pierwszy ciągle trzymał Sieroń), zbiegł po schodach i wcisnął się za kierownicę, maksymalnie odsuwając fotel. Zapalił i ruszył, czując się, jakby szorował tyłkiem po asfalcie.

Na Grochowskiej panował spokój. Drzwi do salonu Las Vegas były zamknięte. Wszedł z ulicy na klatkę, wspiął się po schodach. Wejście do jego biura było zaklejone taśmą z napisem „Policja”, którą zresztą ktoś już zdążył zerwać. Pewnie sprzątaczką.

Ciekawe, czy dokładnie przeszukali pokój? – Z tą myślą otworzył zamek, nacisnął kłamkę i zamasyście wkroczył do środka.

Za późno zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Ulotna woń męskiego potu, duchota wnętrza, w którym ktoś długo czatował, nieprzyjemne poczucie, że ma kogoś za sobą... Próbował się błyskawicznie odwrócić, ale wcześniej usłyszał trzask wyładowania elektrycznego i ciało przeszył mu prąd.

Paralizator – pomyślał, osuwając się na kolana.

Spróbował jeszcze się odwrócić, żeby zobaczyć twarz napastnika, ale osiągnął tylko tyle, że kastet, którym wymierzono mu cios, zamiast w potylicę, trafił w skroń. Upadł, czując, jak krew zalewa mu oczy. Ktoś wcisnął mu na głowę plastikową torbę.

Ciekawe, czy też z Biedronki?

– Nie wypełniłeś zlecenia! – Usłyszał nad sobą.

Spróbował sprężyć mięśnie do skoku, ale wciąż był zeszywniały po porażeniu paralizatorem.

– Teraz wisisz komuś pięć tysiaków. Plus karne odsetki. Pięć stów za każdy dzień zwłoki.

Nawet gdyby mógł, nie zdążyłby tego skomentować, bo dostał kopa w brzuch. Wycisnął mu on z płuc całe powietrze. Zaczął łapczywie chwytać tlen ustami, gdy drugi cios – tym razem w twarz – niemal pozbawił go przytomności. Ogarnęło go odrętwienie, czuł się tak, jakby

spowijała go wata. Kolejne kopnięcia już tak nie bolały.

Jest ich dwóch – pomyślał sennie.

Choć paraliż i ośpienie wywołane napięciem stu tysięcy woltów powoli zaczęły ustępować, krztusił się krwią, nie mógł zaczerpnąć oddechu.

Zaraz stracę przytomność.

Wtedy tamci skończyli.

– Twoje zlecenie właśnie zostało anulowane. Nie próbuj brnąć dalej w tę sprawę, bo źle się to dla ciebie skończy.

Po tych słowach usłyszał skrzypnięcie drzwi i oddalające się kroki. Najwyższym wysiłkiem woli zdarł z głowy torebkę i podczołgał się do progu. Wyjrzał na schody. Napastnicy właśnie znikali w wyjściu z pawilonu. Dwie smukłe sylwetki w dresach i kapturach nasuniętych na twarze. Nie do rozpoznania. Pierwszy już wyszedł na ulicę, drugi za nim. Przekraczając próg, drugi szybkim ruchem potarł kciukiem nos, a potem poruszył głową w lewo i prawo. Chrupnęły mu kręgi szyjne. Konecki rozpoznał ten gest.

Najpierw spokojnie sobie zemdlał, ale zaraz się ocknął – zanim ktokolwiek narobił rabanu. Wstał, zamknął drzwi na zamek, poczłapał do łazienki. W lustrze zobaczył spuchniętą, zmasakrowaną twarz. Złamany nos był tak przesunięty, że niemal zasłaniał mu prawe oko, wargi rozbite, rozcięty lewy łuk brwiowy. Sprawdził językiem zęby. Ruszały się prawie wszystkie.

Wsadził do dziurek nosa palce wskazujące. Wziął głęboki wdech i stanął na rozstawionych nogach. Wymacał miejsce złamania i przemieszczenia kości, po czym zdecydowanym szarpnięciem nastawił sobie nos. Chrupnęło, a do umywalki pociekła strumykiem krew. Odkręcił

zimną wodę i dokładnie umył twarz. Po dziesięciu minutach zdecydowanie mniej krwawił. Wrócił do biurka, otworzył szufladę. Ręka zawisła mu na chwilę nad opakowaniem alpraksu.

Nie. To nie jest dobry moment.

Ominął pudełko i wyjął apteczkę. Wrócił do łazienki, skleił rozcięty łuk, usztywnił nos, podkleił wargę. Dopiero wtedy wrócił do biura i się rozejrzał.

Ktoś bardzo dokładnie przetrząsnął pomieszczenie. Jego akta były rozrzucone po podłodze, komputer zniknął. Policja? Czy tamci – kimkolwiek byli? Nie miało to w tym momencie żadnego znaczenia. Cofnął się do kuchenki i uniósł ekspres do kawy. Wyjętym z pudełka obok kosza na śmieci śrubokrętem odkręcił dno urządzenia. Na dłoń wypadł mu pendrive. Uf, a więc go nie znaleźli. Zawierał wszystkie nagrania z okularów OTP, na których była Stokrocka. Kartę pamięci minikamerki codziennie, na bieżąco, kasował.

Jeszcze raz obrzucił zmęczonym wzrokiem pomieszczenie.

– No to zabieram się do sprzątanania – wymruczał.

Nie miał na myśli biura.

Warszawa. Kwiecień 2016

Nie poznał swojego miasta. Na peronie Dworca Centralnego szoku jeszcze nie było. W porównaniu z tym, co pamiętał z czasów, kiedy w 1992 roku wyjeżdżał stąd do Jarocina, nie dopatrzył się wielkich zmian. Jakieś tablice multimedialne, ścieżka dla niewidomych czy pendolino na sąsiednim torze. Kiedy jednak pobłądził w podziemiach i wyszedł w centrum handlowym Złote Tarasy, trochę go zatkało. Skąd się to tutaj wzięło? Faliste ściany ze szkła, piętrowe antresole. Pamiętał, że kiedyś obok Centralnego był tylko mały dom handlowy, a także całonocny sklep monopolowy pod Marriottem, z drugiej strony Alej Jerozolimskich. Po ósmej wieczorem ściągała tam cała spragniona Warszawa.

Ceglarczykowi do reszty opadła jednak szczęka, kiedy wyszedł na zewnątrz. Hotel Marriott, który w jego czasach był w zasadzie jednym z dwóch drapaczy chmur w stolicy, teraz wyglądał na uboższego krewnego srebrzących się szkłem i aluminium wieżowców różnych wysokości i kształtów. Miasto przytłaczało go nowoczesną obcością, dezorientowało nowymi kolorami i bryłami. Było jak za wysoko ustawiona poprzeczka. Jak zbyt wielki ciężar, którego nie można oderwać od ziemi.

Nie dam rady. Nie zrobię tego.

Rozejrzał się, choć wiedział z wymiany listów, że On się na dworcu nie zjawi. To byłoby tylko niepotrzebne ryzyko, były więzień mógł być obserwowany. Gdy Ceglarczyk znajdzie lokum w stolicy, ma mu napisać na *post restante*, gdzie jest, i czekać na kontakt. Na razie musiał sobie radzić sam. Tylko czy to się uda?

Rozejrzał się i zauważył bezdomnego siedzącego na stopniach

opadających ku zastawionemu pięknymi autami parkingowi. Brudny, brodaty, śmierzący. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Podobnie jak na całą resztę ludzkich wraków snujących się po błoniach wokół pobliskiego Pałacu Kultury.

To dodało mu pewności siebie. Uspokoił się. Przypomniawszy sobie, co udało mu się osiągnąć w ciągu ostatnich miesięcy. Gdzie zaczynał i gdzie jest teraz. Znowu poczuł się silny. Podszedł do menela i rzucił mu pięć złotych. Brodacz popatrzył na niego w niemym zdumieniu. Janusz Ceglarczyk długim, spokojnym krokiem ruszył wzdłuż alej w kierunku metra. Zaczynał nowy etap życia. I pewnie ostatni. Ale zamierzał przynajmniej odejść z hukiem.

Pół roku temu, w Opolu, po przeczytaniu listu od Niego najpierw zwyczajnie się popłakał. Ze wzruszenia. Nareszcie ktoś mu uwierzył! A nawet znalazł potwierdzenie dla jego słów. I podał mu na srebrnej tacy niezbite fakty.

Zaraz potem Ceglarczyk zawrzał gniewem. Stracił wszystko – młodość, niewinność, marzenia. I mnóstwo czasu. A ci, którzy stracili go do tego piekła, żyli sobie w stolicy, opływając w luksusy. Ogarnęła go taka złość, że nie potrafił jej z siebie wyrzucić. Przez kilka dni błąkał się po Opolu, czując, jak spala go wewnętrzny ogień.

Aż w końcu ochłonął. Jak lawa, która stygnie z wierzchu, a w środku... Wiadomo, już jakiś poeta to kiedyś zauważył. Janusza opętała myśl o zemście. Odplacić im, sprawić, żeby choć przez chwilę poczuli to, przez co sam musiał przejść. Nawet On – autor listu – ostrożnie wspomniawszy o okazji do wyrównania rachunków. A kogo jak kogo, ale akurat Jego, swojego mentora i przewodnika, Ceglarczyk darzył bezgranicznym szacunkiem.

To go napędziło. Pani kurator nachwalić się go nie mogła, kiedy

znalazł pracę na budowie, potem następnej, w końcu zaczepił się na resztę sezonu w ekipie remontowej. Harował po jedenaście godzin na dobę. Zmęśniał, wyprostował kark, zgolił brodę. Nie pił, nie palił, stronił od innych byłych więźniów. Był dla pani Elwiry modelowym przykładem resocjalizacji. Pokonał bezrobocie, wyszedł z bezdomności. Tylko życia prywatnego nie chciał sobie ułożyć. Pieniądze odkładał, mieszkał na budowach lub z innymi robotnikami – w tanich kwaterach. Nie szukał stałego zatrudnienia, dziewczyny, nie myślał o dzieciach.

– Na co odkładasz te swoje zarobki? – pytała dociekliwie pani kurator.
– Zainwestuj je w nowe życie.

Milczał wtedy i to ją odrobinę niepokoiło. Kiedy jednak w sierpniu minął pięcioletni okres próby, nie miała podstaw, żeby nie wnioskować do sądu o uznanie jego kary za odbytą.

– Co będziesz teraz robił? – spytała, kiedy widzieli się po raz ostatni.

– Wyjadę do Niemiec albo Holandii – skłamał. – Odkuję się, zarobię i za kilka lat wrócę. Przewiozę wtedy panią swoim nowym mercedesem.

Uśmiechnęła się, uścisnęła mu rękę i życzyła powodzenia. A kiedy wyszedł, otarła łezkę. Tak, wzruszyła się. Przykłady takie jak ten, choć niezwykle rzadkie, uzasadniały cały trud, cały mozół jej pracy.

A więc Warszawa. Nareszcie. W nieprzemakalnym woreczku ukrytym w majtkach miał uzbieranych dziewięć tysięcy. Powinno wystarczyć do realizacji jego planów. Nie spieszył się jednak. Kryminał nauczył go cierpliwości. Najpierw znajdzie pracę, lokum, zdobędzie środek transportu. I zrobi rozpoznanie. A potem...

– Nareszcie się z Nim spotkam – wyszeptał. – Wtedy opowiem mu o swoich planach. Ale będzie miał minę! A potem uściskam go, poproszę, żeby życzył mi powodzenia, i przystąpię do działania. Pozabijam drani!

Doszedł do skrzyżowania Jerozolimskich z Marszałkowską, przeszedł pod rondem przejściem podziemnym, odnalazł tramwajowy przystanek na Pragę. Przez chwilę mocował się z automatem sprzedającym bilety, ale dał radę. Wsiadł w 9 (nie zmieniła trasy!) i pomknął przez most Poniatowskiego, rondo Waszyngtona i Wiatraczną na Grochowską. Wysiadł przy pawilonie, w którym mieścił się sklep z alkoholem, salon gry, sex shop z kabinami wideo oraz wietnamski barek o dającej do myślenia nazwie Hao Hao.

O tej porze na nieformalnym pośredniaku stolicy było niemal pusto. Kilka grupek szukających dorywczej roboty wciąż jednak czekało na ewentualnych zleceniodawców. Janusz podszedł do jednej z grup, pytając, czy nie przyjęliby go do brygady. Kazali mu się wynosić.

Krążył więc po rozdeptanym trawniku, odprowadzał wzrokiem hurgoczące Grochowską tramwaje, zerkał na swoje odbicie w wielkich szybach sex shopu. Średniego wzrostu, może nawet wysoki, szczupły, ale nie chudy. Spojrzenie, sylwetka, chód – emanujące spokojną pewnością siebie. Po raz pierwszy od bardzo dawna Ceglarczyk zaczynał sam siebie lubić. Trochę się niepokoił z tego powodu. Podjął już przecież decyzję i nie miał złudzeń, jak to wszystko się skończy. Nie chciałby, żeby pozytywne emocje, które bałamuciły mu teraz głowę, zatrzymały go w pół drogi.

Jakby na potwierdzenie jego obaw na pośredniak wjechał transit z wyglądającymi przez okna robotnikami.

– Potrzebuję do ekipy dobrego kafelkarza! – krzyknął kierowca przez uchyloną szybę.

Podniosło się kilka rąk. Ceglarczyk też się zgłosił. Lubił przyklejać płytki. To czynność, która wymagała dobrego planowania, spokoju i precyzji.

Siedzący za kółkiem transita krępy i łysy wążacz zmierzył kolejno zgłaszających się baczным spojrzeniem.

– Ty! – Wskazał w końcu na Ceglarczyka. – Wskakuj na pakę!
Wszystko układało się po jego myśli. Los mu wyraźnie sprzyjał.

Warszawa. Grudzień. Piątek

Umundurowany ochroniarz pilnujący szlabanu pod studium filmowym zdawał się wstrząśnięty. A przecież teraz, trzy dni po łomocie, który zebrał u siebie w biurze, Konecki wyglądał już jako tako. Przynajmniej on tak uważał. Najpierw odżywiał się wyłącznie przez szeroką słomkę, wciągając zmiksowane blenderem jedzenie. Od wczoraj odważył się już nawet używać łyżki. Dzięki temu zęby na nowo osiadły w dziąsłach, już tak bardzo się nie ruszały. Rozbite i popękane usta wróciły do normalnych rozmiarów, nie przypominał już Kaczora Donalda. Nos wciąż był siny i spuchnięty, ale na jego nasadę dało się wcisnąć przeciwsłoneczne okulary, zasłaniające przekrwione i podbite oczy.

Czemu ten facet tak się krzywi na mój widok?

Ochroniarz pokręcił głową.

– Nie mogę pana wpuścić. Nie ma pana na liście członków ekipy *Śmiertelnej rozkoszy*.

– To dlatego, że podlegam bezpośrednio panu Wasilewskiemu – beczelnie, a do tego naiwnie, zełgał Bartek.

– Temu panu Wasilewskiemu? – W spojrzeniu szlabanowego zaśniła iskra zainteresowania.

W odpowiedzi Konecki z powagą skinął głową.

– Moje zadanie jest poufne – dodał, pokazując legitymację detektywa.
– Sprawdzam, ee, czy środki techniczne na planie są wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem.

– Ale ja nie mogę...

– Możesz, przyjacielu. – Na dłoń wymarzniętego mundurowego

spłynęła stowa. – To z funduszu pana Wasilewskiego.

Zabawne, że akurat tym razem nie skłamał.

Ochroniarz nie wydawał się jeszcze przekonany.

– Panie, a nie będzie z tego kłopotów?

– Kłopoty? Ze mną? Nigdy w życiu!

I jeszcze dorzucił, żeby nie dać tamtemu czasu do głębszego namysłu:

– Wtopię się w tło, nikt mnie nawet nie zauważy.

– W takim razie powinieneś pan sprawdzać te środki techniczne na planie horroru – odpowiedział półgłosem strażnik.

Ale szlaban uniósł.

Hala zdjęciowa robiła wrażenie. Ponad czterdzieści metrów długości, chyba ze dwanaście wysokości. Scenografia przedstawiająca jakieś lochy czy może ruiny – nie widział dokładnie przez ciemne okulary, których wolał nie zdejmować – zajmowała tylko niedużą środkową część. Tu też kręcili się ludzie z krótkofalówkami, układacze kabli, oświetleniowcy, operatorzy, asystenci asystentów i oczywiście aktorzy.

Stokrockiej jednak nigdzie nie widział. Zapytał o nią jakąś kobietę w spódniczce mini, piśszczotliwie tulącą skoroszyt papierów.

– Powinna być w charakteryzatorni – rzuciła w biegu, nawet nie obdarzając go spojrzeniem.

Poszedł we wskazanym przez nią kierunku.

– Kim pan jest? Proszę opuścić to pomieszczenie! Dzwonię po ochronę! – zaszcebiotała na jego widok kolejna panienska w mini trzymająca wydruki excelowskich ramek w dłoni.

Charakteryzatornia, niestety, była rzęsiście oświetlona...

– Wszystko w porządku pani Kseniu. – Z głębin jednego z foteli stojących rzędem przed lustrami dobiegł ich znajomy głos. – To mój, hm, kolega.

Amelia Stokrocka. Bez makijażu, z włosami opadającymi na oparcie

fotela. W T-shircie wypiętrzonym wypukłościami biustu. Piękniejsza niż kiedykolwiek.

– Marnie pan wygląda, detektywie. – Jej oczy zmrużyły się jeszcze bardziej, kiedy lustrowała go wzrokiem. Twarz pozostała jednak niewzruszona.

Marynarka, krawat i skórzane buty nie stanowiły niestety wystarczającej przeciwwagi dla jego zmasakrowanej twarzy.

– To przez to, że prowadzę niezdrowy tryb życia.

– Przyszedł pan mi o tym opowiedzieć?

– Tylko te mniej pikantne fragmenty.

– Szkoda, lubię wyraziste przyprawy.

– Wiem.

Spoważniała, taksując go wzrokiem.

– Nadal mnie pan śledzi?

– Już z tym skończyłem. Zbyt drogo mnie to kosztuje.

Powoli skinęła głową. Jasne pasma osunęły się jej na ramiona.

– Zachar to panu zrobił? – spytała niemal szeptem.

– Nie. Po prostu biłem się z myślami.

– I co wymyśliłeś, detektywie?

– Że powinnaś uważać na tego faceta. Bardzo się tobą interesuje. I łatwo traci nad sobą panowanie.

– To najlepsza charakterystyka Zachara, jaką kiedykolwiek słyszałam... – Amelia znów leciutko się uśmiechnęła.

– Nie żartuję. Czesław Łyko nie żyje.

Jeśli zrobiło to na niej wrażenie, nie dała po sobie poznać. Już się jednak nie śmiała. Dobrze i to.

– Ciekawi mnie, co taką kobietę jak ty łączy z tym gangsterem. – Teraz to on ściszył głos. – Miłość bym raczej wykluczył. Pieniądze?

Nie dała się sprowokować.

– Nie tacy domorośli psychologodzy jak ty próbowali mnie obrażać.

– Nie chciałem cię obrazić, ślicznotko. Przyszedłem cię ostrzec. Stary redaktor na pewno opowiedział Zacharowi o waszym spotkaniu w Promenadzie i twoim zainteresowaniu śledztwem, z którego przed laty poczciwy Zyga zrobił groteskę.

– I co z tego? – spytała zaczepnie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale się dowiem.

Miał już odejść, kiedy dobiegły go jej słowa:

– A ty?

– Co: ja?

– Co ty miałeś do powiedzenia Zacharowi? Poznają po, hm, wyrazie twojej twarzy, że przeprowadziliście ze sobą długą i szczerą rozmowę.

– Nic – odpowiedział, sięgając do kieszeni marynarki i wyjmując z niej pendrive.

Rzucił go, a ona zręcznie złapała w locie.

– Co to jest? – spytała.

– Moja praca, za którą zresztą dość przyzwoicie mi zapłacił. To jedyna kopia.

Odwrócił się i poszedł do wyjścia. W drzwiach omal nie wpadł na równie wysokiego jak on, ale obdarzonego sportową sylwetką przystojniaka, który w ostatniej chwili uskoczył mu z drogi. Mijając faceta, za którym podążali jeszcze kamerzysta i dźwiękowiec, Konecki uświadomił sobie, że kojarzy jego twarz. Prezenter telewizyjny, dziennikarz śniadaniowy. Paweł Kwaśko. Usłyszał, jak facet wylewnie wita się ze Stokrocką i pyta, gdzie mogliby spokojnie przeprowadzić „ten wywiadzik”.

– Nie pasuję tu – stwierdził pod nosem oczywistą oczywistość.

Wyszedł już na zewnątrz i kierował się do golfa, który na wypełnionym luksusowymi brykami parkingu wyglądał jak wyżuta guma

przyklejona do złoczonej ramy obrazu, kiedy zauważył dwóch mężczyzn ściągniętych papierosy za załomem muru.

– Dacie zapalić?

– Ofierze wypadku zawsze – powiedział jeden z nich, wyciągając ku niemu paczkę elemów. – Co ci się stało, kolego? Próbowalesz przebić się twarzą przez mur?

Kiedy podawali mu ogień, dyskretnie otaksował ich wzrokiem. Niewysocy, żyłaści, wysportowani. Kaskaderzy.

– Szukam Zbyszka – wyrzucił wraz z obłokiem dymu. – Muszę go o coś pilnie zapytać. Wiecie może, gdzie go znaleźć? Nie odbiera telefonu.

Zerknęli po sobie.

– Na oddziale traumatologii szpitala ortopedycznego w Otwocku. Miał wypadek na planie. Przeleciał przez bloczek.

Konecki poczuł, jak przeszywa go zimny wiatr.

– Źle z nim?

– Wyjdzie z tego. Spadł na nogi, więc ma połamaną stopę i kolano. Ale na dyskotece to sobie prędko nie potańczy.

Cholera, cholera, cholera. Czesław Łyko, Zbyszek... no i on.

Impreza się rozkręca.

– Co to za historia z tym boczkiem?

– Nie wiesz? Robili wybuchy na planie. Jak kaskader wylatuje w powietrze od podmuchu eksplozji, to tak naprawdę wyciąga go ciężarówka, do której przyczepiony jest linką na szelkach. Linka jest przeciągnięta przez zamocowany na kilku metrach bloczek. Jak kierowca nie przegnie, nic się nie dzieje. Wylatujesz na dwa, trzy metry i spadasz. Ale jak drajwer niechcący wdepnie gaz do dechy...

Niechcący. Ta, akurat.

Pół godziny później, niemal cudem, znalazł miejsce na parkingu pomiędzy drzewami w lesie otaczającym szpital imienia Adama Grucy

w Otwocku. Tym razem bez przeszkód minął strażnika przy bramie, bez zatrzymywania przecisnął się przez tłum połamańców w Izbie Przyjęć i pouczony przez jakąś pielęgniarkę, odnalazł Klinikę Chirurgii Urazowej Narządu Ruchu.

Zbyszek leżał na łóżku przy oknie. Za szybą szumiały drzewa. Prawą nogę miał w gipsie, lewą w bandażu, z którego sączyła się krew.

– O, widzę, że pomału upodabniamy się do siebie – powitał go kaskader. – Ty też miałeś niespodziewany wypadek?

– Spodziewany – sapnął Konecki, sadowiąc się na zydlu obok łóżka. – Tylko że dałem się zaskoczyć.

– To tak jak ja. Tego, że poleciałem pięć metrów w górę nieprzypadkowo, dowiedziałem się z esemesa, który ktoś przysłał mi zaraz po operacji. Uroczy, aż wyłączyłem telefon.

– Jak brzmiała wiadomość?

– „Zajebimy cię, skurwysynu, jak nie przestaniesz zadawać się z niewłaściwymi ludźmi”.

– Domyślasz się, kogo nadawca miał na myśli?

– Uśmiejesz się, ale tylko ty przychodzisz mi do głowy.

Bartek rozejrzał się po sali. Sześć łóżek, wszystkie zajęte przez obolałych ludzi.

W sumie wygląda na to, że i tak wyszedłem obronną ręką.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał.

– Mam wszystko. No, chyba że wydębiłbyś numer telefonu do tej piguły, która siedzi na korytarzu za biurkiem. Widziałeś jej tyłeczek?

– Jakoś gorzej ostatnio widzę. Opuchlizna mi przeszkadza.

Zbyszek próbował się zaśmiać, ale wyszedł mu tylko grymas bólu.

– Powiesz mi, o co chodzi? – zapytał.

– Tak, ale kiedy będzie już po wszystkim.

– Gdybyś potrzebował pomocy, to ja... – Zbyszek urwał, bo zauważył

spojrzenie Koneckiego, które ten bezwiednie rzucił na jego zmasakrowane nogi. – No tak, raczej na mnie nie licz...

– Właściwie to mógłbyś mi pomóc w pewnej kwestii – zagaił Bartek.

– Więc nawijaj.

– Orientujesz się może, gdzie mieszka Jędrzek? Ten, który skakał ostatnio z mostu Poniatowskiego?

Warszawa. Grudzień. Noc z soboty na niedzielę

Andrzej „Jędrrek” Owsianko, lat trzydzieści cztery, były zawodnik taekwondo w kategorii wagowej do siedemdziesięciu czterech kilogramów, skoczek spadochronowy i instruktor bungee, obecnie kaskader – wracał ze swą najnowszą zdobyczą do domu. Zdobycz jak zdobycz. Lat około szesnastu, z trądzikiem na twarzy, nogi pulchne, białe jak dwie larwy, a do tego oczko w rajstopach. Dość konkretnie upita, a do tego zaprawiona jakimiś tabletkami z krokodylkiem czy czymś. Uroda raczej radiowa – buzia pucołowata, włosy spalone na totalny blond, rzadkie brwi, za to gęste rzęsy – bo doklejone. Paznokcie obgryzione do mięsa. Cóż, życie jest loterią. Akurat taka mu się tej nocy trafiła.

Bo taką też miał technikę – do klubów wyruszał na „dożynki”, czyli wpadał koło trzeciej w nocy, kiedy laski były już wybawione, obtańczone i solidnie wlane. No i zbierały się do domu. Te najładniejsze były już obstawione. Zazwyczaj przez kasiastych frajerów, którzy co najmniej od północy stawiali im drinki, opowiadali anegdotki z życia korporacyjnego menedżmentu i mimochodem napomykali, że ich służbowy wóz to trzy litry turbo diesel w pierwszym roku leasingu. Kiedyś Jędrrek nawet stawał z nimi w szranki. Tańczył, bajerował, fundował kolorowe drinki z parasolkami. Wcale nie był w tym wyścigu bez szans. Było nie było – przystojny, wysportowany, a przede wszystkim pracował w filmie. To zawsze robiło wrażenie na tych zdzirach.

Szybko jednak odkrył, że jeszcze lepszą taktyką było wejście do klubu, kiedy impreza już zamierała, wyjęcie towaru może nie pierwszej klasy, ale zdesperowanego, by poznać w końcu swego Greya, i kurs na chatę

w celach konsumpcyjnych.

Szybko, tanio, bez wysiłku.

Nie licząc wtartego w dziąsła centa Charliego, znaczy kokainy, co go nakręciło aż do warczenia neuronów, był trzeźwy jak świnia. Lubił pieprzonko z niezmaconym umysłem. Miał wtedy większe poczucie panowania nad sytuacją. No i lepiej wypadał na filmach, którymi potem wymieniali się z kumplami. Nagrywał profesjonalnie – z trzech ujęć: komórką, tabletem i minikamerką kupioną w necie.

Przez miasto grzał szybko, ale z Centrum na Tarchomin nie da się przemknąć w pięć minut. Nawet nad ranem. Laska więc trochę wytrzeźwiała. Zaczęła marudzić: „Gdzie jestem? Chyba powinnam do domu. A czy ty na pewno jesteś asystentem reżysera?” – i takie tam bzdety.

Zasunął jej więc standardową gadkę o filmach, przy których pracował, parę powszechnie znanych świńskich dykteryjek o różnych gwiazdach, kilka obietnic bez pokrycia. To ją wyciszyło. Sięgnęła do swojej różowej, nabijanej cekinami torebuni po kolejnego aligatora.

Kiedy już wsiadali do windy, a potem – całując się i tuląc, jakby wpadli w sam środek syberyjskiej zimy – szli korytarzem jego bloku do drzwi mieszkania – była już znowu chętna i wyluzowana. Mała, pieprzona dziwka.

Jędrak, który dopiero co odkrył z pewnym rozczarowaniem, że jego pulchna Andżelika akurat cycki ma ascetyczne i wątle niczym dwie większe krosty, oderwał się nieco od rozgrzanego ciała i sięgnął po klucze.

Nie od razu zauważył, że prosty zamek yale – bo przecież nie miał w tym swoim dwudziestometrowym kwadracie nic tak cennego, żeby to zamykać nie wiadomo czym – jest jakby poruszony i porysowany. A do tego nie chciał przekręcić się klucz. Zanim jednak pierwsza nutka niepokoju zdążyła zagościć w jego sercu, ktoś czający się w środku

otworzył zamasyście drzwi i rąbnął go w pysk. Mocny strzał. Coś od razu chrupnęło w nosie.

Andżelika krzyknęła, jemu zaszumiało w głowie. Tylko na moment, ale wystarczyło, by tamten zdążył chwycić go za kurtkę, szarpnąć do środka i kopnąć w krocze.

– Panienska też wchodzi! – Przez opary bólu Andrzej Owsianko usłyszał dość gruby, chropawy głos.

Drzwi się zamknęły i tym razem już dwie łapy uniosły go jak piórko, rzucając na fotel.

– Włącz sobie, dziewczynko, jakiś program z kreskówkami dla dzieci i nie przeszkadzaj. Tobie nic nie grozi.

Owsianko zamrugął i wyostrzył wzrok. Piętrzył się nad nim wysoki i dość zwalisty facet z bezwzględnie rysującą się wypukłością na brzuchu i koszmarnie posiniaczoną gębą. Wtedy go poznał.

Kurwa. To Konecki.

Warszawa. Lipiec 2016

Jacek Wasilewski lubił eleganckie lokale, piękne kobiety i obsługę, która zna swoje miejsce. No i oczywiście – Kiki, swojego yorka, którego wszędzie ze sobą zabierał. Tego wieczora był usatysfakcjonowany. Czy raczej – byłby, gdyby towarzysząca mu kobieta nie budziła w nim lekkiego niepokoju. W restauracji Stary Dom zajął, jak zwykle, miejsce na balkonie, z którego roztaczał się widok na niemal cały salonowo-rustykalny lokal. Zamówił – też jak zwykle – tatara siekanego przy stole i krewetki z ognia. Na początek.

Wybierając wino, zerkał znad karty na siedzącą przed nim piękność. Ubrana była w doskonale opiętą na jej ciele sukienkę w cielistym kolorze. Wyglądała, jakby była naga. Zwłaszcza że elastyczny materiał bezwstydnie ujawniał nawet brodawki jej piersi. Tylko biustonosza ani majtek nie dało się wypatrzeć. Czyżby nie miała bielizny?

Pogoda ostatnio się zmieniła, po fali upałów przyszedł ziąb, mżawka, wichura. Jak zwykle, kiedy ciśnienie szło w dół, a wilgotność w górę, zaczynała go boleć stara blizna po rzeźniczym haku, który tamta mała dziwka wbiła mu w ramię dwadzieścia cztery lata temu. Zabawne, że akurat dzisiaj mu się to przypomniało.

Znów rzucił okiem na Amelię Stokrocką. Bez wątplenia była bardzo ładna, choć wyraz twarzy miała nieco pretensjonalny, żeby nie powiedzieć – wulgarny. Siedziała w nonszalanckiej pozie, z ramieniem zarzuconym na oparcie krzesła, bezczelnie ćmiła papierosa (obowiązywał bezwzględny zakaz!) i z nieukrywaniem zaciekawieniem, a może i nutką kpiny, wodziła dookoła wzrokiem.

Seksowna, inteligentna i śmiała, a do tego bezczelna – pomyślał. – Będzie gwiazdą.

Kiedyś lubił takie łamać. Kiedyś. Teraz to już w zasadzie przeszłość. W zasadzie.

– Po co to wszystko? – spytała, zataczając ręką krąg tak szeroki, że omal nie wypaliła siekającemu befszytk kucharzowi papierosem oka. – Jeśli chcesz mnie przelecieć w zamian za tę rolę, nie musisz się tak wysilać.

Mężczyzna w białym kitlu, trudzący się przy ich stoliku, zaciął się w palec i cały tatar diabli wzięli. Siedzący na kolanach Wasilewskiego Kiki poruszył się nerwowo, producent przełknął ślinę. Tak, czuł przed nią jakąś niejasną, niewypowiedzianą obawę. Czy raczej rodzaj tremy. Chociaż – co niechętnie musiał sam przed sobą przyznać – podobny niepokój wzbudzała w nim każda kobieta. Każda, nad którą – w taki czy inny sposób – nie panował.

– Nie zamierzam cię, jak byłaś łaskawa się wyrazić, przelecieć – odparł chłodnym tonem.

– Więc darujmy sobie te pierdoły i chodźmy na kebab.

– Kebab? – powiedział to tak, jakby chciał wypluć to słowo. – Nie jadam podobnych rzeczy.

Stokrocka przewróciła oczami.

– Okej – westchnęła. – Więc jedźmy z tymi... – tu wskazała na niesione właśnie, skwierczące krewetki – opiekanymi robalami.

Godzinę później, kiedy wsiadali do jego perłowoczarnej S-klase z silnikiem 500, Wasilewskiemu zdawało się, że ktoś mu się przygląda. Nie lubił tego uczucia. Szybko zlustrował ulicę Puławską czujnym wzrokiem. Nie zobaczył nic specjalnego. Sznury aut na obu pasmach

jezdni, kilkoro zajętych swoimi sprawami przechodniów, jakiś motocyklista o ogorzalej twarzy budowlańca, usiłujący uruchomić swoją śmieszoną popierdółkę – skuter Zipp o pojemności 125 centymetrów.

– Dokąd teraz, szefie? – zapytał ten kretyn Jędrak, który dziś robił za jego kierowcę (pod Starym Domem nie dało się zaparkować, no chyba że skuter).

Kaskader beczelnie gapił się w dekolt Amelii.

Lepiej otworzyłby nam drzwi, a nie stał oparty o dach. Lakier tego mercedesa kosztuje więcej, niż wynoszą jego roczne zarobki.

– Najpierw odwieziemy panią Stokrocką do domu, a potem ci powiem, co dalej.

Oczy Jędrka Owsianko powiększyły się ze zdumienia. Tępak nie rozumiał, że można nie zawieźć z knajpy prosto na chatę TAKIEJ kobiety. Tym bardziej, że do willi producenta przy ulicy Malczewskiego było stąd ze dwa kilometry.

Chyba go oddam Zacharowi. Tam się lepiej sprawdzi – pomyślał o Jędrku Wasilewski, gdy ruszali. Przez chwilę, kiedy mknęli Puławską dobrze ponad stówą, wydawało mu się, że motocyklista na zippie zręcznie manewruje za nimi. Potem jednak robot w kasku „orzeszku” zniknął.

Warszawa. Grudzień. Noc z soboty na niedzielę

Przez krótką chwilę zdawało się Koneckiemu, że już złamał palanta. Jędrak klapnął na fotel, buchając krwią z nosa, i patrzył na niego oszołomionym wzrokiem.

W tym czasie siusiumajtka, którą sobie sprowadził, faktycznie wzięła pilot od telewizora i włączyła jakiś muzyczny program. Chyba była naćpana.

Niestety, wkrótce Jędrak zerwał się na równe nogi i zadał mu trzy szybkie ciosy proste. Lewy, prawy, lewy. Od czasu zakończenia kariery bokserskiej Bartka minęło wprawdzie piętnastolecie, jednak nie było z nim jeszcze tak źle, żeby dwóch pierwszych nie wyłapał. Zbił je przed swoją twarzą dwoma krótkimi blokami. Dopiero trzeci wszedł w splot słoneczny.

Konecki przygiął się, sapnął, cofnął o krok, a wtedy kaskader kopnął go w lewe udo nadspodziewanie mocnym, półobrotowym low kickiem.

Nogę przeszył ból, a zaraz po nim Bartek poczuł drętwienie. Zatoczył się, wpadając na szafkę z ustawionym na niej japońskim daishō, stojakiem na samurajski zestaw mieczy: długą kataną i krótkie wakizashi. Przeszło mu nawet przez myśl, by chwycić jedną z rękojeści i ostatecznie spacyfikować kaskadera, ale zestaw spadł z szafki i gruchnął na podłogę. Za to, zanim Bartek zdołał odzyskać równowagę, Jędrak wykonał już isticie popisowy numer – kopnięcie na wprost z wyskoku.

– Łał! – z niekłamany podziwem skomentowała ten akrobatyczny popis tleniona blondynka.

Niestety. Choć cios trafił idealnie w mostek, pozbawiając nawet na moment tchu jego adresata, Jędrak nie wziął pod uwagę drastycznej

różnicy mas pomiędzy nim a Koneckim. Siedemdziesiąt pięć kilo przeciw stu dziesięciu. No dobrze... przeciw stu dwudziestu.

Impet wykopu przesunął Koneckiego o pół kroczku, za to kaskaderem cisnął o ziemię. Jędrak gruchnął w podłogę, przywalił potylicą w ścianę... I zanim się z tego otrząsnął, Bartek już kopnął go w szczękę ordynarnym wolejem.

Owsianko przeturlał się, plamiąc panele podłogowe z Leroy Merlin karminem krwi z nosa, ale nie zamierzał się poddawać. Zerwał się na nogi, zrobił unik, przepuszczając nad głową lewy sierp Koneckiego, i zaatakował chwytem pod kolana.

Tym razem Bartek nie dał się już zaskoczyć. Zrobił klasyczną bokserską „kiwkę” w lewo z wykrokiem, przepuszczając szarżującego głową naprzód przeciwnika. W locie złapał go jeszcze za kołnierz i mocno pchnął na parapet z lastryko.

Owsianko gruchnął w niego z głuchym tąpnięciem, a kiedy ogłuszony padał na podłogę, z jego rozciętego czoła buchała krew.

– Głową muru nie przebijesz – filozoficznie skonstatował Konecki, kopiąc go w żołądek. Raz, drugi, trzeci. Przestał, kiedy krzyk dziewczynki stał się nieznośnie głośny, a Jędrak wyrzygał kolację.

Bez słowa wskazał nastolatce telewizor. Umilkła. Na ekranie leciał właśnie teledysk Foster The People.

– Zachar cię za to zabije – wydusił z siebie Jędrak, ocierając usta z krwi i wymiocin.

– O! Czekałem, kiedy wreszcie o nim wspomnisz – wysapał koszmarnie zadyszany Konecki. – Razem wykończyliście Łykę?

Kopnięcie w twarz sprawiło, że Owsianko wypluł na swoje panele ząb. Co za pech. Jedynekę.

– Skoro już się zgadało, to opowiedz mi o tym.

– Zachar każe cię zajebać, skurwysynu.

– Zabawne, ale całkiem niedawno czytałem tę frazę w telefonie kolegi.

Jeszcze jedno kopnięcie. Chłopcy na ekranie śpiewali o jakimś Robercie, który znalazł w szafie rewolwer tatusia. Jędrak po raz pierwszy wydał z siebie coś między jękiem a przekleństwem.

– To było za Zbynka. Jego kolano źle wygląda.

Wściekłe, ale już skażone obawą spojrzenie. Krew zalewająca oczy. Wargę spuchniętą jak po botoksie.

I tak wciąż wygląda lepiej ode mnie. Powinienem mu jeszcze dokopać.

– Co to za interesy łączą Zachara z Wasilewskim?

– Wal się!

Muszę się pospieszyć, sąsiedzi na pewno wezwali już policję.

Złapał kaskadera, szarpnął w górę, kopnięciem otworzył uchylony balkon. Wierzgającego mężczyznę wypchnął na zewnątrz, przewieszając głowę w dół przez barierkę.

– Lubisz sobie poskakać? – wysapał Bartek, bo z wysiłku aż pociemniało mu w oczach. – To zaraz polecisz.

Czwarte piętro. Pod blokiem rząd zaparkowanych samochodów. Lekki, ale bardzo zimny wietrzyk. Znów zanosilo się na zmianę pogody.

– Ostatni raz pytam. Jakie interesy kręci Zachar z Wasilewskim? I jaką rolę ma w tym układzie Stokrocka?

– Stokrocka... – Zmasakrowane usta Owsianki wygięły się w parodii szyderczego uśmiechu. – Ona jest na ich biznes za stara.

Po czym plunął Bartkowi w twarz krwawą plwociną.

Twardy jest – przemknęło Koneckiemu przez głowę.

Naprawdę zamierzał go rzucić. Odkrył jednak, że od pewnej chwili za marynarkę ciągnie go nastolatka, która oderwała się od telewizora. Coś krzyczała, chyba prośbę, żeby nie zabijać pana reżysera. Nie bardzo rozumiał jej słowa. Był zbyt zdenerwowany, za dużo adrenaliny miał w tętnicach. Widok jej łez sprawił jednak, że natychmiast zrezygnował.

Moja córka byłaby w jej wieku za jakieś dziesięć lat – pomyślał. –
Gdyby żyła.

Puścił gnojka, którego ciało bezwładnie rąbnęło w wysoki próg balkonu. A potem wybiegł z mieszkania. Musiał się spieszyć. Między blokami dostrzegł błękitne błyski radiowozu.

Warszawa. Sierpień 2016

– Jestem gotów – powiedział.

Siedzący przed nim mężczyzna przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

– Na pewno? – zapytał w końcu.

Janusz Ceglarczyk poczuł się lekko urażony. Szczerze mówiąc, spodziewał się bardziej entuzjastycznej reakcji. W końcu planowali to od miesięcy. Planowali? To on planował, śledził obydwu cele, przygotowywał wszystko do precyzyjnego ataku. A tamten teraz w niego wątpi. Janusz nadal podziwiał go i szanował. Dawna relacja uczeń–mistrz, która łączyła ich, kiedy siedział w więzieniu, nieco się jednak zmieniła. Były skazaniec urósł we własnych oczach, nabrał pewności. Już nie tylko słuchał. Teraz chciał też podejmować decyzje.

– Tak, na pewno – odpowiedział, choć w głębi duszy czuł lekkie wątpliwości.

– Nigdy wcześniej nie zabiłeś człowieka – naciskał tamten.

– I co z tego? Po osiemnastu latach w więzieniu jestem wystarczająco wkurwiony. Zabiję sukinsynów. Obydwu. Za to, co mi zrobili.

– Którego najpierw? Zacharewicza?

Ceglarczyk na moment spuścił wzrok. Spojrzenie siedzącego przed nim człowieka skanowało mu mózg. Niemal czuł, jak tamten czyta mu w myślach.

– No, nie. Pierwszego chcę dopaść Wasilewskiego.

– Czy to rozsądne? Zacharewicz jest silniejszy, ostrożniejszy. Już teraz trudno go będzie zaskoczyć, a po śmierci Wasilewskiego zrobi się jeszcze

bardziej czujny. No i... to w końcu on cię zrobił w morderstwo dziewczyny.

– Wiem – niemal krzyknął Ceglarczyk. – Nie musisz mi tego wszystkiego mówić.

Jego rozmówca zamilkł. Czekał.

– Widzisz... Chcę zacząć od łatwiejszego celu. A z Zacharewiczem... odczekam. Umiem być cierpliwy. Niech się podenerwuje, poogląda za siebie. Niech go to wewnętrznie spali. Po kilku miesiącach przestanie tak bardzo uważać, a wtedy...

– Rozumiem – uciął tamten. – Musisz najpierw wyostrzyć pazurki. Sprawdzić je na łatwiejszej zdobyczy.

– To też. – Ceglarczyk nerwowo podrapał się w tył wygolonej głowy.

Nie lubił przyznawać się do jakichkolwiek słabości. Tym bardziej, im więcej czuł ich w sobie. A ostatnio jego determinacja, by dokonać zemsty, zaczęła słabnąć. Powodziło mu się nieźle. Jako budowlaniec miał w stolicy tyle roboty, ile chciał. Dobrze zarabiał. Oszczędności rosły, zwłaszcza że pomieszkiwał za darmo w przyczepach kempingowych lub barakach przy placach budów. Nie miał na co przepuszczać forsy. Coraz częściej przyłapywał się więc na myśli, żeby dać sobie spokój z tą zemstą i nareszcie zacząć cieszyć się życiem. Znaleźć jakiś stały adres. Może nawet kobietę? Fajnie byłoby mieć rodzinę, dziecko...

– Jak planujesz to zrobić? – Głos tamtego przywrócił go do rzeczywistości.

– Łatwizna! – Ceglarczyk wrócił do swojej roli.

– Nie sądzę. Sam mówiłeś, że Wasilewski wyjeżdża z bramy swojego domu samochodem z szoferem. I to o różnych porach. A na mieście zawsze jest w otoczeniu ludzi.

– Ma jedną słabość... – Janusz uśmiechnął się chytrze.

Tamten patrzył na niego z zaciekawieniem.

– Pan producent ma psa. Takiego małego kurdupła, wyglądającego, jakby miał się potknąć o własne łapy. Wasilewski wychodzi z nim zawsze rano na spacer. Około ósmej. To jedyny stały punkt jego dnia.

Siedzący przed nim mężczyzna słuchał w milczeniu. Już nie przerywał – co z satysfakcją odnotował Ceglarczyk. Prawie udało mu się go przekonać, że jest w stanie to zrobić.

– Idzie zawsze tą samą trasą, chodnikiem wzdłuż Malczewskiego. Po jednej stronie płoty posesji, po drugiej krzaki i jakiś płotek. Nie ma gdzie szybko uskoczyć. Będę na niego czekał. Na skuterze. A kiedy go zobaczę, błyskawicznie podjadę chodnikiem i wyjmę z kieszeni to. – Janusz sięgnął do spodni i wyjął zza paska zaostrzony na szybkoobrotowej szlifierce dwudziestocentymetrowy pręt zbrojeniowy z dospawanym jelcem. – I nawet nie zwalniając, wbiję mu w serce.

Facet siedzący naprzeciwko z uznaniem pokiwał głową.

– Brzmi nieźle – pochwalił. – To może się udać.

Janusz spojrział na niego z triumfem. Zrobił na tamtym wrażenie. A gdyby jeszcze mu teraz powiedział, czego niedawno dowiedział się o tej zdzirze, która zaczęła prowadzić się z Wasilewskim, do reszty opadłaby mu szczęka! Przez chwilę miał na to wielką ochotę. Ale zrobiłby minę! Zaraz jednak pomyślał, że to nie jest najlepszy moment. Zostawi to sobie na deser. Kiedy już będzie po wszystkim.

Warszawa. Grudzień. Poniedziałek

Rządek taksówek pod Dworcem Zachodnim zdawał się przymilać do podróżnych wychodzących na stronę ulicy Tunelowej. Ich kierowcy, zbici w ciasną grupkę, dzielili się herbatą z termosu i opowieściami o tym, jak to niedawno pogonili kota frajerowi z Ubera, który odważył się tu po kogoś przyjechać. W większości starsi, wyglądali na emerytowanych gliniarzy albo wojskowych. Brzuchaci, głośni, ubrani w skórzane kurtki noszone na swetry w regionalne wzorki lub koszulki z napisem „Dumny z bycia Polakiem”. Na głowach bejsbolówki, na nogach chińskie adidas lub skórzane wsuwki z kutasikami.

Konecki zatrzymał się, lustrując najpierw ich samochody. Mercedes „okularnik”, srebrny, z napisem na drzwiach „Warszawa”. To ten.

Niespiesznie podszedł do stojącej na miejscu trzecim taksówki i otworzył tylne drzwi. Kierowcy ucichli, obejrzeni się i zmarszczyli z niesmakiem brwi. Od grupki oderwał się raczej wysoki i raczej szczupły facet z krótko przystrzyżoną siwą bródką, w której wciąż jeszcze można było wypatrzyć nieliczne już czarne włosy. Miał oczy ciemne jak dwie dziury po kulach. I równie jak one pozbawione wyrazu.

Pasuje do opisu. Chyba – pomyślał Bartek.

– Niech pan przejdzie do pierwszej w kolejności taksówki – powiedział ten z bródką.

– Wolę pojechać z panem.

– U nas obowiązuje kolejność.

– U mnie nie.

Czarne oczy przeszywały go na wylot. Kierowca chciał chyba dorzucić

coś bardziej zdecydowanego, ale jego koledzy nagle wybuchnęli śmiechem.

– Zawieź go, Bolo. Nasz klient, nasz pan. Zapomniałeś?

– Jedź pierwszy, tylko nie wypuszczaj go bez porządnego napiwku!

Wsiedli. Bartek odszukał wzrokiem plakietkę z danymi kierowcy. Jest. Bolesław Wilczyński. I stare zdjęcie z dużo dłuższą i gęstszą, a do tego czarną jak smoła brodą.

Trochę się go naszukał. Tym bardziej, że nie chciał znów prosić o pomoc Lichockiego. Dzwonił więc po dawnych kolegach z policji, rozrzuconych po różnych komendach. I wypytywał. Początkowo chciał znaleźć trop prowadzący do aspiranta Norberta Pałuchy, ale jego nikt już nie pamiętał. Dopiero po dłuższej rozmowie z pewnym starym jak piramidy sierżantem sztabowym z komisariatu kolejowego na Centralnym pojawiło się nazwisko Wilczyńskiego. Że pracował na początku lat dziewięćdziesiątych *nomen omen* na Wilczej i powinien kojarzyć młodego aspiranta.

Tyle że Wilczyński od lat był emerytem. Wszystko, co sierżant o nim wiedział, to to, że dorabia jako taksówkarz. Od poniedziałkowego poranka Konecki dzwonił więc po korporacjach taksówkowych. Podawał się za policjanta z bliżej nieokreślonego „zespołu prasowego”, który ma do wręczenia dzielnemu taryfiarzowi dyplom uznania za wyjątkowo „uczciwą i praworządną postawę”.

– Informację ze zdjęciem z jego wręczenia przez pana komendanta zamieszczą na stronach miejskich stołeczne dzienniki – kusił. – Może wpadnie też ekipa telewizyjna.

Nic dziwnego, że złaknieni reklamy pracownicy firm przewozowych przeszukiwali swoje bazy danych. Wilczyńskiego jednak w największych firmach nie było. Trafił na niego dopiero pod wieczór. I to przypadkiem. Ktoś, kto zmienił już firmę, pamiętał takiego faceta. Facet pracował

w półlegalnej grupie przewoźników o dość szemranej reputacji. Jeździli głównie spod dworców, polowali na osoby przyjezdne. Pięćdziesiąt złotych za trzaśnięcie drzwiami, dwadzieścia za kilometr. Rozbój w biały dzień.

– Na Zieleniecką *vis-à-vis* stadionu – zaordynował Konecki.

Kurs niemal przez całą Warszawę i to w początkach popołudniowego szczytu. Będzie dość czasu, żeby pogadać.

Bartek przyjrzał się twarzy widzianej w środkowym lusterku. Wilczyński nie wyglądał na kogoś, z kim da się pogrywać. Skoncentrowany, wręcz czujny, pozbawiony choćby śladu życzliwości czy zainteresowania jadącą z tyłu osobą. Postanowił więc od razu przejść do rzeczy.

– Szukam Norberta Pałuchy.

Cisza. Wilczyński nie oderwał wzroku od ulicy, nie drgnął, nie zmienił wyrazu twarzy.

A jednak usłyszał pytanie.

– Co się panu stało w twarz?

– Potknąłem się o za duże buty.

Bolesław Wilczyński z namaszczeniem skinął głową, jakby ta odpowiedź w pełni go satysfakcjonowała.

– Jest pan gliną?

– Byłem. Służba mnie wydalila.

Znów to majestatyczne skinienie.

– To tak jak Norberta.

– Wyleciałem z mniejszym hukiem niż on. Ale w sumie na jedno wyszło.

Kolejne skinienie.

– Dlaczego go szukasz?

– Wdepnąłem w to samo gówno co kiedyś on.

Facet był niesamowity. Nadal ani drgnął. Czarne oczy wpatrzone były w jezdnię z taką uwagą, jakby spodziewał się tam wykopanego ukradkiem rowu przeciwczołgowego.

– Masz na myśli TO gównno?

– Mam na myśli Wasilewskiego i Zacharewicza. – Bartek miał już trochę dosyć tego wzajemnego obwąchiwania się.

– Pierwszego Norbert podejrzewał o porwanie ze szczególnym udręczeniem i zabójstwo. Drugi obalił te podejrzzenia – monotonnym głosem odparł człowiek nazywany Bolem.

– Masz dobrą pamięć. Dorzucę ci więc jeszcze coś współczesnego. To Zacharewicz ubrał mnie w te za duże buty, o które się potknąłem.

Alleluja! Wilczyński oderwał wzrok od drogi i za pośrednictwem lusterka posłał Bartkowi zasępione spojrzenie.

– W takim razie masz przesrane.

– To jak z blitzkriegiem. O tym, kto został przez kogo okrążony, decyduje w pierwszym rzędzie psychika.

Skręcili w Towarową, a potem na placu Zawiszy w stronę centrum, pozostawiając za plecami koszmarnie zaniedbaną bryłę Dworca Głównego wraz z jego pordzewiałym Muzeum Kolejnictwa.

– Norbert od dawna nie pracuje w policji.

– Też mi nowina. Powiedz mi coś świeższego.

– Nie wiem, co się z nim dzieje. Po odejściu zerwał wszelkie kontakty z kolegami.

– Zaczynam się zastanawiać, czy chcę ci zapłacić za kurs.

– Ale... – Z niezłym wyczuciem dramaturgii Bolo zawiesił głos. – Wiem, kto mógłby ci pomóc.

– No to nawijaj, kolego. Zaraz będziemy na Pradze.

– Barbara Szreder.

– Co to jest Barbara Szreder? Mów jaśniej!

Bolo Wilczyński z dezaprobatą pokręcił głową.

– Tobie w ogóle zdarza się kupić czasem gazetę? Włączyć telewizor?

Bartek podrapał się w loczki odrastające mu na posiniaczonej wciąż głowie.

– A wiesz, że ostatnio już ktoś mnie o to pytał.

Wilczyński powoli sięgnął do schowka. Wyjął papierosy. Poczęstował, a Bartek ochoczo skorzystał. Chwilę później opar dymu w kabinie przesłonił naklejkę z napisem: „Zakaz palenia”.

– Barbara Szreder jest jedyną córką Andrzeja Szredera, faceta figurującego od lat na liście pięćdziesięciu najbogatszych Polaków.

– No proszę, jestem wstrząśnięty. Naprawdę.

– W 1992 roku miała wyjść za mąż za Norberta.

Tym razem Bartka naprawdę zatkało.

– Córka bogacza miała się hajtnąć z prostym gliną?

– Pałucha nie był prostym gliną. – Wilczyński zaciągnął się papierosem tak, że ogień od razu doszedł niemal do filtra. Facet musiał mieć chyba płuca ze stali. – Wszyscy wróżyli mu wielką karierę. Był zdolny i strasznie ambitny. Pieprzony karierowicz i donosiciel, pisał na nas notatki służbowe. Ale miał policyjnego nosa. Przełożeni go lubili.

– Stary Szreder potraktował go jak inwestycję na przyszłość? – domyślił się Konecki.

– Być może – z filozoficzną zadumą odparł kierowca. – Nic jednak z tego nie wyszło. Kiedy Zyga Zacharewicz wykopał grób śledztwu Pałuchy i jeszcze nasrał na nagrobek, Barbara zerwała zaręczyny. Nawet nie pofatygowała się osobiście. Przesłała wiadomość za pośrednictwem lokaja.

Bartek już brał wdech, żeby spytać, po co w takim razie Wilczyński zawraca mu tą panią głowę, kiedy Bolo znów użył swego ukochanego retorycznego zwrotu:

– Ale...

– Ale?

– Mniej więcej rok temu wsiadła do mojej taryfy. Ja ją poznałem od razu, ona mnie nie. Przedstawiłem się więc i tak jakoś się wywiązała rozmowa.

Rozmowa z Wilczyńskim. Ciekawe – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

– I pani Barbara zwierzyła się, że Norbert wciąż do niej pisze. Rzadko. Zazwyczaj raz do roku, w Boże Narodzenie, przysyła jej świąteczną kartkę.

– Czekał, czekał! – Konecki poczuł, jak niebezpiecznie skacze mu ciśnienie. – Powiedziałeś, że to było rok temu?

– Mniej więcej.

– Niedawno.

– Właśnie.

Mijali akurat biało-czerwoną bryłę Stadionu Narodowego, zwalniając na światłach przed rondem Waszyngtona. Było już widać wejście do parku Skaryszewskiego.

– Powiedziała, że w ich korespondencji wystąpiła dwuletnia przerwa. Myślała nawet, że facio się odczepił. Ale nie. W grudniu 2015 roku znów dostała od niego kartkę z życzeniami.

– Wzruszające.

– Tyle że kartka nie była napisana jego ręką. Inny charakter pisma, ale styl ten co zwykle.

– Był na niej adres zwrotny?

– Też o to wtedy spytałem.

– I jaka padła odpowiedź?

– Że był.

– Jaki?

– Nie wiem. Podjechaliśmy akurat pod jej dom i nie zdążyła mi odpowiedzieć.

Wilczyński omal siłą nie wyciągnął go z taksówki, kiedy upierał się, że mu zapłaci za kurs. Wsiadł, otworzył Bartkowi drzwi i z niezmiennym wyrazem twarzy oświadczył:

– Po prostu ich dorwij. Do dziś pluję sobie w brodę, że nie pomogłem Norbertowi. Był z niego kawał złamasa, ale przynajmniej próbował dorwać bandytów.

Bartek wkroczył na szeroką parkową alejkę, zakończoną sponiewieranym pomnikiem żołnierzy radzieckich. Dopiero po chwili zobaczył Januarego. Kumpel do niego nie podszedł, nie pomachał nawet. Szybkim ruchem poprawił oburącz kołnierz swojej kurtki, co w ich gliniarskim języku migowym znaczyło: „Idź za mną”.

Poszedł. Z głównej alejki w prawo, wzdłuż ścieżki wydeptanej przez biegaczy, aż nad dosyć rozległy stawek. Wokół wody stało kilka ławek. Lichocki usiadł na jednej z nich, kontemplując łabędzie sunące dostojnie po stalowoszarej toni.

– Straszna dziś konspiracja – powiedział Bartek, moszcząc się na drugim końcu ławki.

– Wolę, żeby mnie z tobą nie widziano. Mówi się na mieście, że przyciągasz kłopoty.

– Akurat ty chyba nie jesteś z tych lękliwych?

– A poza tym – kontynuował Lichocki, nie odrywając wzroku od dumnych ptaków – dołączono mnie do zespołu pracującego nad sprawą Marty Sobień.

– Tak nazywała się ta dziewczyna, której odcięto dłonie – skwitował Konecki.

Januاری przytaknął oszczędnym ruchem podbródka.

– Sam więc rozumiesz, że wynoszenie na zewnątrz szczegółów śledztwa, które się w dodatku samemu prowadzi, nie wyglądałoby najlepiej w moich papierach.

Konecki szczelniej owinął się marynarką. Poprzedniego dnia odebrał wprawdzie samochód z parkingu policyjnego, a także komputer, okulary OTP i dyktafon, ale jego kurtki wciąż nie było. Zaczynał podejrzewać, że gdzieś ją zawieruszyli. Tymczasem robiło się strasznie zimno. Pogoda była wprawdzie wyżowa, świeciło nawet słońce, lecz powietrze stało się ostre niczym tłuczone szkło.

– Ale możesz mi co nieco opowiedzieć? – upewnił się.

Lichocki się skrzywił.

– Wolałbym nie.

– Obiecałeś!

– Tylko dlatego tu jestem.

– To dawaj. Zanim złapię zapalenie płuc.

– Twoja kobieta, a nasza umiłowana pani rzecznik, przekazała mojemu miłościwie panującemu naczelnikowi Żylecie twoje skojarzenia ze sprawą prowadzoną kiedyś przez aspiranta Pałuchę.

Żyleta. Czyli Krzysztof Żywuski. Bartek już niemal zapomniał, że kiedyś – w innym życiu – Żyleta był jego szefem w Wydziale Terroru Kryminalnego.

– Na pierwszy rzut oka faktycznie oba zabójstwa mogą wydawać się podobne. I wtedy, i teraz naga dziewczyna z obciętymi dłońmi. Gdy jednak przyjrzeć się szczegółom, analogia się kończy. Tamtą, Krystynę Talko, zgwałcono, uduszono, a następnie pozbawiono dłoni za pomocą szybkoobrotowego narzędzia. Martę Sobień zabił natomiast tritoksyjodek galaminy. W skrócie, galamina.

– Co to za świństwo?

– Syntetyczna kuraryna. Na rynku występuje jako lek o nazwie Flaxedil lub Trikuran. Substancja zwiotczająca mięśnie szkieletowe, używana w anestezjologii.

– Skoro to lek, to dlaczego ją zabił?

– Bo między innymi blokuje mięśnie odpowiadające za oddychanie. Anestezjolog intubuje pacjenta i podłącza do respiratora. Marty Sobień nikt do niczego nie podłączył.

– Aha.

– Zabójca podał jej na tyle małą dawkę, że długo walczyła o życie. Wyobrazasz sobie? Największy wysiłek, żeby zaczerpnąć choć odrobinę tchu. I tak przez wiele minut ciągnących się w nieskończoność. Koszmar.

Bartek wolał sobie tego nie wyobrażać. Jego córka zmarła na skutek uduszenia.

– Poza galaminą w ciele denatki znaleziono też ślady GHB.

– Pigułka gwałtu?

– Tak. Ale dziewczyna nie została zgwałcona. No i jeszcze jedna różnica. Dłonie obcięto jej masywnym, ostrym narzędziem. Prawdopodobnie siekierą, maczetą lub jakimś kindżalem. Za życia.

Miał tego dość. Zbierało mu się na wymioty.

– Sam więc widzisz, że musieliśmy odrzucić wersję o tym samym sprawcy obydwu zabójstw – niezłomnie, jak silnik diesla na jałowym biegu, kontynuował January. – W grę może wchodzić co najwyżej nieudolne naśladownictwo.

– Nieudolne? – szepnął Bartek. – Sprawca najpierw pozbawia ofiarę przytomności i siły woli, a potem wstrzykuje jej dobrze dobraną dawkę substancji, która skazuje ją na tortury. A do tego jeszcze te dłonie... Pieprzony dewiant.

Starął się panować nad gniewem, ale miał ochotę wstać z tej cholernej ławki, pojechać prosto do Wasilewskiego i wywalić w niego cały

magazynek. Pytanie tylko, czy na pewno zastrzeliłby właściwego człowieka? Ta sprawa wikłała się coraz bardziej.

– Właśnie, dewiant – potwierdził Lichocki. – Dlatego sprawdzamy wszystkich, których w ostatnich latach skierowano na leczenie z powodu agresywnych zachowań. I oczywiście przestępców seksualnych. A także pedofili. Sprawdzamy też każde doniesienie od naszych niezawodnych obywateli na temat tej sprawy. A nie muszę ci mówić, że po serii występów medialnych twojej ukochanej są ich setki. Dzwonią do nas staruszki, którym jakiś czub pokaleczył kota, ludzie, którzy chcą przysrać znienawidzonemu sąsiadowi, żony wściekłe na mężów, mężowie obrażeni na teściów, a także świrusy gotowe przyznać się do dowolnego zabójstwa, byle tylko przyjechała do nich telewizja. Każdego trzeba odsłuchać i zaprotokołować. Mówię ci, stary, istny cyrk.

– A sprawca tamtego morderstwa sprzed lat? Jak mu tam? Ceglarczyk?

January Lichocki klepnął się w kolano tak zamasyście, że sploszyły się nawet tłuste, obstępujące ich ze wszystkich stron kaczki.

– Facet wyjechał ponoć rok temu pracować do Niemiec. Jego kuratorka nie może się chłopca nachwalić. Że się zmienił, odnalazł. Podaje go jako przykład stuprocentowej resocjalizacji. Ale to może być ściema, bo Ceglarczyk jest właśnie poszukiwany jako podejrzany w jakiejś innej sprawie. Bierzymy go pod uwagę.

Wracił do domu najpierw tramwajem, a potem autobusem, bo przecież do Skaryszewskiego przyjechał taryfą. Starał się ignorować zaciekawione spojrzenia współpasażerów. Po zmroku musiał zdjąć okulary przeciwsłoneczne, a to, co odsłonił, robiło wrażenie. Co prawda opuchlizna już niemal zeszła z twarzy, ale teraz stłuczenia przybrały szlachetną barwę głębokiej czerni bądź granatu, co w kontraście z bladą po ponad tygodniowej odsiadce cerą sprawiało, że jego twarz przypominała

koszmarną szachownicę.

Musiał się zastanowić. Pomyśleć. Cholera, za dużo się w tej sprawie działo! Elementów układanki wciąż przybywało i nijak nie chciały do siebie pasować.

Wyjrzał przez okno na upstrzony na modłę świąteczną Stadion Narodowy i jego błonia zamienione w targowisko. Potem ciemna plaża i ołowiany nurt Wisły. A następnie lewy brzeg, Powiśle, w oddali Stare Miasto. Wszystko rozświetlone, przyozdobione, rozedrgane nieco skomercjalizowaną radością.

Za ile dni święta? – zadał sobie pytanie.

Nie umiał się doliczyć.

A więc mamy zabójstwo sprzed lat, za które skazano prawdopodobnie niewinną osobę – w duchu przemówił do siebie głosem Herculesa Poirota. Przebrzmiała sprawa. I oto współcześnie pewna młoda kobieta („Choć, zdaje się, nieco przechodzona” – nie potrafił odmówić sobie złośliwego komentarza) zaczyna interesować się tą sprawą. Przypadkiem ta młoda dama jest kochanką faceta typowanego przed laty na głównego sprawcę mordu. Co więcej, jego serdeczny przyjaciel (który się jednak z tą znajomością nie afiszuje) zleca pewnemu detektywowi nieudacznikowi śledzenie kobiety. I znów przez przypadek przyjaciel ów jest byłym gliniarzem, który ćwierć wieku temu oczyścił z podejrzeń głównego podejrzanego. Mało tego, dziennikarz będący informatorem naszej damulki ginie w dość niejasnych okolicznościach, a detektyw-pierdoła zostaje przez swego zleceniodawcę zwolniony z dalszego śledzenia. I to w raczej nieokrzesany sposób. Dlaczego? Przecież detektyw nie zdążył podzielić się ze zleceniodawcą ustaleniami na temat śledzonej pani? Odpowiedź jest prosta – bo ten, kto zabił dziennikarza, wszystko już zdążył z niego wycisnąć. Detektyw stał się niepotrzebny.

A nawet zawadza – przemknęło mu przez myśl.

Konecki wysiadł z tramwaju pod Muzeum Narodowym i przeszedł przez Aleje Jerozolimskie do Nowego Świata. Stał na przystanku autobusowym niemal *vis-à-vis* knajpy o nazwie Pijalnia Wódki i Piwa. Lokal ten przywołał bardzo nieprzyjemne wspomnienia, sięgające początków roku, które zmusiły go ostatecznie do przejścia z budżetówki do sektora prywatnego. Żeby odegnać te skojarzenia, znowu zagłębił się w rozmyślania o swoim śledztwie.

Do dzisiaj był pewien, że za obydwoima morderstwami dziewczyn stał tandem Wasilewski–Zachar. Przekonaniem tym zachwiała jednak rozmowa z Lichockim. Skoro było dwóch różnych zabójców, to może pominął kogoś trzeciego? Tylko kogo? Producenta filmowego z lichwiarzem ewidentnie łączą jakieś mroczne konszachty. Potwierdzają to słowa Jędrka o biznesie. Towarem są kobiety, przy których Stokrocka jest już za stara. Może więc dalej prowadzą swój ponury proceder, który Pałucha określał w raporcie z zatrzymania Jacka Wasilewskiego mianem „polowania”? Polowanie...

W czasie składania zeznań u prokuratora pilot wycieczek zagranicznych wyparł się tych słów i twierdził, że aspirant je sobie wymyślił. Co w takim razie robił z czterema niemieckimi turystami i nieletnią dziewczynką w opuszczonym gmaszysku? Nigdy tego ostatecznie nie wyjaśniono.

A więc Krystyna Talko miałyby być przypadkową ofiarą polowania. Podobnie jak dziewczynka uratowana przez Pałuchę miesiąc później – Sandra Konopko. Czy naprawdę chodziło o łowy na dzieci? Ściganie ich po starej rzeźni, a następnie... jakoś nie był w stanie nawet w myśli powtórzyć słowa „gwałt”.

Ale jeżeli tak, to co z innymi ofiarami? Dlaczego proceder wyszedł na jaw dopiero, gdy kogoś zabili? Jak to możliwe, że wcześniejsze ofiary milczały? Jedną czy drugą dziewczynkę mogli jeszcze zastraszyć, przekupić, skłonić do milczenia. Ale jeśli było ich więcej? Zabijali je i tak

skutecznie ukrywali zwłoki, że nikt ich nie odnalazł? A co z rodzicami? Przecież zgłaszałiby zaginięcia swoich dzieci!

Tę kwestię na razie odłożył na bok, zwłaszcza że właśnie podjechało dość mocno zatłoczone 116, do którego dość bezceremonialnie się wcisnął.

Następna sprawa. Zabójca działający wspólnie. To, że Czesława Łykę uśmiercili Zachar i jego przydupas Jędrak (ewentualnie jeszcze jacyś pomagierzy), nie ulegało dla Koneckiego wątpliwości. Ale Marta Sobień? Nawet jeśli założyć, że chłopcy nadal bawią się w te swoje polowanka, co by zyskali, zabijając ją w taki sposób, by mord zyskał ogólnokrajowy rozgłos? A może... Może zabił ją ktoś, kto chciał się zemścić na Wasilewskim i Zacharewiczu? Może nie miał dość sił, by ich zabić, ani dowodów, żeby postawić ich przed sądem? Czy to możliwe, żeby zamordował przypadkową ofiarę w podobnym wieku i w zbliżony sposób, w nadziei, że to skieruje na nich ponownie zainteresowanie organów ścigania?

„Janusz Ceglarczyk”. „Podejrzany w innej sprawie”.

Zrozumiał, że musi go znaleźć, ale to nie wszystko. Koniecznie trzeba też zdemaskować szemrany „biznes” producenta filmowego i lichwiarza. Trudno wprawdzie uwierzyć, że ludzie, którzy osiągnęli taki finansowy sukces, bawią się w coś tak ryzykownego jak porywanie i wykorzystywanie dzieci, ale kto wie?

Wysiadł z autobusu na placu Krasińskich, omiótł wzrokiem pomnik powstańców wchodzących do kanału i ruszył spacerkiem ku Świętojerskiej. Czuł się już lepiej. Nadal wprawdzie nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, ale przynajmniej uporządkował myśli. Co z tego wynikło? Absolutne przekonanie, że sam sobie nie poradzi. Potrzebował Norberta Pałuchy. Jak najszybciej.

Do domu wszedł zamyślony. Pełen wahań. Może powinien jednak

opowiedzieć Lichockiemu wszystko, co wie o Zacharewiczu i Wasilewskim? Przyznać się do wzięcia lewego zlecenia od tego pierwszego? Problem jednak w tym, że wciąż nie miał w ręku nic konkretnego. A jego podejrzenia, że zabójstwa Krysi Talko i Marty Sobień łączy ta sama osoba sprawcy, najwyraźniej się nie potwierdziło. Musiał najpierw do czegoś dojść. Przynieść dawnym kolegom konkrety. No i była jeszcze Stokrocka. Z niezrozumiałych dla siebie samego względów chciał ją chronić.

Sentymentalny stary idiota.

Jolka siedziała w szlafroku, zerkając w telewizor. Wydawała się niespokojna i spięta. Wyglądała ładniej niż zwykle.

– Zaczekasz na mnie? – spytał, całując ją w policzek. – Tylko wezmę szybki prysznic.

W milczeniu skinęła głową.

Szorując się pod piekielnie gorącą wodą, która na nowo drażniła jego słabo podgojone sińce i otarcia, obiecał sobie solennie, że na dziś kończy z tą sprawą. O wszystkim pomyśli jeszcze raz, ale dopiero jutro. Może wtedy uzna, że jednak czas skończyć z samowolką i udać się do spowiedzi u dawnych kolegów w pałacu Mostowskich? Czas pomyśleć o Joli. Ostatnio strasznie ją zaniedbywał. Czy nie lepiej zrzucić z pleców ciężar tego solowego śledztwa na ludzi, którzy mają odpowiednie uprawnienia i możliwości? Wizja była kusząca.

Chrzanić tę detektywistyczną robotę. Znajdę sobie normalną pracę, będę wracał do domu o piątej i szykował dla Joli romantyczną kolację. Kto wie? Może nawet zdecydujemy się w końcu na dziecko?

Oboje unikali tego tematu jak ognia, ale czuł, że ona tego pragnie.

Nie można żyć ciągle przeszłością. Czas wyrwać z siebie te lęki. To poczucie, że wszystko wokół jest kruche jak porcelana.

Nie był psychologiem, ale wiedział, że takie – nastawione na

wypatrywanie niebezpieczeństw – podejście do świata to efekt głębokiej traumy, jaką przeżył rok temu po śmierci córeczki i odejściu żony.

Wyszedł z buchającej parą łazienki, zawinięty w lekki szlafrok. Pysznic splukał z niego ostatnie wątpliwości. Tak, jutro umówi się na spotkanie z Żyletą i Lichockim. Opowie im wszystko. Niech inni się martwią tą popapraną sprawą. A teraz...

Miękkim krokiem podszedł do Jolki. Nachylił się, delikatnie pocałował ją w odsłonięty kark. Dawno już tego nie robili. W ostatnich dniach był zbyt obolały, żeby wytrzymać choćby dotknięcie, wcześniej siedział w areszcie, a jeszcze wcześniej... Przypomniawszy sobie ich ostatni, ostry seks. Fajna zabawa, ale teraz wolałyby wolniej, cieplej, z miłością. Trzeba zrzucić w końcu z siebie ten kokon frustracji z powodu wywalenia z policji. Ile można się tym gryźć? Ile można łykać garściami ogłupiające tabletki? Dotarło do niego, że w ostatnich tygodniach traktował Jolkę trochę tak, jakby była meblem. Myślał tylko o sobie, koncentrował się na własnych problemach i urazach. Założył, że jej miłość i przywiązanie otrzymał raz na zawsze i nie musi się już o to troszczyć.

Wszystko się jeszcze da naprawić. Wszystko.

– Na stoliku leży wezwanie dla ciebie. Na przesłuchanie. Masz się pojutrze stawić na Żeromskiego – powiedziała, uchylając się przed jego pocałunkiem.

Miał to gdzieś. Pewnie Sieroń znów będzie pytał, co robił u Czesława Łyki. Bez znaczenia. Jutro i tak dogada się z Żyletą.

– Bartek! – powiedziała zaskakująco ostrym głosem, kiedy znów próbował ją pocałować. – Musimy porozmawiać.

Wstała i poszła do kuchni nastawić kawę, a on – rozczarowany, a nawet lekko naburmuszony – klapnął na sofę.

– Wiem, że ostatnio cię zaniedbywałem – wygłosił w akcie ekspiacji, kiedy wróciła z dwiema filiżankami. – Byłem marudny, skupiony na sobie,

brałem prochy, no i jeszcze wciągnęła mnie ta ostatnia sprawa. Ale to się zmieni. Już się zmieniło. Postanowiłem, że jutro pójdę do...

– Bartek – przerwała mu dużo spokojniejszym tonem, w którym pobrzmiwały teraz żal i poczucie winy – ja mam kogoś.

Biel poraziła mu oczy. Płuca wypełniło gorące powietrze.

– Kim on jest?!

Nagle zdał sobie sprawę, że już nie siedzi. Stał nad nią, struchlałą i przestraszoną, z zaciśniętymi pięściami, uniesioną ręką i wyszczerzonymi zębami. Chciał ją uderzyć? Naprawdę? Gwałtownie uszło z niego powietrze. Z powrotem opadł na sofę. Co się z nim działo?

– Kim on jest? – powtórzył szeptem, patrząc w podłogę.

Na dębowych klepkach pod jego bosymi stopami rysowały się elipsy i kółka drzewnych słoików. Kiedyś to były gałęzie, a na nich liście. Przez ten galimatias linii płynęła życiodajna woda. Kiedyś...

– To nieważne – odpowiedziała. Głos jej drżał, choć słyhać było, że bardzo stara się nad nim zapanować.

– Nieważne... – powtórzył.

– Bartek... – Tym razem usłyszał niemal błagalne tony. – Bardzo mi przykro. Naprawdę. Ale my już nie...

Nie miał siły tego słuchać. Chwilę wcześniej był gotów zabić sukinsyna. Teraz, po krótkim, ale gwałtownym wybuchu, było mu już tylko żal. Jakie w sumie znaczenie ma to, kto mu ją odebrał? Facet jak facet. Tyle że lepszy od niego.

– Kochasz go?

Spróbowała ująć jego dłoń, ale szybko ją cofnęła.

– Nie wiem, Bartuś. Nie wiem. Ale on mnie szanuje. Zauważa. Dbą o mnie.

Przez moment na nowo ogarnęła go fala gniewu. Szybko się jednak opanował. Co to zmieni, że się teraz pokłóca? A poza tym, co właściwie

miałby jej powiedzieć? Jak zbić jej argumenty? Miała rację, był do niczego.

Mówiła coś jeszcze, ale zerwał się z miejsca i poszedł do sypialni, w której stała szafa. Pięć minut później wyszedł stamtąd ubrany w dres, na którym wciąż widać było rdzawe plamy. W ręku miał średniej wielkości walizkę. Cały jego majątek.

Wyszedł z domu bez słowa. W ostatniej chwili przypomniał sobie o leżącym na stoliku wezwaniu. Zgarnął je, trzasnął drzwiami. Kiedy zbiegał po schodach, zdawało mu się, że zza drzwi dobiega szloch Jolki.

Warszawa. Sierpień 2016

Siedział okrakiem na swoim zippie, zaparkowanym na rogu Malczewskiego i Wejnerta. Od strony Puławskiej i alei Niepodległości dobiegał szum samochodów przewalających się tamtędy w stronę centrum. Ósma rano, szczyt komunikacyjnego zatoru.

Ulica, którą obserwował, była jednak spokojna. Rzędy jednorodzinnych domów po obu stronach i szeroka nić asfaltu pośrodku tchnęły spokojem i ciszą. Złudną ciszą – Janusz Ceglarczyk to wiedział. Na drugim końcu Malczewskiego, na rogu Puławskiej, jest Komenda Dzielnicowa Policji dla Warszawy-Mokotowa. A jeszcze bliżej, po lewej, konsulat turecki, pod którym zawsze siedzi w strażniczej budce co najmniej jeden gliniarz.

Muszę załatwić to szybko – pomyślał, wpatrując się w dość wąski chodnik, na którym za chwilę powinien pojawić się Wasilewski z yorkiem na smyczy.

Serce waliło mu tak, jakby chciało wyskoczyć. Czuł suchość w ustach, ale po plecach, pod motocyklową kurtką, ciekł pot. To ostatnie brało się zresztą nie tylko ze strachu. Jak na ciepły letni poranek był ubrany wyjątkowo grubo. Oprócz skórzanej kurtki i motocyklowych butów sprawił sobie ostatnio także solidny kask z przyciemnianą przyłbicą. Nawet jeśli się trafi świadek jego ataku na producenta, nie ma szans, by go rozpoznał. Nikt nie zapisze także numeru rejestracyjnego skutera – poczerzył tablice sadzą.

Uderzę szybko jak skorpion i zniknę w ulicznych korkach.

Mimo to wciąż strasznie się denerwował. Tak jak wtedy, całe lata

temu, przed rozprawą, na której miał zapaść na niego wyrok. Wspomnienie niesprawiedliwości, jakiej doświadczył, dodało mu sił. W samą porę. Na chodniku, pięćdziesiąt metrów od niego, pojawił się akurat Wasilewski.

Ceglarczyk wszystko miał przemyślane w najdrobniejszych szczegółach. Zadziałał więc jak automat. Włączył silnik i ruszył, maksymalnie odkręcając manetkę gazu. Tak jak planował.

Szybko się jednak przekonał, że między teorią – nawet najlepiej opracowaną – a praktyką leży przepaść. Kiedy już gnał chodnikiem ku zaskoczonemu producentowi, musiał oderwać prawą rękę od kierownicy, żeby sięgnąć po szpikulec wetknięty za pasek. Gdy sobie to wyobrażał, wszystko grało. Chwyta ostrze, podjeżdża do celu, prowadząc lewą ręką, a prawą wbija z rozpędem zaostrzony pręt w zaskoczoną ofiarę. W czasie realizacji jednak... doszło do katastrofy. Puszczona gwałtownie manetka natychmiast odcięła napęd. Tylne koło skutera raptownie zarzuciło, a jedna ręka trzymająca kierownicę nie wystarczyła, by ustabilizować motor. Zipp obrócił się bokiem i runął na ziemię, z impetem wyrzucając do przodu kierowcę. Dobry kask i gruba kurtka zamortyzowały uderzenie o chodnik, tym bardziej że Janusz poczuł, jak spada na coś miękkiego, mokrego, co pod nim zaskomlało, chrupnęło niczym łamana kość kurczaka i zaraz zamilkło. Skuter pokoziołkował w krzaki.

– Kiki? Rany, zabiłeś Kikiego, skurwielu! – Spokój uliczki zmącił wrzask Wasilewskiego.

Producent filmowy był blady jak ściana. Wspierał się plecami o parkan. Z jego dłoni smętnie zwisała wysadzana szkiełkami smycz, której koniec niknął pod ciałem motocyklisty.

Nieco ogłuszony i obolały Ceglarczyk dźwignął się na kolana, a potem do pozycji wyprostowanej. Jego mózg znów działał na najwyższych obrotach. Wasilewski wciąż żył, a on sam pod butami miał miazgę, w jaką zamienił się piesek.

Zza rogu wyszła starsza pani z labradorem. Na ich widok głupie psisko

zamachało ogonem, a kobieta wrzasnęła. Na ulicy zatrzymał się jakiś samochód.

– Wezwać karetkę? – zawołał kierowca przez otwarte okno.

Szybko, gdzie ten szpikulec? Zaraz zbiegnie się tutaj tłum ludzi.

Janusz znów sięgnął do paska, ale niedoszętego narzędzia zbrodni już tam nie było. Śliska, wypolerowana stała wysunęła się przy upadku. Coraz bardziej spanikowany Ceglarczyk rozejrzył się wokoło. Nigdzie nie widział zaostrego pręta! Raz, że przez przyciemnianą, a teraz jeszcze spotniałą przyłbicę niewiele widział, Dwa, że prawdopodobnie pręt poleciał w krzaki.

– To pirat drogowy! Jechał chodnikiem! – zawołała starsza pani.

Na jezdni zatrzymywały się kolejne samochody. Jeden z kierowców wysiadł i energicznym krokiem zmierzał w ich stronę. Janusz spojrzał na patrzącego na niego zdumionym wzrokiem Wasilewskiego.

Jak mam go teraz załatwić? Udusić? Nie zdążę! Zaraz mnie złapią i wrócę do pierdła.

– Już zadzwoniłem po policję! – krzyknął ktoś z okna na pierwszym piętrze pobliskiego domu. – Przytrzymajcie motocyklistę! Na pewno pijany!

Trzasnęły kolejne drzwi samochodu. W jego stronę biegło teraz już dwóch mężczyzn.

Wtedy podjął decyzję. A raczej zrobiły to za niego same nogi. Skoczył do przewróconego skutera, podniósł go i wyprowadził na chodnik. Uf, silnik wciąż pracował. Skoczył na siodło, przekręcił manetkę i z dźwiękiem przypominającym bzyczenie rozsierzzonego komara pognął chodnikiem do najbliższej bocznej uliczki.

Ceglarczyk nie zauważył, że w krzakach została urwana, wysmarowana sadzą tablica rejestracyjna skutera. Dostrzegł to natomiast Wasilewski.

Warszawa. Grudzień. Czwartek

Dzień zaczął od sukcesu. Mimo padającego w nocy śniegu jego golf zapalił. Nad ranem był przymrozek, więc miejscami ulice były śliskie. Musiał uważać na swoich letnich, wytartych oponach. A miał do przejechania spory kawałek. Mieszkał teraz w swoim biurze przy Grochowskiej.

Jednak zdążył. Ubrany w garnitur, pod krawatem, wkroczył do żoliborskiej komendy rejonowej. Pokazał wezwanie dyżurnemu, który go chyba rozpoznał z czasów, kiedy Konecki był gliną. Z szyderczym uśmiechem sierżant wskazał mu drogę do pokoju, w którym Konecki miał złożyć zeznania. Ten sam pokój co ostatnio.

W środku jednak było już inaczej. Przede wszystkim nikt go nie zakuł w kajdanki. Nie było też gwardii przybocznej podkomisarza Sieronia. Zamiast nich – niespodzianka! – za biurkiem siedziała kilka lat młodsza od Bartka, dość pulchna dziewczyna o gładko zaczesanych do tyłu włosach. Młoda pani prokurator.

– O jejku! Co się panu stało?! – Powitała go pełnym trwogi okrzykiem.

W pierwszej chwili, jak zwykle, zamierzał jej odpowiedzieć na odczepnego, że dozorca zapomniał odśnieżyć chodnik albo nie zauważył zamkniętych drzwi. Zaraz jednak ugryzł się w język. Nie zaszkodziłoby przypunktować u pani prokurator. Omiótł wzrokiem jej sylwetkę.

Nie wróciła jeszcze do swojej wagi po niedawnej ciąży, na palcu obrączka, a więc mężatka, włosy nieco przetłuszczone, brak makijażu. Zapewne młoda mama, usiłująca zaadaptować się do pracy po powrocie z macierzyńskiego.

– Zwróciłem uwagę menelom, którzy pili piwo na placu zabaw. Przecież tam przychodzą matki z małymi dziećmi!

Nieumalowana buzia ułożyła się w pełen oburzenia ciup. Sieroń natomiast popatrzył na niego jak na wariata.

Sieroń. Ciekawe, czy ma coś wspólnego z Zacharewiczem? To dosyć dziwne, że zaledwie w godzinę po tym, jak podkomisarz mu wygrażał, Bartkowi spuszczone łomot.

– To oburzające! – pisnęła przedstawicielka Temidy. – Złożył pan doniesienie o popełnieniu przestępstwa?

Bagatelizująco machnął ręką.

– Wymiar sprawiedliwości i tak ma huk roboty – westchnął.

I stał się cud. Pani prokurator się uśmiechnęła.

– Ładny krawat – skomplementowała.

Sieroń omal nie spadł z krzesła.

– Dziękuję. Rzadko spotyka się teraz osoby, które potrafią docenić taki szczegół.

Podkomisarz przerwał im chrząknięciem.

– Wezwaliśmy cię w charakterze świadka. Pani prokurator Renata Rybak ma do ciebie kilka pytań w sprawie zabójstwa Czesława Łyki.

Bartek usiadł na krześle, założył nogę na nogę. Jego skórzane buty były tak wyglansowane, że rzucały bliki na ściany. Poprawił kant spodni, obciągnął mankiety, musnął palcami węzeł krawata.

– Jestem gotów do pełnej współpracy! – Skierował te słowa do pani Renaty. – Słucham.

Przez następne minuty odpowiadał na standardowe pytania do protokołu. Imię, nazwisko, wykonywany zawód. Nie dał się uśpić. Czekał.

– Z jakiego powodu odwiedził pan denata?

– Pani wybaczy, ale obowiązuje mnie tajemnica służbowa. Realizowałem pewne zlecenie, którego natura...

– Oto postanowienie o zwolnieniu z tajemnicy służbowej. – Pani prokurator podsunęła mu podpisany przez siebie papier.

Nie musiał czytać, wiedział, że teraz wóz albo przewóz. Albo oni jego, albo on ich.

– Moim zleceniem było śledzenie pewnej młodej kobiety. Na wniosek jej partnera podejrzewającego niewierność. A ponieważ w toku wykonywanych czynności ustaliłem, że obiekt obserwacji spotkał się z panem Łykiem, postanowiłem osobiście zapytać go o naturę ich relacji.

– Kurwa, co to za psi bełkot? – warknął podkomisarz Sieroń. Zaraz się zreflektował i bezgłośnie przeprosił prokurator Rybak za przekleństwo. Wciąż jednak jego cera albinosa aż czerwieniła się z oburzenia.

– Nazwiska, Konecki. Nazwiska. Kto ci zlecił to szpiclowanie? Kim jest lalunia, za którą łąziłeś?

Bartosz Konecki uśmiechnął się przepraszająco.

– Wszystkie dane mam w dokumentach. – Bezradnie rozłożył ręce. – Niestety... – Tu posłał policjantowi zjadliwe spojrzenie. – Po dokonanym przez śledczych przeszukaniu w moim gabinecie panuje taki bałagan, że zajmie mi chwilę ich odszukanie.

– Nie było ich tam – szczeknął podkomisarz. – I nie rób z nas idiotów. Nie wierzę, że zapomniłeś, jak się nazywa twój zleceniodawca.

– Pani wybaczy. – Konecki lekko się skłonił Renacie Rybak. – Po tym pobiciu miałem epizod utraty przytomności. Wstrząs mózgu, mówiąc po ludzku. Wciąż jestem na L4, ale lekarze uspokajają, że zaniki pamięci wkrótce ustąpią, i...

– Przestań nam tu pierdolić, cwaniaczku!

Po wybuchu Sieronia w pokoju zapanowało gęste jak syrop milczenie.

– Panie Romku, prosiłabym o ostrożniejsze dobieranie kolokwializmów – wolno, ale nadspodziewanie stanowczo odezwała się pani Renata.

Ma na imię Roman. Ale jaja.

– Skoro jest pan na zwolnieniu lekarskim, mógł pan podesłać nam jego ksero – zwróciła się do Bartka. – Przełożylibyśmy termin składania zeznań.

– Przepraszam. Nie chciałem sprawiać wrażenia, że przeciągam śledztwo.

Prokurator Rybak mierzyła go przez chwilę badawczym spojrzeniem. Robił, co mógł, żeby wyglądać na skruszonego. I modlił się, żeby naprawdę nie zażądała od niego pokazania zwolnienia lekarskiego.

Sieroń milczał. Był już czerwony jak burak.

– No dobrze – uznała w końcu pani Renata. – Przyjmę pańskie tłumaczenia za dobrą monetę. Zaprotokołujemy to, co pan powiedział. Nazwiska zleceniodawcy i śledzonej zamieścimy zaś w aneksie.

Uf. Niech żyje prolaktyna, hormon matek karmiących!

Dalej przesłuchanie potoczyło się już jak po maśle. Sieroń milczał z zaciętym wyrazem twarzy, prokurator Rybak zadawała pytania. Bartek krótko odpowiadał. Dlaczego rano wrócił do mieszkania Łyki, co tam zastał, czemu uciekał („Wstyd przyznać, ale ja, doświadczony policjant, spanikowałem”).

Zaledwie pół godziny później było już po wszystkim.

– Proszę pozdrowić panią rzecznik. – Pani Renata uśmiechnęła się słodko, a on, czując w sercu dotyk lodowatej próżni, obiecał, że to uczyni.

– Odprowadzę pana Koneckiego do wyjścia – nieoczekiwanie zaoferował się Sieroń.

Wyszli, uprzejmie się kłaniając pani prokurator.

– Kogo ty kryjesz? – Podkomisarz złapał Bartka za kłapy, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi pokoju. – O co w tym wszystkim chodzi?

Konecki nie bez wysiłku strząsnął jego łapy z marynarki, którą dopiero co odebrał z pralni.

– Wiesz co, Sieroń? – odpowiedział atakiem. – Zamiast ustawiać mi *tête-à-tête* z panią prokurator, lepiej wzięłybyś się wreszcie do prawdziwej policyjnej roboty.

– Co masz na myśli, leszczu?

– Dorwij faceta od tych odcisków palców. Mordercę Łyki. Skoro to dobrze znany organom ścigania recydywista, powinieneś go skrócić w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Dorwałem go. – Podkomisarz wyraźnie posmutniał. – Znalazł się dwa dni temu w Wiśle. Sztywny jak kłoda. Nurt rzeki wyrzucił go na brzeg w Młocinach.

– Kto to taki?

– Na pewno nie znasz. Niedawno wyszedł z zakładu karnego. Niejaki Janusz Ceglarczyk. – Policjant zmierzył go lodowatym wzrokiem.

Konecki omal się nie zatoczył, jak po ciosie w brzuch.

„Podejrzany w innej sprawie. Bierzemy go pod uwagę”.

– Facet skazany kiedyś za zabójstwo Krystyny Talko.

Policjant przyjrzał mu się z uwagą.

– Widzę, że nieźle się orientujesz w mojej sprawie. Tak, ktoś załatwił Ceglarczyka. I jeszcze odrąbał mu dłonie.

Drugi cios. Aż mu zabrakło tchu. Hipoteza Koneckiego o zemście niewinnie oskarżonego właśnie rozpadała się na jego oczach w proch.

– Czy w jego ciele wykryto galaminę?

– Jak na dupka podglądającego kochanków masz stanowczo zbyt szeroką wiedzę o prowadzonych przez policję śledztwach.

Wychodząc na zewnątrz i skręcając do samochodu, Bartek zrozumiał, dlaczego tak łatwo mu poszło z Renatą Rybak. Pani prokurator chce jak najszybciej zamknąć to śledztwo. Ustalono zabójcę dziennikarza? Ustalono. Znalezione go? Znalezione. A tym, że już w stanie rozkładu, niech się martwi Komenda Stołeczna i ewentualnie prokurator z okręgu

nadzorujący śledztwo w sprawie Marty Sobień. To oni szukają obcinacza dłoni, jak poetycko nazwali mordercę dziennikarzy tabloidów. Ich kłopot.

Warszawa. Październik 2016

W niedzielę na budowie niewiele się działo. A właściwie nic. Chłopaki, z którymi stawiał dom, zrobili sobie wolne. Wolny dzień albo spędzali z rodzinami, albo chlali na umór z kumplami, żeby nazajutrz stawić się na placu z przekrwionymi oczami i wyschniętym gardłem. W mieszkalnej kanciapie, pełniącej równocześnie funkcję kuchni, pokoju socjalnego i magazynu na narzędzia, został tylko Janusz Ceglarczyk. Nie miał do kogo pójść.

Był oczywiście On. Jedyny człowiek na świecie, który wierzył w jego niewinność. Ale akurat do niego były więzień udać się nie chciał. Co miałby mu powiedzieć? Że koncertowo sfuszerował akcję? To jeszcze pół biedy. Ale... Janusz zaczynał mieć dosyć. Nie nadawał się na mściciela. Coraz częściej myślał o powrocie do Opola. Tam przynajmniej znał każdy kąt – no i mógł zawsze zwrócić się o pomoc do swojej kuratorce. Choćby po to, żeby pogadać. W Warszawie czuł się coraz bardziej obco. A dwa zabójstwa, które sobie zaplanował, przerastały go. Wstydził się o tym powiedzieć, zwłaszcza Jemu. Wiedział, że On nie będzie zadowolony. W ciepły niedzielny poranek błąkał się więc po zagraconym podwórku nieukończonyj willi stawianej na Żeraniu, udając sam przed sobą, że porządkuje, układa, przygotowuje na jutro pracę.

Mam tutaj pracę tylko do końca listopada – kombinował. – Jak skończymy kryć dach, będę musiał wyłożyć płytkami wnętrza. Potem mogę się zbierać do domu.

Dom. Po raz pierwszy użył tego słowa w odniesieniu do Opola. Czy raczej – pierwszy raz, odkąd tamtego gorącego lata, jako młody

i zbuntowany chłopak, wyruszył na festiwal do Jarocina.

Tak, już czas się ustakować.

Przerwał rozmyślenia, bo pod bramą zatrzymało się stare czarne audi. Ceglarczyk przerwał pracę i spokojnie zmierzył je wzrokiem. Nie był to wóz właściciela domu ani nikogo z ekipy budowlanej. Może ktoś zabłądził i chce spytać o drogę?

Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn w dresach i naciągniętych na głowy kapturach. Janusz poczuł ukłucie niepokoju.

Tamci podeszli do prowizorycznej bramy, zrobionej z nieheblowanych desek i drucianej siatki. Otworzyli jednym szarpnięciem.

– Janusz Ceglarczyk? – spytał pierwszy z nich.

Gwałtownie zaschło mu w ustach.

– Trudno cię było znaleźć. – Mężczyzna w dresie sięgnął do kieszeni i wyjął wyczyszczoną tablicę rejestracyjną od skutera. – Facet, na którego jest zarejestrowana ta twoja torpeda, okazał się jej poprzednim właścicielem. Kupiłeś od niego skuter i nie przerejestrowałeś na siebie, dlaczego?

Ceglarczyk odchrząknął. A więc sprawą incydentu na Malczewskiego zajęła się policja. Czy przyszli go aresztować? Pewnie tak.

– Bo nie mam stałego miejsca zameldowania – wybąkał.

Nie chcę znów trafić do więzienia – pomyślał, czując narastającą panikę.

Rozejrzał się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Ten drugi, z cienką kosią bródką i kolczykiem nad okiem, zaszedł go jednak z tyłu.

Dresiarz tymczasem ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Na szczęście zostawiłeś poprzedniemu właścicielowi numer swojej komórki. Tak cię w końcu namierzyłem.

A więc na pewno policja. Kto inny potrafiłby ustalić położenie jego telefonu?

– Czy chcecie mnie aresztować? – zapytał słabym głosem.

W pierwszej chwili dresiarz spojrział na niego zaskoczony.

– My? Że niby gliny? Nigdy w życiu! – Aż się zaperzył. – Przysłał nas pan Wasilewski. I kazał odpłacić za rozgniecenie jego ukochanego, pieprzonego pieska.

Ostatnie słowa nieznajomy powiedział z wyraźnym szyderstwem. Pomysł krwawego odwetu za śmierć czworonoga najwyraźniej i jemu wydawał się absurdalny.

– Co zamierzacie mi zrobić? – Ceglarczyk poczuł wyraźną ulgę.

Nie pójdzie siedzieć. Ci dwaj chcą mu po prostu oklepać głębę. Nic wielkiego.

Morda nie szklanka, nie zbije się – o prawdziwości tej maksymy wielokrotnie przekonał się jeszcze w więzieniu, a także w czasach, kiedy żył na ulicy.

Przyjął postawę obronną, uniósł ręce do gardy i... to wszystko, co zdążył zrobić. Zakapturzony mężczyzna zawirował w obrocie, jego noga wystrzeliła zamasyście ku głowie Ceglarczyka, który ani się obejrzał, jak już leżał w błocku.

– Gościu jest do niczego – powiedział dresiarz do swojego kompana. – Koza, weź mu sprzedaj parę glanów. Mnie szkoda na niego wysiłku.

Stojący dotąd za Ceglarczykiem mężczyzna z kolczykiem podskoczył i kopnął leżącego w brzuch, w klatkę, w głowę. Januszowi zaszumiało w skroniach, twarz zdrętwiała, w rozbitych ustach poczuł smak krwi. Otrząsnął się i wstał na czworaka, uświadamiając sobie zarazem, że nikt go już nie bije. Uniósł głowę i zobaczył, że dwaj napastnicy idą z powrotem do bramy. Ten, który pierwszy go kopnął, potarł kciukiem nos, a potem poruszył w lewo i prawo głową tak, że chrupnęło mu w karku.

– Czy... czy jesteśmy kwita? – zapytał Ceglarczyk.

Obejrżeli się, zaśmiali.

– Pan Wasilewski kazał ci połamać łapy, ale ja uważam, że już wystarczy tej lekcji – usłyszał odpowiedź. – Przyznam, że nawet jestem ci wdzięczny za rozgniecie sierściucha. Pierdolony piesek szczał w mercedesie na tapicerkę, uwierzysz? A ja potem musiałem to po nim sprzątać.

Obaj wybuchnęli głośniejszym rechotem, zapakowali się do audi i odjechali. Janusz nie wierzył własnemu szczęściu.

– Naprawdę poszli – szepnął, klękając, a potem ostrożnie wstając na nogi.

Ciągle szumiało mu w głowie, ale wiedział, że zaraz przejdzie.

– To znak, że czas odpuścić – dodał sam do siebie. – Jak skończymy na tej budowie, wracam do Opola.

A potem przypomniał sobie o sekrecie, który miał zdradzić Jemu, gdy już będzie po wszystkim. Tak, trzeba mu o tym donieść. Facet ma prawo wiedzieć. Tyle że Ceglarczyk nie miał dość sił, by stawić mu czoła osobiście i oznajmić, że rezygnuje z zemsty. I wtedy wpadł na świetny pomysł:

– Napiszę mu o tym w liście!

Chwilę później wpadł na jeszcze lepszy pomysł. Uznał, że wyskrobie dwa listy. Jeden od siebie do Niego. I następny, anonimowy, do tej kobiety. Ona też powinna poznać prawdę.

Magdalenka. Grudzień. Sobota

Ile trzeba mieć forsy i jakie znajomości, żeby urzędnicy pozwolili ci zbudować w środku lasu pałac i jeszcze poprowadzić do niego drogę? Taka refleksja towarzyszyła Koneckiemu, kiedy po dojeździe z Piaseczna do Magdalenki skręcił ze Słonecznej w Końcową, minął ostatnie na ulicy domy i jechał dalej, mając po obu stronach wyłącznie drzewa. Mniej więcej dwieście metrów dalej zobaczył okazałą bramę. Na każdym z dwóch skrzydeł krzyż lotaryński – herb Jagiellonów z kutego, grubego żelaza. Przed bramą wartownicza budka i szlaban. Zamknięty. Oraz dwóch osiłków w garniturach i płaszczach.

Zastanawiając się, co rodzina Szrederów może mieć wspólnego z wymarłą dynastią polskich królów, Bartek wycofał autem tak, aby zniknąć ochroniarzom z oczu, i zaparkował w przydrożnych krzakach. Teraz musiał zaczekać.

Był sfrustrowany. Źle się czuł we własnej skórze. Łupało go w kościach po kolejnej nocy spędzonej na dmuchanym materacu w biurze. Cały czwartek spędził przy telefonie, sprawdzając wątek „tajemniczego mściciela”, który próbował skierować uwagę organów ścigania na zbrodnię sprzed lat. Skoro nie był nim Janusz Ceglarczyk, to może ktoś inny? Rodzice zamordowanej Krystyny Talko? A może ocalona w ostatniej chwili przez Pałuchę Sandra Konopko, dziewczynka z sierocińca?

Nie bardzo w to wierzył, musiał się jednak czymś zająć, żeby nie myśleć o Jolce. Mógł oczywiście, zgodnie z wcześniejszym planami, wybrać się na rozmowę do dawnych kolegów z Komendy Stołecznej. Ale

wiedział dobrze, co się stanie, jeśli to zrobi. Wysłuchają go, uprzejmie podziękują i odeślą do domu z ostrzeżeniem, żeby pod żadnym pozorem nie mieszał się już do ich śledztwa. Do domu...

Kurwa, przecież ja nie mam domu.

Telefon do rodziców Krystyny Talko ustalił przez zaprzyjaźnionego teleoperatora. Zadzwoił, podając się za pracownika rejonowej przychodni zdrowia ze Zduńskiej Woli. Pod pozorem przeprowadzenia ankiety oceniającej poziom zadowolenia z usług medycznych wyciągnął od nich, że są samotni, schorowani, bezradni. I pogodzeni z losem. Nie, oni nie pasowali do roli wyrafinowanych morderców.

Nieco trudniej poszło mu z Sandrą Konopko, dziewczyną z sierocińca, uprowadzoną niegdyś przez Wasilewskiego. Kiedy zadzwonił do domu dziecka, w którym przed laty mieszkała, ktoś rzucił słuchawką, zanim wypowiedział do końca pierwsze trzy zdania. W sumie nic dziwnego. Takie placówki musiały chronić prywatność wychowanków. Zbajerował więc pocziwą urzędniczkę Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej. Wcisnął jej kit, że jest powracającym z zagranicy krewnym dziewczyny. Zamożnym krewnym. Bez większych oporów dała mu obecny adres podopiecznej, bo Sandra Konopko (a obecnie Wołek – po mężu) – tak jak się spodziewał – korzystała z pomocy ośrodka.

Wieczorem zatankował golfa do pełna (kolejne półtorej stowy w plecy) i pojechał aż pod Ostrowiec Wielkopolski. Mała wioska na uboczu, kwadratowe domki z eternitowymi dachami bez tabliczek z adresem. Szukał jej pół godziny, dwa razy zakopał się w błotnistych kałużach, roztopiających się po porannym przymrozku. Wreszcie znalazł domek na skraju wsi. Ujadający pies na metrowym łańcuchu, spleśniałe drzwi wejściowe, woń zagrzybionych ścian w sieni. Dwa pokoje z kuchnią. W pierwszym pan domu, mąż Sandry, w siatkowym podkoszulku i slipach, rozwalony przed telewizorem. W drugim szczupła, drobna kobieta, otoczona trójką dzieci. Najmłodsze, niemowlak jeszcze, spało na

podłożonych pod pupę gazetach. Bida z nędzą, dziewczyna nie miała nawet na pieluchy. Gdzie się podziało trzy razy „pięćset plus”?

Odpowiedź uzyskał w ciągu pięciu minut. Pan domu czknął i otworzył piwo – z pewnością już kolejne. Przyjął do wiadomości, że Bartek jest detektywem płacącym za krótką rozmowę z jego żoną sto złotych, i powrócił do oglądania kreskówek. Zahipnotyzowane uciekającym na ekranie Scooby-Doo dzieciaki zasiadły na skrywającym dziury w podłodze dywanie u jego stóp. Niemowlak zasikał podścielony pod niego „Super Express”.

Bartek rozmawiał z nią najwyżej piętnaście minut. Zahukana, smutna, zrezygnowana. Ona też nie pasowała na inicjatorkę wyrafinowanej zemsty. Pełen nieokreślonego poczucia winy Konecki zostawił jej pięćset złotych. Wyszedł, ale zaraz wrócił, bo usłyszał, jak małżonek wyrywa jej forszę. Nierozsądnie (bo przecież miał już jedną sprawę o pobicie) podniósł na niego rękę, lecz na szczęście damski bokser okazał się kompletnym tchórzem. Skulił uszy po sobie i wrócił przed telewizor. Bartek wyszedł po raz drugi, modląc się, żeby samochód zapalił. Za nic w świecie nie chciał zostać w tym miejscu ani minuty dłużej.

Nie miał nic. Poza Wasilewskim i Zacharewiczem połączonymi tajemniczym biznesowym układem oraz Amelią Stokrocką – kochanką jednego z nich albo nawet i obu – prowadzącą własną, niezrozumiałą gierkę. No i były jeszcze cztery trupy. Trzy stosunkowo świeże i jeden sprzed ćwierćwiecza. Bartek po raz kolejny zrozumiał, że nie ruszy z miejsca, dopóki nie porozmawia z Norbertem Pałuchą.

Piątkowy poranek zaczął więc od przeglądania stron plotkarskich i celebryckich. Barbara Szreder-Dworak. Znalazł ją bez trudu. Prominentna córeczka bogatego tatusia. Żona jakiegoś ważniaka z branży tekstylnej, Donatana Dworaka. Dwa razy De. Dupa, dupa. Mieszkała w Magdalence,

była honorową prezeską aż trzech niezwykle szczytnych fundacji, chętnie wydawała u siebie przyjęcia. Najbliższe – przedświąteczne – już jutro. W sobotę. Spodziewano się na nim przedstawiciele świata wielkiego biznesu, gwiazd telewizji i kina, celebrytów.

Reszta dnia była dla niego rozpaczliwą walką z przemożną potrzebą zadzwonienia do Jolki, zażycia alpraksu lub uchłania się do spadu. Jakoś wytrzymał. Pomogły mu w tym trzy paczki chesterfieldów, wyjaranych jeden po drugim. Kolejne czterdzieści pięć złotych w plecy...

W sobotę po południu wbił się w garnitur i krawat. Z ust śmierdziało mu jak z popielniczki, więc dwa razy z rzędu wyszorował zęby. Był gotów do akcji.

A teraz czekał. Ochroniarze przy szlabanie przytupywali, co jakiś czas rzucając coś do krótkofalówek.

Nie mógł przecież, ot tak, tam podjechać i zażądać wpuszczenia na balangę. Ale miał plan. Genialny w swej prostocie. Wypróbowany kiedyś na autostradzie A4, kiedy wraz z żoną i córką wracał z ich ostatnich wakacji. Pod bramką odkryli, że nie mają pieniędzy, a karta gdzieś się akurat zawieruszyła. Mogli, rzecz jasna, zjechać na bok i przeszukać cały wóz. Ale córeczka płakała, że chce do domu.

Teraz w bocznym lusterku zobaczył światła. Wyprostował się, wrzucił jedynekę, czekał. Minął go maybach wielki jak wóz drabiniasty. Maybach. Takie wózki widział jak dotąd tylko w magazynie „Luksusowe Auta”.

Lekko buksując, wyjechał z pobocza i wolno ruszył za tamtym. Maybach zatrzymał się przed szlabanem, kierowca (miał nawet czapkę z daszkiem!) uchylił szybę i powiedział coś ochroniarzom. Konecki zatrzymał się prawie na tylnym zderzaku limuzyny.

Wartownik szczechnął coś przez krótkofalówkę i skinął głową. Szlaban powędrował w górę, a skrzydła bramy na boki. Bartek ruszył niespiesznie, jakby chciał zatrzymać się w miejscu tamtego. Lecz gdy tylko szlaban

zaczął opadać, a ochroniarz zrobił ku niemu krok, dał po garach tak, że jego prehistoryczny pojazd skoczył do przodu jak pasikonik. Opadający szlaban zadudnił mu w dach, ktoś krzyknął: „Stój!”, ale on był już na terenie posesji. Przed sobą ujrzał długi podjazd zwieńczony okazałym domiszczem, wspartym na kolumnadzie. Przed szerokimi stopniami wiodącymi do wejścia pyszniła się nawet fontanna. W kształcie delfina.

Ochroniarz biegł za nim dobre pięćdziesiąt metrów, wrzeszcząc do walkie-talkie, a potem się zmęczył.

Nie mam zbyt wiele czasu.

Zaparkował pod wejściem, przekazał kluczyki parkingowemu, pouczając go, żeby uważał na zabytkowy lakier golfa, i wszedł w rozświetlony kandelabrami świat wielkiego biznesu. Otaczający go mężczyźni byli we frakach, tylko kelnerzy i ochroniarze nosili marynarki.

Zaraz mnie stąd wyrzucą. Albo każą roznosić drinki.

Staął na palcach, rozglądając się za gospodynią przyjęcia. Trochę rozpraszała go choinka stojąca pod dwuspadowymi schodami, łudząco podobnymi do tych z filmu Camerona *Titanic*. Miała chyba z pięć metrów i błyskającą jak kogut radiowozu gwiazdę na czubku. Ktoś obok witał się, używając zwrotu „magnificencja”, jakieś dwie kobiety cmokały się w policzki tak ostrożnie, jakby całowały trędowatego.

Powoli zagłębiał się w sącący szampana i barwne napitki tłum. Zauważył, że w drzwiach pojawił się zasapany ochroniarz w płaszczu. Podeszło do niego dwóch innych, w garniturach, i wszyscy trzej już przeczesywali zgromadzonych czujnymi spojrzeniami.

Za chwilę mnie zauważą.

Halsował w stronę choinki. Ludzie przyglądali mu się ze zdziwieniem. Pod ścianą szykowałą sprzęt ekipa telewizyjna, za otwartymi drzwiami obok niej widać było długi stół, zastawiony lśniąca na biało porcelaną.

– Mogę zapytać, czy my się znamy? – usłyszał przy uchu kobiecy głos.

Podskoczył jak oparzony, odwrócił się. Obok niego stała Barbara Szreder-Dworak.

– Wersja o zbłąkanym wędrowcu pewnie nie przejdzie? – Uśmiechnął się.

Zaskoczyło go, że odwzajemniła uśmiech. Jej oczy, kiedyś niewątpliwie ładne, a teraz po prostu intrygujące, pozostały jednak czujne.

– Prawdziwa Wigilia dopiero za tydzień – odpowiedziała. – Nie mam więc dziś pustego miejsca przy stole.

W tym momencie poczuł, jak krzepka dłoń chwyta go pod łokieć.

– Pan nie był zaproszony. Musi pan natychmiast opuścić ten dom – zamruczał mu nad głową drgający złością baryton. – Radzę nie sprawiać kłopotów.

Barbara ciągle patrzyła mu w oczy. Dumna i zimna królowa lodowego pałacu.

– Norbert Pałucha – powiedział, czując, jak zwierzęca siła faceta w gajerku ciągnie go w tył.

Coś na jej twarzy pękło, załamało się, osunęło.

– Zostawcie go. Ale nie odchodźcie. Ten pan zaraz wychodzi.

Miał swoje pięć minut.

– On miał wtedy rację. Skazano niewłaściwego człowieka.

Mimika Szreder-Dworakowej wróciła do stanu równowagi.

– To stara historia. Stara i nudna.

Uścisk pod łokciem nasilił się.

– Historia lubi się powtarzać.

Tym razem nie udało mu się już wytrącić jej z równowagi.

– W jakim sensie?

– W dosłownym. Słyszała pani o kolejnej zabitej dziewczynie?

Niemal niezauważalnie skinęła głową.

– Muszę się z nim skontaktować w tej sprawie.

W tym momencie podszedł do nich piękny jak z plakatu serialu o Carringtonach, srebrnowłosy mężczyzna.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zwrócił się do Barbary.

– W najzupełniejszym – odparła, nadstawiając mu policzek do cmoknięcia. – Zaraz do ciebie dołączę.

Nie trzeba było być psychologiem, żeby zgadnąć, kto w tym domu nosi spodnie. Donatan Dworak odszedł ku roześmianej grupie gości. Szreder-Dworak milczała, mierząc Bartka uważnym spojrzeniem. Ucisk na łokciu stawał się trudny do zniesienia.

– Nie mam z nim kontaktu – odpowiedziała. – Ale...

Czekał w napięciu.

– Dostaję od niego listy. Kartki raczej. Zwykle na święta.

– Czy jest na nich adres zwrotny?

– Różne adresy. Norbert... – zamilkła, jakby smakowała to imię – ... często przenosi się z miejsca na miejsce.

– A ostatni adres?

– Przez dwa lata, między 2013 a 2014, nie napisał do mnie.

Ucisk zelżał, a jej wzrok rozplynał się, jakby patrzyła przez Koneckiego gdzieś w dal.

– Myślałam, że dał sobie wreszcie spokój. Przecież nigdy mu nie odpowiadałam. Ale ubiegłej zimy znów przyszła kartka.

Przerwała, pozdrawiając jakąś wchodzącą parę.

– Dziwne... – mówiła dalej. – Jego słowa, te same co zawsze. Ale charakter pisma kogoś obcego. Jakby podyktował list, zamiast napisać samemu. Intrygujące, prawda?

Nic go to wszystko nie obchodziło. Chciał tylko adresu. Zwierzeń nie potrzebował. Miał w zanadrzu własne.

– Może mi pani powiedzieć, skąd napisał?

Ocknęła się, wróciła z dalekiej podróży.

– Tak. Proszę chwilę zaczekać. Na parkingu – dodała, przenosząc wzrok na piętrzącego się za nim neandertalczyka.

Ruszył ku wyjściu. Ruszył – to w tym wypadku eufemizm. Idący po jego bokach ochroniarze trzymali go w takim uścisku, że niemal dyndał stopami w powietrzu.

I wtedy ją zobaczył. Jolka. W koktajlowej sukience i na obcasach. Promienna, piękna. Otoczona ramieniem wymuskanego fagasa, którego kojarzył z telewizji. Z telewizji i swojej wizyty u Stokrockiej, w charakteryzatorni. Paweł Kwaśko.

Rzucił się ku niemu, czując, jak oczy wypełnia mu migocąca biel.

Zabiję gnojka.

Nie udało mu się jednak skrócić. Wielki jak goryl górski ochroniarz z jego prawej sapnął, potknął się nawet, ale utrzymał kierunek. Wielka łapa prawie strzaskała mu łokieć.

– Spokojnie, proszę pana.

Minęli tamtych w odległości zaledwie kilku metrów. Jolka go nie zauważyła. Z wypiekami na twarzy rozmawiała z jakimś grubasem, Kwaśko zezował jej w dekolt.

Drzwi, powiew zimnego powietrza, płatki śniegu wirujące w mroku.

Zostawiam przeszłość za sobą – pomyślał gorzko.

– Dobrze się pan czuje? – wyzbytym z emocji głosem zatroszczył się jeden z ochroniarzy.

Sił starczyło mu jedynie, żeby pokiwać głową.

– W takim razie czekamy. Parkingowy zaraz przyprowadzi pański samochód.

Konecki nie zdążył jeszcze do końca ochłonać, gdy jakiś facet w liberii niczym z powieści Dickensa przyniósł mu kartkę: „Ośrodek Pomocy Społecznej w Radomiu”.

Pod spodem ulica, numer i kod pocztowy.

Pomoc społeczna? To tam kończą przegrani gliniarze?

Wtedy nadbiegł parkingowy.

– Ni chuja, ta landara nie chce zapalić! – poskarżył się płaczliwym głosem.

Cztery pary oczu zwróciły się ku Bartkowi.

– Wygląda na to, panowie, że będziecie musieli popchnąć moje auto. Chyba że wolicie dać mi kluczyki od maybacha.

Warszawa. Listopad 2016

Zyga Zacharewicz czekał. Jako były glina był w tym naprawdę dobry. Godziny mijały, a on trwał w fotelu, na którym jeszcze wieczorem zasiadał Czesław Łyko. Pan domu leżał teraz u jego stóp. Skrępowany taśmą, pobity. Zachar już dawno temu zerwał mu z głowy tę śmieszoną torebkę z Biedronki, a teraz sycił się widokiem cierpienia i strachu w oczach starego dziennikarza. Lubił to. Co zrobić, każdy człowiek ma jakąś słabość. Chętnie nawet zerwałby silwertejpa zalepiającego usta Łyki i wyciągnął mu z gęby kneblujący ją szalik, żeby posłuchać jego błagań i skamleń. Aż tak bardzo nie mógł jednak ryzykować. Redaktorek mógłby zacząć wzywać pomocy i cały pomysł spaliłby na panewce.

Pomysł. Zacharewicz był z siebie dumny. Cholera, nieźle to wykombinował. Jednym cięciem pozbedzie się dwóch niewygodnych ludzi – Ceglarczyka i Łyki – a na koniec rozwali w pył wiarygodność tego wymykającego mu się spryciarza, Koneckiego.

Spryciarza? Bez przesady! Przecież to właśnie ten durny detektyw przyprowadził Zygę do Łyki. Zapomniał wyłączyć komórkę. Zacharewicz odczekał, aż Konecki opuści mieszkanie, dołożył do tego jeszcze pół godzinki, a potem grzecznie zadzwonił domofonem do Łyki i poinformował, że jest przyjacielem „pana Bartka”, który kazał mu wrócić i o coś jeszcze zapytać.

Łyko bez wahania odryglował przed Zacharem drzwi, a dalej już wszystko poszło jak z płatka. Stary pryk został obezwładniony i porzucony na podłodze swojego pokoju, by skruszał. W tym czasie Zyga przeszukał całe mieszkanie. Czego szukał? Sam nie wiedział. Ale skoro pismaka

odwiedził Konecki, to znaczy, że ten coś wiedział. Pewnie to z nim kontaktowała się Stokrotka. Ta wścibska zdzira strasznie zrobiła się ostatnio ciekawska. Już dawno by sukę zgłuszył, gdyby tak zapamiętała nie chronił jej Jacek Wasilewski. Zresztą, może i słusznie? Śmierć telewizyjnej gwiazdki narobiłaby sporo szumu.

Po godzinie od napadu mieszkanie było już dokładnie przepatrzone. Zacharewicz niczego jednak nie znalazł. Przyszedł więc czas na przesłuchanie. Częściowo oderwał taśmę z twarzy leżącego, ale tak, by w razie kłopotów móc ją szybko przykleić na nowo. I zaczął zadawać pytania. Potem wyszarpnął mu z gardła knebel. Czesław Łyko był tak przerażony, że natychmiast wszystko wyśpiewał. Powiedział nie tylko, o co wypytywała go Stokrocka, ale i to, że poprosiła go, by odnalazł Ceglarczyka. Niesamowite, ale cholernemu pismakowi prawie się to udało! Stary pryk zadzwonił do dyrekcji zakładu karnego w Strzelcach Opolskich i przypomniał, że przed laty zrobił z Ceglarczykiem wywiad. Zełgał, że teraz, po latach i pod koniec jego odsiadki, chce porozmawiać ze skazanym raz jeszcze. Dyrektor był skłonny się zgodzić, ale okazało się, że za kratami Ceglarczyka już nie ma. Skierowano więc dziennikarza do kurator z Opola, Elwiry Michalak. Nieco egzaltowana babka poinformowała Łykę, że Janusz Ceglarczyk, który przez pewien czas był bezdomny i korzystał ze wsparcia miejscowej fundacji pomocowej Przebudzenie, jest w Niemczech. Cwany pismak postanowił to sprawdzić. Zadzwonił do szefowej Przebudzenia, Krystyny Borzymińskiej, która powiedziała, że ledwo sobie przypomina tego bezdomnego, a wszystko, co o nim wie, to to, że ponad rok temu wręczyła mu list z Warszawy, który go wyraźnie poruszył. Szczwany lis, Czesław Łyko, poszedł tym tropem. Szukał niezmordowanie przez wiele dni, aż przez znajomych urzędników ustalił, że nazwisko byłego więźnia widnieje na dokumencie przedstawionym jeszcze w lecie w praskim wydziale komunikacji przy Grochowskiej. Jakiś facio wyrejestrował swój skuter zipp, informując, że

sprzedał go Januszowi Ceglarczykowi.

– Na tym moje poszukiwania się zakończyły – wychrypiął z podłogi Łyko. – Ten Ceglarczyk nie ma w stolicy meldunku. Nie można go namierzyć.

Zacharewicz miał ochotę go uściskać. Natychmiast skojarzył dziwny wypadek z sierpnia na Malczewskiego, kiedy to chwalebłą śmierć poniósł Kiki, ukochany yorck Wasilewskiego. Jacek się wtedy uparł, żeby odnaleźć motocyklistę i dać mu wycisk. Zachar niechętnie się zgodził, ale powiedział swemu przybocznemu, Jędrkowi Owsianko, żeby nie przesadził. Po co z tak błahego powodu ryzykować, że tym pobiciem zacznie interesować się policja?

Teraz, siedząc w wysiedzianym fotelu emerytowanego żurnalisty, zrozumiał, że wtedy głupio zbagatelizował sprawę. Motocyklista nie pojawił się na Malczewskiego przypadkiem! Chciał dokonać zamachu na producenta, tyle że nic mu z tego nie wyszło.

– Kurczę, to pewnie on miesza w tej dawno zastygłej zupie – warknął, z powrotem zaklejając usta leżącego człowieka. – Szuka zemsty, prawdopodobnie skontaktował się też ze Stokrotką.

Zygmunt Zacharewicz wstał, zrobił krok nad skrępowanym pismakiem, podszedł do okna. Myślał, układał sobie to wszystko w głowie. Aż w końcu doszedł do wniosku, że trzeba ten wrzód przeciąć. Raz a dobrze.

Sięgnął po telefon.

– Jędrzek? Pamiętasz jeszcze tego cwela, którego uczyłeś szacunku dla zwierząt? No, tego robola, który zrobił mokrą plamę z parszywego Kiki? Okej. Musisz go dorwać. Na dobre. Módl się, żeby nadal koczował na tej budowie co wtedy. Masz na to czas do rana.

Miał już się rozłączyć, kiedy przypomniał sobie o najważniejszym.

– Aha. I przywieź mi tu, na Duracza, jego dłonie. Potrzebuję na

miejsu odcisków paluchów tego Ceglarczyka.

Radom–Warszawa. Grudzień. Niedziela

Budynek OPS-u sprawiał nawet dość przyjemne wrażenie. Otoczony starymi drzewami, ocieplony i otynkowany w kolorze kawy z mlekiem, przypominał upuszczony na leśne igliwie kawałek tiramisu.

W środku było już gorzej. Koneckiego uderzył zapach środków czyszczących przemieszanych z wonią moczu, niedomytych ciał i starości. W godzinach odwiedzin na korytarzu panował spory ruch. Ktoś wyprowadzał wspartą na balkoniku staruszkę na spacer, ktoś inny szarżował wózkiem, z którego zwisał starszy pan. Był też zupełnie młody chłopak w piankowym kasku, który bez ładu i składu odbijał się od ścian. Przez uchylone drzwi sal widać było tych, którzy już nie wstawali z łóżek. Jedni byli sami, wokół innych siedziały rodziny o uśmiechniętych ustach i spojrzeniach wyrażających chęć natychmiastowej ucieczki.

– Szuka kogoś?

Bartosz Konecki ubrany w swój najlepszy (i jedyny) garnitur długo musiał opuszczać wzrok, żeby dostrzec kobietę, która zadała to pytanie.

Ludzie opisujący swoich bardziej ubogo obdarzonych przez naturę bliźnich nadużywają często stwierdzenia „twarz buldoga”. Do tej pani takie określenie pasowałoby jednak idealnie. Niska, krępa, ubrana w poszarżany kitel. Mop w jej ręku wyglądał równie niepokojąco jak lanca w krzepkiej dłoni ułana.

– Ja do Norberta Pałuchy.

Zmierzyła go szyderczym spojrzeniem.

– Nie pogadacie sobie.

Zaniepokoił się.

– Dlaczego? Śpi? Jest na badaniu?

Salowa odwróciła się i poczłapała w stronę schodów. Miała rozdeptane, popękane pięty w znoszonych chodakach.

– I tak idę na drugie piętro. Zaprowadzę do tego cudaka.

Cudak. Dlaczego cudak?

Weszli w tempie szarżującego ślimaka. Kobieta otworzyła drzwi na końcu korytarza, za brudownikiem.

– Pałucha! – skrzeknęła tak donośnie, że Konecki aż odskoczył. – No i doczekałeś się gościa!

Bartek wszedł do pokoju. Pierwsze łóżko, a na nim żółty na twarzy, przeraźliwie chudy mężczyzna w nieokreślonym wieku. Półotwarte usta, rurka od cewnika, pękająca w zgrzewach torba na mocz.

– To nie ten – prychnęła sprzątaczką. – Ale ten pański niewiele lepszy. O tam, pod oknem.

Obok kaloryfera, twarzą do sali, siedział na wózku inwalidzkim mężczyzna o potępieńczo wykrzywionej twarzy i nieobecny wzrok. Z opadającego kącika ust zwisała mu lśniąca nitka śliny. Był w samych majtkach i pasiastej górze od piżamy. Blandożółtą skórę na patykowato chudych nogach zdawały się przebijać napierające od wewnątrz pizczcele.

– Ożeż... – wyrwało się Koneckiemu.

– A nie mówiłam? – wyraźnie ucieszyła się salowa. – Wylew miał czy coś. Teraz zamiast mózgu została mu tylko melasa. I pan mi powie, na co mu takie życie?

Jej słowa przebudziły Bartka.

– Dziękuję pani – oznajmił lodowatym głosem, popychając równocześnie korpulentne cielsko w kierunku korytarza. – Dalej poradzę sobie już sam.

Następnie wziął ostatni głębszy wdech i zanurzył się w lepką, smrodliwą atmosferę pokoju za brudownikiem.

– Nazywam się Bartosz Konecki. Były policjant, obecnie detektyw. Potrzebuję pańskiej pomocy – szeptał chwilę później w porośnięte długimi włoskami ucho.

Pałucha nie zareagował. Siedział bez ruchu, przechylony w lewą stronę, a w jego oczach widać było tylko mętne wiry rzeki bez początku i końca.

Bartek zdjął marynarkę i okrył nią chude ramiona. Następnie sięgnął po leżący na żeliwnym łóżku koc i okrył kościste nogi.

– Nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy przespacerowali się po korytarzu?

Wciąż żadnej reakcji. Może tylko połyskująca w grudniowym słońcu ślina opadła niżej, muskając oparcie wózka.

Konecki wyturlał go z sali.

– O, następny Samarytanin! – obruszyła się salowa, która nie odeszła daleko. – Nie szkoda na toto wysiłku? Przecie to już warzywo, nie człowiek!

Zatrzymał wózek, zablokował koło.

– Przepraszam, jak pani na imię?

Popatrzyła na niego nieufnie, a po chwili odpowiedziała z wahaniem:

– Gabriela, a co?

– Pani Gabrielo. – Konecki starał się mówić spokojnie. – Pan Pałucha to nie tylko schorowany człowiek. To także świetny policjant. I mój kolega. Nalegam, żeby okazywała mu pani więcej estymy.

– Że co? Jak? Powiedz pan po ludzku.

Bartek głęboko zaczerpnął powietrza.

– Po ludzku to będzie tak: odpierdol się od niego, babo!

Poczerwieniała, mocniej ścisnęła mopa i wycedziła:

– Idę po dyrektora!

I poszła. Nareszcie.

– Miał pan rację! – powiedział Bartek, kiedy zatrzymali się na klatce schodowej obok nieczynnej windy, gdzie dało się już jako tako oddychać. – To Wasilewski odpowiada za śmierć Krysi Talko. A Zacharewicz go kryje.

Były aspirant patrzył w dal niezmiennie nieprzytomnym wzrokiem. Bartek nie mógł już dłużej znieść widoku śliny spływającej mu z popękanych ust. Przeszukał wszystkie kieszenie. Nie znalazł chusteczki. Zrezygnowany, odwiązał krawat i wytarł nim twarz chorego.

– Odkopałem akta pańskiego śledztwa, bo coś się zdarzyło – niestrudzenie mówił dalej do nieobecnych oczu. – Zginęła kolejna młoda dziewczyna. W podobny sposób.

Może mu się zdawało, ale odniósł wrażenie, że Pałucha próbuje skierować na niego źrenice. We mgle spowijającej jego spojrzenie coś jakby się poruszyło.

– Tym razem nie jest to jednak sprawka Wasilewskiego. Ani Zacharewicza, bo pan także się pewnie domyślił, że to on jest tym gościem, który wtedy uciekł z rzeźni.

Na moment przerwał, wpatrując się w wychudłą, niedokładnie ogoloną twarz. Tak, coś się w niej budziło. Coś walczyło, by wydostać się na powierzchnię.

– Norbercie! – Leciutko potrząsnął kruchym ciałem. – Potrzebuję twojej pomocy. Wiem, że jest ci ciężko, ale spróbuj. Kto twoim zdaniem – zawiesił głos – mógłby chcieć po dwudziestu pięciu latach naśladować tanto morderstwo?

Wykrzywione usta się poruszyły. Wyrosła na nich bańka powietrza i pękła. Grdyka się poruszyła.

– On... On-teszme-łytał.

Bartek niewiele z tego zrozumiał. On? Jaki on? I co to znaczy „teszmelytał”? Nerwowo wyłamał palce. Aż chrupnęło.

– On. Łytał. O siectwo.

Bełkot. Niczego się od niego nie dowiem.

Mimo to spróbował to jakoś odszyfrować. „On, to on. Ale „teszmęytał”? Raptem przejaśniło mu się w głowie.

– On też cię pytał? O śledztwo?

Pałucha wykonał ruch mogący oznaczać potwierdzenie.

– Jaki on? Kiedy?

– Edawno.

– Niedawno?

Skinięcie.

– Był tu ktoś i wypytywał cię o śledztwo w sprawie zabójstwa Krystyny Talko?

Przytaknięcie. Bartkowi zrobiło się gorąco. Czuł, że złapał właściwy trop. Ktoś poza nim interesował się tamtą historią. I z pewnością nie był to nikt z policji.

– Szedł tu od ceelczyka.

Nie od razu zrozumiał. Kiedy jednak sens wyplutych wraz z kropelkami śliny słów do niego dotarł, aż przykucnął przy wózku.

– Ten ktoś przyszedł do ciebie od Ceglarczyka?

Potwierdzenie.

– Był u niego w więzieniu?

Dwa skinięcia.

– Siedział z nim w jednej celi?

Wzrok Pałuchy ponownie się zmacił.

– Ajajuja.

Cholera, nawet w przybliżeniu nie brzmiało to jak czyjeś nazwisko.

– On aj! On, on! – donośnie zaszczekał Pałucha. Potem głowa zwisła, a z ust znowu pociekła ślina. Rozmowa była skończona.

– Mogę wiedzieć, kim pan jest?

Konecki był tak napięty, że na dźwięk tych słów aż skoczył na równe nogi. Za nim stało dwóch mężczyzn w kitlach. Starszy miał wąsy staroświecko zaczesane czubkami ku górze. A także zimne i władcze spojrzenie. Wyglądał jak kapral cesarsko-królewskiej armii z czasów Franciszka Józefa. Drugi był młodszy, muskularny, miał blisko osadzone oczy. Obaj patrzyli na Koneckiego z niechęcią.

– A wy?

Starszy aż zamrugał, porażony tą impertynencją.

– Drogi panie, ja jestem dyrektorem tej placówki. Magister Stanisław Ciszewski.

– Bartosz Konecki. Prywatny detektyw.

– U nas nie ma nic do szpiegowania – wycedził młodszy. – To państwowa placówka.

– Widzę – odparł Bartek, wdychając woń choroby, starości i biedy. – Ale spokojnie. Jestem tu towarzysko. Odwiedzam kolegę.

– Salowa skarżyła się, że ją pan obraził.

– Musiała mnie źle zrozumieć.

– Będzie lepiej, jak już pan pójdzie – znowu odezwał się młodszy.

Dopiero teraz Bartek zauważył przypiętą do jego fartucha plaketkę. „Cezary Zgrycz. Ratownik medyczny. Pielęgniarz”.

– Chyba ma pan kłopoty ze zgryzem – odparował. – Jakoś niewyraźnie pana słychać.

Pielęgniarz zrobił ku niemu dwa kroki.

– To nieładnie wyśmiewać się z czyjegoś nazwiska – wycedził, świdrując go oczami.

Konecki go zignorował.

– Dyrektorze, czy prowadzicie ewidencję odwiedzin?

Magister Ciszewski uniósł w zdumieniu brwi.

– Nie, a po co?

– To nie więzienie – dorzucił Zgrycz.

Stał tak blisko, że Bartek czuł na sobie jego oddech. Cuchnęło mu z ust papierosami, ale zamiast obrzydzenia Konecki poczuł jedynie nikotynowy głód.

– A teraz żegnam. Wizyta skończona – spuentował pielęgniarz.

– Wpadnę jeszcze kiedyś do ciebie pogadać – rzucił Bartek do Norberta Pałuchy.

Wziął marynarkę i zbiegł po schodach. Cezary Zgrycz towarzyszył mu aż do parteru. Przeciskający się przez coraz bardziej zatłoczony hol Bartek omal nie przewrócił jakiegoś księdza. Niskiego i bardzo szczupłego, wręcz drobnego facecika w koloratce. Ksiądz był malutki, ale dumnie wyprostowany.

– O, nasz księżulo – rzucił na jego widok Cezary Zgrycz.

Bartkowi trudno było ocenić, czy w jego głosie zabrzmiało szyderstwo czy ostentacyjna poufałość.

– Dzień dobry, panie Czarku, właśnie pana szukałem.

– W jakim celu, jeżeli można?

– Idę jeszcze do pana Pałuchy. W jakiej jest dzisiaj formie? Trochę się spieszę, muszę zdążyć na pekaes do Warszawy.

Pielęgniarz posłał Bartkowi niechętnie spojrzenie. W odpowiedzi Konecki promiennie się uśmiechnął i skierował do wyjścia.

Na dworze padał śnieg z deszczem. Oblepiał drzewa, przewody elektryczne i oczy nielicznych przechodniów. Bartek podszedł do zaparkowanego przodem do budynku golfu, dłonią zawiniętą w krawat przetaił przednią szybę. Wsiadł, ale nie zapalił silnika. Czekał.

Nie można zmarnować takiej okazji.

Ksiądz pokazał się w drzwiach niecałe pół godziny później. Rozłożył parasolkę, komicznym gestem uniósł sutannę i usiłował nie przemoczyć

półbutów w zalegającej na chodniku pośniegowej brei.

– Przepraszam księdza.

Drobny, ważący najwyżej sześćdziesiąt kilo człowieczek poderwał głowę. Nie przestraszył się jednak piętrzącego się nad nim mężczyzny o wciąż jeszcze podsiniaczonych oczach. Jego spojrzenie wyrażało tylko zaskoczenie.

– Pan wybaczy, trochę się śpieszę.

– Przypadkiem podsłuchałem, że jedzie pan, znaczy ksiądz, do Warszawy. Mogę podrzucić.

Chwila wahania.

– Naprawdę? – zapytał bez przekonania facecik.

Konecki się domyślił, że mimo wszystko klecha trochę się go boi. Jakoś nie wzbudzał u ludzi zaufania. Zwłaszcza ostatnio.

– Proszę się nie obawiać. Jestem prywatnym detektywem.

Już dziesięć minut później księżulo zdawał się żałować, że nie wybrał autobusu. Póki jechali przez Radom, było jeszcze jako tako. Gdy jednak wyjechali na szeroką dwupasmówkę i Bartek wydusił ze swego rumaka setkę, duchowny zaparł się nogami i kurczowo uchwycił rączki nad drzwiami. Droga była biała, łyse opony golfa tańczyły na niej charlestona, zmurszałe wycieraczki pozostawiały smugi, przez które widać było tylko ogólny zarys drogi.

Bartek zwolnił, podkręcił ogrzewanie i zerknął na hipnotyzującego szosę księdza.

– Zabawne – powiedział. – Ale ja też odwiedzałem dzisiaj Norberta Pałuchę.

– Tak, tak. To przykre, co z nim zrobił ten udar – machinalnie odpowiedział facet w sutannie.

Bartek zwolnił jeszcze bardziej. Sześćdziesiątka. Dopiero teraz ciało duchownego nieco się odprężyło. Chuda, kobieca dłoń nadal jednak

trzymała „cykor łapkę”.

– Jest byłym policjantem.

– Tak, wiem o tym.

– Naprawdę? Skąd?

Dopiero teraz ksiądz odważył się oderwać spojrzenie od białej drogi. Zaraz jednak wyprzedziła ich ciężarówka i wielka jak tsunami fala burego błocka spadła im na szybę. Ksiądz podskoczył i z niepokojem zaczął śledzić ślamazarne poczynania wycieraczek.

– Jestem kapelanem w tym ośrodku – padła odpowiedź. – I traktuję moją posługę poważnie.

Ważniak. Jak nic zostanie kiedyś biskupem – pomyślał Bartek, ale miał dość rozsądku, by nie powiedzieć tego na głos. Księżuło tymczasem kontynuował:

– Staram się poznać wszystkich swoich podopiecznych.

– Pałucha nie jest zbyt rozmowny.

– Przez długi czas tak uważano – ożywił się duchowny. – Trafił do OPS-u w 2013 roku, prosto ze szpitala. Personel uważał go, z przeproszeniem, za warzywo...

– Chyba wiele się od tamtej pory w ich podejściu nie zmieniło! – Bartek przypomniał sobie salową.

– Spotkał się pan z Gabrysią? – Ksiądz po raz pierwszy lekko się uśmiechnął. – Ona jest niereformowalna.

– Trafna diagnoza.

– Ale ja w niego wierzyłem. – Bładą i gładką, choć ascetycznie chudą twarz duchownego zabarwił lekki rumieniec. – Przebijałem się do niego tak długo, aż w końcu mi odpowiedział.

Po raz pierwszy, odkąd wyruszyli w drogę, Bartek spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Rozmawiacie ze sobą?

– Na swój sposób. Norberta niełatwo zrozumieć. Sam pan pewnie widział. A i to tylko wtedy, kiedy ma lepszy dzień. Wydaje mi się jednak, że łączy nas pewna zażyłość. – Rumieniec zyskał na kolorystycznej głębi.

– Pan Norbert podyktował mi nawet w ubiegłym roku treść kartki świątecznej do pewnej bliskiej mu osoby.

– Czy w ostatnim czasie... – Konecki ostrożnie dobierał słowa. – Czy ktoś Pałuchę odwiedzał?

Ksiądz spojrział na niego uważniej. Puścił nawet „cykor łapkę”.

– Osobiście nikogo takiego nie spotkałem. Dojeżdżam tutaj z Warszawy. Raz, dwa razy w miesiącu. Ale...

No, wyduś to w końcu z siebie.

– Faktycznie wspominał mi o kimś takim. Przyznam, że brałem to nawet za swoisty mechanizm obronny. Przed samotnością i obojętnością personelu. Podejrzewałem, że sobie wymyślił przyjaciela...

– Ale już ksiądz tak nie myśli.

– Sam nie wiem. Bo Norbert jednak, rzeczywiście, kilkakrotnie do tego wracał. Może więc jest coś na rzeczy?

– Podał jakieś nazwisko?

– Nawet jeśli, to ja go nie rozumiałem.

– A nie wspominał o Ceglarczyku?

– Ceglarczyk... Tak, mogło paść to nazwisko.

– Ten Ceglarczyk odwiedzał go osobiście czy raczej był to ktoś przez niego polecony?

– Rany, naprawdę nie wiem. Ale wydaje mi się, że prędzej to drugie. A właściwie dlaczego to pana tak interesuje?

Konecki chwilę się zastanawiał, czy i w jakim stopniu może wtajemniczyć księdza, w końcu jednak uznał, że nie ma już nic do stracenia. Człowiek, na którego wiedzę o dawnym śledztwie tak liczył, okazał się niekontaktowym wrakiem. Ale może ten facecik w koloratce

cokolwiek z niego wyciągnął?

Niestety, rozczarował się. Choć wyglądało na to, że duchowny naprawdę się stara. Kiedy usłyszał historię śledztwa w sprawie brutalnego zabójstwa Krystyny Talko (oczywiście Bartek nie wspomniał o tym, jak się ono zakończyło dla aspiranta), zbladł, poczerwieniał, aż w końcu zawrzał świętym oburzeniem. Co z tego. Nie był w stanie przypomnieć sobie niczego z bełkotu Pałuchy, co naprowadziłoby Koneckiego na jakikolwiek ślad jego tajemniczego gościa.

– Co to za człowiek z tego mordercy? Jak mógł zrobić dziewczynce coś tak strasznego? I jak mógł patrzeć na jej cierpienie?

Konecki uśmiechnął się szyderczo. Nie przepadał za księżmi. W najlepszym wypadku uważał, że są bufonami oderwanymi od realnego życia.

– Ja bym zapytał inaczej! – Nie dał rady ugryźć się w język. – Co to za Bóg, który może patrzeć na takie cierpienie?

Bardzo tego nie chciał, ale myśli same pomknęły do córeczki. I byłej żony. A potem do Jolki. Nagle się poczuł równie samotny jak Pałucha. Szybko zamrugał powiekami.

– Masz w oczach łzy, synu.

– Nie nazywaj mnie synem, bo dalej pójdziesz piechotą.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

Nie ma sensu się wściekać na tego chuderlaka. Wszystko, co może przeciwstawić złu, to ta śmieszna koloratka. A ja? Nie mam już nic. Nawet policyjnej odznaki.

– Jestem Bartek.

– A ja ojciec Tomasz.

– Nie prowokuj mnie.

– Okej. Dla ciebie po prostu Tomek.

Konecki prowadził dalej, kontrując wierzgnięcia tyłu samochodu.

Patrzył przed siebie, ale czuł, że tamten mu się przygląda.

– Co?!

– Nic. Pytałeś o sens cierpienia.

– I co? Jest jakiś?

– Nie wiem.

– I tego was uczą przez sześć lat w seminarium?

– Ale wierzę, że cierpienie oczyszcza. I że przez nie wiedzie droga do zbawienia.

– W życiu nie słyszałem podobnych bzdur.

Zdziwił się, kiedy usłyszał śmiech księdza. Tomek chichotał w nieskrępowany, młodzieńczy sposób, choć na jego oko dobijał czterdziestki.

– Wiesz, dlaczego przyjąłem imię Tomasz? – zapytał.

– Z powodu podobieństwa do Tomcia Palucha?

– Z powodu niewiernego Tomasza. Tego, który nie uwierzył, póki nie dotknął. Widzę, że jesteśmy tacy sami.

– Gówno prawda! – Konecki także się uśmiechnął. – Z przeproszeniem, ojczulku.

Dopiero przed Warszawą Bartek włączył komórkę. Wciąż miał wyrzuty sumienia z powodu Łyki i nie chciał, żeby podobny los spotkał Pałuchę. Potem utknęli w korku spowodowanym tumanem śniegu, który najwyraźniej przyszedł do stolicy za nimi. Sypało tak, że Konecki uparł się, że odwiezie księdza na jego plebanię.

– Nie mieszkam na plebanii. – Tomek wyraźnie się zmieszał. – Mam zakaz odprawiania mszy, spowiadania i wypowiedzania się publicznie. Podpadłem biskupowi.

Bartek od razu poczuł przypływ sympatii.

Renegat. Jak ja.

– Czym podpadłeś? Jesteś gejem?

– Kościół to instytucja o silnej hierarchii. Jest źle widziane, gdy ktoś się z niej wyłamuje.

– To może nałogowym hazardzistą?

– Ciągnie mnie do tak zwanych społecznych nizin. Narkomani, prostytutki, początkujący przestępcy. A także, owszem, geje. Wszyscy wyklęci. Uważam, że to do nich należy przede wszystkim wyciągnąć rękę. Niezbyt się to podoba moim zwierzchnikom...

Spółeczne niziny. Cóż za wyszukane słownictwo. A jednak facet jest bufonem.

– Więc dokąd cię podrzucić? Hotel Polonia? Bristol?

– Na Bliską.

Kojarzył tę małą uliczkę na tyłach Dworca Wschodniego. Pamiętał, że kiedy zaczynał pracę w policji, w Wydziale Prewencji, piesze patrole w tamtym rejonie nie cieszyły się powodzeniem.

– Mieszkasz w którymś z bloków?

– Nie, wynajmuję pokój w kamienicy. Pod numerem 21.

Gdy dojeżdżali na miejsce, śnieg przestał padać, a na niebie zaświeciło słońce. Biel znikła w oczach.

Nie rozmawiali o niczym ważnym. Jakieś tam żarty na temat podobieństwa między policyjnym nadinspektorem i kościelnym biskupem. Pilotowany przez księdza, Bartek skręcił z Bliskiej obok ogrodzonego parkingu i zajechał pod dość zaniedbaną, ceglana kamienicę od strony podwórka.

– Wstąpisz na kawę?

– Dzięki, ale mieszkam niedaleko.

Ledwo to powiedział, a już stanął mu przed oczami smętny obraz jego biura. Nie bardzo miał ochotę tam od razu wracać. Otworzył drzwi po

swojej stronie i wysiadł, wołając do idącego już w stronę bramy Tomka:

– A wiesz, w sumie to chętnie się napiję.

Dał się zaskoczyć. Już po raz drugi, cholera. Kiedy się wpraszał na kawę, zza rogu domu wyskoczyło czarne audi i zaraz gwałtownie zahamowało obok niego. Odruchowo sięgnął do kabury, ale nawet nie zdążył chwycić broni. Jeszcze zanim audi się zatrzymało, szyba w jego drzwiach się otworzyła i ukazała rękę z taserem – paralizatorem wystrzeliwującym elektrody na odległość. Bartek poczuł, że ciało przeszywa mu dobrze już znane uderzenie prądu, po którym nadeszło odrętwienie mięśni. Osunął się na maskę własnego wozu, a po niej dalej, aż na błotnistą ziemię.

Z czarnego audi wysiadł Jędrrek. Miał usztywniony nos, kilkanaście szwów na wardze i nieprzyjemnie podbite oczy.

– Zachar zaprasza cię na rozmowę. Ale nie spodziewaj się herbatki i ciasteczek.

Kiedy to mówił, zza kierownicy wysunęła się druga postać. Sprężyste ruchy, szczupła budowa... Bartek przypomniał sobie dwóch mężczyzn w kapturach, którzy odwiedzili go w biurze.

Wygląda na to, że zawsze działają w tandemie.

– Nie obraż się, ale pojedziesz w bagażniku – zaśmiał się tamten, otwierając tylną klapę.

Na brodzie miał cienką kozią bródkę i kolczyk w brwi nad prawym okiem.

– Strasznie jesteś ubłocony – dodał tonem wyjaśnienia.

Bartek spróbował sięgnąć po sig sauera. Próżny trud. Nie mógł się ruszyć.

Podeszli do niego we dwóch. Jędrrek wyjął Bartkowi z kabury pistolet i włożył go sobie z tyłu za pasek spodni, a następnie chwycili go równocześnie za ręce i nogi.

– Idziesz przodem, Koza! – zwrócił się do kompana Jędrak Owsianko.

I wtedy stało się coś dziwnego. Pomiędzy nich wbiegł ksiądz z parasolką. I zaczął okładać nią obu napastników.

– Nie pozwalam! – krzyczał spanikowanym głosem. – Zostawcie go! Na pomoc!

Jędrak uderzył Tomka na odlew, z otwartej. Wystarczyło, żeby księżulo osunął się na ziemię. A właściwie nie na ziemię, ale na Koneckiego.

– Ludzie! Na pomoc!

– Zdejmij go z niego! – warknął do kumpla kaskader.

Nie było to jednak łatwe. Duchowny uczeplił się dłońmi zderzaka golfa i wciąż przykrywał swoim ciałem Bartka.

Szarpnęli go, przyłożyli kułakiem w kark. Nie pomogło. Drobnny facecik w sutannie miał nadspodziewanie mocny uścisk.

– Na pomoc! Biją księdza!

Konecki nie mógł poruszyć nawet głową, ale usłyszał skrzypnięcia otwieranych okien i dobiegające z nich głosy.

Jędrak i jego kompan zwany Kożą sprawiali wrażenie zdenerwowanych. Kaskader przygniótł obcasem jedną z dłoni ściskających zderzak. Kopnięcie było mocne, palce puściły. Ale pozostała jeszcze druga ręka.

– Na pomooc!

Drugie kopnięcie. Chybione.

– Jędrak, szybciej! – Ten z kosią bródką zaczynał panikować.

Bartek spróbował się podnieść, ale mięśnie wciąż były sztywne jak łyko.

Trzecie kopnięcie i ksiądz odczepił się od zderzaka. Nie zważając na ból stłuczonych kłykci, które musiały go przecież solidnie boleć, rzucił się na Jędrka. Tamten się lekko zachwiał, ale zaraz odrzucił Tomka, jakby był

kociakiem. Koza już ciągnął Bartka za nogi w stronę bagażnika audi.

W tym momencie na dachu audi rozprysnęła się doniczka.

– Zostawcie ojca Tomasza, łobuzy! – Gdzieś z góry zagrzmiął kobiecy głos.

– Uważaj! – krzyknął Koza do swego kompana.

Jędrak uchylił się w ostatniej chwili i uderzenie bejsbola zadane przez krępego mężczyznę, który wyskoczył z bramy, musnęło tylko jego plecy, wytrącając zza paska spodni pistolet.

W pierwszej chwili kaskader przyjął gardę, szykując się do walki, ale z kamienicy już wysypywali się następni mężczyźni. Kolejna doniczka gruchnęła w ziemię obok nich. W powietrzu świsnęła metalowa kulka z łożyska, wystrzelona z dziecięcej procy. Tłumek na podwórku gęstniał. Bejsbol, gazrurka, noga od krzesła, młotek. Gdzie jak gdzie, ale na Pradze ludzie potrafią się szybko zorganizować.

– Spadamy! – zarządził Jędrak, pocierając nerwowo nos i poruszając głową: lewo, prawo, chrup w karku.

Kiedy odjeżdżali, Koneckiemu udało się podczołgać do sig sauera. Usiłował wycelować pomiędzy czerwone światła stopu, ale palce miał jak z waty i lufa opadła w błoto.

Warszawa. Październik 2016

Mężczyzna siedział bez ruchu, trzymając w dłoni list. Bez trudu rozpoznawał bazgroły Janusza Ceglarczyka. W pierwszej chwili nawet się ucieszył. Były więzień wyraźnie zerwał mu się ze smyczy. Od tamtego lipcowego dnia, kiedy uzgodnili szczegóły zamachu na Wasilewskiego, Ceglarczyk już się u niego nie pokazał. Stchórzył? Być może. Teraz nie miało to już znaczenia.

Jeszcze raz przebiegł wzrokiem rozedrgane kulfony. Układały się w słowa, a te z kolei w komunikat. Porażający w swojej wymowie. Zawierający informację, która zmieniała wszystko. Tak, zabójstwo Wasilewskiego i Zacharewicza, którego miał dokonać zaślepiiony chęcią zemsty Janusz Ceglarczyk, byłoby ślepą uliczką. Nie o to w tym wszystkim chodziło. Zawarta w liście informacja to wyraźny znak, że trzeba podjąć inne działania. Radykalne, zdecydowane. Brutalniejsze nawet niż usunięcie producenta filmowego i lichwiarza. Czuł od dawna, że musi to zrobić. Miał plan, który stale odkładał. Teraz nadeszła właściwa chwila.

Warszawa. Grudzień. Poniedziałek

W nocy śniła mu się Kruszyńska. Siedziała naprzeciw niego, na podłodze. Nóżki w dziecięcych rajstopkach w czerwone kropki miała skrzyżowane po turecku. Patrzyła na niego w milczeniu. Jej buzia była smutna i zamyślona. Z jakiegoś powodu nie mógł ruszyć się z krzesła, żeby do niej podejść. A bardzo tego pragnął. Dobrze wiedział w tym śnie, że córka przecież odeszła, że nie widział jej od ponad roku. Tęsknił. Mozolnie przywalał tę otchłań tęsknoty głazami codzienności. Ciskał w nią wszystko, co tylko wpadło mu w ręce, ale czeluść po prostu to połykała. Czasami jakiś kamulec zablokował się na chwilę w bezdennej szczelinie i dało się na niego rzucić słomę ulotnego szczęścia, piasek upływu czasu, zeschnięte kwiaty drobnych radości. Wtedy wydawało mu się, że się pogodził z jej śmiercią. A jeśli nie pogodził – bo przecież ciągle odliczał dni pozostałe do końca wyroku tych, którzy mu ją odebrali – to przynajmniej nauczył się z tym żyć. Prędzej czy później jednak misternie zbudowana nad czarną studnią konstrukcja zaczynała się chwiać i osypywać, po czym waliła się w dół. Zostawał sam na sam z otchłanią.

Obudził go ból w karku. Otworzył oczy i rozejrzał się wokół. Leżał na nadmuchiwany materacu. Wziął podwójny, ale i tak nie mieścił się na nim na długość. Zawsze coś zwisało. Jak nie nogi, to głowa.

To tak jak z tym moim śledztwem – pomyślał smętnie.

Żadna z hipotez, które brał pod uwagę, nie chciała się zmieścić na wąskim polu znanych mu faktów.

Rozpiął śpiwór. Wstał i jęknął z bólu, próbując wyprostować kręgosłup. A może to nie kręgosłup? Może to nerki? Po tym, jak Jędrak

z kolegą byli uprzejmi wziąć go pod fleki, przez dwa dni sikał na czerwono. Powlókł się do małej lodówki, która w jego biurze miała chłodzić tylko napoje. Teraz jej funkcja została poszerzona. Otworzył. Ups, znów wczoraj nie zrobił zakupów. Pustka, jeśli nie liczyć otwartego, obrastającego pleśnią jogurtu.

Tyle że niby jak miał pójść po zakupy, skoro cały wczorajszy wieczór spędził z Tomkiem na ostrym dyżurze Szpitala Praskiego? Księżulowi mocno spuchła prawa dłoń i trzeba ją było prześwietlić. Na szczęście to tylko stłuczenie i pęknięcie torebki stawowej. Wrócili na Bliską bez gipsu.

No to łazienka. Przeszedł przez pokój, starannie omijając wzrokiem biurko, z którego wciąż nie miał odwagi wywalić alpraksu. Małe lustro pokazało zarośniętą gębę oprycha. Siniaki pod oczami były teraz zielonkawoczarne, z żółtawymi obwódkami. Spoko, jeszcze parę dni i nic nie będzie widać. Zaczął się golić.

Tomek. Wspólne siedzenie przez parę godzin w zatłoczonej poczekalni pełnej wszelkiej maści połamaneńców sprzyja szczerzej rozmowie. Duchowny opowiedział mu o tym, jak niesie dobrą nowinę ludziom wyrzuconym poza nawias społeczeństwa.

– Wam, sytym i bezpiecznym, wydaje się, że to degeneraci – prawil. – A oni mają dużo głębsze od was życie duchowe.

– Ja akurat nie czuję się ostatnio zbyt bezpiecznie – wtrącił Bartek, lecz kapłan jedynie zgromił go wzrokiem. I kontynuował w ewangelicznym stylu:

– Im niżej upadniesz, tym więcej myślisz o tym, co kryje się za zasłoną rzeczywistości. Czy jest za nią mrok, światło, a może tylko kolejny mur?

– I co im mówisz?

– Staram się dawać im nadzieję.

– Tak, pamiętam. Jeśli odpowiednio dostaniesz w tyłek od życia, zbawienie masz w kieszeni.

Ledwo to powiedział, gdy nagle go olśniło. Ludzie ulicy... Ćpuny, dilerzy i dziwki... Od takich, o ile zechcą gadać, można się wiele dowiedzieć. Poprosił więc Tomka, żeby popytał swoich podopiecznych o Wasilewskiego i Zacharewicza.

Księżulo nie wydawał się zachwycony tym pomysłem.

– Oni mi ufają. Wiedzą, że to, o czym rozmawiamy, zostanie między nami.

– Ci dwaj panowie prowadzą kryminalną działalność polegającą na wykorzystywaniu nieletnich. Zapewne seksualnym, na ile zdążyłem poznać tych sukinsynów.

– Po śmierci będą osądzeni.

– Nie pitol, ojczulku. Trzeba powstrzymać ich teraz.

– Na tamtym świecie odbiorą surowszą karę niż ta, którą ferują ziemskie sądy.

– Jeśli tak lubisz stać z boku... – Konecki złapał go za ramię. – To czemu mi dzisiaj pomogłeś?

Książd Tomasz aż zamrugął.

– Wiesz... może to ktoś wyższy ode mnie mną pokierował... – odpowiedział niepewnie.

– To mu się teraz nie wyrywaj. Rozpuść wici, nadstaw uszu. Chcę wiedzieć, jaki proceder prowadzi teraz tych dwóch wesołków.

Bartek umył się w umywalce, osiągając szczyty ekwilibrystyki, żeby wyszorować w niej także stopy. Wytarł się i spryskał dezodorantem. Zaletą małego lustra było, że nie widział swojego opasłego brzucha. Ani tych idiotycznych wałków po bokach. Gdy skończył, poszedł obejrzeć garnitur. Krótko to trwało. Od razu spakował kompletnie zabłocone szmaty, by zanieść je do najbliższej pralni. W tej sytuacji ubrał się w dres. Wyjrzał

przez okno. Nad Grochowską wirował śnieg. A kurtki wciąż nie miał.

Już chciał wychodzić, kiedy jego komórka zagrzmiała motywem z *Gwiezdnych wojen*. Kurczę, trzeba to wreszcie przestawić.

Mama. Już wolałby Zacharewicza. Zostało jednak tylko kilka dni do Wigilii, musiał odebrać.

– Chciałam się tylko upewnić, że będziecie u mnie na wieczery.

Wieczera. Zabrzmiało to jak groźba karalna.

– Z Marysią, mamą twojej Joli, już rozmawiałam. Obiecała, że przyjedzie metrem. Wiesz, mieszka przy placu Konstytucji, do Wawrzyszewa to prosta trasa, a dalej tylko parę chwil spacerkiem. Mam jednak nadzieję, że ją odwiezicie? Bo jak nie, będę musiała poprosić Krysię...

Zawiesiła głos, co dało mu czas na zaczerpnięcie oddechu. Rany, ale się porobiło.

„Twoja Jola”.

Nie miał sumienia (a może odwagi?), żeby teraz powiedzieć jej o ich rozstaniu. Poza tym matka suszyłaby mu głowę przez dwie godziny, nie miał tyle czasu. Uwielbiała Jolkę. W chwili szczerości, której pewnie do dziś żałowała, powiedziała nawet, że woli ją sto razy bardziej niż Gosię, jego byłą żonę. Żonę i matkę Kruszyński...

Już widział w wyobraźni tę uroczą wieczery. On sam w krzyżowym ogniu spojrzeń mamusi i ciotki Krysi – dwóch wiecznych, nieprzejednanych antagonistek, które żyć bez siebie nie mogły. A gdyby jeszcze naprawdę dotarła pani Maria Bończak... Ona też natychmiast zaprzyjaźniła się z jego mamą. Obie samotnie wychowały swoje latorośle. Obie uważały dorosłe już dzieci za swój największy życiowy sukces. Tyle że pani Maria miała ich dwoje. Starszy brat Jolki w dzieciństwie bardzo chorował, a Bończakowa złożyła ślubowanie w intencji jego wyzdrowienia. Jeśli wyzdrowieje, to ona do końca życia w każdy piątek

całkowicie powstrzyma się od jedzenia, a pić będzie jedynie odrobinę wody. Od tamtej pory minęło czterdzieści lat, synuś wyemigrował do Ameryki i kompletnie się wypiął na matkę, nawet już do niej nie pisał. Ona jednak umartwiała się nadal, co tydzień. Tak, pasowały do siebie z jego mamą...

– Co mówisz? – zapytał, uświadamiając sobie, że odpłynął i przestał jej słuchać.

– Mówię, że widziałam was oboje w telewizji.

– Jakim cudem?

– Na jakimś bardzo eleganckim przyjęciu.

Ale jaja. Bal u Barbary Szreder. Ekipa telewizyjna szykująca sprzęt.

– Ty szedłeś pod ramię z jakimiś panami, a Joleńka, kawałek dalej, stała z tym moim ulubionym prezenterem. Nie podobało mi się jedynie, że on ją tak obcesowo obejmował ramieniem. Wiesz, synku, powinieneś bardziej zabiegać o damę swojego serca. Nie chcę ci prawić kazań, ale kobieta oczekuje od swego partnera, żeby...

Znów przestał słuchać. Nagle poczuł, że koniecznie musi zapalić. Nie chciał dymić na czczo, więc musiał wyjść. Żeby wyjść, musiał z kolei uwolnić się od rodzicielki. Uf, życie jest strasznie skomplikowane.

– Dobrze, będę na tej wigilii.

– Chciałeś powiedzieć: „będziemy”? – W głos mamy wkradła się nuta podejrzliwości.

– Tak, tak. Do widzenia.

W dół po schodach. Biegiem na drugą stronę ulicy. Chodnikiem, w śnieżnej brei. Kebab Wiatrak obok wietnamskiego baru Hao Hao. Zabawne, ale w tej kebabiarni pracował teraz Asłambek Janajew, którego na początku roku Bartek podejrzewał o dokonanie okrutnego mordu. Ten świat jest popapwany.

Bartek siedział przy stoliku, pochłaniając mięso z sosem i warzywami

w chlebie pita, kiedy do lokalu wtargnęła Cyganka. Pulchna, barwna w tych swoich chustach, sukniach i serdakach, około sześćdziesiątki.

– Powróżyc.

Niezbyt grzecznie machnął ręką. Znał te numery. Zaraz kobieta powie, żeby pokazał jej banknot, najlepiej stużłotowy, bo tylko z niego da się wyczytać przyszłość. A potem odda mu inny, o dużo mniejszym nominale. I zniknie w zamieci.

– Lepiej niech mi pani nie wróży. Moja przyszłość może się okazać zbyt drastyczna.

Uważnie mu się przyjrzała. Tak, zaraz poprosi o banknot. Śmieszne, że ludzie ciągle się łapią na ten stary przekręt.

– Widzę u ciebie złamane serce – zakrakała. – Zdrada boli tym mocniej, gdy cios prosto w pierś niespodziewanie wymierzy bliska osoba.

Przypomniał sobie o Jolce. Kebab nagle wydał mu się gorzki i niesmaczny. Musiał zapalić.

– Pani już sobie pójdzie – powiedział, wręczając jej dwadzieścia złotych. – Taką wróżbę sam mogłem sobie postawić.

Dwie dychy w śnieżny poranek to fortuna w tej okolicy. Ciemne oczy zalsniły.

– Jakbyś chciał usłyszeć więcej, szukaj mnie na Wschodnim. Jestem tam co dzień.

Pół godziny później, najedzony i uzbrojony w paczkę chesterfieldów oraz opakowanie miętowej gumy do żucia, odniósł garnitur do prania. Śnieg już nie padał. Teraz lało. Bluza dresowa lepiała mu się do pleców. Pal ichto plecy, gorzej że mókł też wsunięty za gumkę spodni sig sauer.

Na przekór przyrodzie, która uparła się, żeby go rozproszyć, Konecki myślał. Z jakim efektem, to już inna sprawa. Widział to tak. Ktoś zabił Martę Sobień w sposób przywołujący zbrodnię sprzed lat. Ten niecny czyn, z niewiadomych powodów, uruchomił lawinę zdarzeń. Amelia

Stokrocka, wschodząca gwiazda na firmamencie telewizyjnej prognozy pogody, nagle zaczęła się interesować dawno przebrzmiałą sprawą Krystyny Talko. Zacharewicz, który przed laty odegrał w zabójstwie dziewczyny niepoślednią rolę, wynajął detektywa, by Stokrockę śledzić. Zazdrośnik? Nie, na pewno chciał wiedzieć, z kim pogodynka rozmawia o tej starej historii. Sam nie mógł się tym zająć, złotowłosa zbyt dobrze go znała. Następnie zginął stary dziennikarz, który kiedyś pisał o sprawie Krystyny Talko. Konecki był na sto procent pewien, że zabił go Zacharewicz. Skąd w takim razie wzięły się w domu odciski palców Ceglarczyka? No właśnie, Ceglarczyk – facet niesłusznie skazany za zabicie Krystyny Talko. Wskoczył nagle, niczym diabeł z pudełka... i zaraz w tym pudełku zniknął. Tyle że już bez dłoni. Jak by na to nie patrzeć, wszystko się kręci wokół dawnej zbrodni. Tylko dlaczego akurat teraz? I kto zabił Sobień oraz Ceglarczyka? Pałucha mówił, o ile można to nazwać mową, że ktoś go niedawno wypytywał o prowadzone ćwierć wieku temu śledztwo. Ktoś, kto przyszedł od Ceglarczyka. Czy to sprawca? A może jakiś inny domorosły detektyw? Kim jest ten Pan Ktoś? Koleżką Janusza spod celi? Jeśli tak, to trudno go będzie ustalić. Przez osiemnaście lat odsiadki w różnych zakładach Ceglarczyk siedział z całą kompanią recydywistów. Ich listę można byłoby odtworzyć, ale musiałyby się tym zająć policja. Z Koneckim nikt nie będzie w więzieniu chciał rozmawiać.

– Może już czas pogadać z Lichockim? – zadał pytanie w industrialną przestrzeń.

Ciągle nie było to po jego myśli. Wolalby rozwiązać to sam. Zwłaszcza, że ewidentnie w sprawę wplątany był Zacharewicz – człowiek, który już dwukrotnie nasłał na niego zbirów. Takie tam osobiste porachunki.

A może Ceglarczyk rozmawiał nie z innym więźniem, ale z kimś, kto przychodził do niego w odwiedzin? – nagle go olśniło.

Coś takiego byłoby dużo łatwiej sprawdzić. Zwłaszcza gdyby ograniczyć się tylko do ostatniego zakładu karnego, w którym kiblował ten pechowiec. Sieroń wspominał coś, zdaje się, o Strzelcach Opolskich.

Tam też nie będą chcieli udzielić mi informacji – kontynuował swój zmoknięty monolog. – Ale gdybym poprosił któregoś z kolegów...

Sięgnął po komórkę. Lichocki? Nie, January powiedział mu wyraźnie, żeby już o nic go więcej nie prosił. To może... Powoli przesuwiał listę w swojej książce telefonicznej i uświadomił sobie, że chodząc wokół tej sprawy, wykorzystał wszystkie swoje kontakty. Ciągłe kogoś prosił o drobną przysługę. Oczywiście oprócz dawnych kumpli z Wydziału Terroru Kryminalnego, ale tych od razu postawiłby na baczność, gdyby wymienił nazwisko Ceglarczyka. Swoją drogą, ciekawe, czy już dostali akta z komendy na Żeromskiego.

Jest! – ucieszył się. – Starszy aspirant Marcin Szablowski z Komisariatu Rzecznego.

Ranga jego jednostki jakoś nie powalała, więc do tej pory w żadne przysługi go nie wmanewrował. Od razu kliknął w ikonkę połączenia.

– No cześć, Marcin, wszystkiego najlepszego z okazji świąt! – zaczął dość sztucznie. – Co u mnie? A, jakoś leci. Słuchaj, tak przy okazji, mam drobną prośbę...

Przemoczony i zziębnięty Bartek otworzył drzwi na schody wiodące do biura. I stanął jak wryty. Na górze, za załomem muru, ktoś się czał. Leciutka woń papierosa, szmer kurtki.

Do trzech razy sztuka.

Ostrożnie zdjął buty, żeby nie stuknąć o stopnie obcasem, wyjął pistolet, powoli przeładował. Wstrzymując oddech, wspiął się po schodach z plecami przyklejonymi do ściany. Był już od tamtego o krok. Dzielił ich

tylko narożnik ściany.

Skoczył. W prawej broń, lewa przygotowana do chwytu. Przed nim sylwetka. Niższa i drobniejsza niż się spodziewał, ale nie było czasu na analizy. Złapał za szyję, pchnął na mur, przystawił pistolet do czoła.

Dopiero wtedy ją poznał. Rozszerzone w zdumieniu oczy, jasne włosy między jego palcami. Amelia Stokrocka.

– Co ty tu robisz?

Długo nie mogła wydobyć z siebie głosu. Puścił jej gardło, zabezpieczył i schował broń. Czuł się niezręcznie.

– Przepraszam. Z kimś cię pomyliłem...

Jej pierś wciąż jeszcze gwałtownie falowała, ale na twarz powróciły normalne barwy. Tak, mama miała rację. Nie umiał postępować z kobietami.

– Przyszłam cię ostrzec – wydusiła w końcu. – Zachar jest wściekły. Podśluchałam, jak krzyczał do Jacka, że cię zabije.

Na włosach miała kropelki tającego śniegu, pachniała jakimiś wiosennymi kwiatami. Wyglądała na zmęczoną. Oczy leciutko podkrążone. Bledziutka cera, usta zmarznięte, posiniałe. Kopciuszek i księżniczka zarazem.

Nie zastanawiając się, co u licha wyprawia, nachylił się i ją pocałował. Stężała, nie rozchyliła warg, ale też się nie cofnęła. Rozgrzewał jej usta gorącym oddechem, smakował zapach papierosów Vogue zmieszanych z pomadką i czymś jeszcze. Czymś nieokreślonym, należącym tylko do niej.

W końcu oddała mu pocałunek.

Warszawa. Listopad 2016

Janusz Ceglarczyk skończył pakować rzeczy. Niewiele ich było, marynarski worek zapełnił się ledwie w połowie. Koniec. Wracza do Opola. W foliowym woreczku pod majtkami ukrył pieniądze zarobione na budowie. A także półtora tysiąka za skuter zipp, który jeden z kolegów wziął dla syna. Był bogaty. Bogaty i wolny. Budowa i prace wykończeniowe, których się podjął, zostały zakończone. Już wczoraj pożegnał się z członkami swojej ekipy, z którymi pracował od początku lata. Zżył się z chłopakami, a oni z nim. Namawiali go nawet, by został. Także zimą było w Warszawie roboty w bród. Ceglarczyk jednak już dawno podjął decyzję. List z informacją dla Niego wysłał parę tygodni temu. Anonim do Niej. Powołał się w nim między innymi na dziennikarza Czesława Łykę. Bilet do Opola kupi dzisiaj na dworcu. Ostatni raz spojrzął na dom i kanciapę, w której nocował. Od poniedziałku wkroczą tu kolejne ekipy – malarze, elektrycy, parkieciarze. Dla niego to zamknięty rozdział.

Zarzucił worek na ramię, zostawił klucze od bramy i kanciapy w umówionym miejscu i wyszedł na ulicę. Był wczesny ranek, ciemno. Siąpił drobny deszczyk, było zimno. Nic dziwnego, że na chodniku nie było przechodniów. Ceglarczyk podniósł kaptur i przyspieszył kroku. Do przystanku miał pół kilometra, więc za chwilę zasiądzie w ciepłym wnętrzu autobusu.

Późno zauważył, że zrównało się z nim czarne audi. To samo, które widział dwa miesiące temu. Wóz zahamował, z kabiny wyskoczyły dwie znajome, zakapturzone sylwetki.

– Czego znów chcecie? Mówiliście ostatnio, że jesteśmy kwita!

Nie odpowiedzieli. Tym razem ich ruchy były nerwowe, szybkie. W pierwszym Janusz rozpoznał mężczyznę, który na początku października zwałił go z nóg obrotowym kopnięciem. Tym razem napastnik miał w rękę paralizator.

– No co wy? – Ceglarczyk usiłował się uchylić, ale tamten był szybki i precyzyjny.

Ciało Janusza przeszło elektryczny impuls, pod czaszką eksplodował snop iskier, a sekundę później poczuł, że płyty chodnika uderzają go w plecy.

– Koza, dawaj silwertepa! – warknął dresiarz.

Mężczyźni okręcili mu nogi, ręce i usta mocną, srebrzystą taśmą montażową, dźwignęli i wrzucili do otwartego bagażnika. Audi ruszyło gwałtownie, buksując kołami w jesiennych kałużach.

Janusz nie umiał określić dokładnie, ile czasu go wieźli. Rzuciło nim po ciemnym bagażniku na wszystkie strony, co rusz walił głową w klapę. Próbował zerwać lub choćby poluzować więzy, ale taśma trzymała mocno. Żeby chociaż mógł zawołać o pomoc! Auto zatrzymywało się kilka razy – pewnie na światłach lub skrzyżowaniach. Możliwe, że tuż obok stały inne samochody, kręcili się przechodnie. Z zakneblowanych ust nie mógł jednak wydobyć się nawet pisk. Ceglarczyk zaczął więc walić głową w klapę. Może ktoś z zewnątrz zwróci uwagę na ten hałas? Osiągnął jednak tylko tyle, że audi zaczęło jechać szybciej i gwałtowniej. Rzuciło nim od burty do burty.

Poczuł niemal ulgę, kiedy się zatrzymali, a bagażnik został otwarty. Dwie pary rąk uniosły go i rzuciły na ziemię. Janusz zamrugał od uderzenia światła – był już brzask – i szybko się rozejrzał. Wokół ciągnęły się nadrzeczne zarośla, leżał na mokrej ziemi pachnącej zbutwiałymi liśćmi. Gdzieś za krzakami płynęła z pewnością Wisła. Oprócz dwóch

zdyszanych napastników nigdzie żywego ducha.

Patrzyli na niego w milczeniu. Mieli zimne, puste oczy.

Chcą mnie zabić! – przeszła go myśl.

Ten, który najwyraźniej dowodził w tym tandemie, sięgnął pod bluzę i wyjął długi na trzydzieści centymetrów, lekko zakrzywiony nóż.

– Neeee! – wydarł się Ceglarczyk w głąb siebie.

Nikt go jednak nie usłyszał. Dresiarz wziął zamach i zamarł. Wahał się?

– Zrób to wreszcie, Jędrak – odezwał się ten drugi, nazywany Kozą. – Bo w końcu ktoś się tu napatoczy.

Uderzenie wstrząsnęło ciałem Ceglarczyka. Janusz poczuł mocny cios, ale bólu nie. Ogarnęła go słabość, niemal błogość. Jak przez mgłę obserwował poczynania tamtych. Rozcięli mu więzy na rękach. Potem ten o imieniu Jędrak wyjął z kabiny jeszcze dwa przedmioty. Walczący z ogarniającą go sennością Janusz zauważył, że jednym z nich jest zwykła torebka foliowa na zakupy, a drugim... samurajska katana. Na chwilę otrząsnął się z otępienia, chciał krzyknąć.

– Przytrzymaj mu kolejno łapy! – Jędrak zwrócił się do Kozy. – Chcę to załatwić dwoma czystymi cięciami.

Zagadnięty posłusznie chwycił ramię Ceglarczyka i wyciągnął je, układając na starym pieńku po ściętym drzewie.

– Tylko wyceluj dobrze. Żebyś i mnie łapy nie odrąbał.

Ostatnie, co poczuł Ceglarczyk, zanim otoczył go ciepły i przyjazny mrok, to silne uderzenie w okolicach nadgarstka. Usłyszał świst powietrza, młaśnięcie i chrobot pękającej kości.

Warszawa. Grudzień. Wtorek

Rankiem chciała po cichu się ubrać i wyjść, ale chwycił jej rękę i przyciągnął do siebie. Chwilkę się z nim siłowała, chichocząc, a on bezwstydnie patrzył na jej ciężkie, rozkołysane piersi.

Jolka ma dużo mniejsze – pomyślał ze szczeniacką mściwością i zaraz zawstydził się własnej małostkowości.

Żeby zagłuszyć rodzący się w nim ból, mocniej przyciągnął Stokrotkę do siebie. Sekundę patrzyli sobie w oczy z odległości centymetrów. Nad jej górną wargą zobaczył kropelki potu. Podnieciło go to tak, że od razu przewrócił ją na plecy.

– Wypieprz mnie, sukinsynu.

Całkiem niedawno już coś takiego słyszał. Mimo tamtego epizodu, o którym teraz wiedział, że był jedynie desperackim zrywem kobiety rozdartej pomiędzy dwoma facetami, musiał przyznać, że Amelia Stokrocka była krańcowo inna niż Jolka. Ich seks nie przypominał spotkania dwojga przyjaciół. Żadnych tam komplementów czy słów zachęty. Zero głaskania, całowania w karczek, przesiewania włosów przez palce. Szybki oddech, pot, szamotanina. A potem leżenie w milczeniu z dymiącym papierosem w palcach. Cud, że jeszcze nie przepalili dmuchanego materaca. Drugiego nie miał, a sofka by nie wytrzymała.

– Uderz mnie.

Spojrzał zaskoczony.

– Uderz! Potrafisz uderzyć kobietę, cioto?

Skoro dama sobie tego życzy... Podniósł dłoń, wziął zamach... Nie, od razu sam sobie wydał się żałosny i śmieszny. Stokrotka na widok jego

kapitulacji spoliczkowała go pierwsza.

– Oddaj mi!

Trochę już tym wkurzony, chwycił jej rękę dłonią i docisnął nad jej głową do podłogi, a drugą zakrył usiłujące go kąsać usta. Widział, że ją to podnieciło. Skończyła wygięta w łuk. On... nie. Miał dość.

Puszczalska.

– Byłeś słodki, misiu – powiedziała, kiedy spalili po papierosie. – Porządny z ciebie facet.

To powiedziawszy, zgarnęła swoje rzeczy i poszła do jego mikroskopijnej łazienki. Leżał wpatrzony w sufit, zastanawiając się, czy z niego kpiła.

Słodki misio.

W ustach tej kobiety nie brzmiało to jak komplement.

Siedzieli przy kawie, kiedy rozległo się stukanie do drzwi. Konecki skoczył do materaca, pod którym leżał pistolet.

– Kto tam?

– Policja. Otwierać.

Tylko przez moment zastanawiał się, czy znów przyszli go zamknąć. Zaraz sobie jednak uświadomił, że zna ten głos. Wstał z podłogi, kopnął materac w kąt, zerknął na Amelię. Siedziała przy biurku, obok szuflady z alpraksem, niewzruszona.

Czy cokolwiek oprócz orgazmu albo spluwy przystawionej do czoła jest w stanie wyprowadzić ją z równowagi?

Otworzył.

– Cześć, January. Co cię sprowadza o tak wczesnej porze?

Lichocki obrzucił pomieszczenie wzrokiem myśliwskiego charta. Amelia posłała mu obojętny uśmiech.

– Wczesnej? – wykrzywił usta. – Już prawie dziesiąta.

Znów spojrzał na siedzącą.

– Skądś cię znam. Z telewizji?

Wzruszyła ramionami, zapalając papierosa. Potem dopiła kawę, wstała i ruszyła do wyjścia. Przechodząc obok policjanta, dmuchnęła mu w twarz smugą dymu.

– Do zobaczenia, Bartek. I dobrze ci radzę. Oduść sobie.

Otworzyła drzwi. Wyszła, nie zamykając za sobą.

January się rozpromienił.

– Właśnie takie dupy lubię najbardziej – rzucił za odchodzącą.

Pokazała mu faka.

– Cieszę się, że przypadliście sobie do gustu – powiedział Konecki. – Kawy? Zostało mi jeszcze z półtorej łyżeczki, jeśli się dobrze poskrobie.

Twarcz Lichockiego stężała. W oczach zapaliły się wredne ogniki. Zamknął drzwi, wrócił.

– Nie pogrywaj ze mną w ten sposób – rzucił ze złością.

– Czyli w jaki?

– Dziś rano prokuratura rejonowa przekazała nam akta sprawy Czesława Łyki. W co ty się zabawiasz, do kurwy nędzy?

Po chwili namysłu Bartek uznał, że nie ma sensu powoływać się na artykuł 180, paragraf 1 kodeksu postępowania karnego. Lichocki po prostu chrzanił takie wykręty.

– Pamiętasz, jak prosiłem cię o akta sprawy Krystyny Talko?

Kolega patrzył na niego zimnym wzrokiem. Wyglądał, jakby chciał mu przywalić.

– Pamiętam, jak mnie prosiłeś o akta sprawy Marty Sobień – odwarknął.

– Mówiłem ci, że te sprawy coś łączy.

– I dlatego dałeś się przyłapać w mieszkaniu denata zamordowanego przez sprawcę pierwszego z tych czynów?

– Ceglarczyk nie zabił Krystyny Talko.

– O takich rzeczach w tym kraju decyduje sąd, a nie prywatny detektyw.

Bartkowi trudno się było przestawić na taką formę rozmowy. Wciąż miał świeżo w pamięci, jak niezobowiązująco popijali sobie piwo w Jeff's.

– Do Łyki doprowadziła mnie sprawa, którą mi zlecono. Śledziłem pewną kobietę, którą partner podejrzewał o romans. Łyko był jednym z facetów, z którymi się spotkała.

January słuchał go ze zmarszczonymi brwiami. Wyciągnął z kieszeni pomiętą paczkę elemów i wyjął zębami jeden z papierosów. Nie zapalał go jednak, tylko turlał z jednego kącika ust do drugiego. Bartek mówił dalej.

– Babka nie miała jednak romansu z redaktorkiem. Przekazał jej wycinki swoich starych artykułów na temat śledztwa dotyczącego Krystyny Talko. Dziwne, co?

Lichocki nie odpowiedział. Papieros skakał po jego wargach jak pasikonik.

– Zwłaszcza że tym zazdrosnym zleceniodawcą okazał się Zygmunt Zacharewicz. Chyba się już nie dziwisz, że zacząłem węszyć?

Papieros w ustach Lichockiego kompletnie rozmiękł, tytoń przykleił mu się do wargi. Bez ceregieli rzucił go na podłogę i zaczął odpluwać. Konecki uznał, że lepiej nie zwracać mu uwagi. Nie potrzebował kolejnych siniaków.

– Co to za babka?

Tego powiedzieć mu nie mógł. No dobrze, nie chciał.

– Nieważne.

– Nieważne? – Lichocki aż poczerwieniał. – Ty wiesz, co się dzieje w wydziale? Wszyscy latają na wysokości lamperii, Żyleta jest w stanie permanentnego szału, a pod pałacem Mostowskich dziennikarze urządzili sobie medialne miasteczko. Zaparkować, kurwa, nie ma gdzie. Wszędzie wozy transmisyjne. A ty się bawisz w prywatne śledztwo.

– Rozumiem, że też nic nie macie?

Policjant popatrzył na niego spode łba.

– A co cię to w ogóle obchodzi? Nie jesteś już gliną.

– Nie musisz mi tego co chwila przypominać! – Bartka też już zaczynała irytować ta rozmowa. – Sprawdźcie lepiej Zacharewicza. Łączą go dziwne układy z pewnym producentem filmowym. Kojarzysz nazwisko Wasilewski? Można o nim poczytać w raportach aspiranta Pałuchy.

Lichocki jakby się wreszcie odprężył.

– Masz zajoba na punkcie tego faceta – oznajmił. – Że kazał śledzić swoją dupę? Co z tego? Że laska chciała się więcej o jego mrocznej przeszłości dowiedzieć? Też mi sensacja. Zresztą Zachar ma niepodważalne alibi na dzień, kiedy zginęła Sobień. A także na czas, kiedy zabito Ceglarczyka, choć tu trudniej określić dokładny moment ze względu na rozkład zwłok. Sprawdziliśmy to. Myślisz, że my tylko popijamy sobie kawkę? Dla mnie osobiście ciekawsze jest, co robił Ceglarczyk w mieszkaniu dziennikarza. I czego u niego szukał. A także, czego ty u niego tak naprawdę szukałeś.

– Mówiłem ci przecież, że...

– Sraty taty, kolego! – January przerwał mu z pasją. – Chcesz wciskać mi ściemę? Zobaczymy. Zaraz wystawię ci wezwanie do złożenia zeznań. Spodziewaj się go jeszcze przed świętami. Pogadamy sobie w obecności prokuratora. Prawdziwego prokuratora. Nie jakiejś tam matki karmiącej z rejonu.

Zamaszyście podszedł do drzwi i otworzył z impetem, który omal nie wyrwał zawiasów z futryny. Zatrzymał się w progu.

– A prywatnie to ci poradzę, żebyś sobie odpuścił dymanie kobiety Zacharewicza. Co? Myślisz, że nie zgadłem, że to ją miałaś śledzić? Zyga to niebezpieczny facet.

Jego czas się kurczył. Jeśli miał do czegoś dojść, znaleźć cokolwiek na Zacharewicza i jego koleżkę z show-businessu, musiał się pospieszyć.

Odczekał minutę, żeby nie spotkać się z Lichockim na ulicy, i zbiegł do samochodu. Już nie padało. Przez chmury prześwitywało słońce, robiło się ciepło. Pokręcona ta pogoda.

Silnik zapalił. Dobry omen. Bartek wyjechał na Grochowską, kierując się do mieszkania Tomka. Może księżulo coś już dla niego ustalił? Na placu Szembeka zauważył śledzące go czarne audi. Ostro dodał gazu, zignorował pomarańczowe światło przed Wiatraczną. Tamten przeskoczył za nim już na czerwonym. Nie ukrywał się. Wywierał presję. Konecki przemknął przez północną część ronda, z poślizgiem skręcił w jednokierunkową w prawo, w stronę ulicy Szaserów. Audi siedziało mu niemal na ogonie. Bartek dojeżdżał już do rozjazdu. Lewo – z powrotem do Wiatracznej. Prawo – Szaserów.

Zredukował do dwójki, wdepnął gaz, szarpiąc równocześnie kierownicę i ciągnąc ręczny hamulec. Golfem natychmiast zarzuciło, wóz obrócił się o 180 stopni. Audi hamował bokiem, omal się nie zderzyli.

Zanim tamten się zatrzymał, Konecki biegł już ulicą w stronę drzwi kierowcy. W dłoni miał sig sauera. Mimo że biel zalewała mu oczy, wiedział, co robi. Tutaj nie było ani jednej kamery monitoringu, a mieszkańcy pobliskich domów niejedno widzieli i raczej nie kwapili się, by zaraz wzywać policję. A zresztą chrzanił to. Był wściekły.

Szarpnął klamkę. Zamknięte. Uderzeniem kolby zbił szybę. Srebrzyste szkło prysnęło na przerażoną gębę Jędrka. Bartek już miał wycelować mu w kolano, kiedy tamtemu udało się wrzucić wsteczny i wyrwać do tyłu. Nadjeżdżające za nim auta powjeżdżały na chodnik, w powietrze wzniosło się trąbienie i srogie przekleństwa. Kaskader, trzeba mu to przyznać, zręcznie wyminął tyłem przeszkody, rozproszył pieszych wchodzących na pasy, wypadł na rondo Wiatraczna. Pognał przez tory tramwajowe w stronę Trasy Łazienkowskiej.

Oddychając głęboko, Konecki wrócił do golfa, wykręcił na dwa razy i pojechał w kierunku Szaserów. Przechodnie odprowadzali go pełnym niepokoju wzrokiem. Nikt nie trąbił, nikt nie wygrażał. Magia broni.

Pięć minut później był już na Bliskiej. Tomka nie zastał. Któryś z sąsiadów, traktujących go po ostatniej rozróbie jak swojaka, wyjaśnił:

– Ojciec Tomasz ewangelizuje.

Gdzie? Może być wszędzie.

Okej. To na Centralny. Największy dworzec w stolicy był mekką bezdomnych. Jak już ewangelizować lumpów, to najlepiej tam. Towarową, Zieleniecką, mostem Poniatowskiego przemknął bez problemu. Był środek dnia.

W hali głównej trafił tylko na jakąś Rumunkę nieznaną polskiego. Przejścia podziemne – paru tak nawalonych pijaczków, że nie dało się dogadać. Podziemne perony.

– Ojciec Tomasz? Dlaczego go szukasz? To święty człowiek.

– Tak, tak. Święty. Gdzie go zastanę?

Zarośnięty mężczyzna w torebkach foliowych zamiast butów długo się zastanawiał. Wreszcie powiedział:

– Tu go nie ma.

Super. Spacerok podziemiami do Dworca Śródmieście. Na peronie ani jednego bezdomnego.

– Ochroniarze ich stąd przeganiają – wyjaśniła babcia klozetowa. – Idź pan lepiej na placyk przed wejściem do metra.

Stacja Centrum. Tłum ludzi znikających w przejściu pod Alejami i Marszałkowską. Zapach pączków z pobliskiej piekarni. Orkiestra starszych panów gra *Pałacyk Michla*. Czy aby rocznica powstania warszawskiego nie upłynęła w sierpniu? Pod murem chwieje się młody chłopak o czarnych oczach. Pod nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami w całości zniknęły tęczęwki. Narkoman, pasuje.

– Ojciec Tomek? Coś chyba słyszałem. A może nie.

Z powrotem w stronę Centralnego. Tym razem górą, obok Pałacu Kultury. Ulica Emilii Plater. Zziębnięta kobieta lat około czterdziestu. W okularach.

– Szukam ojca Tomasza.

– Jak dla ciebie, złociutki, pięćdziesiąt złotych. Jeśli chcesz bez kalosza, czyli prezerwatywy, to będzie stówka.

– Nie jestem klientem. Szukam księdza. Niski, chudy, dużo gada o zbawieniu.

– Zrobię ci loda za dwadzieścia złotych. Masz tu gdzieś samochód?

Na drugą stronę, pod Marriott. Tu, na przystanku autobusowym, latem siadają nieletnie cichodajki. Te na pewno wiedziałyby, gdzie znaleźć Tomka. Tyle że była zima, a na przystanku kręcił się tylko jakiś zdezorientowany Azjata, wypytujący po angielsku, którędy na Stare Miasto.

Róg Wspólnej i Poznańskiej. Dawny warszawski pigalak. Obecnie stały tu tylko najwytrwalsze panny.

– Tomasz? A dlaczego policja go szuka?

– Nie jestem policjantem.

– Aha, jasne. A ja nie jestem podstarzałą kurewką, tylko panienką na wydaniu.

Bartek zmęczył się. Oklapł. Poczłapał Wspólną do Chałubińskiego, nie mogąc odpędzić się od pytań. Czy ta sama osoba zabiła Martę Sobień i Janusza Ceglarczyka? A może Ceglarczyk to mściciel, zabił ją, a jego... Nie, to bez sensu. Czy warto pojechać jeszcze raz do Pałuchy, żeby spróbować wycisnąć z niego, kto wypytywał go o stare śledztwo? Jak się dowiedzieć, czym para się Zacharewicz? Może zamiast ganiać po mieście za klechę, lepiej przyczepić się Zydze do ogona? Tylko jak sprawić, żeby ten go nie rozpoznał?

Z takim mętlikiem w głowie doszedł do dwupasmowej Chałubińskiego i jakoś tak wyszło, że wzrokiem zahaczył o Zakład Medycyny Sądowej. Doktor Tyszko. Na dziewięćdziesiąt procent to on przeprowadzał sekcje zwłok Marty Sobień i Ceglarczyka. Zawsze go brali, kiedy sprawa była priorytetowa. Jedyne problem, że Bartek z doktorkiem naprawdę się nie lubili. Ale nie czas na hodowanie starych uraz. Konecki sięgnął po telefon.

– Zabawne, ale spodziewałem się pańskiego telefonu – powitał go anatomopatolog.

– Dlaczego?

– Aspirant Lichocki upewniał się ze trzy razy, czy sposób zamordowania Marty Sobień i Janusza Ceglarczyka jest podobny do tego, w jaki zabito kiedyś tę nastolatkę, jak jej tam było...

– Krystynę Talko.

– No właśnie. Ponoć pan pierwszy połączył te dwie sprawy.

– I co? Podobny?

– Nie przez telefon, panie Bartku. Przejdźmy się na spacer wzdłuż Filtrów.

– Nie, nie jest podobny – powiedział Tyszko pół godziny później, kiedy dreptali chodnikiem, a obok nich przetaczały się tramwaje jadące na plac Narutowicza. – Wszystko, co łączy te sprawy, opiera się na tym, że ofiarom obcięto dłonie.

– A także, że rzekomym sprawcą pierwszej zbrodni był Janusz Ceglarczyk, który teraz awansował do roli jednej z ofiar – kwaśno dorzucił Konecki.

Doktor Tyszko nie raczył tego skomentować. Ubrany jak zwykle elegancko, w modnym płaszczu, skórzanych półbutach i fryzurze wznoszącej się nad opalonym licem niczym morska fala, wyglądał jak

prezenter telewizyjny, a nie ktoś, kto kilka godzin dziennie obcuje z umarlakami.

– Zarówno Krystynę Talko, jak i Martę Sobień oraz Janusza Ceglarczyka zabiły różne osoby – oznajmił.

Konecki się zatrzymał.

– Tak, Lichocki też mi to mówił. Ale jakoś nie mogę uwierzyć, że mamy w tej sprawie trzech typów o morderczych skłonnościach, z których każdy obcina ofierze dłoń. To bez sensu!

Doktor Tyszko spojrzał na niego chłodno.

– Na to, w co pan wierzy lub nie wierzy, nie mam wpływu. Takie są fakty. Kryminalistyka zna zresztą pojęcie naśladownictwa. Wystarczy wspomnieć Eda Geina, który w latach pięćdziesiątych zdierał ze swych ofiar skóry, by robić z nich maski czy obicia mebli. Jego wiernym naśladowcą okazał się inny zwyrodnialec, który w 1994 roku zamordował w Krakowie studentkę religioznawstwa, a następnie uszył sobie z niej kamizelkę.

– Geina i krakowskiego Kuśnierza bezpośrednio nic jednak nie łączy – zauważył Konecki. – A Ceglarczyk w naszym dramacie występuje w podwójnej roli.

Przez chwilę szli prosto, nie patrząc na siebie. Nie najlepiej rozpoczęła się ich rozmowa.

– No dobrze, spróbujmy więc uporządkować naszą wiedzę – odezwał się pojednawczo doktor. – Jak zginęła dwadzieścia pięć lat temu Krystyna Talko, wiemy z akt. Przejdźmy więc do Marty Sobień i Ceglarczyka.

Bartek nadstawił uszu.

– W ciele dziewczyny znaleźliśmy ślady tritoksyjodku galaminy oraz GHB, a u niego nie – prowadził wykład Tyszko. – Zwłoki Ceglarczyka znaleziono wprawdzie dopiero po kilku dniach od zabójstwa, więc tak zwana tabletką gwałtu, jeśli mu ją podano, mogła już się rozłożyć. Ale są

i inne, istotne różnice. Ona się udusiła, on został zadźgany nożem. Jego spętano taśmą, ją oszołomiono GHB. Kiedy tabletką gwałtu zaczęła działać, morderca zapakował Sobień do kabiny samochodu, a Ceglarczyk jechał prawie na pewno drugą klasą. Znaczy w bagażniku.

– Skąd to wiadomo?

– Resztki tapicerki na ubraniu i pod paznokciami dziewczyny. Stary model. Dziesięcio- lub nawet piętnastoletni. Prawdopodobnie jakiś japończyk.

Konecki był pod wrażeniem.

– Naprawdę aż tyle dowiedział się pan z mikrośladów?

– Charakterystyczny skład tapicerki, kurz z drobinami plastiku na skórze, kłaczki z podsufitki we włosach – wyjaśnił. – Takie rzeczy da się przyporządkować do określonych roczników i mniej więcej do marki.

– A co wyczytał pan z ciała Ceglarczyka?

– Niewiele, za długo moczył się w wodzie. Był jednak strasznie posiniaczony. Obstawiałbym więc, że go pobito, a potem wrzucono do kufra, w którym obijał się dalej podczas jazdy.

Konecki pomyślał o Jędrku i drugim wesołku, Kozie, którzy usiłowali spakować go na Bliskiej do bagażnika swojego audi.

– Co dalej? – spytał.

– Sprawca wywiózł półprzytomną Martę Sobień do Wawra. Mazowiecki Park Krajobrazowy. Łatwo tam wjechać, w głąb kompleksu leśnego prowadzi szeroka droga. Przez większość roku snują się po niej spacerowicze, ale zimą... Zresztą nawet gdyby ich ktoś zobaczył, mógłby nie nabrać podejrzeń. Z samochodu wysiadają facet z dziewczyną. On ją podtrzymuje, ona się zatacza i bełkocze. Prawdopodobnie oboje zalani.

– Rozumiem.

– Zabójca poprowadził ją w las. Nawet niezbyt głęboko. Wiedział przecież, że nie będzie uciekać ani wzywać pomocy. Tam podał jej

tritoksyjodek galaminy, czyli syntetyczną kurarę. I tam też odrąbał jej dłonie.

– Może to jakiś lekarz? – zastanowił się Konecki. – Wygląda na to, że ma dostęp do leków.

– W tym między innymi kierunku, o ile wiem, pańscy koledzy prowadzą śledztwo.

No tak. Ani Wasilewski, ani Zacharewicz nie mają nic wspólnego z medycyną. To tłumaczy, dlaczego Lichocki tak uparcie bagatelizuje ten wątek.

– A jak to się odbyło z Ceglarczykiem? – zapytał.

– Jak już mówiłem, najprawdopodobniej został pobity, skrupowany i wrzucony do bagażnika. Zawieziono go gdzieś na brzeg Wisły – policja wciąż szuka tego miejsca – uderzono nożem w okolice serca, obcięto dłonie i zepchnięto do wody.

– Czy znaleziono te ręce?

– Nie.

– A u Marty Sobień?

– Leżały obok ciała.

– Cholera, kolejna różnica. – Konecki przesunął dłonią po coraz dłuższych kędziorach na głowie.

– No tak. – Tyszko uśmiechnął się półgębkiem. – Są jednak i drobne podobieństwa.

– Jakie?

– Ani zabójca dziewczyny, ani mężczyzny na pewno nie jest chirurgiem. Obie amputacje przeprowadzono wyjątkowo nieumiejętnie. Rąbiąc, przepraszam za kolokwializm, jak drwał drzewo. Byle jak. Za to mocno. W obu przypadkach był to ktoś silny i zdecydowany.

– Może to jednak ta sama osoba? – Konecki wciąż czepiał się resztek nadziei.

– Nie sądzę. – Oczy doktora załśniły. – Zabójcy zwykle działają według jednego, sprawdzonego schematu. A tu, w obu przypadkach, *modus operandi* jest zupełnie inny. Tylko finał ten sam. Z tymi dłońmi.

Przez chwilę szli w milczeniu. Byli już blisko placu Narutowicza, dobiegał ich coraz głośniejszy hurgot skręcających tramwajów.

– Czy jest coś jeszcze? – spytał Konecki.

– Zabójstwa Marty Sobień na sto procent dokonał mężczyzna. Mamy jego profil genetyczny. Zostawił wokół miejsca zbrodni mnóstwo śladów. Włosy, ślina, pot. Tylko nie odciski palców. Musiał mieć rękawiczki. Niestety, jego DNA nie mamy w bazie danych. Na podstawie mitochondrialnego RNA można jedynie stwierdzić, że to typowy Polak. Rasy kaukaskiej, czyli białej, niebieskie oczy, włosy blond.

Bartek, podając mu na pożegnanie rękę, nie mógł się powstrzymać od pytania:

– Dlaczego mi pan pomaga? Mam wrażenie, że kiedy ostatnio współpracowaliśmy, nie bardzo mnie pan polubił.

– Myliłem się. – Tyszko odwzajemnił mocny uścisk. – Miałem pana za łzawego nieudacznika. Tymczasem brawurowo poprowadził pan tamto śledztwo.

– Przecież mnie wyrzucono za nieudolność i przekroczenie kompetencji!

Doktor znów się uśmiechnął.

– W całej Komendzie Stołecznej się mówi, że tamta sprawa musiała wyglądać inaczej, niż to widnieje w raportach. Kogoś pan chronił, prawda? Tę dziewczynę?

Konecki nie odpowiedział.

– Niech pan drugi raz nie popełni tego samego błędu.

Bartek nie powiedział już nic więcej. Odwrócił się i odszedł.

Piękna Amelia. Puszczalska. Uderz mnie! – kłębiło mu się w głowie.

Znów zaczął szukać Tomka. Golf zapalał wprawdzie za każdym razem, za to z rury leciały takie sadze, że w lusterkach nic nie było widać. Ile jeszcze pociągnie?

Jadłodajnia przy Miodowej. Tłum oczekujących. Trochę brodatych obdartusów, ale nie tylko. Gromadka dzieci, kilka młodych kobiet, facet w marynarce. Bezdomność i bieda mają różne oblicza.

Ktoś słyszał o ojcu Tomaszu, ktoś radził szukać go na Centralnym. W końcu jeden z zakonników uciął dopytywania Koneckiego, dość obcesowo go wyprasząc.

– Dla nas to żaden ojciec. Ludziom tylko w głowach miesza. Do widzenia.

Noclegownia dla kobiet przy ulicy Stawki. Pusto. W ciągu dnia bezdomne opuszczają placówkę. Kobieta sprzątająca podłogę nic nie wiedziała.

Na drugą stronę Wisły. Dworzec Wschodni. Na peronach niewielki ruch, grupka roześmianych byków pod bronią – funkcjonariusze Służby Ochrony Kolei.

– Idź pan do poczekalni, tam się te obszcymury zbierają.

W poczekalni, na grzejnikach, kilka uśpionych sylwetek, zaparowane szyby.

– Ojciec Tomasz? Jest taki. Chodzi, smęci i tyle. Pieniądzy nie pożycza, jadłodajni nie prowadzi. Nawet ulotek nie ma.

Nieco już zrezygnowany Bartek zdecydował się przejść podziemnym pasażem na drugą stronę dworca. Stamtąd tylko dwa kroki na Bliską. Może Tomek wrócił do domu?

Jak można w dzisiejszych czasach żyć bez komórki?

Idąc, minął grupkę Cyganek. Stłoczone w kółko, szczebiotały po romsku, co chwila wybuchając śmiechem. Był już od nich o dobre

kilkanaście kroków, kiedy jedna nagle wyrwała się z kręgu i pobiegła za nim.

– Pan ładny poczeka, bo nogi pogubię!

Odwrocił się tylko po to, żeby ją splewić.

– Nie pamięta mnie? To ja mu złamane serce wywróżyłam!

A tak, to ta kobieta, która zaczepiła go w kebabie.

– Śpieszę się.

– Wiem. Do tego świętoszka Tomka.

Stanął jak wryty.

– No co? Wieści się szybko po dworcu rozchodzą. – Uśmiechnęła się, mile połączona tym, że zrobiła na nim wrażenie. – Miała kilka złotych zębów, ale te naturalne, które jej pozostały, były czyste i zadbane. – Masz, przystojniaczku, jeszcze jeden taki papierek jak wczoraj?

Miał. Banknot zniknął w fałdach jej sukni.

– Idzie za mną – rozkazała, zawracając w kierunku ulicy Kijowskiej.

Inne Cyganki roześmiały się. Za plecami Bartka rozległo się kilka przeciągłych gwizdnięć i seria cmoknięć.

– Daleko idziemy? – spytał, kiedy wyszli przed dworzec i przechodzili przez przystanki autobusowe.

– Niedaleko.

Kilka chwil później weszli w wylot Brzeskiej. Bartek pamiętał wciąż opowieści starych policjantów, którzy wspominali swoje patrole na tej ulicy z lat dziewięćdziesiątych. Pieszko wejść się nie dało, zbyt niebezpiecznie. A jak radiowozem, to od razu slalomem, bo z okien frunęły doniczki.

Teraz było już spokojniej. Kilka kamienic zostało nawet odnowionych, pojawiło się centrum medyczne. Klimat jednak pozostał. Mężczyźni w dresach stojący pod sklepami odprowadzali ich w milczeniu wzrokiem. Wiele domów straszło płatami odpadających tynków, spod których

wyzierały ceglane rany. Z bram prowadzących na podwórka wionęło piwniczną wilgocią.

– Tutaj! – Cyganka wskazała bardzo zaniedbany (nawet jak na praskie standardy) budynek. Wszystkie okna zabite były poczerniałymi płytami OSB. Tylko nad zamkniętym antywłamaniowymi roletami lokalem na parterze smętnie zwieszała się tabliczka „Fryzjer męski”. Misternie kute, żeliwne balustrady balkonów na pierwszym piętrze były tak przerdzewiałe, że sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały im runąć na głowy.

– Tutaj? – upewnił się, ale kobieta już pędziła z powrotem w kierunku Wschodniego.

Na Brzeską sływał powoli wczesny, zimowy zmierzch.

Przez zrujnowaną bramę wszedł na podwórko. W jego centralnej części stała kapliczka. W odmalowanym, zadbanym wnętrzu paliły się lampki.

To jednak ktoś tutaj mieszka?

Na klatce schodowej nie było światła, drewniane stopnie skrzypiały przy każdym stąpieniu. Dokąd iść? Kogo zapytać? Wtedy usłyszał śpiew. Kilka ściszonych głosów nuciło jakiś psalm. Pierwsze piętro.

Wdrapał się tam w gęstniejącej ciemności, przystawił ucho do drzwi. Poczł woń kadzidła. Nacisnął klamkę. Ustąpiły. Niemal oślepił go blask świec i kaganków stojących w przedpokoju. Jeśli spodziewał się brudnej meliny z butelkami przewracającymi się pod nogami, musiał się zdziwić. Mieszkanie było sprzątnięte, w powietrzu oprócz dymu kadzidła unosił się zapach pasty do podłóg.

Głosy dochodziły z głębi mieszkania. Skierował się tam po niemiłosiernie trzeszczącym parkiecie. Szmer rozmów, a może modlitwy czy śpiewu, ucichł. Bartek wszedł do pokoju. Od razu rozpoznał Tomka, mimo że ten miał na szyi przewieszoną stułę. Stał za ołtarzem skleconym ze stosu europalet. Przed nim klęczało kilkanaście osób. Przeważnie starsze panie w moherowych beretach, ale nie tylko – obok stał jakiś

chwiejący się pijaczek, paru cuchnących brudem bezdomnych i młoda, zapłakana dziewczyna. Niezłe zbiorowisko.

Tomek tylko do niego mrugnął i zaraz wrócił do odprawiania mszy. Bartek cofnął się do przedpokoju. Chciał wyjąć papierosa, ale jakoś się powstrzymał. Trzęsły mu się ręce. Ostatni raz był w kościele na pogrzebie Kruszyнки. Tyle że to tutaj to nie kościół. Pustostan przypominający starorzymskie katakumby.

– Miałem dzisiaj do ciebie dzwonić. – Tomek wyszedł do niego piętnaście minut później.

Był już ubrany w zwykłą sutannę. Uśmiechał się jak chłopczyk, który sprawił dorosłym psikus.

– Myślałem, że nie wolno ci odprawiać mszy – kwaśno zauważył Bartek. Wciąż się trochę dąsał, że tyle się musiał księżula naszukać.

– Nie wolno! – Uśmiech na szczupłej twarzy jeszcze bardziej się poszerzył. – Ale ja nie muszę słuchać tych faryzeuszy w biskupich tiarach. Kto inny wydaje mi rozkazy.

– Ile ty masz lat? – spytał Konecki.

– Pięćdziesiąt jeden.

Bartka zatkało. Dałby mu najwyżej czterdzieści pięć. Mimo to kontynuował:

– Nie za późno na bawienie się w rewolucjonistę? Z czego ty w ogóle żyjesz? Domyślam się, że nie dostajesz księżowskiej pensji.

– Utrzymują mnie rodzice. I wierni. Wiem, powiesz, że jestem pasożytem. Ale ja naprawdę nie potrzebuję wiele.

Musieli przerwać, bo z pokoju obok zaczęli wychodzić wierni. Tomek serdecznie każdego ścisnął. Nawet Aborygenów, którzy zdawali się cali ruszać od rojących się na nich wszy. Zapłakana dziewczyna, nawet całkiem niebrzydka, padła na kolana, żeby pocałować go w rękę. Tomek czym prędzej dźwignął ją na nogi i po ojcowsku cmoknął w czoło. Tamta

wybuchnęła rozpaczliwym szlochem.

– Bawisz się w świętego? – burknął Konecki, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

– Świętość jest w każdym z nas. Nawet w tobie. Tylko nie każdy chce jej dać szansę, żeby wykiełkowała.

Nie miał ochoty na te pseudoapostolskie gadki.

– Znalazłeś coś dla mnie?

Oczy Tomka rozbłysły. Naprawdę zachowywał się jak dzieciak.

– Tak.

– Powiesz mi?

– Nie było łatwo... – Wyklęty księżulo najwyraźniej chciał się nacieszyć chwilą triumfu. – Rozpytywałem upadłe kobiety, chłopców kupczących swoimi ciałami, nawet grzeszników żywiących się ich niedolą.

– Do rzeczy, człowieku.

– Nikt nic nie wiedział. – Tomek nie pozwolił wytrącić się z rytmu. – Ten i ów słyszał o Zacharewiczu, ale nikomu nie kojarzył się on ze stręczycielstwem. Ludzie znają go jako bezwzględnego czyściciela kamienic, lichwiarza...

To się zgadzało z tym, co mówił Lichocki.

– Aż w końcu trafiłem na pewnego bezdomnego... – Duchowny zawiesił głos. – Porządny człowiek, który pracował w filmie, dopóki nie powinęła mu się noga. Stracił pracę, zaczął pić, przegrywał pieniądze na automatach. Żona i dzieci się go wyrzekły, mieszkanie zlicytował komornik. Typowa historia.

– Co ci ten facet powiedział? – Konecki walczył ze sobą, żeby nie złapać Tomka za fraki i nim nie potrząsnąć.

– Najlepiej niech sam ci opowie! – W mroku sieni ponownie zaśnił uśmiech ojczulka. – Zaprosiłem go do naszej skromnej świątyni. Czeka w kuchni.

Kuchnia nie różniła się od innych pomieszczeń. Okna zabite dyktą, krany zaplombowane, zlew dziurawy. Zamiast mebli nieoheblowane panele, lampa naftowa jako jedyne źródło światła.

Mężczyzna siedział pod ścianą, zakutany w śpiwór, i żuł pajdę chleba, patrząc na wchodzących z rezygnacją człowieka, który stracił nadzieję.

Nie wyglądał na menela. Malutki, drobny, niestarannie ogolony. Na głowie kępki przylepionych do czaszki siwych włosów. Nos wąski, zakrzywiony. Semicki – powiedzieliby narodowcy. Kęsy chleba odgryzał nerwowymi, ptasimi ruchami. Głęboko osadzone, rozbiegane oczy cały czas czujnie lustrowały pomieszczenie.

– To ja was zostawię samych – powiedział Tomek, usiłując zamknąć niezamykalne z powodu wypaczeń drzwi.

Bartek przykucnął przed siedzącym. Chrupnęło mu w kolanie. Tamten na chwilę zamarł, skurczył się, uciekł ze wzrokiem. Zaraz jednak znów zaczął chwycić żółtymi zębami irytująco drobne kawałki chleba.

– Naprawdę znasz Wasilewskiego i Zacharewicza?

– Pan. Wolę żebyśmy byli na pan – zaszczebiotał człowieczek. – Zakwas Waldemar jestem.

– Panie Waldku, może pan odpowiedzieć na pytanie?

– Tylko bez agresji, dobrze?

Konecki wstał, cofnął się kilka kroków i osadził swoje ciało na stosie paneli. Od razu w tyłek ukłuła go jakaś drzazga.

– Nie ma mowy o żadnej agresji – zapewnił. – Po prostu proszę powiedzieć, co pan wie.

Wąskie usta połknęły ostatni kęs. Koścista dłoń starannie je otarła. Chudziutki palec podłubał w nosie, wyjmując coś niepokojąco dużego i zielonkawego. Zakwas pstryknął i glut pomknął w mrok. O centymetry od twarzy Koneckiego.

– O przepraszam. Niechący.

Bartek powoli wciągnął powietrze. Zatrzymał. Wypuścił.

– Nic nie szkodzi. Więc?

– Więc jestem operatorem filmowym. – W głosie szczuplaczka zabrzmiała wydobyta z samego dna studni wspomnień duma. – Pracowałem na przykład przy *M jak miłość*. Od samego początku!

– Gratuluję.

Tracę tu czas. Co ja mówię. Straciłem cały dzień.

– Byłem dobry, naprawdę. Może nie świetny, ale dobry. Umiem zachować do siebie samego rozsądny dystans.

– Bezcenna cecha.

– Potem zacząłem się przy innym serialu. A tam myśleli tylko o cięciu kosztów. Żadnej sztuki, nic. Producent, reżyser, no, wszyscy jedynie mnie poganiali. Ja chcę ustawiać światło, szukam ciekawej perspektywy, a oni...

Pełne rezygnacji machnięcie kościstej rączki, wystarczające za dwie ciężarówki gorzkich słów.

– Kazali mi kręcić przy byle jakim świetle, niemal z marszu.

– Niesamowite.

– Zresztą nie tylko mnie traktowali jak szmatę. Aktorzy też grali bez dubli. A postsynchrony... szkoda gadać.

Bartek nie wiedział, co to takiego te postsynchrony, ale przytomnie się do tego nie przyznał.

– Chałtura, mówię panu, chałtura.

Konecki ze smutkiem pokiwał głową.

– Aż w końcu dali mi asystentkę. Od dawna ich o to prosiłem, bo nie wyrabiałem się z robotą.

– Asystentkę, tak.

– Tyle że ona nic nie umiała. Nic. Kicha. Smarkula nie wiedziała, od której strony w kamerę patrzeć. No przecież ja nie jestem szkoła filmowa,

prawda? Nie mogę ludzi od zera uczyć! Poszedłem więc do asystenta reżysera na skargę. Powiedziałem prosto z mostu. Że to skandal dawać do poważnej produkcji taką głupią sikse.

Przerwał, a Konecki walczył z silną pokusą, żeby rzucić tę rozmowę w diabły i wyjść na świeże zimowe powietrze.

– Następnego dnia nie miałem już roboty – podjął opowieść Waldemar.
– Wywalili mnie na bruk. Rozumie pan?

Bartek pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Okazało się, że ta laseczka, której całym wykształceniem było gimnazjum opodal prowincjonalnego domu dziecka, w którym się wychowała, jest protegowaną samego pana Jacka Wasilewskiego.

Konecki nagle się przebudził.

– Była nietykalna. Wszyscy na planie kłaniali jej się w pas. A ja, za tych parę słów prawdy, wyleciałem z wilczym biletem. Nigdzie nie mogłem już znaleźć roboty.

Bartek zastanawiał się, co go tak pobudziło. To, że usłyszał nazwisko Wasilewski? Chyba nie. W takim razie co?

– Była jego kochanką? – zapytał.

Waldemar skrzywił się z niesmakiem.

– Kochanką to nie. Raczej... – Zakwas przez chwilę szukał odpowiedniego słowa. – Towarem.

– Towarem?

– Już po tym, jak wyleciałem, dowiedziałem się, że Wasilewski z takim drugim regularnym bandytą...

– Zacharewiczem?

– Proszę pana! – obruszył się konus. – Ja panu nie przerywałem!

Po chwili jednak mówił dalej:

– Zacharewicz, być może. Nie pamiętam. W każdym razie oni dwaj załatwiają podobno zaprzyjaźnionym aktorom tudzież innym ważnym

personom z filmu i telewizji, obdarzonym specyficznymi upodobaniami...

– Co to za upodobania? – Konecki nie mógł powstrzymać się od pytania.

O dziwo, starszy pan tym razem się nie zdenerwował.

– Pedofilskie, że tak powiem – wyjaśnił. – No więc ci dwaj są ponoć w stanie narać na życzenie zaufanej osoby chłopca lub dziewczynkę. W dowolnym wieku.

– Zajmują się stręczycielstwem? – Bartek starał się, żeby triumfalne nuty w jego głosie nie zabrzmiały zbyt wyraźnie.

Wiedziałem! Nareszcie ich mam!

– O ile mi wiadomo, stręczyciel to ktoś, kto pobiera za swoje usługi profity. Wasilewski ponoć wyświadcza grzeczność charytatywnie. Ale tylko wybranym.

– Czy powtórzy pan to na policji?

Mały człowieczek popatrzył na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

– Nigdy w życiu! Zepsułbym sobie opinię w środowisku filmowym!

Kopącym, roztrzęsionym, ślizgającym się na podmarzających na nowo ulicach golfem Konecki pojechał na Gołław. Nie mógł się uspokoić. Nie potrafił spojrzeć na to wszystko trzeźwo. Amelia Stokrocka. Protegowana producenta filmowego. Czy ona też musiała przejść przez jego stajnię?

– Jędrək, kiedy go przycisnąłem, powiedział, że jest dla ich biznesu za stara – szeptał, stając na światłach przed Teatrem Powszechnym. – Waldemar powiedział, że Wasilewski załatwia zaufanym osobom chłopca lub dziewczynkę.

W dowolnym wieku.

Musiał z nią natychmiast porozmawiać. Wydusić z niej, czy to

wszystko prawda. Szczerze mówiąc, miał wątpliwości. Po co ktoś tak zamożny bawiłby się w stręczenie osób nieletnich? Pieniądze, które by na tym procederze zarobił, byłyby niczym w porównaniu z kwotami, jakie wpadały mu do kieszeni na legalnej produkcji telewizyjnych programów i filmów. A ryzyko ogromne. Dziwne też, że żadna z ofiar do tej pory nie poskarżyła się policji. Aż tak skutecznie działał system nagród polegający na wprowadzaniu wykorzystanych dzieciaków do świata filmu? Czy obaj z Zacharewiczem raczej je po prostu zastraszaali?

Skręcił w Zieleniecką, potem w lewo na rondzie Waszyngtona. I utknął w popołudniowym korku.

Amelia Stokrocka. Ona z pewnością coś wiedziała. Nawet jeśli była „za stara” na machlojki pana Jacusia i jego przyjaciela Zygi, nie bez powodu szukała informacji na temat dawnych ciemnych sprawek swego patrona. Coś ją niepokoiło. Uwierało.

Korek ruszył. Dość sprawnie udało mu się minąć skrzyżowanie z Kinową, ale potem znów trafił się zator przed rondem Wiatraczna. Stary golf dymił i prychał, coś w silniku rezonowało.

Druga sprawa. Co mają z tym wszystkim wspólnego zabójstwa zaliczane na konto obcinacza dłoni? Ostatecznie można było jeszcze przyjąć, że śmierć Marty Sobień nie miała związku z Zacharewiczem i Wasilewskim. Jednak zabójstwo Ceglarczyka już raczej tak. Konecki nie dziwił się specjalnie, że dawni koledzy z Komendy Stołecznej bagatelizowali ten związek. Pamiętał, jak to jest, kiedy zespół pracuje w potwornym stresie wywołanym naciskami z góry, atakami wyskakujących zewsząd dziennikarzy i setkami świadków zgłaszających się po każdym programie informacyjnym. Ich doniesienia to w ogromnej większości, o ile nie w całości, kompletne bzdury. Każdego trzeba jednak przesłuchać, zaprotokołować, zweryfikować przekazane informacje. W takim chaosie śledczy mają skłonność do wybierania dróg na skrót. Zwłaszcza że szukali nie jednego, a prawdopodobnie dwóch sprawców!

Zamiast więc zapętać się w rozważaniach, co Ceglarczyk robił w mieszkaniu Łyki i jaki z kolei stary dziennikarz ma związek z całą tą sprawą, sprawdzili po prostu alibi Zacharewicza. Facet, który ma tylu ludzi na swoje rozkazy i jeszcze na tylu zdobył haka, bez trudu mógł je sobie załatwić. Ewentualne udowodnienie tego wymagałoby jednak czasu. Zamiast go marnować, śledczy woleli zająć się czesaniem listy morderców, świrów i zbrojeńców – szczególnie tych z wykształceniem medycznym lub dostępem do szpitalnych leków. A nuż od razu i bez ceregieli uda się wytypować podejrzanych?

Bartek w końcu przebił się przez korek na Wiatraku i wypadł na stosunkowo luźną Grochowską. Obojętnie minął swoje biuro i popędził, prychając czarnym dymem, ku Zamienieckiej. Znów utknął w korku, ale stąd był już tylko skok do Ostrobramskiej i położonego tuż za nią bloku Stokrotki.

Strategia przyjęta przez Wydział Terroru Kryminalnego nie była wcale bez sensu. Ktoś, kto zabija w tak okrutny sposób, nie bierze się znikąd. To musi być osoba (a jeśli wierzyć Tyszce, dwie różne osoby!), która już wcześniej zetknęła się ze światem przestępczym. Która popełniała dotychczas jakieś lżejsze czyny, pałętała się gdzieś na obrzeżach patologii. Prawie na pewno była już kiedyś zatrzymywana, nawet karana. Być może przeżyła osobisty dramat – na przykład padła w dzieciństwie ofiarą przemocy lub molestowania. Po takiej biografii prawie zawsze zostaje ślad w policyjnej bazie danych. Cały problem w tym, żeby odsiać ziarna od plew i wydobyć na światło dzienne właściwego człowieka.

Zajechał pod apartamentowiec na tyłach Promenady, wcisnął przycisk domofonu. Sygnał jeden, drugi, trzeci, piąty. Nic. Cisza. Zadzwoił do niej – miała wyłączony telefon, nie mógł więc sprawdzić jej położenia za pomocą MobileSpy. Cofnął się parę kroków, by spojrzeć w jej okna. Ciemne. Nie było jej w domu.

Puszczalska – pomyślał mimowolnie, sadowiąc się w kabinie swojego

samochodu. Po pogodnym, wyżowym dniu noc była zimna.

Muszę poważnie pogadać z Sieroniem.

Żoliborski policjant ciągle winny był Koneckiemu kurtkę.

Złośliwy sukinsyn.

Warszawa. Grudzień. Środa

Konecki obudził się zeszywniały z zimna. Kierownica uciskała go w brzuch, dźwignia zmiany biegów wbijała się w udo. Spojrzał na zegarek – pierwsza w nocy.

Wydobył się z oszronionego auta na ulicę i spojrzął w okna Amelii. Nadal ciemne. A może kiedy spał, przyszła do domu i położyła się spać? Znów do niej zatelefonował.

„Abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon”.

Wciskanie domofonu, a nawet walenie w niego pięścią, także nie przyniosło efektu. Zrezygnowany, powlókł się do volkswagena.

Żeby tylko zapalił. W przeciwnym razie będę musiał zasuwać do biura piechotą.

Silnik zaskoczył. Konecki miał ochotę ucałować swój wóz w maskę. Dzwoniąc zębami, wstrząsany dreszczami, wykręcił w stronę Grochowskiej. Czuł się rozbity fizycznie i psychicznie. Albo osiągnął kres swojej wytrzymałości, albo brało go jakieś choróbsko. Bał się, czy da radę powstrzymać się od zażycia alpraksu.

Wstał późno, ale po wczorajszym (dzisiejszym?) dołku nie było już ani śladu. Grochowska tonęła w słońcu, na twarzy w lustrze już prawie nie widać było siniaków, alprax leżał nietknięty w szufladzie. Znów przepełniała go energia. W głowie sam układał mu się precyzyjny plan.

Pierwsza rzecz – garnitur. Odebrał paczkę z pralni, wrócił, przebrał się. Umyty i ogolony, ubrany jak człowiek, poczuł, że wraca mu pewność

siebie. Da sobie radę. Rozwikła to. I dopadnie Zacharewicza. A także tego drugiego. Pieprzonego obcinacza. Czy raczej dwóch obcinaczy. Ta sprawa to zupełne wariactwo...

Sprzyjało mu szczęście. Jeden telefon do zespołu filmowego i już wiedział, gdzie szukać Amelii. Podał się za cateringowca, który zapomniał, gdzie miał dostarczyć kanapki dla ekipy filmowej.

Most Poniatowskiego. Tyle że tym razem po lewej stronie Wisły. Schody pod stacją kolei Powiśle.

Co oni się tak uparli na tego Poniatoszczaka?

Golf zapalił bez problemu. Bartek zaczynał coraz bardziej lubić ten samochód. Poprawił węzeł krawata, obciągnął mankiety, ruszył. We wstecznym lusterku nie widział ani czarnego audi, ani czarnej X6. Zwolnił, przyspieszył, stanął na chodniku, a potem wyrwał do przodu na pomarańczowym świetle. Nikt go nie śledził. Fartowny dzień, bez dwóch zdań.

Zatrzymał się przy płocie parkingu pod mostem. Już z daleka pod piętrzącą się na wiślanej skarpie wieżycą Poniatowskiego widać było samochody filmowców. Iveco z dwiema toaletami, mercedes z napisem „Kompleksowa obsługa planów filmowych”, autokar nieokreślonej marki z jedzeniem i piciem, ducato, przez którego boczne drzwi widać było charakterystyczną. Po placyku przed wysokimi chyba na dwadzieścia metrów schodami, a nawet po alejkach przylegającego parku kręcili się faceci z krótkofalówkami, kierowcy, asystenci, techniczni.

Wszedł w ten tłum pewnym siebie krokiem. Nikt go nie zatrzymywał. Rozejrzał się. Stokrocka zbiegała właśnie ze schodów, trzymając za rękę jakiegoś amanta, którego Bartek nawet mgliście kojarzył z telewizyjnego ekranu. Operator na dole nie spuszczał ich z oka kamery, kolejny siedział na wysięgniku ustawionym z boku schodów.

– Nie, nie tak! Stokrotka, nie bądź taka ponura! – darł się reżyser. –

Robimy dubel.

– To już szósty – westchnął ktoś przechodzący obok.

Konecki oparł się o maskę iveco, zapalił papierosa. Zaciągnął się z lubością. Miał czas, mógł zaczekać.

Godzinę później scena była nareszcie nakręcona. Amelia cmoknęła się w policzek z operatorem, uścisnęła z aktorem i w końcu zmęczonym krokiem powlokła ku autokarowi. Ekipa rzuciła się do przygotowywania planu pod następną scenę.

Ciekawe, ile razy zbiegała po tych schodach?

Zastąpił jej drogę. Podniosła na niego swoje lekko skośne, kocie oczy. Nie zobaczył w nich ani radości, ani zaskoczenia.

– To ty – stwierdziła. – Mam nadzieję, że się nie zakochałeś?

Mimo wszystko poczuł lekkie ukłucie w sercu.

– Wasilewski jest twoim alfonssem, prawda? – wywalił mocniej, niż planował.

Zmierzyła go tym swoim nieodgadnionym spojrzeniem sfinksa. Na twarzy nie drgnął jej nawet jeden mięsień.

Jest piękna – pomyślał z żalem, bo dobrze wiedział, że nigdy nie będzie jej miał tylko dla siebie.

Nie odzywając się ani słowem, wskazała mu ruchem głowy drugą w kolejności ławeczkę stojącą w parkowej alejce. Mijając podnieconych facetów z walkie-talkie, przeszli trzydzieści metrów i zasiedli na drewnianych dechach. Za ich plecami, w fallicznym geście zwycięstwa, przeżyły się armaty i haubice, ustawione rzędem na podwórzu Muzeum Narodowego.

– Jacek nie jest żadnym alfonssem – odezwała się, kiedy poczęstował ją chesterfieldem. – Co ci strzeliło do głowy?

– Jasne. – Bartek czuł, że wzbiera w nim złość. – Po prostu załatwia aktorom i innym ważniakom dziewczynki i chłopców do dymania. Ot, taki

uczynny człowiek.

Tym razem w jej oczach dostrzegł cień niepokoju. Czym prędzej ukryła się w chmurze tytoniowego dymu.

– To nieprawda – powiedziała bez przekonania. – Jacek to porządny człowiek.

– To samo myślisz o jego koledze Zygmuncie Zacharewiczu?

Leciutko zadrżała. Trafił.

– Słuchaj, Bartek, to już inna historia.

– Opowiedz mi ją.

Przez moment paliła w milczeniu.

– Sama czujesz, że coś tu nie gra, prawda? – Konecki postanowił nie pozwolić jej odetchnąć. – Dlatego właśnie sprawdzałaś u Łyki, co to za historia się ciągnie za twoim Jacusiem i jego upiornym koleżką. I jeszcze kazałaś mu kogoś odszukać. Kogo? Może Janusza Ceglarczyka? Chciałaś zapytać u źródła, czy jest mordercą?

– W tych gazetowych wycinkach było wyraźnie napisane, że Jacek jest niewinny – odpowiedziała szybko.

Za szybko.

– Jak trafiłaś na Czesława Łykę?

– Łatwizna. – Patrzyła mu w oczy z intensywnością osoby, która mija się z prawdą, ale bardzo chce to ukryć. – Wystarczy wpisać w wyszukiwarce frazę: „zabójstwo Krystyny Talko” i już facet wyświetla się jako autor kilku artykułów.

– A jak dowiedziałaś się o istnieniu Krystyny Talko?

Znów zamilkła. Głęboko się zaciągnęła.

– Może podsłuchiłaś rozmowę swojego Jacusia z Zacharewiczem? – zgadywał, nie spuszczając z niej oczu. – Jakiś żarcik na temat polowania na nastolatki, co? A może nawet więcej? Na przykład pogaduchy przy piwku o kolejnej ofierze z odrąbanymi dłońmi? Dykteryjki, jak to

próbowała się bronić? Jak zabawnie się dusiła?

Rzuciła papierosa i zatkała sobie uszy. Dygotała na całym ciele.

– Przestań! – zawołała.

– To ty przestań! – krzyknął jej prosto w twarz. – Przestań to w sobie dusić. Znalazłaś coś na temat swojego kochasia, co mocno cię przeraziło. Co to takiego?

– Anonim – wydukała, nie patrząc na Bartka.

– Anonim?

– Dostałam list. Bez podpisu. Pełno błędów ortograficznych, literówek i wulgaryzmów, aż trudno było w pierwszej chwili zrozumieć, o co chodzi. Ale sens był taki, że Jacek i Zyga to mordercy Krystyny Talko, którzy uniknęli kary. Na dowód, że to prawda, autor powołał się na Czesława Łykę.

W ich stronę szedł wysoki chłopak z gęstą brodą. W ręku, niczym oręż, dzierżył krótkofalówkę.

– Wszystko w porządku, Stokrotko?

Odgoniła go zniecierpliwionym ruchem ręki. Brodacz obrzucił Koneckiego wrogim spojrzeniem i wrócił na plan filmowy. Dopiero teraz Bartek spostrzegł, że Amelia ma łzy w oczach. Mimo to nie zamierzał jej odpuścić.

– Odnalazłaś więc starego dziennikarza i poprosiłaś o wycinki.

Ostrożnie potwierdziła skinieniem głowy.

– I jeszcze chciałaś, żeby kogoś dla ciebie odnalazł. Kogo? Janusza Ceglarczyka?

– Tak – przyznała.

– I co? Udało mu się?

– Nie wiem. Chyba nie. Więcej się już nie odezwał.

Konecki powoli wciągnął, a potem wypuścił powietrze.

– Okej. Przeczytałaś świstki z artykułów i uznałaś, że wszystko jest

w porządku.

Bardziej zdecydowane przytaknięcie.

– A jednak się boisz.

Znieruchomiała.

– Daj jeszcze papierosa.

Podał, pstryknął zapalniczką. Sam powstrzymał się od palenia. Nie chciał, żeby cokolwiek go rozpraszało.

– Naprawdę nie wiem, w co Zachar wplątał Jacka – zaczęła. – Ale to zły człowiek. Naprawdę zły.

Zacięła się. Konecki uznał, że lepiej jej nie popędzać. Siedzieli więc przez chwilę, wpatrując się w otaczające ich martwe, bezlistne drzewa. Jakiś kruk wylądował na ścieżce przed nimi, przekrzywiając łepkę i przyglądając się jednym okiem.

– Byłam jego dziewczyną. – Usłyszał ciche słowa. – Nie wiem, dlaczego akurat mnie wybrał. – Amelia posłała mu szybkie, ukradkowe spojrzenie.

Znów kłamiesz, kotku.

Mimo to nadal jej nie przerywał.

– Po prostu pewnego razu, kilka lat temu, podszedł do mnie, kiedy wychodziłam z uczelni. Byłam wtedy młodą mężatką, studiowałam w Warszawie pedagogikę, chciałam wrócić do siebie na wieś i pracować z dziećmi... – Parsknęła śmiechem, jakby usłyszała niezły żart.

– Spodobał ci się? – Konecki nie mógł powstrzymać się od pytania. – Bogaty, silny. No i ta aura władzy...

Odważnie spojrzała mu w oczy.

– Tak, to też – przyznała. – Szybko jednak zrozumiałam, że nie mam w tym układzie nic do gadania. To on podejmował decyzje. Także tę o moim rozwodzie. Czasem był miły, hojny, a czasem... – Nie dokończyła. Znowu łapczywie zaciągnęła się papierosem. – Nie wiem, czy

Zyga ma coś wspólnego ze stręczycielstwem – podjęła monolog. – Na pewno ciąży mu na sumieniu niejedno złamane życie, to tak. Lichwiarskie pożyczki, a potem wymuszenia, lokatorzy wyrzucani z domów na bruk... Ale krzywdzenie dzieci?

Zamyśliła się, a Bartek zastanawiał się, czy aby Waldemar nie zmyślił sobie tego wszystkiego, żeby dostać od Tomka nocleg.

– Raz... – zająknęła się, a on nadstawił uszu. – Raz zabrał mnie do takiej restauracji. Na Pradze, przy Jagiellońskiej. Mają tam salę na piętrze. Na prywatne imprezy i biznesowe spotkania.

Słuchał jej z uwagą, choć nic jeszcze z tego nie rozumiał.

– To pomieszczenie ma ruchome ścianki. Na podwieszanych szynach. Możesz je zamknąć i zmienić lokal w kilka boksów lub rozsunąć i mieć sporą salę konferencyjną.

Do czego ona, u licha, zmierza?

– Zyga jest próżny – mówiła dalej. – Lubi się popisywać. Zwłaszcza wtedy, kiedy gnoi ludzi.

Umilkła, bo parkową alejką przebiegł amator joggingu, odważnie ubrany w sam tylko obcisły, termoaktywny kombinezon. Biegacz kompletnie nie zwrócił na nich uwagi, całą jego świadomość absorbował pobliski plan filmowy.

– Chyba dlatego zabrał mnie wtedy ze sobą – mówiła dalej. – Jakieś pięć lat temu. Kazał usiąść za ścianką i nadstawić ucha, a sam spotkał się z kimś w sąsiednim boksie.

– Z jakimś dzieckiem? – Konecki poczuł, że zaciskają mu się pięści.

– Wręcz przeciwnie! To był dorosły facet. Chyba rzeczywiście aktor, bo głos jakby z jakiegoś serialu. Wtedy jednak sama nawet nie myślałam o aktorstwie. Nie skojarzyłam nazwiska.

– I co z tym aktorem?

– Zyga go zniszczył.

– Pobił?

– Nawet go nie tknął. Wystarczyły słowa.

– Jakie słowa? – Bartek czuł, że napięcie rozsadza mu czaszkę.

– Nie rozmawiali o konkretach, ale wyszło na to, że Zyga na czymś tamtego przyłapał. W pokoju hotelowym, do którego wpadł razem z policjantem.

– Jakim policjantem? – W mózgu rozdzwoniły mu się dzwonki alarmowe.

– Nie wiem, ale Zachar wyrażał się później o nim per „mój pies, mój wiejski kundel”.

– Okej, mów dalej.

– Zyga groził tamtemu, że będzie sprawa, że pośle go za kraty. Straszyl, że inni więźniowie zrobią sobie z jego tyłka poligon atomowy.

Znany – czytaj: bogaty – aktor. Szantaż. Kryminalna sprawa.

Amelia opowiadała dalej:

– Tamten mężczyzna płakał. Błagał, żeby nie niszczyć mu kariery. Żona, dzieci... takie tam. Kompletnie się rozkleił.

– Nie wspominał aby nazwiska Wasilewskiego?

Znów szybkie, ukradkowe spojrzenie. Nawet by go nie zarejestrował, gdyby tak uważnie się w nią nie wpatrywał.

– Nie...

– Mów prawdę.

– Zachar powiedział mu tylko, że „nawet Jacek ci nie pomoże”.

A więc jednak. Jacek. Dziwnym trafem wyskakiwał zawsze tam, gdzie kręcił lody Zacharewicz.

– Co dalej?

– To już właściwie wszystko. Tamten facet zapytał, ile ma zapłacić, żeby nie było problemu. Zyga odpowiedział, że pół miliona.

Pół miliona. Pięć lat temu. Wtedy można było za to kupić ze trzy

mieszkania w bloku lub pięć dobrych samochodów.

Ogromna kupa pieniędzy.

Odchodził już do auta, kiedy usłyszał za plecami:

– Masz mnie za zwykłą dziwkę, prawda?

Zatrzymał się, ale nie obejrzał. Nie zaprzeczył.

– Życie niesie ze sobą różne sytuacje. Są takie, których nie sposób udźwignąć... – Dobiegły go jeszcze jej słowa.

Wsiadł w golfa, zapalił bez trudu, ruszył przed siebie. Musiał pomyśleć. Ta historia zaczynała się powoli sklejać. Wasilewski ze znanych tylko sobie źródeł załatwiał towar.

Dziewczynki i chłopcy. W dowolnym wieku.

Następnie w ramach bezinteresownej, przyjacielskiej przysługi rzucali te dzieci w łapy zaprzyjaźnionych zboków. A ktoś o jego pozycji ma wielu przyjaciół o wyrafinowanych gustach...

Na tym jego rola się kończyła. Odtąd był czysty. Brudną robotę odwalał natomiast Zacharewicz. Wchodził z drzwiami, w asyście zblatowanego gliniarza, do gniazdka miłości. A potem załatwiał sprawę. Za ciężką forszę.

Idealny biznes. Ofiary szantażu nie zgłaszały się na policję, przestępstwa nie było. W ogóle złapani w pułapkę zbrodniecy siedzieli cicho. Żona, dzieci, pozycja społeczna – to zamykało im usta. Nikt nic nie wiedział poza samymi zainteresowanymi. Jeżeli w środowisku pojawiały się jakieś plotki, to tylko te o „uprzejmościach” świadczonych przez Wasilewskiego. Nikt jednak, nawet gdyby chciał, nie mógł mu niczego udowodnić. Molestowane dzieci z jakiegoś powodu także milczały.

Biznes bez ryzyka. A zyski porównywalne z tymi z handlu narkotykami.

Ani się obejrzał, jak był już w Wawrze. Nieświadomie dojechał niemal na miejsce zabójstwa Marty Sobień.

Marta Sobień i Janusz Ceglarczyk. Co ich łączyło z Wasilewskim i Zacharewiczem?

Oczywiście poza tym, że poczciwy Zyga wysłał przed laty Ceglarczyka na wieloletnią, niezasłużoną odsiadkę...

Za Międzylesiem skręcił w las. Szeroka, choć pełna muld i kałuż droga doprowadziła go do zalesionego wzgórza obok wyschniętego stawu. Dalej się jechać nie dało, przejazd blokował biało-zielony szlaban.

To gdzieś tutaj.

Wysiadł, odetchnął niepokojąco świeżym powietrzem. W dali zakrakały ptaki. W sezonie ta okolica była miejscem pikników i biesiad. Wskazywały na to drewniana wiata ze stołem i miejsce na ognisko otoczone ławami. Konecki dostrzegł nawet drewniany stojak na rowery. Aż dziw, że nikt tego nie porozwalał. Co oni? Nie mają tu chuliganów?

Teraz, zimą, było tu jednak pusto. Gdyby nawet na drodze czy prostopadłej do niej ścieżce zawieruszył się zbłąkany biegacz czy rowerzysta, wystarczyło posiedzieć w samochodzie i poczekać, aż znów zniknie za drzewami. A potem wyprowadzić ubezwłasnowolnioną ofiarę paręnaście kroków w zarośla i popatrzeć, jak się dusi. A wcześniej odrąbać jej dłonie.

Janusz Ceglarczyk. Marta Sobień – wałkował Bartek w myślach.

Pierwszy był pechowcem, którego wrobiono w morderstwo. Dlaczego po odsiedzeniu wyroku miałby zabijać Czesława Łykę? Nawet jeśli stary dziennikarz jakoś do niego dotarł i zaczął zadawać niewygodne pytania, to jeszcze nie powód, by rozbijać mu łeb młotkiem. A Sobień? To po prostu młoda dziewczyna, zagubiona w wielkim mieście. Tania dziwka. Co ich łączyło?

Nic. Poza podobnym losem. Konecki sięgnął więc dalej pamięcią.

Krystyna Talko. Autostopowiczka jadąca do Jarocina. Nadal żadnego związku pomiędzy ofiarami. Może to naprawdę dwie różne sprawy? No i jest jeszcze Sandra Konopko-Wołek. Dziewczynka uratowana w ostatniej chwili przez Norberta Pałuchę. Też żadnych powiązań z tamtymi. Nastolatka z domu dziecka położonego gdzieś na odludziu, która...

Nagle się zatrzymał. Kto to ostatnio mówił o jakiejś protegowanej Wasilewskiego, pochodzącej z prowincjonalnego sierocińca? Waldemar. Dom dziecka. Prowincja.

Gwałtownie zakręcił w miejscu i ruszył do samochodu. Jak mógł wcześniej na to nie wpaść?

Towar. Towar to coś, co spokojnie leży na magazynowej półce, dopóki ktoś po to nie sięgnie. Sięgnie i użyje. A potem odstawi z powrotem. Komu się może poskarżyć towar? Przecież nie magazynierowi!

Jacek Wasilewski musiał mieć układ z dyrektorem sierocińca. Układ sięgający zapewne jeszcze lat dziewięćdziesiątych... Jaki to dom? Tej informacji nie było w wybrakowanych aktach, które wyciągnął mu z sądu Lichocki. Ktoś musiał ją usunąć. Zacharewicz.

Muszę jeszcze raz porozmawiać z Sandrą Konopko – postanowił, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Silnik jednak ani myślał zaskoczyć. Konecki powoli potoczył wokoło wzrokiem. Las, las, las. Ani żywego ducha. Na szczęście stał na wydmie obok wyschniętego jeziora. Modląc się w duchu, żeby się udało, wysiadł, pchnął auto, wskoczył z powrotem w bieżący. Pozwolił mu się chwilę potoczyć, a potem drugi bieg i puszczenie sprzęgła. Krystaliczne powietrze zasnuł czarny, lepki dym, ale golf zaskoczył. Uf.

Był już na Wale Miedzeszyńskim i planował jechać wprost pod Ostrowiec Wielkopolski, gdzie z mężem pijakiem mieszkała Sandra, kiedy za sobą zobaczył policyjnego koguta. Rzucił okiem na licznik. Dozwoloną prędkość przekroczył tylko o dziesiątaka. O co chodzi?

Zjechał do zatoczki przy przystanku autobusowym. W lusterku zobaczył zmierzającego ku niemu krokiem szeryfa aspiranta drogówki. Otworzył szybę.

– Aspirant Warga, Wydział Ruchu Drogowego – przedstawił się. – Poproszę prawo jazdy, dowód rejestracyjny i przede wszystkim aktualne badanie techniczne – wyrecytował.

Zaraz jednak przeniósł wzrok na opony w golfie i dodał, szczerząc się spod szczeciniastego wąsa: – I jeszcze kartę rajdowca, bo widzę, że jeździ pan na sportowych slikach.

Z ciężkim westchnieniem Konecki podał mu wszystkie papiery. Prawie wszystkie. Badania technicznego nie miał.

– Trzeba będzie zholować tę furę – pokiwał głową aspirant. – Ciągnie pan za sobą zasłonę dymną.

Cholera, skąd wziąć inny samochód?

Policjant z drogówki zabrał dokumenty i wrócił do radiowozu. Bartek kombinował. Do Jolki wolałby nie dzwonić. Kto jeszcze mógłby mu pożyczyć auto? Lichocki? Też nie najlepiej im się ostatnio układało. Może Stokrocka?

Aż podskoczył, gdy przyszło mu do głowy rozwiązanie. Sięgnął do kieszeni spodni i z ulgą stwierdził, że wciąż ma w nich nieco już spraną wizytówkę, którą Sieroń wręczył mu kiedyś na Świętojerskiej. Czym prędzej wystukał jego numer.

– Cześć, leszczu – usłyszał w słuchawce już po drugim sygnale. – Zabawne, ale właśnie o tobie myślałem.

Kurwa, Roman Sieroń zna na pamięć numer mojej komórki.

– Uważaj, żeby ci to nie weszło w nałóg – zamruczał Konecki. – Nie jesteś w moim typie.

– Wiesz? – Sieroń nie zwrócił uwagi na przytyk. – Jakoś nie może mi wyjść z głowy, że kiedy ci powiedziałem, że mamy zabójcę dziennikarza,

w pierwszym odruchu rzucił nazwiskiem Zacharewicz. Pamiętasz?

Pamiętał. Pluł sobie w brodę, że nie ugryzł się wtedy w język.

W tym momencie do samochodu podszedł aspirant Warga. Na jego twarzy błąkał się uśmiezek zadowolenia. Dokumenty Koneckiego trzymał samymi opuszkami palca wskazującego i kciuka, uderzając nimi miarowo we wnętrze otwartej dłoni.

– Chętnie ci o tym opowiem, Roman. Ale mam tu mały kłopot – niewinnym głosem wtrącił Bartek. – Pewien szybki i wściekły funkcjonariusz WRD właśnie chce mi zabrać dowód rejestracyjny samochodu. Mógłbyś zamienić z nim słowo?

I nie czekając na odpowiedź Sieronia, podał swój telefon policjantowi drogówki.

– To do pana. Z wydziału kryminalnego komendy rejonowej na Żoliborzu.

Warga, duże, grube i wąsate chłopisko, ujął telefon tak, jakby się bał czymś od niego zarazić. Zatrzymał aparat pięć centymetrów od ucha. Słuchał przez pół minuty, poczerwieniał, po czym syknął:

– Ja panu nie podlegam! A temu facetowi kopci z rury jak z pieca martenowskiego i jeszcze ma opony gładse niż płozy sanek. Jak spowoduje wypadek, kto za to beknie?

Znów przerwał i chwilę słuchał. Jego twarz nieco się wypogodziła, ale wciąż łypał na Koneckiego z niechęcią. W końcu oderwał komórkę od ucha, odrzucił ją przez otwarte okno na fotel pasażera, jakby była znalezioną w drugim śniadaniu żabą, i spytał:

– Naprawdę bierzesz udział w tajnej operacji?

– No wiesz... tajne operacje bywają tak tajne, że człowiek sam już czasem nie wie, czy w niej uczestniczy czy nie.

Stróż porządku drogowego zmierzył go takim wzrokiem, jakim pielęgniarki w szpitalach psychiatrycznych patrzą zwykle na pacjentów

oddziałów zamkniętych („Wsadzić go do izolatki czy udać, że nie widzę?”). W końcu machnął ręką.

– Komisarz ma do ciebie sprawę. Kazał natychmiast zadzwonić ponownie. Żegnam.

Odwrócił się i ruszył do radiowozu, a Bartek z duszą na ramieniu przekręcił kluczyk. Uf, golf tym razem zapalił. Konecki ani myślał znowu odzywać się do Sieronia, ale podkomisarz chyba się tego domyślił i postanowił przejąć inicjatywę. Kabinę golfa przepełniły dźwięki z *Gwiezdnych wojen*. Po krótkiej chwili wahania Bartek odebrał, równocześnie włączając się do ruchu. Faceci w radiowozie odwrócili spojrzenia.

– Myślę, że ten Zacharewicz ma coś wspólnego z zabójstwem Łyki, a ty prowadzisz w tej sprawie własne postępowanie. – Sieroń wypalił to od razu po podniesieniu słuchawki. – Chciałbym być na bieżąco.

– Przecież zamknęliście to śledztwo.

– Pani prokurator zamknęła, nie ja! – Sieroń zgrzytnął zębami.

Wtedy Koneckiemu coś przyszło do głowy.

– A może blefujesz? – rzucił od niechcienia.

Po stronie Sieronia zapanowało pełne wyczekiwania milczenie.

– Może doskonale znasz Zygmunta Zacharewicza, a mnie wypytujesz, żeby się dowiedzieć, czy czegoś na niego nie znalazłem?

Kundel z prowincji – tak nazywał swojego zblatowanego gliniarza Zachar. Dla byłego ważniaka z Komendy Stołecznej Żoliborz może być prowincją...

– Sugerujesz, że pracuję dla przestępcy?

– Wiem tylko, że Zacharewicz wciąż ma niezłe kontakty w policji. Może jakaś sprzedajna menda mu się wysługuje? Na przykład ty? Bardzo się zaangażowałeś w tę sprawę.

Cisza w eterze stała się ciężka jak kamienny nawis nad górską ścieżką.

– Wiesz co, Konecki? Wyjątkowy z ciebie niewdzięcznik. Właśnie uratowałem cię od mandatu.

– Dzięki, ale nie odchodźmy od głównego nurtu naszej dyskusji. To jak jest z tobą? Jesteś złym czy dobrym gliną?

Przez chwilę Bartek myślał, że tamten rzuci słuchawką, gdy w końcu rozległy się słowa Sieronia:

– Odpowiem ci dobrą radą.

– Takie są zawsze w cenie.

– Na twoim miejscu lepiej dobierałbym przyjaciół.

Tym razem to Konecki się zdziwił. Przyjaciół? To on w ogóle miał jakichś?

– Ten twój ksiądz, który łązi po mieście, wypytując o Wasilewskiego i Zacharewicza... – Sieroń ostentacyjnie zawiesił głos, żeby do Koneckiego dotarło, że wie, co w trawie piszczy. – To zwykły oszust.

– Oszust? – Bartek aż zamrugał powiekami.

Policjant zarechotał.

– Nie wiedziałeś! – Ucieszył się jak uczeń, który poprawnie odpowiedział, ile to pięć razy dziewięć.

Bartek omal nie wjechał w dźwiękoszczelny ekran ciągnący się wzdłuż trasy. Słuchał w napięciu. Musiał się dowiedzieć, co podkomisarz ma na myśli.

– Nigdy nie skończył seminarium. Nawet go tam nie przyjęli. Od kilkunastu lat szwenda się po Polsce w koloratce i udaje duchownego. Miał już z tego tytułu kilka spraw. Nazywa się Hertel. Po prostu Hertel. Żaden tam ojciec Tomasz.

W telefonie zapadła cisza. Sieroń się rozłączył.

Konecki jeszcze przez chwilę jechał spokojnie. A potem wdepnął gaz, jakby chciał wbić pedał w podłogę, i wyrwał do przodu, buksując kołami.

Tym razem nie musiał go wcale szukać. Od razu trafił na Tomka w mieszkaniu przy Bliskiej. Mieszkanie? Raczej pokój przy mieszkaniu jakichś staruszków. Fałszywy ksiądz otworzył mu drzwi, rozpromieniając się w uśmiechu. W odpowiedzi Bartek pchnął go tak, że drobne ciało w sutannie pofrunęło pod przeciwległą ścianę.

– Jesteś szmatławym oszustem, Hertel.

Tamten wstał, rozmasował stłuczony łokieć, poprawił koloratkę. Jego twarz wyrażała smutek, ale wcale nie strach czy zdenerwowanie.

– Oszustem? – powtórzył. – Dlaczego? Że uczę ludzi odróżniać dobro od zła i karę od pokuty, nie mając namaszczenia biskupa?

– Okłamujesz ludzi!

– Tylko na początku. Żeby w ogóle zaczęli mnie słuchać. Potem, wybranym, przyznaję się, kim jestem. Tobie też bym powiedział.

– Akurat!

– Nie jesteś pierwszym ani zapewne ostatnim, który mnie zdemaskował. Miałem już kilka spraw w sądzie. Wszystkie umorzone ze względu na niską szkodliwość społeczną. Raz nawet sędzia mnie przeprosił. Powiedział, że chciałby mieć w parafii takiego kapłana...

– Ale...

– Nikogo nie naciągam na datki, nie okradam. Pieniądze przyjmuję tylko od moich rodziców, którzy wiedzą o mnie wszystko. I od tych wiernych, których wtajemniczyłem w swoje sprawy, a mimo to chcą mi pomagać. Zresztą o pieniądze proszę w ostateczności. Częściej ktoś zaprosi na obiad, da u siebie pomieszkać. – Tu Hertel zatoczył ręką po otaczających ich ścianach. – Albo pożyczycy samochód, żebym mógł coś załatwić za miastem. Nigdy nie osiągałem żadnych korzyści za pomocą tej koloratki! – Hertel szarpnął się za grdykę. Widać było, że zapala się coraz bardziej.

– Manipulujesz ludźmi, którzy ci zaufali!

– Ja manipuluję? A co powiesz o tych faryzeuszach, którzy mają wprowadzić święcenia, ale zamiast nauczać... zamiast iść między ludzi... do ubogich, maluczkich, skrzywdzonych... siedzą na tłustych zadkach i obrastają w piórka?

– Ładne słowa.

– Słowa to słowa. Zbiór głosek i tyle. Ważne, żeby nie przysłaniały prawdy. A prawda jest taka, że żyjemy w czasach, w których na wszystko musisz mieć papier. Znasz język obcy? Nie uwierzą ci, choć mówisz płynnie, póki nie pokażesz certyfikatu. Chcesz połączyć się z kobietą na dobre i na złe? Musisz mieć na to akt ślubu. Zamierzasz dzielić się z ludźmi swoim doświadczeniem? Nawet nie próbuj, jeśli nie posiadasz dyplomu psychologa i poświadczenia o ukończonym kursie coachingu. Spłodziłeś dziecko? Ono nie istnieje, dopóki urząd nie wyznaczy mu dożywotnio numeru PESEL. Papiery, kwity, dokumenty i zaświadczenia przesłaniają nam rzeczywistość, zastępują zdrowy rozsądek i doświadczenie.

Konecki patrzył na niego w milczeniu. Złość nagromadzona po drodze siadała w nim jak ciasto drożdżowe pod wpływem przeciągu.

O co ja się właściwie tego człowieka czepiam? Uratował mi tyłek, pomógł w śledztwie, a ja rzucam nim po pokoju jak szmacianą lalką tylko dlatego, że okazał się niespełnionym księdzem.

– Kiedyś chciałem zostać legalnym duchownym. Jak każdy kandydat poszedłem na rozmowę z rektorem seminarium. Przyznałem mu się, że jako nastolatek próbowałem popełnić samobójstwo. Głupia, szczenięca, zawiedziona miłość. Już nawet nie pamiętam jej imienia. Ale rektor się przestraszył. Zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Tak, bracie. Jeden głupi błąd w młodości przekreślił rozpierające mnie powołanie. Ale czy to znaczy, że nie wolno mi mówić o zbawieniu? Czy tylko oni, tłuści faceci w lśniących ornatach, mają monopol na prawdę? Teraz jestem wdzięczny,

że mnie nie przyjęli. Uważam to za znak, który wskazał mi inną drogę. Będę nią szedł, nawet jeśli w końcu zamkną mnie w więzieniu. Tam też trzeba mówić o sile przebaczenia, współczucia i odkupieniu za grzechy.

– Cholera, Tomek, jesteś nawiedzonym szajbusem.

– Może i tak. – Hertel leciutko się uśmiechnął, znów rozcierając łokieć.
– A może to ja jestem normalny, a świat dookoła zwariował? Rozejrzyj się wokół siebie. Zewsząd otaczają nas bałwochwalcze cielce. Te wszystkie korporacyjne kariery, stanowiska, awanse. Te marki samochodów, odmiany smartfonów. Internetowe społeczności, liczby lajków i komentarzy. Ludzie są gotowi wszystkiemu zaprzedać duszę, byle się w tym unurzać. Zamiast pokory, współczucia i przebaczenia wybierają nienawiść, chciwość, zazdrość. Uzależniają się już nie tylko od wódki czy automatów do gry, o których wiadomo przecież, że mają wbudowany algorytm obdzierania do skóry. Uzależniają się nawet od morderczej pracy, lichwiarskich kredytów, chwiejnej opinii innych i coraz gorszych informacji ze świata. Tak, bracie. Kręcimy się w kółko, wpatrzeni w pył pod naszymi stopami. I nawet nie zauważamy, że wysoko w górze świeci słońce.

Bartek opadł na jeden z dwóch w pomieszczeniu taboretów. Wątpy zydelek zaprotestował przejmującym skowytym.

– Ty też nie jesteś od tego wszystkiego wolny! – Hertel czy też Tomek, diabli wiedzą, wycelował w niego swój kościsty palec. – Napędzają cię złość i fałszywe poczucie sprawiedliwości. Gonisz za tymi dwoma złoczyńcami i zaprzepaszczasz wszystko, co cię otacza. Depczesz ludzi, depczesz miłość. Co? Myślisz, że nie zauważyłem, że masz złamane serce? Żałuję, że ci pomogłem. Przecież tamci i tak nie unikną kary!

– To mordercy.

– Ich ofiary grzeją się teraz w świetle zbawienia. Cierpienie, jakie im zadano, je oczyściło. Po co chcesz skalać własną duszę, babrząc się w brudach tych dwóch zbrojów? Po co grzeszysz, hodując w sobie

nienawiść do nich? Czemu rośniesz w pychę i uważasz, że jesteś od nich sprawiedliwszy, lepszy?

Bartek w końcu się rozeźmiał. Nie miał już siły wściekać się na tego wąłego szaleńca, pałającego świętym ogniem. Wstał, podszedł, nachylił się i objął go ramionami. Tamten w pierwszej chwili stężał, próbował się cofnąć, ale po chwili odwzajemnił uścisk.

Fałszywy ksiądz i udawany glina. Dobrana z nas para.

Warszawa. Listopad 2016

Obudziła się z odrętwienia w jakimś samochodzie. Siedziała, a raczej leżała na tylnej kanapie. Przednie fotele zajmowało dwóch mężczyzn.

Kim oni są?

Nie mogła sobie przypomnieć, choć wiedziała, że jednego powinna kojarzyć.

Kim ja jestem?

Z trudem zbierała myśli. Mózg oplatała jej sieć otępienia. Była na wpół przytomna. Dali jej coś do wypicia, chyba... Potem poczuła się, jakby była kompletnie pijana.

Kim jestem?

Potrząsnęła głową i wtedy sobie przypomniała.

A tak. Marta Sobień.

W tym momencie ogarnął ją strach. Na lęk wywołany dezorientacją i ogłupiającym działaniem narkotyku, który ci dwaj musieli jej podać, nałożył się dużo silniejszy – przed śmiercią. Nie domyślała się, skąd to wie, ale wiedziała. Oni chcą ją zabić.

Z trudem wyprostowała się do pozycji siedzącej, obróciła, klęknięta na siedzisku i wyrzała przez tylną szybę. Za nimi był sznur unieruchomionych samochodów. Dziesiątki aut, dziesiątki twarzy za szybami splukiwanymi przez jesienną mżawkę. Chciała zawołać. Wezwać pomocy. Ale kazano jej milczeć. I choć wiedziała, że nie powinna ich słuchać, nie potrafiła się sprzeciwić. Więc tylko patrzyła, szukała kontaktu wzrokowego. Inni kierowcy odwracali jednak od niej oczy.

Już traciła nadzieję, zwłaszcza że korek ruszył, kiedy napotkała

spojrzenie zwalistego mężczyzny za kierownicą starego golfa. Przyglądał się jej badawczo ze zmarszczonym czołem. Zrobiła wszystko, by przekazać mu, jak mocno się boi. Jak bardzo potrzebuje pomocy. I nagle wydało się jej, że tamten zrozumiał. Wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć do klamki, otworzyć drzwi i wysiąść. Niemal zachłysnęła się euforią. Tyle że właśnie wtedy samochód, który był jej więzieniem, szarpnął i skoczył o kilka metrów do przodu. Kierowca golfa też wrzucił bieg, ale dokładnie w tej chwili jakieś rozpędzone auto wcisnęło się w przestrzeń pomiędzy nimi. Klakson. Krzyki. Trzask otwieranych drzwi i jeszcze więcej krzyków. W tym czasie korek znów ruszył. Z gasnącą nadzieją Marta patrzyła na pozostającego w tyle golfa. Pomiedzy nią a jego kierowcę wciskały się wciąż nowe samochody. Nadzieja zgasła.

CZĘŚĆ II

Grudzień. Okolice Zduńskiej Woli. Środa

Za ostatnie niemal pieniądze z zaliczki od Zacharewicza zatankował golfa do połowy baku. Dokupił jeszcze elementy (tańsze od chesterfieldów) i hot doga. Zostało mu osiemdziesiąt złotych.

W pierwszej chwili chciał jechać prosto do domu Sandry Konopko-Wołek, położonego między Ostrowem Wielkopolskim a Kaliszem, ale po namyśle uznał, że lekko nadłoży drogi i wpadnie pod Sieradz. Do domu rodziców Krystyny Talko.

Trochę zbyt pochopnie skreślił ich z listy ważnych świadków. Jedna rozmowa telefoniczna i z głowy. A to jednak najbliżsi krewni pierwszej ofiary. Tej, od której wszystko się zaczęło. Czego oczekiwał po rozmowie z nimi? Nie miał bladego pojęcia, ale i tak – nawet gdyby pojechał najszybciej jak się da wprost do Sandry – będzie już za późno na odwiedzin w domu dziecka.

Od dawna było już ciemno, kiedy dotarł do położonego w centrum wsi domu. Murowany, nieocieplony, dach kryty blachą. Ubogi, ale porządny. Pięć minut spacerkiem do sklepu Groszek, tyle samo w drugą stronę – do ładnego, ceglanego kościoła.

– Przepraszam, okłamałem państwa. Kiedy do was dzwoniłem kilka dni temu, podałem się za pracownika przychodni – powiedział, kiedy wpuścili go do środka i posadzili za stołem nakrytym koronkowym obrusem, dociśniętym do blatu przyciętą pod wymiar szybą.

Dwoje starszków o dobrotliwych, choć nieco zaniepokojonych niespodziewaną wizytą twarzach siedziało z dłońmi ułożonymi równo na szkle.

Za plecami pani domu – drobniutkiej, zgarbionej, siwej jak gołąbek kobiety – wisał portret papieża. Pod nim zdjęcie naburmuszonej, ale ładnej i wyglądającej na inteligentną nastolatki. Przewiązane czarną wstążką.

Krystyna Talko.

– Tak, wiemy – odezwał się pan domu.

Duży mężczyzna z lekką nadwagą. Jego wielkie dłonie wskazywały, że kiedyś musiał być silny jak tur, teraz jednak ciało zdawało się sprawiać mu tylko kłopot. Poruszał się, szurając stopami, a gdy szedł, wspierał się o meble.

– Po tamtej rozmowie zadzwoniliśmy do przychodni spytać o ankietę, ale nas wyśmiali.

Mała rzecz, a wstyd. Koneckiemu zrobiło się głupio.

Depczesz ludzi – powiedział mu Tomek. O, *pardon*, Hertel.

Pokój, w którym siedzieli, lśnił czystością, choć widać było, że wszechogarniająca świat entropia powoli zdobywa przyczółki także i tu. Wysoko pod sufitem zostały ślady pajęczyny, talerze z ludowymi motywami ustawione na górnej półce regału były zakurzone. Gospodarze nie mieli już siły dostawać się ze szczotką i ścierką w trudniej dostępne miejsca.

Zostali na stare lata sami. Nikt im nie pomagał.

Wbrew woli Bartek pomyślał o własnej, samotnej matce. Samotnej, o ile nie liczyć ciotki Krysi. Ale czy obecność Krysi to aby na pewno atut? Obie panie potrafiły w wyrafinowany sposób wbijać sobie szpile.

– Kim więc pan jest?

Patrzyli na niego z uwagą. Nie miał siły znów bawić się w gierki. Wyjaśnił im, kim jest i – choć w wersji bardzo skróconej – dlaczego znów zajął się sprawą ich córki.

Nie wydawali się z tego zadowoleni.

– Proszę nie mieszać małżonce w głowie – surowo skarcił go staruszek.

– Oboje długo nie mogliśmy się pogodzić z odejściem Krysi. Cierpieliśmy. W końcu jakoś to sobie poukładaliśmy. Chłopak, który zbłądził. Zło wypływające z szatańskiej muzyki, jakiej słuchał. Policja go złapała, sąd skazał. Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba żyć dalej.

Trzeba żyć dalej.

Ołtarzyk, jaki w salonie wystawili zmarłej córce, wskazywał na coś przeciwnego. Oni nigdy nie pogodzili się z jej odejściem. Krysia wciąż wywierała wielki wpływ na ich życie.

Rzeczywiście. Po co tu przyszedłem? Czemu włożę im buciorami w życie?

Chciał już ponownie przeprosić i wyjść, kiedy pan domu dorzucił cztery gniewne słowa:

– Najpierw Melka, teraz on!

Melka. Skrót od Amelia?

– Proszę wybaczyć – powiedział najostrożniej, jak potrafił. – O jakiej Melce pan mówi?

Dziadek aż fuknął ze złości.

– Jak o jakiej? O naszej córce, rzecz prosta!

Młodsza córka. Tak, było coś w aktach. Kiedy Pałucha wezwał rodziców Krystyny Talko, aby rozpoznali zwłoki, przyjechali do Warszawy z kilkuletnim dzieckiem. Aspirant nie wymienił nawet dziewczynki z imienia.

– Może pan powiedzieć, jak ona się nazywa?

– Czy pan jest nietrzeźwy? – Ojciec Krystyny zmierzył go wzrokiem. – Oczywiście, że Amelia Talko.

Aha. Talko. No jasne. Imię Amelia, nawet w dzisiejszych czasach, w których królują Zosie, Marysie i Tosie, wciąż nosi wiele kobiet.

– Pan chyba pyta o jej nazwisko po mężu... – W pokoju zadźwięczał cichy niczym brzęczenie komara kobiecy głosik.

– Zwariowała smarkula na punkcie tej waszej Warszawy! – Pan domu nie potrafił już powstrzymać rozpierających go emocji. – Zostawiła schorowanych rodziców, porzuciła męża i robi tę niby karierę w stolicy. Nie odzywa się do nas. Tylko raz, będzie na początku zeszłego miesiąca, zadzwoniła i – tak jak teraz pan – namieszała nam w głowach. Że niby ten, tfu, Ceglarczyk może być niewinny.

– Jakie jest jej nazwisko po mężu? – Konecki był gotów paść przed staruszką na kolana, żeby je w końcu usłyszeć.

– Stokrocka. A bo co?

Między Kaliszem a Ostrowem Wielkopolskim. Grudzień.

Środa

Długo musiał walczyć ze sobą, żeby od razu nie wrócić do Warszawy. Po co zawracać sobie głowę domem dziecka, z którego czerpano żywy towar, skoro już miał mściciela? A właściwie mścicielkę...

Amelia Stokrocka. Młodsza siostra Krystyny Talko. Że też wcześniej nie sprawdził jej panieńskiego nazwiska! Ile mogła mieć teraz lat? Dwadzieścia siedem? Dwadzieścia osiem? Wszystko się zgadzało. Opętana żądzą rewanżu za śmierć ubóstwianej siostry zbliżyła się do jej mordercy. A nawet została jego kochanką.

„Nie wiem, dlaczego akurat mnie wybrał. Po prostu pewnego dnia czekał na mnie przed bramą uczelni”.

Aha. Akurat. Sama go osaczyła, zdobyła zaufanie. Tylko co dalej? Może zabrakło jej odwagi, by zadać ostateczny cios? A może Zachar ją rozszyfrował? Przeskoczyła więc do łóżka Wasilewskiego, by nie tracić z oczu morderców.

Jechał. Noc była gęsta, pochmurna. Zbierało się na deszcz, śnieg albo co tam jeszcze wymyślą niebiosy. Boczna szosa była pusta. Żadnych aut, żadnego ruchu. Kraj zamarł, przygotowując się do świąt.

A więc Stokrocka. Musiała poczuć, że nie ma dość siły, by samotnie rozprawić się z Zacharewiczem i Wasilewskim, więc postanowiła naprowadzić na nich śledczych. Zabiła Martę Sobień w sposób możliwie najbardziej podobny do tego, w jaki pozbawiono życia jej siostrę. Aż trudno uwierzyć. Skąd w tej wiotkiej kobiecie tyle siły, by zamordować człowieka?

Jechał. Wciąż był zbyt wstrząśnięty swoim odkryciem, by zdecydować,

co dalej. Zadzwoń do Lichockiego? Albo i od razu do Żyły? Zakablować ją, pozostawiając poukładanie szczegółów dawnym kolegom?

No właśnie. Szczegóły. Nie wszystko się zgadzało w tej układance. Janusz Ceglarczyk. Dlaczego go zabiła? I w jaki sposób w ogóle doszło do ich spotkania? Czy Stokrotka dotarła do niego za pośrednictwem Łyki? A może to on odnalazł ją w Warszawie? Czy po to tutaj przyjechał po odpięciu wyroku?

Golf prychał, dzwonił zaworami, rzygał sadzą. Już niedaleko. Bartek zupełnie nie miał jednak nastroju do rozmowy z Sandrą. Ciągłe nie potrafił powiązać znanych sobie faktów z osobą Stokrockiej.

Może było tak: Ceglarczyk przyjeżdża do stolicy, przekonuje Amelię, że zabójcami jej siostry są Zacharewicz z Wasilewskim, i podejmują wspólną decyzję o zemście. Coś jednak idzie nie tak i Amelia go zabija.

Pięknie. Tylko że Stokrocka związała się z Zacharewiczem parę lat wcześniej, kiedy Ceglarczyk jeszcze siedział w więzieniu. A do tego Konecki sam słyszał, jak Amelia prosiła Łykę, żeby kogoś dla niej odnalazł. Bartek mógłby się założyć, że chodziło o byłego więźnia, zresztą Stokrocka sama mu to przyznała. To w końcu kto pierwszy odnalazł kogo?

No i druga sprawa. Gdzie niesłusznie skazany więzień mógł zdobyć dowody świadczące o swojej niewinności? W zakładzie karnym w Strzelcach Opolskich? Jakim cudem?

I jeszcze trzecia niezgodność. Do czego właściwie był potrzebny Czesław Łyko? Skoro i tak wiedziała wszystko o Wasilewskim i Zacharewiczu, to po jaką cholerę prosiła redaktorka o jego stare artykuły? No i dlaczego Ceglarczyk potem go uśmiercił? A może każde z nich prowadziło jakąś osobną grę? Może Stokrocka zabiła Ceglarczyka z zemsty, że ten z kolei pozbawił życia Łykę?

Nie, nie, nie. To wszystko nie trzymało się kupy. Zaczynała boleć go głowa.

Omal nie przegapił skrętu w drogę wiodącą do domu Sandry. Zatelepało go na wybojach, zajęczały amortyzatory. Golf bujał się jak statek na rozkołysanym morzu.

Brakuje tylko, żebym urwał tu miskę olejową.

W oknach paliło się światło. Na szybach igrała rozedrgana tęcza telewizora. Bartek spojrział na zegarek. Późno. Trudno, trzeba to w końcu załatwić.

Nie bez obaw zgasił silnik i obok ujadającego schrypniętym szczekiem kundla na łańcuchu wstąpił na betonowe schodki prowadzące do przegniłych drzwi. Zapukał. Z wnętrza dobiegał tylko dialog z jakiegoś filmu.

Jeszcze raz. Jęk sprężyn kanapy, ciężkie człapanie. Gospodarz go usłyszał. Drzwi otworzyły się, błysnęło światło. Ten sam facet co ostatnio, nawet identycznie ubrany.

Pijaczek aż się zatoczył na widok Koneckiego.

– Sandra! No, Sandra, kurwa, głucha jesteś?! – wrzasnął falsetem w mroczną czeluść domu. – Ten... ten skur... znaczy, ten facet tu wrócił. Powiedz mu, żeby nas zostawił w spokoju albo...

Niedopowiedziana groźba bez pokrycia zawisła w powietrzu, a on zawiął się w miejscu i poczłapał do porzuconego telewizora. Z pokoju sekundę później dobiegło syknięcie otwieranej puszki piwa.

– To znowu pan?

Nie zauważył, kiedy z półmroku wychynęła drobna sylwetka kobiety. Lekko przeskoczyła próg i zamknęła za sobą drzwi.

– Sorki, co nie? Ale nie zapraszam do środka, bo dzieciaki już w łóżkach.

Skinął ze zrozumieniem głową. Też mu to odpowiadało. Wolał rozmawiać na schodkach, niż tam wchodzić.

– Czy przyjechał pan odebrać... – zająknęła się. – Prawie wszystko już

wydałam – dodała płaczliwie.

– Nie, nie – szybko zaprzeczył. – Chciałem jeszcze zapytać o adres tego domu dziecka, w którym się pani...

Nie dokończył. Czuł się jakoś niezręcznie. Kobieta i tak miała przechlapane, a on jeszcze przysparzał jej kłopotów.

– Wie, którądy na Pleszew? – W jej głosie wyraźnie zabrzmiała ulga. – No to jak już dojedzie do miasta, to dalej ulicą Kaliską na centrum i wypatrywać skrętu w prawo. Na Chocz. Potem...

W kilku słowach dokładnie opisała mu drogę.

Pięć minut później wszystko wiedział. Mógł jechać. Ale nie ruszał się z miejsca.

– Czy tam... – Zwrócił się w stronę ciemnej sylwetki. – Czy w tym domu...

Nie widział jej twarzy. Domyślał się jednak, że była przygotowana na to pytanie. Nie drgnęła, nie położyła dłoni na klamce, nie przerwała mu okrzykiem w rodzaju: „O co chce pan spytać?”. Czekwała. Pies na łańcuchu ujadął.

– Czy zmuszali was tam do czegoś? Czegoś... złego?

Postać przed nim zaplotła ramiona na piersi.

– Jak byłam smarkata, to lubiłam romanse. – Słowa dobiegły go z mroku. – Takie książki o miłości.

– Miłość? – zdziwił się.

To słowo kompletnie nie pasowało do tego, o co pytał.

– Ale nie po to je czytałam, żeby się rajcować, że jedna pani z drugim panem... Wiesz pan. Jak między żoną a... – zawahała się – mężem.

Ledwo wypluła to słowo. Jakby trafiła w jabłku na robaka.

– To o jaką miłość chodzi? – spytał, zbity z tropu.

Długo nie odpowiadała. Pies trochę się uspokoił, ale wciąż szczekał. W telewizji rozległy się strzały, a potem odgłosy samochodowego pościgu.

– Dzieci chcą być kochane, co nie? – Ledwo ją słyszał w tej kakofonii.
– Chcą mieć kogoś, kto przytuli, kiedy stłucze się kolano, albo jak stary, znaczy ojciec, niesłusznie nakładzie w dupsko. I żeby ten ktoś wziął czasem na kolana. I przeczytał bajkę. I jeszcze powiedział, że no... że ten konkretnie dzieciak jest fajny. Najfajniejszy na świecie. O taką miłość właśnie mi się rozchodzi. Rozumie?

Przypomniała mu się Kruszyna. Jak zastępowała mu drogę i bez słowa wyciągała rączki, żeby wziął ją na ręce. Miała wtedy taką komicznie poważną minkę. Spróbowałby jej wówczas nie przytulić...

– Rozumiem – odpowiedział przez ściśnięte gardło.

– W tych całych romansach to o takiej miłości właściwie jest niewiele – kontynuowała Sandra monotonnym głosem. – Ale zawsze. Czytałam więc i sobie wyobrażałam, że ja też mogę być dla kogoś taka ważna. Najważniejsza.

Nadal nie rozumiał, do czego zmierza. Słuchał.

– A potem jakby zdarzył się cud. Wezwał dyrektor, powiedział, że jestem inna niż ta cała hałastrą z bidula. Zaprosił nawet do domu, a tam posadził z własnymi dzieciakami przy tym samym stole. Wiesz pan... to było piękne! Jak w tej bajce dla smarkatych. O Kopciuszku. I tak prawie co niedziela. Przez parę tygodni. Aż pewnego razu, do dziś pamiętam, że na obiad były wtedy takie pyszne gołąbki i krupnik, zawołał na stronę i powiedział, że ma kłopot. Trzeba coś załatwić, coś nieprzyjemnego. W imię miłości właśnie.

– Miłość – powiedział. – Rozumiem. Ale ja pytałem o...

– Za każdą taką niedzielę w prawdziwym domu – bezceremonialnie wpadła mu w słowo – każdy dzieciak z bidula da się pokroić. Rozumiesz pan?

Skinął głową. Pies przestał szczekać, w telewizji grała patetyczna muzyka.

– Zrobisz wszystko – zawiesiła głos – absolutnie wszystko, żeby to dobre się nie skończyło.

– Wszystko? – Coś nareszcie zaczynało do niego docierać.

– Wszystko – odpowiedziała z mocą. – Nawet jeśli wiesz, że to jest bardzo, bardzo złe. Nawet jeśli później prześladowe cię to przez resztę życia. Zrobisz to. Żeby on znów powiedział, że cię kocha. Że jesteś dla niego jak rodzona córeczka.

Kiedy szedł do samochodu, pies znów zaczął szczekać. Bartek potknął się w ciemności, wdepnął w coś miękkiego i cuchnącego.

Miłość jako narzędzie robienia krzywdy. Miłość jako kajdany. Miłość jako knebel na resztę życia.

Zatrzymał się. Zawrócił w kierunku rozszczekanej budy. Podszedł do psa. Na przedramieniu poczuł chapnięcie. Ale niezbyt mocne, jakby niezdecydowane. Kły nie przebiły nawet marynarki. Poklepał dłonią skundloną, sparszywiałą sierść na łbie. Ucisk szczęk zelżał. Rozległo się ciche popiskiwanie. Chwilę tarosił jeszcze zwierzaka, drapał po brzuchu. Potem wstał, chwycił łańcuch, szarpnął. Trzasnęło i metal oderwał się od spróchniałej budy. Pies znów zaskomlał. Jakby pytająco. Wziął go na ręce i zaniósł do golfa. Choć dosyć duży, nie był ciężki. Gdy wsadzał go na tylne siedzenie, trafił niechcący ręką na karabińczyk przypięty do obroży. Cały on. Najpierw używa siły, a potem rozumu. Przecież mógł go od razu odpiąć. Zwinął łańcuch w kłęb i cisnął daleko w ciemność.

Miłość jako kajdany. Pieprzona miłość.

Warszawa. Grudzień. Środa

Jola Bończak wyszła spod prysznic i stanęła naga przed lustrem. Przetarła zaparowane zwierciadło ręką i krytycznie oceniła swój wygląd. Od czasu ukończenia dwunastu lat miała do siebie sporo zastrzeżeń. Kompleksy? Być może. Pewnie dlatego tak ją wkurzało, kiedy w komendzie za plecami nazywali ją lesbą. Teraz jednak – tak mniej więcej od pół roku – zaczęła wreszcie akceptować to ciało. Tak, była trochę za niska i nieco zbyt krępa. Biodra mogłyby być węższe, nogi smuklejsze, talia bardziej wcięta. I te cycki. Za małe. Zgrabne – sama musiała przyznać – ale rozmiar zdecydowanie jej nie zadowalał. No i blizna po operacji – pamiątka po sprawie z początku roku, nad którą pracowała z Bartkiem.

Bartek. Przeszył ją krótki, ale silny ból, kiedy o nim pomyślała. Na krótko. Bartek to chłopiec w ciele mężczyzny. Niedojrzały, nieumiejący panować nad emocjami. Przez pewien czas Jolce się to w nim podobało. „Co w sercu, to na dłoni” – tak to się chyba mówi. Ale czy go kochała? Zbliżyła ich ta koszmarna sprawa, nad którą biedził się kilka miesięcy temu cały Wydział Terroru Kryminalnego. Ona omal nie zginęła, on... też. Wybrnęli z tego jednak i wyszło, jak wyszło. Nie. To nie mogła być miłość, już raczej stres pourazowy.

Teraz był Paweł. Zupełnie inny facet niż Konecki. Równy, stabilny, a zarazem typ zwycięzcy. Choć nie wojownika. Ale to dobrze.

Wojownika mam już dość.

Sama nie do końca wierzyła w swoje słowa. Wciąż czuła ból po tym rozstaniu. A także, choć do tego przyznawała się niechętnie, czuła rozczarowanie. Po prostu wstał i wyszedł. I nie odezwał się więcej. Nie walczył o nią, nie wrócił z kwiatami. Z jednej strony to dobrze, po co

rozdrapywać ranę. Z drugiej... kurczę, tak łatwo się z tym pogodził?

Para opadała, zamglone lustro zaczęło pokazywać coraz więcej szczegółów. Włosy. Za krótkie. Teraz modne są proste i długie. Paznokcie. Tragedia. Przed wyjazdem musi koniecznie odwiedzić manikiurzystkę. Skóra. Mimo solarki zbyt blada. A jeszcze po depilacji wyskoczyły jej jakieś czerwone plamy. Paweł już wprawdzie widział ją nago, ale to był impuls, chwila uniesienia. Czy będzie mu się nadal podobać, gdy położą się razem we wspólnej sypialni, a on będzie ją rozpakowywać powoli, niczym gwiazdkowy prezent?

Najgorsze były jednak zmarszczki. No dobra, zmarszczki to może za dużo powiedziane, ale pod oczami zaczynało się dziać coś niedobrego. Za wcześnie jak na niecałe trzydzieści pięć lat! Tutaj nie było miejsca na kompromisy. Pracowała twarzą, pokazywała się z Pawłem na różnych imprezach, nie mogła wyglądać jak staruszka. Botoks? Tak. Powiększenie cycków? Być może...

Osuszyła się ręcznikiem i zaczęła wcierać krem na noc. Oraz pod oczy. A także odżywkę z biopeptydami do paznokci.

Musisz pięknie wyglądać. Musisz – zaklinała swoje odbicie.

Przy Bartku nigdy nie czuła takiej presji. Jemu podobała się zawsze. To znaczy, odkąd był łaskaw dostrzec w niej kobietę, a nie irytująco pedantyczną koleżankę z wydziału. I co z tego? Okazał się niedojrzałym słabeuszem. Nie umiał odnaleźć się w życiu po zwolnieniu z policji.

Kolejne ukłucie żalu. Dłuższe.

– Och, pieprzyć to! – krzyknęła do swojego odbicia. – Skończyło się! Takie jest życie.

Takie jest życie. Ona poszła w górę, on w dół. Nie umiała pociągnąć go za sobą. Co zrobić. Każdy ma prawo do własnego szczęścia. Albo nieszczęścia.

Włożyła szlafrok i ciepłe kapcie. Obwiązała głowę ręcznikiem.

A jeszcze ta moja matka – rzuciła w głąb siebie bezgłośnie skargę.

Jolka domyślała się, skąd wzięła się ta fascynacja jej mamy Koneckim. Przypominał jej Artura, czyli syna. Wyrodny drań wypiął się na nią. Zerwał kontakty. Siedział jak pączek w maśle w USA i nawet nie zapytał, czy matce starcza emerytury do pierwszego. Nieodpowiedzialny gówniarz. Drań.

No, nareszcie. Złość na Artura narosła w niej na tyle, że zaczęła promieniować także i na wspomnienie Koneckiego. Ból minął.

Podobni do siebie. Dwa niedojrzałe, egocentryczne dzieciaki.

Mama jednak przesadziła. Jola wczoraj zadzwoniła do niej z informacją, że na Wigilię wylatuje z Pawłem do Meksyku, ale wpadnie do niej przed Sylwestrem.

– To nie jest mężczyzna dla ciebie – odpowiedziała matka z niespotykaną u niej twardością. – Pogódź się z Bartkiem. Jest dobrym i uczciwym chłopakiem. A do tego naprawdę cię kocha.

Naprawdę kocha. Dobry chłopak.

Szkoda, że mamusia nie widziała, jakim wzrokiem na nią patrzył, kiedy się z nim rozstawała. Przestraszyła się wtedy. Sprawiał wrażenie szaleńca, który ją zaraz uderzy. Te jego wybuchy agresji... Na koncie sprawa o pobicie, a teraz kilkudniowa odsiadka i kolejny wyrok na horyzoncie. Jak o kimś takim można powiedzieć „dobry chłopak”?! Jak z kimś takim budować sobie życie? Owszem, różnych facetów widziała w policji. To specyficzna służba, czasem trzeba zacisnąć pięści. Ale Bartek, była o tym przekonana, przekroczył cieką czerwoną linię. Odbijało mu. Traktował wszystko zbyt osobiście.

Wyszła w końcu z łazienki, ciągnąc za sobą kłęby gorącej pary. Mieszkanie wydało jej się puste, ciemne i zimne. Ciągle znajdowała w nim ślady Koneckiego. Klapki, którymi donośnie kłapał po wyjściu spod prysznic, co doprowadzało ją do szału. Maszynkę do golenia, którą ścinał

te swoje loczki na głowie. Jak on ich nie cierpiał! Książkę, którą zaczął czytać, ale już nie dokończył. Jakaś saga rodzinna. Facet, na którego widok żulernia dostawała gęziej skórki ze strachu, a czyta takie rzeczy!

Niespodziewanie zachciało jej się płakać. Na szczęście martwą ciszę pokoju rozdarł akurat dźwięk esemesa. Wzięła komórkę, spojrzała. Od Pawła.

„Już nie mogę się doczekać naszego sobotniego wyjazdu. Dobranoc!”.

Odetchnęła z ulgą. Tak, była na właściwej drodze. Czas odciąć się od przeszłości.

Okolice Pleszewa. Grudzień. Czwartek

Jak ten pies go wkurzał! Nic, tylko się drapał. A kiedy przestawał, wygryzał sobie kłaki. Przerywał tylko, żeby machnąć mokrym jęzorem z tylnego siedzenia, niespodziewanie obśliniając mu ucho. No i nic, tylko by jadł. Konecki kupił mu puszkę zarcia, która miała starczyć na dwa dni. Bestia pochłonęła ją na śniadanie. A kiedy ruszyli, od razu nasikał na siedzenie. Nie żeby Bartek miał specjalnie emocjonalny stosunek do swego golfa, ale przerabianie go na kuwetę to już przesada.

Po co w ogóle zabrał go od Sandry? Co chciał – i komu – udowodnić? Szczerze mówiąc, kiedy nieco ochłonął wczorajszego wieczora, zawrócił i próbował wygonić go z auta. Pies z wyrazem rozpaczliwej desperacji w ślepiach zaparł się o tapicerkę i nie dał się wyciągnąć z kabiny.

Przenocowali w hotelu dla kierowców za pięćdziesiąt złotych. Właścicielka początkowo absolutnie nie godziła się na czworonoga, w końcu jednak pozwoliła wpuścić go do sieni.

– Pan głodzi to zwierzę! To nieludzkie! – rzuciła oskarżycielsko, po czym postawiła przed kundlem miskę kuchennych odpadków.

Pochłonął ją w czasie poniżej piętnastu sekund.

Po kupieniu puszek karmy i dwóch hot dogów maxi pieniądze się skończyły. Widomy znak, że trzeba kończyć i śledztwo.

Pleszew. Z Kaliskiej w prawo. Droga wiodła przez pola pod niebem, na którym rozpychały się sine i wzdęte brzuszyska chmur. Drogowskaz na Pacanowice. Nieźle. Grunt, że mieli tutaj poczucie humoru. Jeszcze parę kilometrów i po prawej droga na Chocz. Zgodnie z instrukcjami Sandry odbił w lewo. Za moment po prawej zaczął się las. Bartek zwolnił, wypatrując nieutwardzonej drogi. Jest. Skręcił, łyse opony zabuksowały

w kałużach. Chlapało tak, że musiał włączyć wycieraczki. Pies zaczął radośnie szczekać mu do ucha i podskakiwać. Kiedy ten koszmar się skończy?

Brama. Kuta, żeliwna, zardzewiała. Obok furta, ale przez furtkę przecież nie da się przejechać.

Konecki rzucił okiem na oddalony budynek. Błyszcząca nowością, pomalowany w jaskrawe kolory stary pałac. Wyglądał jak leciwy starzec w stroju błazna. Pod szerokimi schodami wiodącymi do obramowanego kolumnami wejścia stały jakieś samochody. Wśród nich obła bryła jakiegoś czarnego SUV-a. BMW X6? To byłoby zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Tak czy inaczej ktoś przez tę bramę przejeżdża.

Wysiadł, nie gasząc silnika. Sprawdził łańcuch spinający skrzydła bramy. Łańcuch stary, ale kłódka całkiem nowa. Szarpnął, zamknięte. Cofnął się do golfa, sięgnął do bagażnika. Wrócił pod bramę z kluczem do kół w rękę. Jedno, drugie, trzecie uderzenie. Nie chciała puścić. Czwarte, piąte, szóste, siódme. Puściła. Otworzył skrzydła na oścież. Przejechał, nie zatrzymując się, by za sobą zamknąć. Z fasonem, kopiąc jak Wezuwiusz tuż przed spopieleniem Pompejów, zajechał pod schody. Nie, to nie X6. Na podjeździe stał błyszcząca nowością mercedes ML.

Bartek jeszcze minionej nocy przemyślał, jak to rozegrać. Nie miał dowodów, Sandra także nie zgodzi się zeznawać. Tu, w sierocińcu, też nie spodziewał się, żeby ktokolwiek do czegokolwiek mu się przyznał. Uznał więc, że trzeba zagrać ostro. Obrazić, może i nawet naruszyć lekko czyjąś nietykalność cielesną. Sprowokować Zachara, bo przecież zaraz mu o wszystkim doniosą. Niech się nie czuje taki pewny. Niech się wkurzy. I wreszcie popełni jakiś błąd.

Zaparkował, uchylił szybę psu, zgasił silnik i wysiadł.

Tabliczka informująca, że remont obiektu został przeprowadzony z funduszy unijnych i wojewódzkich. Kilka schodów wyłożonych lśniącą terakotą, klamka. Zamknięte.

Zabębnił w drzwi pięścią. Dopiero po dłuższej chwili ktoś mu otworzył. Przygarbiona kobieta o spiczastym podbródku, zimnych, blisko osadzonych oczach i siwych włosach zaczesanych gładko do tyłu.

– To jest placówka publiczna, proszę się zachowywać – zasyczała jak zapędzony w pułapkę wąż. – I jakim prawem otworzył pan bramę?

– Nie pitol mi tu, babuniu, tylko prowadź do dyrektora.

Ostre i nieruchome rysy jej twarzy wskazywały na kogoś, kogo niełatwo zaskoczyć. A jednak. Przez moment patrzyła na Bartka jak spłoszona łania w dwururkę myśliwego. Przez moment. Zaraz jednak odzyskała rezon.

– Jeśli jest pan nietrzeźwy, zaraz policja odwiezie pana na posterunek. A jeżeli nawet nie, to...

– Jestem od Zachara, kapujesz? I trochę się śpieszę. Więc powtarzam, słońce: obróć swój zadek i prowadź do szefuńcia.

Nawet nie drgnęła. Ale w jej oczach zapaliło się coś na kształt zainteresowania. Zlustrowała go wzrokiem. Konecki mógłby się założyć, że nic nie uszło jej uwagi. Lekko wygnieciony garnitur, wybrzuszenie od kabury z kopytem pod marynarką, resztki siniaków na twarzy.

– Zawsze przyjeżdża pan Jędrak... – zaczęła ostrożnie.

Omali jej nie wyściskał. Jędrak. Jędrus. To on zabierał dzieciaki. Koniecznie będzie musiał się z nim spotkać po powrocie i sobie o tym pogadać.

– Jędrak ma pilną sprawę w filmie. Znów skacze z mostu. Dlatego Zyga przysłał mnie.

Twarz obozowej esesmanki lekko złagodniała. Jeszcze chwila namysłu i w końcu skinęła głową.

– Rozumiem, że u pana Ciska przedstawi pan jakieś referencje?

Referencje. Ładne słowo. Pewnie oznacza coś bardzo urzędowego.

– No pewnie. Możemy nawet zadzwonić do starego, pocziwego

Zacharka.

W końcu ruszyła się z miejsca. Obróciła się i nadspodziewanie energicznym krokiem ruszyła ku schodom.

Po drodze Bartek lustrował korytarz. Pod sufitem nowoczesne, LED-owe lampy, w powietrzu woń chemicznych odświeżaczy powietrza. Rząd nieskazitelnie białych drzwi z mlecznymi szybami w górnej części, wszystkie zamknięte. Żadnych dzieci na horyzoncie. Żadnych dziecięcych głosików, śpiewów, nawet płaczów. Za to ściany pełne rysunków, wycinanek, wyklejanek. Barwne kolory, postacie o szeroko uśmiechniętych buziach. Podpisy: Janek, Patrycja, Andżela, Lara. Wszystkie wykaligrafowane tym samym charakterem pisma. Wszystkie rysunki jak spod jednej sztancy. Idealne, symetryczne. Na pewno nie wykonały ich ręce dzieci.

Po plecach przeszedł mu dreszcz.

Na pierwsze piętro dotarł lekko zasapany. Przekłęte, pałacowe wnętrza. Każde piętro miało chyba z pięć metrów. Nie dla palaczy.

Na górze to samo. Rząd pokoi, drzwi pozamykane. Na podłodze panele podłogowe tak wyfroterowane, że można babkom zaglądać pod spódnice. Jedne z drzwi uchyliły się, ukazując piegowatą buzię z odstającymi uszami. Buzia natychmiast się cofnęła.

Puk, puk.

– Proszę wejść! – Z wnętrza dobiegł władczy, choć nieco piskliwy głos Ciska.

Mały sekretariat. Biurko, komputer, za nim dość młoda kobieta z włosami po trwałej ondulacji. Magda Gessler minus dwadzieścia lat. Sekretarka spojrzała pytająco na idącą przodem, ale ta leciutko pokręciła głową. Kobieta natychmiast z powrotem wbiła oczy w monitor.

Kolejne drzwi. Obite skórą, wyciszone pluszem. Tyle że uchylone. Za nimi gabinet. Bizantyjski – to było pierwsze, co przyszło Bartkowi do

głowy. Okno, pod oknem paprotki na kamiennych postumentach stylizowanych na antyczne kolumny. Przeszklony regał, za szybą puchary. Obok portret faceta z patetycznym wyrazem twarzy. Za lśniąca i pustą powierzchnią blatu, której idealną symetrię zaburzał jedynie pękaty kluczyk od mercedesa, na skórzanym fotelu spoczywało równie pękate ciało dyrektora. Cisek opakowany był w lśniący garnitur z poluzowanym krawatem. Łysiejącą głowę przyozdabiały dwie kępki siwawych włosów, obie poniżej linii uszu. Na dość perkatym nosie dostojnie spoczywały rogowe okulary. Palec serdeczny prawej dłoni zdobił sygnet z herbem przypominającym litewską Pogoń.

Kiedy weszli, pytająco uniósł brwi.

– Ten pan twierdzi, że przysłał go Zacharewicz.

Brwi opadły, niebotycznie wysokie czoło nagle pokryła siatka zmarszczek.

– Kłamie! – warknął. – I nie wymawiaj więcej tego nazwiska, idiotko!
Czar prysł.

Esesmanka aż się cofnęła. Nie odważyła się jednak powiedzieć choćby słowa.

– Halinko! – zapiszczał dyrektor ponad jej ramieniem. – Wzywaj policję! Powiedz, że mamy tu najście.

Policja. Mój wiejski kundel.

A więc to tak.

Sekretarka aż zaskomlała ze zgrozy. Esesmanka cofnęła się jeszcze o krok pod ścianę.

Dopiero wtedy dyrektor Cisek raczył przenieść powiększone przez okulary spojrzenie na swego gościa.

– I co? – Dostyc mięsiste usta wygięły się w wąłym uśmiešku. – Będziesz miał sprawę za napad na urzędnika państwowego i wdarcie się do placówki opiekuńczej.

Konecki patrzył na to wszystko w niemym podziwieniu. Facet miał styl! Trzeba przyznać. Teraz jednak poczuł się wywołany do tablicy.

Podszedł do biurka, nachylił się i chwycił urzędnika państwowego za krawat. Krótkim szarpnięciem przyciągnął go do siebie. Węzeł ponownie się zacisnął. Sekretarka wydała jeszcze jeden skowyt, esesmanka zeszywniała jeszcze bardziej.

– Sprawę to będziesz miał ty, Lisek – wycedził.

Dłoń z sygnetem próbowała oderwać jego palce od jedwabiu, ale ruchy te skazane były z góry na niepowodzenie.

Konecki pchnął sięgającego mu ramienia grubaska z powrotem na fotel. Dyrektor czym prędzej poluzował krawat. Ciężko dyszał.

– Stręczycielstwo nieletnich, artykuł 204, paragraf 3 kodeksu karnego. Zmuszanie do prostytucji, artykuł 203. Nadużycie stosunku zależności w celu doprowadzenia do obcowania płciowego, 199 paragraf 1 – wyliczał, nie odrywając wzroku od dyrektora. – A także szantaż i współudział w zabójstwie.

Twarz Ciska nie zmieniła się. Był wściekły. Ale się nie bał.

– Skończyłeś? – prychnął.

– Dopiero zaczynam.

– To się streszczaj, bo zaraz przyjadą prawdziwi policjanci. Coś mi się zdaje, że będziesz stawiać opór przy zatrzymaniu i będą musieli trochę cię przetrzepać.

Konecki musiał przyznać, że Ciska niełatwo wyprowadzić z równowagi. Pewnie dlatego facet mógł tak długo prowadzić tu swoje brudne interesy.

– Wyjdiesz z więzienia jako stary człowiek – powiedział mu.

Grubasek tylko się roześmiał.

– Tak szybko wyczerpałeś repertuar? Już koniec pogrózek?

W tym momencie na schodach zadudniły kroki.

– O, już są! – Dyrektor rozpromienił się w uśmiechu.

Rzeczywiście, chwilę później do gabinetu wkroczyło dwóch młodych umundurowanych osiłeków, z których jeden miał na pagonie belkę starszego posterunkowego.

– To on! – Cisek oskarżycielsko wycelował palcem w Koneckiego.

Jeden z byczków sięgnął po kajdanki.

– Na waszym miejscu bym tego nie robił. Jeszcze dziś możecie zeznawać w Wydziale Spraw Wewnętrznych. – Bartek bardzo się starał, żeby jego głos ociekał pewnością siebie. – I to z takimi samymi bransoletkami na nadgarstkach.

Zatrzymali się. Zerknęli na dyrektora, jakby to on wydawał im rozkazy.

– On blefuje.

Cisek powiedział to spokojnie, ale Konecki nareszcie wyczuł w jego głosie ślad niepokoju.

Mój wiejski kundel.

To z tego komisariatu musiał pochodzić tajemniczy gliniarz Zachara.

– Proceder, w którym uczestniczy Cisek, a także Zygmunt Zacharewicz, właśnie wywraca się na plecy – podjął Bartek. – Zastanówcie się, po której stronie barykady chcecie być, kiedy zaroi się tu od śledczych z komendy wojewódzkiej i głównej, a szef waszego śmiesznego posterunku poleci w kazamaty z odciskiem buta na tyłku. Jak sądzicie? – Zawiesił głos. – Będzie was chronił czy raczej spróbuje pociągnąć za sobą?

Szerokie twarze poczerwieniały. Oczy zaczęły unikać jego spojrzenia.

– Nie dajcie się wkręcać! – Dyrektor próbował ich przekonać. – Zacharewicz mi mówił, że on jest sam! Zyga przewidział, że może się tu pojawić.

Ten z belką potarł swój byczy kark, porośnięty rzadkim, rudawym włosiem. Konecki, choć czuł, że niemal drżą mu łydki, krzywo się

uśmiechnął.

– Dobra, zrobim to tak – podjął decyzję starszy posterunkowy. – Napiszem notatkę służbową. Interwencja była, ale na miejscu nie stwierdzono znamion przestępstwa – wyrecytował.

I – najwyraźniej bardzo zadowolony ze swojego salomonowego rozstrzygnięcia – dorzucił z uśmiechem:

– Ot, dwóch panów w garniturach ucięło sobie pogawędkę. Policji nic do tego.

Niedługo później znów zostali w gabinecie sami. Nawet sekretarka i esesmanka gdzieś się ulotniły. Dyrektor Cisek nie wyglądał już na tak pewnego siebie.

– Powiedz Zacharowi, że tu byłem! – Konecki oparł się rękami o jego biurko, przybliżając swoją twarz do jego twarzy. – I że mam niezbite dowody na przestępstwa, jakich się razem dopuściliście. Zmuszanie nieletnich do nierządu, stręczycielstwo, szantaż. To koniec, Lisku. Następnym razem zobaczymy się na sali sądowej.

Zachwycony dramatycznym efektem, który udało mu się osiągnąć, wyszedł z gabinetu. Lekko zbiegł po schodach, wypadł na dziedziniec, nad którym zaczynał już wirować mokry śnieg. Wsiadł do samochodu. Przekręcił kluczyk, ale zamiast przyjaznego warkotu i swojskich kłębow dymu usłyszał jedynie przejmujący do trzewi metaliczny zgrzyt. Kilka sekund później wszystko ucichło. Golf skołał.

Przez dłuższą chwilę Bartek siedział jak skamieniały. Czy to możliwe, żeby mieć aż takiego pecha? Za chwilę wrócą tu policjanci, których szef już dzwoni do Zacharewicza i wysłuchuje właśnie polecenia, żeby jak najszybciej zakuć Bartka w kajdanki. I co? Ma jak John Rambo uciekać przed nimi piechotą do lasu?

W tym momencie coś sobie przypomniał. Wyrwał kluczyki ze stacyjki, wypuścił psa i truchtem obaj wrócili do sierocińca. Kiedy weszli do

gabinetu, zostawiając za sobą błotniste odciski, zastali dyrektora z komórką przy uchu.

Bartek rzucił na lśniący blat kluczyki od golfa i jednym ruchem zgarnął te od mercedesa. Pies zadarł łapę i strzyknął moczem na jedną z antycznych kolumn.

– Na kilka dni zamienimy się samochodami. – Konecki puścił do zdumionego Ciska oko. – Mój bolid jest trochę grymaśny przy zapalaniu, ale za to ma niepowtarzalny styl oldtimera. No to pa. Czółko!

Zbiegając po schodach, słyszał za sobą jego wrzaski.

– Wracaj! To rozbój! Kradzież!

– W takim razie dzwoń po gliny! – odkrzyknął, nawet się nie oglądając.

Na podjeździe pies zataczał radosne kółka, kłapiąc na coraz gęstsze płatki śniegu. Kiedy Bartek zbliżył się do ML-a, auto powitało ich zapaleniem świateł. Konecki dotknął klamki, zamki odskoczyły. Otworzył najpierw drzwi z tyłu, wpuszczając zabłoconego kundla na kanapę obciągniętą skórą w kolorze écru. Potem wsiadł za kierownicę. Cisek zbiegał akurat po zewnętrznych schodach, rozsądek kazał więc Bartkowi zablokować drzwi. Wcisnął właśnie przycisk start, kiedy dyrektor uczepił się klamki. Ruszył więc ostro. Elektronika nie pozwoliła kołom zabuksować w błocie. Kałużę zaliczył natomiast Cisek. Nie bez nuty satysfakcji Konecki obserwował we wstecznym lusterku, jak urzędnik państwowy kierowniczego szczebla niezdarnie gramoli się z blocka.

Warszawa. Grudzień. Czwartek

Komisarz Jolanta Bończak wróciła z pracy wyjątkowo wcześniej. Fala medialnych emocji wezbrana po zabójstwie Marty Sobień, a potem Janusza Ceglarczyka, wyraźnie opadła. Dziennikarze przyzwyczaili się, że w śledztwie nie ma nowych faktów, i przestali w kółko wałkować te same jego aspekty. Teraz w telewizji królowały nadchodzące święta. I dobrze. Może chłopaki z Wydziału Terroru nareszcie nieco odetchną i będą mogli spokojnie popracować nad sprawą.

Weszła po schodach, stanęła pod drzwiami. Otworzyła. Mieszkanie pachniało świeżością. Wczoraj je wysprzątała, bo dzisiaj zamierzała spakować się na wyjazd do Meksyku. Na tę okazję kupiła sobie nawet romantyczną bieliznę Aubade Boîte i sukienkę z dekoltem optycznie powiększającym biust. Choinki, rzecz jasna, nie kupowała. Po powrocie miałyby tylko do sprzątania wyschnięte igły.

Czuła nerwowe podniecenie. To już jutro! Jakie wrażenie zrobi na Pawle? On przecież na co dzień miał do czynienia z piękniejszymi od niej kobietami, które w dodatku się do niego wdzięczyły. Czy ma szansę je przebić pod względem wyglądu?

– Nie – natychmiast sobie odpowiedziała.

Co w takim razie w niej widział? Co sprawiło, że byli parą? Może po prostu chciał zaliczyć romans z policjantką? Niektórych facetów podniecają takie rzeczy... A może zwyczajnie był dojrzałym mężczyzną, który zwrócił uwagę na jej osobowość?

Pewnie ma już dosyć malowanych lal, których jedyną pasją jest lansowanie się na wizji.

Ona się od nich różniła. Czym? No... była mądrzejsza, silniejsza,

miała lepiej poukładane w głowie. Paweł to widział. I doceniał.

Mimo wszystko chciała podobać mu się także fizycznie. Czy zrobi na nim wrażenie, kiedy zasiądą do kolacji w luksusowym pensjonacie na Jukatanie? Postanowiła jeszcze raz to sprawdzić. Rzuciła torebkę, zdjęła żakiet, koszulę, spódniczkę za kolana. Potem zasłoniła okna i pozbyła się także bielizny. Sięgnęła do szuflady po tę nowo kupioną. Śnieżna biel, koronki, ażury i wycięcia w odpowiednich miejscach. Spojrzała na swoje odbicie w wiszącym w przedpokoju lustrze. Nieźle, ale nie idealnie. Nie zdążyła ponownie pójść do solarium, a wyglądałaby lepiej, gdyby była choć trochę opalona. Jutro trzeba to będzie nadrobić. A może jeszcze dzisiaj?

Do bielizny dodała pończochy. Leżały dobrze, ale powinna mieć do nich dłuższe nogi. Trudno, tego nie da się zmienić. Sukienka. Mała czarna. Czy aby na pewno pasuje do niej ten dekolt? Dopadły ją wątpliwości. Może jednak postawić na jakąś sprawdzoną wcześniej kreację? Pełna obaw włożyła jeszcze szpilki. Teraz lepiej, przybyło jej parę centymetrów. Ale ta sukienka przed kolana...

Wtedy zadzwonił domofon. Skrzywiła się niezadowolona. Kogo w takiej chwili niesie лихо?

– Poczta. Mam polecony.

No tak. Mogłaby się założyć, że to wezwanie do złożenia zeznań dla Koneckiego. A może i nawet na jakąś rozprawę. Nie da się ot tak odciąć od przeszłości. Zrezygnowana wdusiła przycisk zwalniający blokadę wejścia na dole.

Otwierając zasuwkę w drzwiach mieszkania, pomyślała jeszcze, że to jednak trochę dziwne. Pan Marian, ich listonosz, przychodził zwykle przed południem. A ten, nieznanym z głosu... Cóż, może Marian jest chory. A w ogóle to przed świętami poczta pewnie ma trzy razy więcej roboty.

Pukanie.

Otworzyła. Przed nią stał niewysoki, ale muskularny facet z niemiłosiernie posiniaczoną twarzą. W jego uśmiechu było coś bardzo niepokojącego. Na tyle, że pomyślała o swoim glocku, pozostawionym w szafie pancерnej w komendzie.

– Gdzie ten list? – spytała niepewnie.

Nie odpowiedział. Popchnął ją tak mocno, że wyrznęła plecami o drzwi łazienki. Poczwała, że pęka jej obcas. Nie zamierzała się jednak poddawać. Uniosła ręce do gardy, by zasłonić twarz przed ewentualnym ciosem. I z przerażeniem zauważyła, że tamten ma już w ręku paralizator.

Warszawa. Grudzień. Czwartek

Od wczesnego ranka był na nogach. Już przed ósmą ustawił się w kolejce do urzędu dzielnicy przy Kłopotowskiego. Następnie przez godzinę użerał się z coraz to innymi urzędnikami w obronie cygańskiej rodziny, którą miano eksmitować z mieszkania przy Stalowej. Wszystko, co udało mu się uzyskać, to kilka mglistych obietnic i zawołowanych zapewnień, że „urząd jeszcze raz przyjrzy się tej sprawie”. Dobre i to.

Prosto z urzędu, z krótką przerwą na wysłuchanie muzyczki serwowanej przez grupę mosiężnych orkiestrantów ustawionych po drugiej stronie uliczki, Hertel zwany ojcem Tomaszem udał się do osiemdziesięcioletniej pani Stefy, zamieszkałej przy Ząbkowskiej. Starsza kobieta nie mogła się ruszać, już prawie rok czekała na operację wstawienia endoprotez stawów biodrowych, robił jej więc co drugi dzień zakupy, a potem wspierał dobrym słowem. Tego dnia pani Stefa była w dość depresyjnym nastroju, tkwił więc u niej niemal do południa.

Kolejna sprawa. Agencja towarzyska przy placu Konstytucji. Z ciężkim sercem odżałował cztery złote i czterdzieści groszy na bilet czasowy, a następnie dwoma tramwajami dotelepał się na miejsce na pierwszą. Był głodny, ale uznał, że post niemal w przededniu Wigilii dobrze zrobi jego duszy. Stał więc pod drzwiami prowadzącymi do socrealistycznej kamienicy, starając się nie wdychać zapachów dochodzących z pobliskiej restauracji U Szwejka.

Andżelika, młodziutka, drobna dziewczyna z Grójca, której stolica nie miała do zaoferowania nic ponad karierę prostytutki, zjawiała się jak zwykle około drugiej. Stała jak wryta na widok księdza.

– Proszę mnie zostawić w spokoju! – syknęła.

– Gubisz swoją duszę – odpowiedział, chwytając ją za cienkie jak u owada ramię. – Nie jesteś jeszcze zepsuta, nie uzależniłaś się od wody i prochów, wciąż możesz wycofać się z tej matni.

Szarpnęła, ale nie puścił.

– Jestem dorosła i robię, co chcę.

– Robisz to, co jest na rękę alfonsowi. A kiedy za kilka lat twoja świeżość przywiędnie, bez ceregieli wywalą cię na ulicę.

– Do tego czasu odłożę dosyć, żeby wrócić do domu.

– Nic nie odłożysz. Za każdym razem słyszę to samo. Każda z was wierzy, że upodliła się tylko na chwilę. I każda, powtarzam: każda, zostaje w tym szambie na zawsze.

– Puść mnie!

Rozluźnił uchwyt i Andżelika skoczyła do domofonu.

– Przyjdź chociaż w sobotę na Brzeską – poprosił. – Urządzamy tam skromną Wigilię.

– Jesteś świrem! – zachichotała, kiedy rozległ się brzęczyk i zamek odskoczył. – Lepiej ty przyjdź do mnie. Dostaniesz zniżkę.

Zatrzasnęły się za nią drzwi, a Hertel smętnie pokręcił głową. Znowu to samo. Kolejna duszyczka jak ćma leciała ku zatraceniu, a on nie potrafił jej powstrzymać. Tak mało miał na koncie prawdziwych nawróceń. Tak często musiał być bezradnym świadkiem triumfu zła. Dlaczego? Czy czegoś mu brakowało? Charyzmy? Wiary? Świętości? Przecież tak bardzo się starał!

Zrezygowany, powlókł się pieszo w stronę oddalonego o kilka przystanków Dworca Centralnego. Tam też był potrzebny. Tam również – wśród zagubionych i przez nikogo niechcianych – trzeba było nieść światło zbawienia. Może ktoś odpowie dzisiaj na jego wezwanie?

Idąc wzdłuż Marszałkowskiej, mijając rozjarzone świątecznymi dekoracjami wystawy, odniósł wrażenie, że jest śledzony. Odwrócił się,

rozejrzał. Nie zobaczył nikogo podejrzanego. Nikt się nagle nie zatrzymał, nikt mu się nie przyglądał. Płynący ulicą tłum obojętnie mijał księdza w nieco zaniedbanej, powycieranej sutannie. Pewnie mu się zdawało... albo to zły duch próbował go straszyć.

Następne godziny aż do wieczora spędził wśród dworcowych bezdomnych i pomiędzy upadłymi kobietami na pigalaku. Większość z nich odnosiła się do niego z sympatią, a nawet szacunkiem. Mniejszość – z wrogością lub wyniosłą obojętnością. Starał się jednak do nikogo nie zrażać, nikogo nie pomijać. Mówił, nauczał, tłumaczył. Wydał ostatnie grosze na butelkę wody dla schorowanego starca, kanapkę dla złachmanionej nastolatki, opakowanie jogurtu dla Cyganki z noworodkiem na rękę. Sam nic nie jadł, napił się tylko trochę wody z kranu, do której łaskawie dopuściła go babcia klozetowa. Mimo to czuł się zdrowy i silny. Bo był potrzebny. To jego najlepsze paliwo.

Gdy wracał piechotą na Bliską, już po zmroku, znów nie mógł oprzeć się wrażeniu, że odprowadza go czyjeś spojrzenie.

Może i tu, w Warszawie, mój czas się kończy? – pomyślał z rezygnacją. – Może wkrótce zostanę zdemaskowany, nazwany kłamcą, oszustem, fałszywym kaznodzieją albo i gorzej?

Myślał o tym wszystkim bez specjalnych emocji. Już tyle razy był pod pręgierzem. Nie raz i nie dwa go przeganiano. Kamienowano słowami. Nurzano w niesławie.

To dobrze. To mi potrzebne. Więcej upokorzeń i bólu przybliży do zbawienia.

Autostrada A2, okolice Strykowa. Grudzień. Czwartek

Fajnie było prowadzić mercedesa, ale Konecki i tak tęsknił za golfem. Jakoś polubił starego grata. Pies też czuł się chyba nieswojo w obszernym wnętrzu, bo zaraz nasikał na miękką skórę kanapy. Uspokoił się dopiero, kiedy zaczął przeżuwać pas bezpieczeństwa.

Śnieg sypał coraz gęstszy. Wielkie, mokre płaty zamieniały się na jezdni w breję i zalepiały szybę.

Jednak wcale nie z tego powodu Konecki włókł się prawym pasem. Układał sobie w głowie, co dalej. Przekonanie, że to Stokrocka jest jego wymyślanym mścicielem, nieco w nim przybladło. Samotna, głęboko zraniona w dzieciństwie kobieta chyba jednak nie byłaby w stanie przeprowadzić tak wyrafinowanych zbrodni. A poza tym wyodrębnione na miejscu jednego z przestępstw DNA sprawcy należało do mężczyzny...

Bartek brał oczywiście pod uwagę, że mógł jej pomagać Ceglarczyk. Działając, jak to się mawia w prawniczym żargonie, „wspólnie i w porozumieniu”, mogliby zabić Martę Sobień. Kłopot w tym, że niewiele później zginął sam Ceglarczyk.

Pies powoli oswajał się z mercedesem. Rozciągnięty na skórzanej kanapie, leniwie wygryzał dziurę w oparciu kanapy. Zrywał się tylko od czasu do czasu i zaczynał kopać, jakby tapicerka była hałdą piasku, a nie luksusowym siedziskiem. Jego nieprzycinane pazury pozostawiały na jasnej skórze wyraźne ślady, Bartek jednak nie miał ochoty go powstrzymywać. Więcej, obserwował te zmagania w środkowym lusterku z pełną aprobatą. Mówiąc eufemistycznie, dyrektor Cisek nie wywarł na nim korzystnego wrażenia.

Dojeżdżał już do Strykowa, a wciąż nie potrafił zdecydować, co dalej.

Podzielić się swoimi ustaleniami z chłopakami ze Stołecznej? Sprzedać im Amelię, mimo że miał wątpliwości co do jej winy? Z ciężkim sercem uznał w końcu, że tak. Musi to zrobić. Dość już tej samowolki.

– Jak będę bliżej Warszawy, zadzwonię do Lichockiego albo i od razu do Żylety – rzucił w przestrzeń kabiny.

Pies zastrzygł uszami.

Wtedy rozdzwoniła się jego komórka. Przekłęte *Gwiazdne wojny*. Spojrzał na wyświetlacz i od razu rozpoznał numer, który trzy tygodnie temu zostawił mu Zacharewicz. Oblała go fala gorąca.

– Tak?

Ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu usłyszał w słuchawce głos Jolki.

– Bartek... uważaj – załkała. – I w żadnym razie nie rób tego, co ci będą kazać. Ja... jakoś dam radę. Zawiadam...

Urwała, jakby ktoś wyrwał jej telefon.

– Jola? Jolka! – Konecki czuł, że ogarnia go panika.

W jednej chwili wszystko zrozumiał. Zacharewicz ją porwał, żeby zmusić go do milczenia.

Chciałem go sprowokować i się udało. Jestem przekłętym idiotą.

– Cześć, stary! – Bartek usłyszał w telefonie dobrze już znany głos Jędrka. – Chyba nie muszę ci wyjaśniać tej sytuacji?

Milczał. Gorączkowo zastanawiał się, co robić.

– Ona jest słodka – kontynuował tymczasem kaskader. – Ta twoja lalka. Im lepiej się poznajemy, tym bardziej byłoby mi szkoda... Sam wiesz czego.

Tylko spokojnie. Nie daj się sprowokować. Teraz musisz działać racjonalnie.

– Zrobimy tak – odezwał się Jędrak, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Ty za nią. Prosta wymiana. I żadnych telefonów do glin. Natychmiast się o nich dowiemy, a twoja cizia zginie.

– Jak chcesz to przeprowadzić? – wychrypiął Konecki.

– Gdzie teraz jesteś?

W pierwszej chwili chciał go oszukać, że dopiero wyruszył spod Pleszewa. Zaraz jednak przypomniał sobie, że tamci wpuścili szpiegowski program do jego smartfona.

„Żadnych telefonów do glin. Natychmiast się o nich dowiemy”.

Dobrze znali jego pozycję i tylko sprawdzali, czy się podporządkowuje.

– Dojeżdżam do Strykowa.

– Grzeczny chłopczyk – pochwalił go Jędrak. – Za godzinę masz być w swoim biurze. Tam czekaj na dalsze instrukcje. Nie oddzwaniaj, nie panikuj. Od teraz będziemy się z tobą porozumiewać wyłącznie esemesami wysyłanymi z telefonu twojej cizi.

Godzina. Potrzebował więcej czasu. Nie miał jeszcze pojęcia, co zrobić, ale wiedział jedno – jeśli postąpi zgodnie z instrukcjami tamtych, zginą oboje. I on, i Jolka. Zachar nie jest kretynem, żeby puścić wolno panią oficer policji, a do tego rzeczniczkę prasową.

– Wyjrzyj przez okno – odparł. – Wali taki śnieg, że na Grochowską dotrę najwcześniej za dwie godziny.

Chwila ciszy. Wahanie.

– Masz półtorej.

Konecki starannie wyłączył komórkę, poprawił się w fotelu i wrzucił lewy kierunkowskaz, wyprzedzając TIR-a, za którym włókł się przez ostatnie trzydzieści kilometrów.

– Trzymaj się, piesku – rzucił w stronę lusterka. – To będzie ostra jazda.

A potem wdepnął gaz do oporu.

Warszawa. Grudzień. Czwartek

Jolka jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Ze skrępowanymi za pomocą plastikowych opasek zaciskowych nogami i rękami spiętymi na plecach czuła się całkowicie zdana na łaskę porywaczy. Było ich dwóch. Jeden to ten, który obezwładnił ją na Świętojerskiej. Drugi – jego szef, co od razu dało się wyczuć. Niewysoki, ale atletycznie zbudowany, w wieku około sześćdziesiątki. Pokiereszowane uszy zdradzały byłego zapaśnika, mroczna gęba – bandytę. Coś w jego sposobie bycia kazało jej jednak przypuszczać, że to były policjant.

Tak. Komisarz Jolanta Bończak była przerażona. Porywacze nie zakrywali twarzy, nosili natomiast szpitalne ochraniacze na buty i chirurgiczne rękawiczki. Dla policjantki był to oczywisty sygnał, że zamierzają ją zabić. Nie zależało im, by ich w przyszłości nie rozpoznała, nie chcieli natomiast zostawić na niej i na jej ubraniu swoich odcisków palców. Ani śladów butów w miejscu, w którym planują porzucić jej zwłoki.

Ten młodszy, którego szef nazywał Jędrkiem, był gorszy. Kiedy tylko wyniósł ją z samochodu i rzucił na betonową podłogę hali, od razu zaczął się do niej dobierać. Nie zerwał jej nawet szarych kawałków taśmy zalepiających usta i oczy. Rozdarł sukienkę, szarpnął biustonosz, zgniótł w uścisku pierś. Jego ręka powędrowała niżej.

- Zostaw! – Bończak usłyszała władczy głos.
- Dlaczego, niech sobie laska użyje przed śmiercią!
- Nie zostawiaj na niej żadnych śladów, kretynie! Zwłaszcza biologicznych.

Ślady biologiczne.

Właśnie wtedy zaczęła podejrzewać, że herszt tej zgrai pracował kiedyś w policji. Tylko co z tego?

Taśmę z oczu i ust zerwali jej tuż przed telefonem do Bartka. Szybko się rozejrzała. Znajdowali się w mocno zaniedbanej, pustej hali. Albo starym magazynie. Ceglane ściany, blaszany dach, ciężkie przesuwne drzwi.

Łysy grubas chwycił ją za włosy i przystawił do ucha telefon.

– Powiedz mu kilka słów!

Jolka chciała być dzielna. Zamierzała go ostrzec, żeby nie wypełniał żadnych poleceń i zawiadomił Żywuskiego. Zamiast tego wyszedł tylko bezładny bełkot:

– Bartek... uważaj. I w żadnym razie nie rób tego, co ci będą kazać. Ja... jakoś dam radę. Zawiadam...

Żałosne.

Potem słuchała, jak Jędrak daje Koneckiemu instrukcje. Zastawiali na niego pułapkę, dobrze to rozumiała. Jak również to, że jeśli Bartek ich posłucha, umrą oboje. Już lepiej, żeby zginęła tylko ona. A mimo to nie potrafiła wyzbyć się rozpaczliwej nadziei, że jednak Konecki jakoś ją ocali.

– Dlaczego chcecie nas wykończyć? – spróbowała podjąć rozmowę.

Uczono ją, że jeśli porywacze zobaczą w uprowadzonej ofierze konkretną osobę, która myśli i czuje, często darują jej życie.

– Do ciebie nic nie mamy – zaburczał łysy zapaśnik, przełamując na pół kartę SIM telefonu, przez który rozmawiała z Bartkiem. – Wdepnął w gówno przez Koneckiego.

– Na pewno da się to jakoś polubownie załatwić.

Gruby nie odpowiedział. Wyjął z kabury ogromny pistolet i zaczął go systematycznie rozkładać.

Desert eagle – Bończak od razu rozpoznała rodzaj broni. Wielka

spluwa dla tych, którzy lubią patrzeć, jak ich kule rozrywają ludzi na strzępy.

– Jeśli nas zabijecie, policja oszaleje! – Jolka spróbowała przemówić im do rozumu. – Znalezienie zabójców rzeczniczki prasowej Komendy Stołecznej stanie się dla moich kolegów sprawą prestiżową.

Jędrrek zachichotał.

– A co, jeśli pozabijacie się nawzajem?

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Na widok jej zdziwionej miny mężczyzna usłużnie doprecyzował:

– Konecki jest nieobliczalny. Wariat, którego rozstroiło do reszty to, że został wylany z policji. Trzyma w biurze leki psychotropowe. Ale to nie wszystko. Wiesz, co przed chwilą nawywijał?

Nie miała pojęcia, ale za gardło ścisnął ją jeszcze głębszy strach. Zaczynała się domyślać, jak porywacze planują to rozegrać. I rozumiała, że tych facetów nie da się zagadać.

– Wpadł do jednego z domów dziecka, poturbował dyrektora, a na koniec zrabował mu mercedesa!

Jędrrek zachowywał się jak chłopczyk, który właśnie rozpakował świąteczny prezent i znalazł w pudełku dokładnie to, co zamówił w liście do Świętego Mikołaja.

– To totalny pojeb, który nie panuje nad swoją agresją – nawijał jak nakręcony. – Nic więc dziwnego, że po powrocie do Warszawy wleci do waszego domu jak burza i kiedy się zorientuje, że jego narzeczona odstawiła się na wieczorne wyjście, wpadnie w furję.

– Stul pysk! – zaburczał ten z desert eagle w łapach.

Niewysoki i szczupły, ale sprężysty i zwinny facecik posłusznie zamilkł.

– To się nie uda – powiedziała bez przekonania.

– Co ma się nie udać? – Jędrrek najwyraźniej nie umiał długo trzymać

gęby na kłódkę. – Dojdzie między wami do awantury, Konecki ogłuszy cię w końcu paralizatorem, skrępuje i wywiezie na przedmieścia. A tam zastrzeli ze swojego kopyta. Następnie, poruszony popełnioną zbrodnią, sam palnie sobie w łeb.

– Stul pysk, powiedziałem.

– To się nie uda – powtórzyła, czując, że bardziej niż ich stara się przekonać samą siebie.

– A ty ciągle swoje – parsknął śmiechem Jędrak. – Wszystko samo składa się w całość. Oboje zginiecie z jego broni, w mercedesie będą tylko wasze odciski palców, no i rzecz jasna właściciela. Nawet jeśli zapłacze się tam włos z brody Kozy czy mój, nikt go nie będzie łączył z waszą śmiercią. Dyrektor domu dziecka spod Ostrowa może sobie wozić autem, kogo zechce!

– Bartek nie podda się bez walki.

Tym razem zarechotali obaj.

– To tylko zakochany w tobie debil, któremu kariera bokserska rozbiła resztki mózgu. – Tym razem zwrócił się do niej zapaśnik. – Zrobi wszystko, żeby cię uratować. Zobaczysz.

Warszawa. Grudzień. Czwartek

Hertel zdjął koloratkę, rozpiął kilka guzików sutanny i ciężko westchnął. To był pracowity dzień. Tylko czy choć trochę owocny? Nie miał poczucia, że kogokolwiek nawrócił, cokolwiek osiągnął – poza zrobieniem porannych zakupów staruszce. Rozejrzył się po pokoju, który na czas nieokreślony użyczyli mu pobożni ludzie. Rozkładane, sprężynowe łóżko, stary śpiwór z zepsutym zamkiem, starannie złożona kostka bielizny zamiast poduszki. I jeszcze stół, dwa zydle, umywalka. Lustro i mała szafka. Dla niego wystarczy.

Podszedł do okna i wyjrzał na zasypane mokrym śniegiem podwórko. W dali jarzyły się światła wielkiego miasta.

– Sodoma i Gomora – westchnął pół żartem, pół serio.

Już miał się odwrócić, kiedy przed dom zajechał wielki samochód, rozchlapując błocko. Czy mu się zdawało, czy z kabiny dobiegało ujadanie psa? Drzwi kierowcy otworzyły się zamasyście i na podwórko wyskoczyła masywna postać w garniturze. Księdzu przebierańcowi z wrażenia opadła szczęka.

Załomotały kroki na schodach i zaraz drzwi otworzyły się z taką energią, że aż odpadła z nich wążła zasuwka. W progu stał Bartosz Konecki. Miał w oczach coś takiego, że Hertel aż się cofnął.

Oszalał? A może opętany?

– Jedziemy! – ryknął olbrzym. – Wszystko wyjaśnię ci po drodze.

Warszawa. Grudzień. Czwartkowy wieczór

Nie zakleili jej ponownie oczu, mogła ich więc obserwować. Oczywiście na tyle, na ile pozwalała jej niewygodna pozycja. Leżała na środku hali, na prawym boku. Z rozdartej sukienki wyglądała naga pierś.

Tamci chodzili w kółko, porozumiewali się monosylabami, co chwilę sprawdzali godzinę. Jędrrek bawił się długim prawie na pół metra nożem, w którym Jola rozpoznała wakizashi, krótki miecz samurajski.

– Koza jest już na Grochowskiej? – upewnił się zapaśnik.

Jędrrek skinął głową.

– Ma ze sobą jej telefon?

Jeszcze jedno skinięcie.

– Mam nadzieję, że dobrze zrozumiał, co robić. Musi przeczłgać Koneckiego po całym mieście i upewnić się, że facet nie ciągnie za sobą ogona. I dopiero wtedy niech go tu przyprowadzi.

– Da sobie radę, szefie.

Zapaśnik zamilkł. Niemal nie odrywał wzroku od swojego smartfona.

– Konecki wyłączył telefon – warknął. – Nie mogę go śledzić. Co on kombinuje?

Czas mijał, a atmosfera gęstniała z minuty na minutę. Jędrrek posyłał Jolce lubieżne spojrzenia.

– Jeśli twój Bartuś pojedzie na policję – wycedził, nie odrywając oczu od jej nagiego biustu – to tak cię zerżnę, że...

– Dobra, włączył! – przerwał mu okrzyk zapaśnika. – I jest u siebie na Grochowskiej!

Cała trójka najwyraźniej się odprężyła. Jakby opadło z nich wielkie napięcie.

Warszawa. Grudzień. Czwartkowy wieczór

Choć Bartosz Konecki dojechał do Warszawy w niecałe pół godziny, zdążył po drodze opracować plan. Prosty, chwilami naiwny, ale jedyny, jaki – jego zdaniem – miał szansę powodzenia. Pomysł podjechania pod Komendę Stołeczną i zawiadomienia policjantów o porwaniu Joli szybko odrzucił. Nie miał pojęcia, gdzie Zachar ją przetrzymuje, a półtorej godziny po rozmowie z Jędrkiem będzie musiał włączyć komórkę dokładnie na Grochowskiej. Nie było czasu do stracenia. Poza tym skąd mógł mieć pewność, że były gliniarz nie ma wtyczki w ich wydziale? Już raz, na początku roku, coś takiego przecież przerabiał...

Postanowił więc załatwić to sam. Nie, nie sam. Potrzebował współnika. Kogoś, kto dobrze umie odegrać narzuconą mu rolę. Dlatego wciąż z godzinnym zapasem czasu pojechał prosto na Bliską. Na szczęście Hertel był w domu. Wyciągnął go stamtąd, ledwo pozwalając na włożenie butów, i już gnali do biura. Po drodze wyjaśnił księdzu-nieksiędzu, czego od niego oczekuje. O dziwo, Tomek przyjął to nawet spokojnie.

– Pomogę ci – zdecydował od razu. – Kto wie? Może dzięki temu już dziś dostąpię zbawienia?

Wariat. Ale Bartek lubił go coraz bardziej.

Na Grochowskiej wysadził Hertla wcześniej. Do biura wszedł sam – budynek prawie na pewno był już pod obserwacją. Skoczył do gabinetu, szarpnął szufladę, jednym ruchem ciepnął za siebie pudełko alpraksu i wyjął schowane tam wcześniej – oddane mu przez Sieronia – gadzety. Okulary OTP schował w górnej kieszeni marynarki tak, żeby ponad jej krawędź wystawała kamera. Dyktafon wrzucił do spodni.

Ale to wszystko nieważne. Ważny był pendrive z programem

MobileSpy.

O tym, że ma prywatny numer komórki Zacharewicza, przypomniał sobie w pięć minut po rozmowie z Jędrkiem. Dostał go przecież kilkanaście dni temu na placu Trzech Krzyży! Od naburmuszonego parkingowego, któremu zostawił dziesięć złotych w zamian za rzut oka na zapisaną przez Zacharewicza kartkę.

Bartek zrozumiał, że to jego największy atut. Największy, bo jedyny. Założył, że ktoś taki jak Zyga Zacharewicz zechce osobiście zakończyć z nim sprawę. A to oznacza, że Jolka powinna być w jego pobliżu...

W biurze przy Grochowskiej podłączył więc pendrive do komputera, wybrał numer Zacharewicza, chwilę odczekał... Jest! Kilkanaście minut później już miał jego pozycję. Okolice Dworca Wschodniego. A konkretnie: półtora kilometra na wschód wzdłuż torów od Wschodniego. Mgliście kojarzył, że to rozległy obszar, na którym mieszczą się liczne stare hale i magazyny. Nierzadko – opuszczone lub wręcz czekające na rozbiórkę.

Wtedy rozległo się ciche pukanie i zaraz potem do gabinetu wszedł Hertel.

– Zrobiłeś, jak kazałem? – Bartek nawet na niego nie spojrział.

– Tak, powiedziałem ochroniarzowi z tej jaskini hazardu na dole, że jestem od detektywa Koneckiego i ma mnie przepuścić do jego biura przez swój lokal.

Bartek tylko skinął głową. Dla obserwatora na ulicy niedoszły księżulo był tylko kolejnym klientem Las Vegaz.

Sprawdził broń – wiedział, że będzie potrzebna. Zerknął na zegarek. Zostało mu niecałe pół godziny. Włączył komórkę.

– Wiesz, co robić? – kolejny raz zapytał Hertla.

– Mam tu siedzieć murem i grać na zwłokę, odpowiadając w twoim imieniu na ich esemesy.

– Tak, zwódź ich jak najdłużej, ale pod żadnym pozorem nie opuszczaj biura. Na pewno je obserwują. Jeśli cię zobaczą, od razu się połapią, że spróbowałem ich przechytrzyć.

– A ty? – spytał Hertel.

– Co: ja?

– Dasz sobie radę?

– Ja jestem jak Imperium Brytyjskie. Każdą wojnę zaczynam od przegranej bitwy, ale ostatecznie zawsze zwyciężam.

To mówiąc, skierował się do małego okienka w kuchni, wychodzącego na drugą stronę pawilonu. Otworzył i zaczął się wciskać w mały otwór.

– Bartek! – zatrzymał go głos Hertla. – Nie wiem, czy to ważne, ale dziś... przez cały dzień miałem wrażenie, że ktoś mnie...

– Nie teraz! – odwarknął Konecki. – Pogadamy o tym, kiedy będzie po wszystkim.

Przepchnął w końcu swoje ciało przez okienko, uchwycił się rynny i ciężko zjechał po niej na oddaloną o trzy metry ziemię. W kostce poczuł ból, ale mógł chodzić. Wstał, otrzepał się, rozejrzał po zapleczu pawilonu, po czym pokuśtykał do samochodu zaparkowanego na małej i krętej uliczce Józefa Zaliwskiego.

Warszawa. Grudzień. Czwartkowy wieczór

Jolce było zimno i niewygodnie. Chciało jej się siusiu. Bała się jednak choćby odezwać. Do zapaśnika przed chwilą ktoś zadzwonił. Słuchał ze zmarszczonymi brwiami, bezwiednie uniósł i zacisnął pięść. Zmełł przekleństwo. Rzucił jej pełne nienawiści spojrzenie.

– Dobra. Zwijaj manatki i jak najszybciej tu wracaj! – rozkazał. – I pamiętaj, żeby połamać kartę pamięci od jej telefonu!

Po czym się rozłączył.

Jeszcze przez chwilę stał w milczeniu, głośno sapiąc. Jędrak patrzył na niego wyczekująco. Nawet wakizashi w jego ręku znieruchomiało.

– Do Kozy zadzwonił ten ochroniarz z Las Vegaz – wycedził.

– Piwoń? Znaczy ten Piggy, którego żeśmy kupili?

Zapaśnik potwierdził skinieniem głowy.

– Konecki coś kombinuje – powiedział. – Właśnie odwiedził go jakiś ksiądz, który wszedł do jego biura przez salon gier. Myślę, że...

Przerwał, wbijając zimne spojrzenie w leżącą.

– Myślę, że już wie, gdzie jesteśmy, i właśnie tu jedzie.

Jędrak wyraźnie poblądł.

– Spokojnie, zanim nas dokładnie namierzy, dotrze tu Koza. We dwóch dacie radę go zgarnąć. Może to nawet i lepiej? Szybciej będziemy mieli tę sprawę z głowy. – Nieznacznym ruchem brody wskazał skrępowaną Bończak.

Przez chwilę patrzyli na nią w milczeniu. Potem zapaśnik sięgnął do kabury. Jolanta Bończak zadrżała. Mężczyzna wręczył jednak ogromny pistolet Jędrkowi.

– Masz. Ten twój scyzoryk to na Koneckiego za mało. Przyczajcie się

dobrze i postaraj się go od razu nie zabić. Pamiętaj, ma zginąć z własnego kopyta.

– A ty? Zostaniesz bez niczego?

Łysy lekko się uśmiechnął, po czym zawinął nogawkę spodni i z przypiętej do łydki kabury wyjął małego walthera ppk.

– Nigdy nie zostaję bez niczego.

Warszawa. Grudzień. Noc z czwartku na piątek

System GPS w smartfonie Zacharewicza podawał Koneckiemu tylko przybliżone położenie. Mniej więcej w promieniu trzystu metrów. Bartek szybko się zorientował, że obszar o średnicy ponad pół kilometra, porośnięty krzakami i drzewami, zastawiony opuszczonymi budynkami gospodarczymi, to prawdziwe morze, w którym nawet do rana może szukać skrytki bandytów.

Nie miał tyle czasu. Przemykał powoli wyboistymi alejkami, przepatrując podwórka, place i parkingi pod magazynami. Patrzył badawczo w szpary pod drzwiami i nieliczne okna w nadziei dostrzeżenia smugi światła. Śnieg już nie padał, wypogodziło się, chwycił lekki mróz. Cały świat oszroniony był cienką warstwą roziskrzanej bieli.

Na tylnym siedzeniu popiskiwał pies. Jakby się bydlak domyślał, co się święci.

Mijał właśnie podłużny, wyglądający na od dawna opuszczony budynek, z rampą biegnącą wzdłuż ustawionych rzędem przesuwnych drzwi. W nikłym blasku ulicznej latarni, za krzakami, coś zabłysło. Zatrzymał, cofnął, wbił wzrok w ciemność. Tak. W chaszcach stało ukryte bmw X6, a obok czarne audi. To tu.

Pojechał do przodu, skręcił za róg jakiegoś magazynu, zatrzymał. Zgasił silnik, poklepał po łbie zdenerwowanego psa i wydobył sig sauera. Włączył kamerę i dyktafon. Kryjąc się w cieniu parkanów, wrócił pod tamte drzwi. Rzeczywiście, teraz dopiero dostrzegł padającą spod nich smugę światła.

Przeładował i wciąż trzymając się plam cienia, ruszył skokami ku samochodom. Po chwili dopadł boku audi. Wydawało mu się, że maska

silnika jest ciepła. Dziwne. Przecież trzymali tu Jolkę co najmniej od kilku godzin...

Nie miał jednak głowy, żeby się nad tym zastanawiać. Czuł, jak narasta w nim napięcie. I wściekłość. Miał dość. Chciał to wreszcie zakończyć. Raz na zawsze.

Wyprostował się i ostrożnie ruszył ku drzwiom. Jeśli otworzy je szybko, to ma szansę ich zaskoczyć. Zanim tamci sięgną po broń, zanim przystawią ją do niej...

Nagle usłyszał za sobą szcęk przeładowywanego pistoletu.

– Ruszysz się, to odstrzelę ci łeb.

Zmartwił. Znał ten głos. Jędrak.

– Koza, zabierz mu broń – polecił niewidocznemu koledze kaskader. – Tylko nie wchodź mi na linię strzału, idioto!

W polu widzenia Koneckiego pojawił się facet z kozią bródką i kolczykami na gębie. Koza. Trafna ksywka.

Ręce Kozy zręcznie wyjęły mu z dłoni sig sauera, przekazały Jędrkowi, a następnie dokładnie go obszukały.

– Nie ma żadnego więcej kopyta – zaraportował zakolczykowany.

– Super! – Głos Jędrka ociekał dobrze udawanym spokojem. – A teraz idziemy. Po schodkach na rampę. Do pierwszych drzwi. I trzymaj, Konecki, łapy w górze.

Ruszyli. Jeden, dwa, trzy, cztery kroki. Schodki zbliżały się nieubłaganie. Bartek czuł pustkę w głowie. Trzeci raz dał się podejść. Do trzech razy sztuka...

Schodki. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć stopni. Już byli na rampie. Nieco za sobą, po prawej pod ścianą, miał Kozę. Jędrka nawet nie widział.

Drzwi znajdowały się w odległości dwóch metrów. Zdawał sobie sprawę, że w chwili, kiedy przez nie przejdzie, nie będzie już miał żadnych szans. Nie uratuje ani jej, ani siebie.

Musiał coś zrobić. Teraz. Natychmiast. Tylko co można zrobić, kiedy ma się za sobą faceta z bronią wycelowaną w plecy? Żeby chociaż wiedział, w jakiej odległości i jakim położeniu znajduje się ręka z pistoletem...

Dwa kroki przed drzwiami nareszcie rozjaśniło mu się w głowie.

– Dogadajmy się, mam pieniądze – powiedział, zatrzymując się tak gwałtownie, że Jędrzek nie wyhamował.

Konecki poczuł między łopatkami dotknięcie lufy. Już znał położenie ręki tamtego.

– Przestań się mazać, cwelu, i...

Nie dał mu skończyć. Błyskawiczny półobrót przez prawe ramię i już uniesione w geście poddania prawe przedramię zderzyło się z wyciągniętym ramieniem Jędrka. Huknął strzał, ale lufa mierzyła w mrok nocy. Z oddali dobiegło wściekłe szczekanie.

Jędrzek próbował cofnąć rękę, ale Konecki już ucapił oburącz jego nadgarstek. Mocno pociągnął do przodu, cofając się o krok i robiąc równocześnie prostą dźwignię, jakiej uczą adeptów na gliniarzy w szkołach policyjnych.

Kolejny strzał, tym razem kula poszła w niebo.

Koza już oprzytomniał i wymierzył Bartkowi cios w twarz. Nie takie przyjmował, kiedy boksował. Nawet nie zwrócił na niego uwagi. Nadgarstek Jędrka chrupnął, a Bartek już trzymał w ręku jego pistolet. Pistolet? Rany, to była armata!

Jędrzek natychmiast podniósł się z ziemi i właśnie unosił się sauera, Koza młócił mu twarz pięściami. Nie było czasu na konwenanse. Dwa strzały. Odrzut broni poczuł aż w łokciu. W oczy zapiekły opary kordytu. Zamrugął, otrząsnął się. Na rampie przed nim leżały dwa wijące się w konwulsjach ciała. Krew srebrzyła się w blasku latarni na ścianie i na podłodze. W jej karminowej masie błyszczwały drobniutkie odłamki kości

i chrząstek.

Półprzytomny, ogłuszony hukiem wystrzałów i smrodem krwi, kopnął swojego sig sauera poza rampę i mocno szarpnął drzwi. Zahurgotały na rolkach, a on miał jeszcze tyle rozsądku, by przesunąć się w bok, korzystając z ich osłony.

Następny strzał, ale dużo cichszy. Kula śmignęła mu o centymetry od twarzy. Natychmiast przypadł do ziemi i wymierzył. Kolejny pocisk odłupał nad nim wielką drzazgę z drzwi. Konecki widział wyraźnie cel. Zygmunt Zacharewicz w całej okazałości. Tyle że nie mógł do niego strzelić, bo ten unosił Jolkę za włosy i mierzył jej w głowę.

– Rzuć broń, Konecki!

Gorączkowo myślał, co zrobić. Nic mu jednak nie przychodziło do głowy.

– Rzuć broń albo ją rozwalę! Wiesz, że ja nie żartuję!

Wiedział. Znał tego sukinsyna na tyle, żeby nie mieć złudzeń. On naprawdę był gotów zabić Jolkę. Rany, co robić?

– Rzuć broń! Już!

Zrobił to. Ciężkie kopyto, z którego zmasakrował właśnie dwóch ludzi, stuknęło o podłogę. Konecki najpierw przyklęknął, potem wstał. Powoli się wyprostował.

– Puść ją – poprosił, bo nic więcej nie mógł już zrobić. – Masz mnie. To ci wystarczy.

Zachar cisnął Jolką o beton. Bartek dopiero teraz zauważył, że kobieta ma rozdartą sukienkę na piersi. Co oni jej zrobili?

Bończak przytomnie przeturlała się pod ścianę. Zyga nawet nie zwrócił na to uwagi. Celował w Koneckiego. W oddali szczekał pies.

– Oboje jesteście już martwi.

Ostatnie jego słowa zagłuszył rozzierający dźwięk policyjnej syreny. Świat wokół nagle zamigotał na niebiesko, na podjazd wpadły samochody,

w bębni uderzył huk granatów ogłuszających, a powietrze spowiły dymy gazu CSK. Bartkowi natychmiast zabrakło tchu, z oczu pociekły łzy, w uszach słyszał tylko przejmujące buczenie. Chciał biec do Jolki, ale osunął się na kolana.

W oparach skłębionego dymu dostrzegł wbiegające do magazynu ciemne sylwetki z pistoletami maszynowymi. Antyterrorysty.

– Rzuć to! Gleba! A teraz ręce na plecy, nogi szeroko! – Dobiegły z wnętrza okrzyki stłumione przez maski przeciwgazowe.

Na czworaka powłókł się w kierunku ściany, pod którą przetoczyła się Jolka. W tym momencie oddałby wszystko, żeby nic jej nie było.

Niecałą godzinę później, opatuleni folią NRC, stali objęci pod magazynem, którego wnętrze wciąż cuchnęło gazem. Wokół nich krzątała się masa ludzi. Pogotowie ratunkowe zabrało już rannych, Zacharewicz został odeskortowany do aresztu, technicy kryminalni w kombinezonach i maskach na twarzach rozstawiali mocne lampy i oznaczali ślady za pomocą tabliczek z liczbami. Ktoś sporządzał wstępny szkic sytuacyjny, ktoś robił zdjęcia. Wszędzie wałały się folie od taśm do pobierania odcisków palców. Lada chwila na miejsce miał przyjechać prokurator.

Nie zwracali na to wszystko większej uwagi. Oboje w niemym zdumieniu patrzyli na podkomisarza Romana Sieronia, który z wyrazem triumfu na twarzy dowodził całym tym zamieszaniem.

– Na pewno pani komisarz nie chce pojechać do szpitala? – upewnił się, podchodząc do Jolki.

Stanowczo pokręciła głową, bezwiednie rozcierając sine nadgarstki.

– Zaczekaj, Sieroń! – zawołał za nim Konecki, kiedy policjant odwrócił się, by odejść. – Jesteś mi winny wytłumaczenie.

Tamten uśmiechnął się samymi kącikami ust.

– A co tu tłumaczyć? Doprowadziłeś mnie do gangu obcinaczy dłoni.

– Doprowadziłem? Jakim sposobem?

– Nie słuchasz, Konecki, kiedy się do ciebie mówi. – Podkomisarz z politowaniem pokiwał głową. – Przecież wyraźnie dałem ci do zrozumienia, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy przez telefon, że mam pod obserwacją tego twojego niby księdza.

Bartek wreszcie zrozumiał.

– Przyprawiłeś mu ogon, a ja wszedłem ci dziś w sam środek obserwacji?

Sieron potwierdził.

– Ale dlaczego za nim łaziliście? Przecież Praga to nie twój rejon.

– Wypytywał o Zacharewicza. Wcześniej ty wymieniłeś to nazwisko. To mnie zaintrygowało. Sprawdziłem gościa i zrozumiałem, że ten były gliniarz to kawał sukinsyna. Nie miałem jednak pojęcia, jaki jest jego związek ze śmiercią Łyki. Uznałem więc, że poczekam, aż ty mnie na to naprowadzisz.

– To dlaczego mnie nie śledziłeś?

– Jesteś byłym psem. Zauważyłbyś moich ludzi.

Konecki się zastanowił. Coś w zachowaniu Sieronia i w jego słowach bardzo mu się nie podobało. Ale co? Nagle zrozumiał.

– Czekaj, czekaj! – Bartek zmarszczył czoło. – To znaczy, że twoi ludzie śledzili mnie od chwili, kiedy wyjechałem z Hertlem z Bliskiej.

Sieron nie odpowiedział. Zerknął na swoje paznokcie, potarł nimi spodnie. Cała jego postawa wyrażała brak zainteresowania tematem. Mimo to Konecki drążył dalej:

– Wiedzieliście, że pojechałem z nim do swojego biura przy Grochowskiej. A także, że je opuściłem przez tylne okno.

– Podobno wyglądałeś prześmiesznie, kiedy się przez nie przeciskałeś... – Podkomisarz uśmiechnął się blado.

Konecki nie pozwolił wybić się z rytmu.

– Następnie przyjechaliście za mną aż tu.

– Z kilkuminutowym poślizgiem – sprecyzował Sieroń. – Nie mogliśmy cię śledzić, kiedy wozileś się po tych pustych alejkach.

– Czy widzieliście, jak tamci dwaj przystawili mi klamkę do pleców?

Policjant wyraźnie nie miał ochoty odpowiadać, ale chyba zrozumiał, że łatwo się nie wywinie.

– Tak. Moi ludzie akurat wtedy tu nadeszli.

– Dlaczego mi nie pomogli?

– Spytali mnie przez radio, czy interweniować. Zabroniłem im.

– Co takiego? Mogliśmy z Jolką zginąć!

Roman Sieroń w końcu także się zdenerwował.

– Nie mieliśmy pojęcia, że pani rzecznik leży związana w tym garażu, bo nie byłeś łaskaw zawiadomić policji o jej uprowadzeniu!

Przez chwilę mierzyli się niechętnym wzrokiem.

– A ja z twojego powodu nie zamierzałem narażać swoich chłopaków – dodał policjant z mściwą satysfakcją.

– Sieroń, jesteś cyniczną gnidą! – Jolka nagle się ożywiła.

Nie odpowiedział, choć sapnął gniewnie. Odwrócił się na pięcie i chciał odejść, lecz Konecki znów go powstrzymał.

– A antyterrorysty? Skąd się tu tak nagle wzięli?

– Wcale nie nagle. Wezwałem ich ponad pół godziny wcześniej, kiedy tylko wpuściłeś program śledzący do komórki Zacharewicza. Od razu pojąłem, że szykuje się między wami konfrontacja.

– Tylko skąd wiedziałeś, że to zrobiłem? – zdążył zapytać Bartek, ale jeszcze zanim dopowiedział zdanie do końca, już się domyślił. – Ty gnojku! Kiedy siedziałem w areszcie, kazałeś zainstalować program szpiegowski w moim komputerze!

Policjant tylko wzruszył ramionami.

– Co się wściekasz? Sam byś to zrobił na moim miejscu. Poza tym lepiej byś podziękował. Chłopaki z AT uratowali wam tyłki. A nie mieli nawet chwili, żeby się przygotować. Kiedy zobaczyłem w magazynie panią komisarz, bo do tego czasu sam też już dotarłem na miejsce, kazałem im wchodzić na rympał, bez wcześniejszego rozpoznania.

Nie powiedział tego na głos, ale Bartkowi przyszło do głowy, że gdyby nie Jolka, Sieroń pozwoliłby Zacharewiczowi go zastrzelić.

Podkomisarz chyba odgadł, jakie myśli chodzą Koneckiemu po głowie, bo zagaił przymilnie:

– Dobrze już, dobrze. Nie będziesz się chyba na mnie dąsał? Powiedz lepiej, co mogę jeszcze dla ciebie zrobić.

– Jest taka jedna rzecz...

Roman Sieroń zmarszczył z niezadowoleniem czoło.

– Co? – warknął.

– Oddaj mi wreszcie kurtkę.

Warszawa. Grudzień. Sobota

Wszyscy bardzo się starali, żeby to była zwyczajna Wigilia. I nawet nieźle im to wychodziło. Mama Bartka i ciotka Krysia toczyły równie zażarty co zwykle bój o palmę pierwszeństwa w kulinarnej rywalizacji. Runda pierwsza: pierogi z grzybami. Te wykonane przez panią Konecką miały w swoim składzie jeszcze kapustę kiszoną, odrobinę marchewki oraz pietruszki. Dzieło Krystyny zawierało wyłącznie farsz z podgrzybków z niewielkim dodatkiem prawdziwków i odrobiną cebulki.

– Próbowałaś aby tej kapusty przed dołożeniem do farszu? – niewinnym głosem i z autentyczną troską w głosie zagała ciotka. – Strasznie kwaśna jakaś. I taka jakby cuchnąca...

– Oj, nie napracowałaś się, kochanie – ripostowała Konecka. – Same grzybki... Ciężkostrawne to strasznie. Już mnie wątroba zaczyna strzykać.

Goszcząca w mieszkaniu na Chomiczówce po raz pierwszy pani Maria Bończak patrzyła na te działania wojenne ze zdumieniem. Po czterech tygodniach postu adwentowego i wczorajszej, piątkowej głodówce było jej wszystko jedno, czy próbuje produktu mamy czy ciotki Bartka. Była głodna. I już. Tymczasem obie panie nieustannie próbowały uczynić z niej swego sojusznika.

– No powiedz, Marysiu, czy to nie zajeżdża stęchlizną?

– Lepiej od razu napij się mięty i weź sylimarol...

– Radzę ci nie próbować tego barszczyku, potwornie kwaśny. Stracisz smak przed moim makowcem.

– Uważaj na karpia Krysieńki. Ma takie ości, że można przebić nimi gardło.

Bartek skrycie chichotał, Jolka zdawała się tego nie słyszeć. Prawdę

mówiąc, była tak zmęczona, że najchętniej położyłaby się do łóżka. Po czwartkowym wieczorze spędzonym na betonowej podłodze bolały ją wszystkie mięśnie. Miała wrażenie, jakby brała ją grypa. Dużo gorzej jednak czuła się psychicznie. Zawsze uważała się za twardą babkę, ale kilka godzin w skrajnym napięciu i strachu o życie, a potem strzelanina tuż nad głową rozstroiły jej nerwy. Może to błąd, że odmówiła pomocy psychologa?

Patrzyła teraz na Bartka, po którym cała ta historia zdawała się spływać jak woda po kaczce, i wciąż miała przed oczami moment, w którym rzucił broń, żeby ją ratować. Naprawdę jest taki głupi, że chciał za nią zginąć?

„Zakochany debil” – powiedział o nim tamtej nocy Zacharewicz.

Każdej kobiecie życzyłaby takiego debila.

Przez to wszystko zrobiła się trochę łzawa i ckliwa. Co chwilę przytulała się do grubej łapy Koneckiego, a nawet ukradkiem wycierała łzy w jego marynarkę. Pozostałe trzy kobiety patrzyły wtedy na siebie porozumiewawczo. Żadna z nich nie spytała młodych, co im się przytrafiło, ale każda słyszała przecież w telewizji o próbie porwania rzeczniczki komendanta stołecznego, komisarz Jolanty B.

Bartek... był szczęśliwy. Po prostu. Jolka nie wyjechała z redaktorem Kwaśko do Meksyku. Została z nim. Słynny prezenter zniósł to podobno wyjątkowo dobrze – zaprosił na wyjazd jakąś pogodynkę i tyle. Miejsce w samolocie się nie zmarnowało.

Jednak to nie wszystko. Jeszcze w czwartek w nocy śledztwo mocno ruszyło do przodu. Prosto z miejsca, w który doszło do strzelaniny, zabrano go do pałacu Mostowskich i przesłuchiowano niemal do rana. Tym razem nie ściemniał, nie kręcił. Opowiedział wszystko, jak było. Także o Amelii Stokrockiej. I o tym, co wiedział na temat machlojek Jacka Wasilewskiego oraz dyrektora Ciska.

W sobotę od rana zaczęły się zatrzymania podejrzanych

i doprowadzenia ich na przesłuchania do prokuratorów. Wasilewski pękł, przyznał się do szantażu i stręczycielstwa. Trafił do aresztu na trzy miesiące. Zacharewicz milczał. Stokrotka zapewniała, że nie jest żadną mścicielką. Złożyła obszerne wyjaśnienia. Pokazała otrzymany parę tygodni temu anonim, informujący o tym, że Zacharewicz i Wasilewski są zabójcami jej starszej siostry, co – zdaniem autora listu – miał uwiarygodnić stary dziennikarz Czesław Łyko. Biegli grafolodzy potwierdzili, że napisał go Janusz Ceglarczyk. Pojawiło się oczywiście pytanie, dlaczego Zacharewicz zrobił sobie z niej kochankę. Przypadek? Wątpliwe.

Popaprany, perwersyjny sukinsyn – pomyślał o nim Bartek.

W normalnych okolicznościach Stokrocka dostałaby pewnie jedynie dozór policyjny. Jednak porwanie pani komisarz z Komendy Stołecznej sprawiło, że policjantów i prokuratorów ogarnął amok. Wlepiono jej trzydzieści dni aresztu.

Dyrektor państwowego domu dziecka Leopold Cisek oraz jedna z wychowawczyń tej placówki zostali doprowadzeni na złożenie zeznań do prokuratury w Ostrowie. On twardo szedł w zaparte. Ona nie. Po trzy miesiące aresztu dla każdego.

Czas na słodkie. Bartek z Jolką pozbierali talerze i zanieśli do zlewu. Przez kuchenne okno roztaczał się widok na betonowe osiedle. Śnieg już dawno zniknął, zastąpiła go szarość łysych gałęzi i rozjeżdżonych przez samochody, upstrzonych psimi kupami trawników. Zapatrzeni w ten nieszczęśliwie romantyczny pejzaż przytulili się do siebie. Bartek czuł ciepło Jolki, zapach jej włosów i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo mu tego brakowało przez ostatnie dni.

Między ich nogami pałętał się zazdrosny o Koneckiego pies. Wykąpany, odpchlony, z nową obrozą na szyi prezentował się jako tako. Zakręcony ogonek kundla wibrował w powietrzu, oczy, które odzyskały blask, jak radary wodziły za talerzami noszonymi pomiędzy kuchnią

a pokojem.

– Szybko, chodźcie! – Aż podskoczyli, słysząc za sobą ciotkę Krysię. – Postawiłam na stole mojego makowca. Na pewno zaraz się skończy i będziecie skazani na, ee... – Posłała Bartkowi szybkie spojrzenie. – Na tego drugiego suchelca.

Wrócili do pokoju akurat w chwili, kiedy pani Maria zaintonowała *Cichą noc*. Jolka się poryczała, Konecki fałszował. A do tego wydało się, że nie zna słów. Dwie kulinarne antagonistki zawiesiły na chwilę oręż. Każda zjadła po plasterku makowca konkurentki i – choć obie się skrzywiły – żadna nie rzuciła kąśliwej uwagi.

Bartek znowu odpłynął myślami w stronę śledztwa. W magazynie na tyłach Dworca Wschodniego znaleziono krótki miecz wakizashi, którego ostrze idealnie pasowało do rany w ciele Janusza Ceglarczyka. Bartek mgliście sobie przypominał, że już kiedyś widział tę broń w mieszkaniu Jędrka. A więc to kaskader był zabójcą. Z pewnością działał na zlecenie Zacharewicza. I następna sprawa. Prokurator, który przesłuchiwał Bartka, uznał, że Konecki użył broni w obronie koniecznej. Pomogło nagranie z kamery OTP w jego kieszeni i notatka służbowa oraz zeznanie Romana Sieronia. Postrzelony przez detektywa Stanisław Koziński, pseudonim Koza, zmarł w drodze do szpitala. Andrzej Owsianko zwany Jędrkiem był w stanie ciężkim, ale stabilnym. Kulą kalibru 12,7 milimetra dostał w kręgosłup i do końca życia będzie jeździł na wózku.

Konecki czuł się z tym trochę niezręcznie, ale nie umiał wzbudzić w sobie ani grama poczucia winy z powodu tych dwóch sukinsynów. Dostali, czego chcieli. Nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia.

Jedyne, czego żałował, to tego, że na Wigilię do jego mamy nie przyszedł Hertel. Polubił drania. I miał wobec niego dług wdzięczności. Co prawda w tamten pamiętny, czwartkowy wieczór fałszywy ksiądz do niczego się ostatecznie nie przydał, ale liczyły się przecież dobre chęci. Niestety, „ojciec Tomasz” powiedział, że chce spędzić ten wieczór na

Brzeskiej, gdzie urządzał skromną wigilię dla ludzi ulicy. Wśród swoich zbłąkanych i często niewdzięcznych duszyczek. Miejsce dla niego przy stole pozostało więc puste.

Prezenty. Bartek zapożyczył się u mamy i kupił Jolce nową sukienkę. Niestety, na godzinę przed zamknięciem sklepów, więc dostał tylko granatową. Zapomniał, że ona nienawidzi tej barwy. Jolka szarpnęła się dla niego na nowy garnitur. Naprawdę fajny. Tyle że o numer za ciasny. Podobno jednak można oddać. Pod warunkiem, oczywiście, że uda się znaleźć zawieruszony gdzieś paragon... Nie szkodzi, nie chodziło przecież o materialne fanty. Ważne, że znów byli razem. Cali i zdrowi.

Choinka pulsowała różnokolorowymi lampkami chińskiej produkcji, podłogę zaścielały papiery z rozpakowanych prezentów. Bartek uświadomił sobie, że jeszcze nie powiedział Jolce o Żylecie. Naczelnik Wydziału Terroru Kryminalnego KSP Krzysztof Żywuski kazał mu w sobotni poranek napisać do sądu administracyjnego zażalenie na zwolnienie z policji.

– Chcę, żeby cię przywrócono do służby – oświadczył Koneckiemu prosto z mostu. – Spisałeś się przy sprawie tego Zacharewicza. Wracaj do zespołu.

Pobudzeni kawą znów zaśpiewali kolędę. Potem przez jakiś czas rozmawiali o rzeczach nieistotnych. Wreszcie Maria Bończak zauważyła, że jej córka słania się ze zmęczenia.

Czas wracać.

Ciotka Krysia zadeklarowała się, że odwiezie Marysię do domu zaraz po tym, jak pomogą pani Koneckiej posprzątać. Bartek niemal zaniósł Jolę do windy, o mały włos nie przewracając się o skaczącego wokół niego psa. Zjechali na parter, wyszli z bloku, Konecki wpuścił czworonoga na tylną kanapę mini coopera, po czym usadowił Jolkę na miejscu pasażera. Sam siadł za kierownicą, wcisnął gaz i bardzo się zdziwił, kiedy autko niemal wyrwało mu się spod siedzenia.

Ma zryw ten mały. Nie to co golf.

Na wspomnienie volkswagena zrobiło mu się przykro. Stary gruchot nie wróci już do Warszawy. Koneckiemu udało się w końcu rozwalić w nim rozrząd, wymiana silnika byłaby nieopłacalna.

Pojechali ulicą Conrada na Wawrzyszew i dalej prosto do Żeromskiego. Przed placem Wilsona Jolka zasnęła. Konecki ostrożnie pokonał wiadukt nad Dworcem Gdańskim i już skręcał w Świętojerską. Udało mu się znaleźć miejsce pod samym domem, wysiadł, wziął drzemiącą kobietę na ręce i wypuścił psa. Zamknął drzwi nogą, starając się nie trzaskać.

Kiedy ją niósł do wejścia na klatkę, na moment się przebudziła. Zamruczała jak kot, wtuliła w jego cudownie odzyskaną kurtkę i znów zamknęła oczy. Pod drzwiami miał szczęście – sąsiadka z pierwszego akurat wyprowadzała swojego jamnika. Nie musiał więc kombinować, jak sobie otworzyć. Jego pies zaszczekał, ale zaraz umilkł, gdy Konecki zgromił go wzrokiem. Weszli do środka i skierowali się ku schodom.

Zaraz będę w domu – pomyślał.

A potem bezgłośnie powtórzył:

– Dom.

Niespodziewanie zachciało mu się płakać. Stał więc przez chwilę z Jolką w ramionach i wpatrzonym w niego zdumionym psem, dopóki mu nie przeszło. Dopiero wtedy podjął wspinaczkę na czwarte piętro.

– Mój dom – wyszeptał, czując, że wszystko nareszcie wróciło na swoje miejsce.

Warszawa. Styczeń. Niedziela

Park Łazienkowski spowijała mgła, w której niczym duchy śmigały wiewiórki. Mokry, zmrożony po nocy śnieg robił się miękki. Na stawie przed Pałacym na Wodzie pływały resztki kry, na których kaczki odbijały swoje śmieszne ślady.

Było jeszcze zbyt wcześnie, żeby alejki zapełniły się tłumem spacerowiczów. Zbyt wcześnie i zbyt brzydko. Na ławce, na rozłożonej gazecie, siedziała starsza pani, która karmiła kaczki. Alejką w górę, ku pomnikowi Chopina, podbiegał joggingowiec w przemoczonych, kłapiących w pośniegowej brei sportowych butach. Wózkiem elektrycznym, na pełnej prędkości, szarżowało dwóch umundurowanych strażników.

Bartek zaczynał poważnie martwić się o Jolkę. Po tym uprowadzeniu z końca zeszłego roku z dnia na dzień bardziej i bardziej zapadała się w sobie. Początkowo myślał, że to przejdzie. Czas leczy rany – wszyscy znają to powiedzonko. W jej wypadku jednak jakoś nie leczył. Czuła się coraz gorzej. Niewiele zostało w niej z pewnej siebie i stanowczej pani rzecznik. Była na zwolnieniu lekarskim, pod opieką psycholożki, która zaczynała przebąkiwać o konieczności włączenia terapii anksjolitykami, czyli psychotropowymi lekami przeciwlękowymi.

Nie chciał się na to zgodzić, zbyt dobrze pamiętał swoje uzależnienie od xanaxu, alpraksu i całej reszty tej spółki. Łatwo zacząć, trudno skończyć. Wciąż wierzył, że z jego pomocą Jolka wydobędzie się z ruchomych piasków bolesnego wspomnienia. Psycholog zresztą uspokajała, mówiła, że to dość typowe. To się zdarza. Reakcja na silną traumę przychodzi po czasie tak zwanej latencji i nazywa się zespołem

stresu pourazowego. Ważne, żeby ją przepracować, wyleczyć, by nie doprowadziła do trwałej zmiany osobowości. A więc zespołu uzależnień, wybuchów agresji i zachowań społecznych czy trudności w koncentracji.

Kiedy tak słuchał tej terapeutki, zdał sobie sprawę, że sam dopiero co miał te objawy. Tragedia, która dotknęła jego rodzinę, koszmarne śledztwo z początku roku i otarcie się o śmierć odpowiadały za jego niedawną niemoc, bezradność, drażliwość i przyssanie się do leków. Zabawne, że sprawa Zacharewicza i Wasilewskiego – na zasadzie klin klinem – chyba go z tego wyleczyła. Konecki czuł się silny i poukładany. Znów rzucił palenie. A nawet wierzył, że jest w stanie pomóc wyzdrowieć Joli.

Szli wolno, mocno objęci, pod górę, mało znaną ścieżką wiodącą na tyły szklarni ogrodu botanicznego. Mimo ocieplenia wciąż było chłodno. Kiedy się zasapali podejściem, para leciała im z ust.

Gdy byli obok zegara słonecznego, w kieszeni Bartka zawibrował telefon. Z niechęcią wyjął komórkę i sprawdził, kto dzwoni.

Marcin Szabłowski. Aspirant z komisariatu rzeczno, którego kilka tygodni temu prosił o sprawdzenie, kto odwiedzał w więzieniu Janusza Ceglarczyka.

Teraz to już nieważne. Spuścił go, wyciszył telefon, wrzucił komórkę do kieszeni. Zignorował sygnał nadejścia wiadomości, świadczący zapewne o tym, że Szabłoś mu się nagrał.

Szli dalej. Teren się wyrównał. Doszli na tyły starej, maleńkiej, drewnianej knajpki. Wydała im się zamknięta, skręcili więc od razu w lewo, w kierunku pomnika Sienkiewicza.

Konecki czuł się odpowiedzialny za kobietę, która przeżyła koszmar, w jaki ją nieświadomie wmanewrował. Koniecznie chciał jej pomóc, to był obecnie jego cel. Zawiesił działalność firmy Grupa Konecki, stracił nawet zainteresowanie postępami śledztwa, które do niedawna tak bardzo go pochłaniało. Z tego, co obito mu się o uszy w prokuraturze, kiedy zjawiał

się tam wzywany do złożenia uzupełniających wyjaśnień bądź też na konfrontację z milczącym wciąż Zacharewiczem, śledczy skłaniali się obecnie do jednej wersji wydarzeń. Ich zdaniem Janusz Ceglarczyk po odsiedzeniu wyroku i odpękaniu okresu próby na zwolnieniu warunkowym udał się do Warszawy, by dokonać zemsty na Wasilewskim i Zacharewiczu. Nagrania z monitoringu miejskiego, do których udało się dotrzeć, potwierdzały, że często parkował kupiony przez siebie skuter pod domem tego pierwszego i apartamentowcem drugiego. Wszystko wskazywało więc na to, że przez kilka miesięcy śledził ludzi, których uważał za sprawców swego niesłusznego skazania, i planował zemstę. Zemstę, która pewnego wrześniowego dnia na Malczewskiego okazała się kompletną klapą. To zraziło Janusza Ceglarczyka, postanowił odpuścić.

Tak czy inaczej, chodząc jak cień za lichwiarzem i producentem filmowym, musiał w końcu natrafić na Amelię Stokrocką. Sprawdził ją i zorientował się, że to młodsza siostra zamordowanej dwadzieścia pięć lat temu Krystyny Talko. Wysłał jej więc anonim z informacją, z kim się zadała. Uwiarygodnił jego treść, powołując się na ustalenia redaktora Łyki. Niestety, jedyny efekt, jaki osiągnął, to taki, że Stokrocka przeszła z łap Zygii w delikatne rączki pana Jacka.

Gdy zdesperowany Ceglarczyk zrozumiał, że nie uda mu się wziąć sprawiedliwości w swoje ręce, wpadł w końcu na pomysł, by zrobić swoich znenawidzonych wrogów w zabójstwo. W tym celu zamordował przypadkową ofiarę – uliczną prostytutkę i ćpunkę, Martę Sobień. Odrąbał jej dłonie, żeby zwrócić uwagę na mord z 1992 roku, i liczył, że policja i prokuratura połączą te dwie zbrodnie, typując jako ich sprawców Wasilewskiego i Zacharewicza. Było to, rzecz jasna, arcynaiwne myślenie, bo gdyby śledczy faktycznie poszli tym tropem, pierwszym podejrzanym byłby on sam.

Tymczasem Amelia Stokrocka zaczęła zadawać swoim patronom niewygodne pytania o Krystynę Talko. Właśnie dlatego Zacharewicz

wynajął detektywa Bartosza Koneckiego i kazał ją śledzić. Chciał się przekonać, czy dziewczyna nie wygrzebuje jakichś szczegółów tamtej starej sprawy. W końcu od dokonania morderstwa nastolatki nie upłynęło jeszcze trzydzieści lat, zbrodnia nie zdążyła się przedawnić. Wciąż jeszcze istniało ryzyko, że Sąd Najwyższy anuluje wyrok na Ceglarczyka i zleci ponowne przeprowadzenie postępowania (co zresztą faktycznie stało się w ostatnich dniach). Tyle że detektyw wymknął się spod kontroli. Poprowadził własne śledztwo. I Zacharewicz zaczął działać zbyt nerwowo. Zabił Czesława Łykę (nie był pewien, co redaktor wie i czego może się jeszcze dokopać), wrabiając w mord zadżganego tuż wcześniej Janusza Ceglarczyka. Nie udało się jednak uciszyć Koneckiego, który zdemaskował w końcu proceder łączący wspólnie Jacka Wasilewskiego i Zygmunta Zacharewicza. Wtedy już Zyga musiał postawić wszystko na jedną kartę, więc posunął się do uprowadzenia funkcjonariuszki policji. Był zdesperowany. Robił wszystko, żeby dopaść Koneckiego, zanim ten przekaże policji swoje ustalenia.

Szli z Jolką w milczeniu. Bartek obejmował ją ramieniem. Od strony Alej Ujazdowskich dobiegał stłumiony szum samochodów. Zostawili jej mini coopera przy tylnym wejściu do Łazienek, na ulicy Podchorążych, musieli więc jeszcze minąć pomnik Chopina, zejść za nim ze skarpy, przeciąć skwer pod restauracją Belvedere i dostać się do bramy. Tymczasem Jolka leciutko drżała. Zmarła? A może to kolejny napad paniki? Mocniej ją przytulił i nieco przyspieszył. Zaczynał się niepokoić, jak dziewczyna da sobie radę, kiedy za dwa tygodnie wyjedzie na cały dzień do Ostrowa Wielkopolskiego. Miał tam zeznawać w wyodrębnionym śledztwie dotyczącym Leopolda Ciska.

Hipoteza przyjęta wstępnie przez prokuraturę miała jednak kilka słabych punktów. Kto odwiedzał w przytułku Norberta Pałuchę? Jeśli Ceglarczyk, to dobrze byłoby odpowiedzieć na pytanie, jak odnalazł byłego glinę. Nie udało się także wyjaśnić, skąd Ceglarczyk miałby mieć

dostęp do ściśle limitowanych, anestezjologicznych leków, przy użyciu których pozbawił życia Martę Sobień. I kto go nauczył ich stosowania.

To wszystko stawiało tezę o samotnym mścicielu pod dużym znakiem zapytania. Może więc Janusz Ceglarczyk dogadał się w końcu z Zacharewiczem i Wasilewskim? Może sam ich szantażował? A oni zabili go, żeby się pozbyć natręta, a wcześniej – dla zatarcia śladów i zmylenia śledczych – zamordowali losowo wybraną prostytutkę, pozorując działania seryjnego zabójcy? No tak, ale przecież obaj mieli alibi.

Wszystko to było dziwne, zawikłane, wielowątkowe i niejasne, a Koneckiemu nie chciało się już łamać nad tym głowy. Miał własny problem. O wiele bliższy. Musiał zawalczyć o zdrowie Jolki.

Wychodząc przez potężną, dwuskrzydłową bramę parku na ulicę Podchorążych, przypomniał sobie o telefonie od Szablowskiego. Kiedy już usadził Jolę na miejscu pasażera, szybko przytknął komórkę do ucha, żeby odsłuchać wiadomość.

– Przepraszam, że tyle to trwało, wiesz, kupa roboty – usłyszał głos rzecznego aspiranta. – Pewnie już dawno po ptokach, ale w końcu zadzwoniłem do Strzelec Opolskich i wypytałem, kto odwiedzał pod celą tego twojego Ceglarczyka. Gdybyś był zainteresowany, oddzwoń.

Bartek wzruszył ramionami. Może kiedyś oddzwoni. Może. Ale na pewno nie teraz. Do więzienia jeździł pewnie ktoś z rodziny albo jakaś sympatia poznana za pośrednictwem gazetowej rubryki towarzyskiej. Z pewnością nikt istotny dla sprawy. Mścicielem był Ceglarczyk. Chyba.

Okolice Ostrowa Wielkopolskiego. Styczeń. Poniedziałek

Wyjątkowo nie miał ochoty na ten wyjazd. Jolka czuła się ostatnio lepiej, ale wiedział, że jej psychika wciąż balansuje na krawędzi. Bał się, że gdy zostawi ją samą na cały dzień, powrócą lęk i ledwo przygaszona panika. Ale była też i druga sprawa...

Akurat dziś miała wyjść na wolność Amelia Stokrocka. Sąd nie przedłużył jej aresztu, prokurator zamierzał odstąpić od oskarżenia. Nic na nią nie mieli.

Bartek Konecki czuł się wobec niej niezręcznie. Pod każdym względem. To przez jego zeznania pogodynka trafiła za kraty. No i była jeszcze kwestia tamtej wspólnej nocy... Do dziś nie wspomniał o niej Jolce. Nie było też okazji, by zakończyć sprawy pomiędzy nim a Amelią. Właśnie dlatego zamierzał odebrać ją spod aresztu. Zwłaszcza że sam dobrze pamiętał, jakie to ważne, żeby ktoś czekał na ciebie pod bramą.

Jednak nie mógł tego zrobić. Musiał zeznawać w sprawie Leopolda Ciska. Akurat dziś, cholera.

Dzień był mroźny, choć śniegu na polach leżało niewiele. Jezdnia sucha, widoczność świetna, mini cooper rwał do przodu jak wyścigówka.

Żeby jakoś zrekompensować swoją nieobecność i dać wyraźny sygnał, że nie chowa głowy w piasek, poprosił ojca Tomka, znaczy Hertla, żeby go godnie zastąpił. Księżulo najpierw się spłoszył, ale potem nawet zapalił do tego pomysłu. W głębi duszy i pod płaszczykiem świątobliwego ascety skrywał osobowość niedojrzałego, żadnego przygód chłopca. Konecki już dawno go rozszyfrował.

Tomek zapowiedział nawet, że aby wyprowadzić Stokrocką spod obiektywów paparazzich i kamer dziennikarzy programów

informacyjnych, pożyczę od kogoś samochód.

Hertel za kółkiem. To musi być niezły horror. Nawet w ramionach Zachara Amelia nie była chyba bardziej zagrożona.

Pod przeszklone wejście Prokuratury Okręgowej w Ostrowie Wielkopolskim przy ulicy Krotoszyńskiej dotarł grubo przed czasem. Znalazł miejsce do zaparkowania, wygrzebał się z niskiego autka na wysypany piaskiem i solą chodnik. Wyprostował się, obciągnął kurtkę. Po chwili namysłu postanowił od razu wejść do środka. Pewnie mają tam jakiś barek. Wypije kawę, przeczyta wiadomości i czas jakoś zleci.

Akurat wkroczył pod przezroczysty daszek nad wejściem, kiedy zawibrował jego smartfon. Od Hertla? Księżulo wciąż nie miał komórki, ale obiecał, że jak tylko będzie miał możliwość, skontaktuje się z Bartkiem z telefonu Stokrockiej.

Za wcześnie. Procedura wypisania z aresztu zajmuje około trzech godzin – skonstatował Konecki.

To może od Jolki? Drżącą ręką wyjął smartfona i sprawdził wiadomość. Esemes był od operatora sieci. Nic ważnego. „Wiadomość głosowa z dnia 8 stycznia zostanie automatycznie skasowana. Czy chcesz ją zachować?”.

Przez chwilę szukał w pamięci, co to za wiadomość. Ostatnio kontaktował się z wieloma osobami. Naczelnik Żywuski, który wszczął procedurę przywrócenia go do służby, Lichocki zapraszający na żeberka, wydzwaniali też dziennikarze i dawni koledzy. Po chwili jednak skojarzył numer. Ach, tak. Marcin Szablowski. Przecież miał do niego oddzwonić! Zapomniał. Po krótkim namyśle Bartek uznał, że zrobi to w drodze powrotnej. Za kilka godzin, kiedy będzie już po przesłuchaniu. Z powrotem wsadził telefon do kieszeni i wkroczył do środka.

Warszawa. Styczeń. Poniedziałek

Miesiąc spędzony w areszcie porządnie dał Amelii w kość. I już nawet nie chodziło o współwięźniarki, które od razu wyczuły w niej świeżynkę, po której można spróbować pojeździć. Z tym jakoś dała sobie radę, choć raz doszło do szarpaniny. Gorzej, że nagle poczuła się strasznie samotna i opuszczona. Nikt się za nią nie ujął, nikt nawet nie spróbował poręczyć. Jej macierzysta stacja telewizyjna zdecydowanie się od niej odcięła, a rzecznik – który jeszcze w listopadzie usiłował umówić się z nią na kawę – teraz publicznie określił ją mianem kryminalistki. Tego wszystkiego dowiadywała się z tabloidów, usłużnie podtykanych przez inne osadzone. Na zdjęciach ilustrujących artykuły pełne wytłuszczeń, podkreśleń i wykrzykników jej twarz była przysłonięta jedynie wąziutkim paseczkiem, który nie skrywał nawet całych oczu.

Trochę ją też bolała insynuacja tego detektywa, Bartka. Podzielił się ze śledczymi swoim podejrzeniem, że mogła próbować mścić się na Zacharewiczu i Wasilewskim za śmierć swojej siostry. Śmieszne... Dokładnie pamiętała dzień, w którym poznała Zygę. Zaparkował pod szerokimi schodami jej wydziału jakimś ogromnym samochodem. Zastawił pół chodnika i pół niezbyt przecież szerokiej ulicy Mokotowskiej. Stał, nonszalancko oparty o błotnik, nie przejmując się, że pobrudzi dopasowany przez krawca garnitur. Nikt nie miał odwagi powiedzieć mu, że tamuje ruch.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem od rana – zdobył się na niezbyt wyszukany komplement, zastępując jej drogę.

– Czy ja pana znam? – zapytała wtedy ostrożnie.

Towarzyszące jej koleżanki z wydziału pedagogiki ogólnej

zachichotały. Błady i chudy Przemek, jedyny posiadacz chromosomów XY w ich grupie, zaczął się nagle bardzo śpieszyć. A przecież zaledwie pięć minut wcześniej zanudzał ją zaproszeniami do kina, na spacer albo na ciastko.

Tak, Zygmunt Zacharewicz nikogo nie pozostawiał obojętnym. Robił wrażenie. Przeważnie złe. Chyba że się starał.

– To pomyłka, jestem mężatką – dorzuciła, kiedy nie odpowiedział na jej pytanie i bezczelnie taksował ją spojrzeniem. Czuła się pod nim naga, wystawiona na cel. Bezbronna. I musiała ze wstydem przyznać, że troszkę jej się to podoba.

– Chodź, napijemy się drinka w Enklawie – powiedział, ujmując ją pod łokieć. – Ty mi opowiesz o mężu, a ja ci wyjaśnię, skąd się znamy.

– Enklawa o tej porze nieczynna – tonem znawczyni wtrąciła jedna z koleżanek.

– Dla mnie otworzą – powiedział, nawet się do niej nie odwracając. Dziewczyny aż się zapowietrzyły z wrażenia.

Nigdy do końca nie zrozumiała, dlaczego wsiadła wtedy do jego samochodu. Zawsze była przecież asertywna, wręcz bezczelna. Zydze jednak nie wypadało odmawiać.

Ani w Enklawie, ani gdziekolwiek indziej nie wyjaśnił, skąd ją zna. Zamiast tego zrobił z niej swoją kochankę, dziwkę, sukę. Kompletnie ją omotał. Po roku sama już nie wiedziała, czy jest w nim zakochana, boi się go czy po prostu nie widzi drogi ucieczki. Zawaliła studia, rozstała się z mężem, zerwała kontakty z rodzicami. Zachar zawładnął nią całkowicie. I władał aż do czasu, kiedy na horyzoncie pojawił się Jacek Wasilewski. Najpierw nie zwracał na nią uwagi, ale pewnego razu, kiedy podpity Zachar wyszeptał mu coś do ucha, Pan Sławny Producent Filmowy popatrzył na nią jak oniemiały. Zyga chichotał, a Wasilewski rozlał drinka na swój krawat.

– To naprawdę jest ta dziewczyna? – Nie mógł uwierzyć.

Niedługo później umówił się z nią w restauracji i roztoczył wizję telewizyjnej kariery. Myślała, że to Zacharewicz chce się nią z kumplem podzielić. Nie byłby to pierwszy raz...

Producent filmowy jednak niczego od niej nie chciał. Wyrwał ją z łap kompana i faktycznie umocował w telewizji. Wspierał jej karierę, protegował. Wszyscy myśleli, że jest jego kochanką, a on nawet jej nie tknął. Zachowywał się wobec Amelii jak ojciec, a nie napalony i bogaty facio. Jakby go coś gnębiło. Jakby miał poczucie winy.

Nie rozumiała tego. Przynajmniej do czasu, aż nadszedł ten dziwny anonim. Jego autor pisał jak dyslektyk z zespołem Aspergera. Błędy, kulfony, przekleństwa. Z krótkiej treści wynikało jednak jasno, że Zygmunt Zacharewicz i Jacek Wasilewski są faktycznymi mordercami Krysi, jej niemal już wymazanej z pamięci, a kiedyś ubóstwianej siostry. Miał to potwierdzić Czesław Łyko, dziennikarz, który przed laty interesował się tą sprawą.

Amelię najpierw zatkało. Potem uznała, że to bzdura. Aż w końcu przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Zacharem. Ten mężczyzna, choć silny i obdarzony władczą charyzmą, był zepsuty do szpiku kości. Rzeczywiście, mogło go rajcować, że pieprzy siostrzyczkę zgwałconej i zabitej przez siebie dziewczyny...

W końcu, chyba gdzieś koło południa, Amelia wyszła z aresztu. Natychmiast opadli ją dziennikarze. Kamery, flesze, podetknięte pod nos mikrofony. Lawina pytań. Ciągłe okrzyki: „Stokrotka, tutaj! Odwróć się do mnie!”. I zaraz strzał flesza.

Niektórych z nich znała z widzenia. Na korytarzach stacji byli życzliwi i mili. Teraz, w stadzie, zachowywali się jak piranie. Cofnęła się, omal nie rozpląkała, nie widziała drogi ucieczki z tej matni.

I wtedy ktoś ujął ją pod ramię. Nieduży, niższy od niej o pół głowy facecik. Czy jej się zdawało, czy pod kurtką miał koloratkę? Ksiądz? Wśród tej sfory?

Szczuplutkie palce trzymały mocno, prowadząc ją ku ulicy. Chude ramię bez pardonu rozsuwało napierających dziennikarzy. Od razu poczuła, że może zaufać temu człowiekowi. Miał szczerą, chłopięcą twarz i pełne życia oczy.

– Jestem od Bartka – szepnął. – Zabiorę cię stąd w bezpieczne miejsce.

Okolice Pruszkowa. Styczeń. Poniedziałek

Leciał autostradą A2 prawie sto osiemdziesiąt, a morris dzielnie dawał radę. Przesłuchanie było szybkie, rutynowe, sztapowe. Uprzedził już Jolkę, że wraca do domu. Jedyne, co go odrobinę niepokoiło, to to, że wciąż nie odezwał się Hertel. Konecki próbował nawet zadzwonić na komórkę Amelii, ale była wyłączona. Co jest? Zatrzymali ją w areszcie? Nie. Nie wbrew decyzji sądu. A może nie spotkała się z księdzem Tomkiem?

Narastał w nim lęk trudny do wytłumaczenia. Przecież w sumie nic się nie działo. Pogada sobie ze Stokrocką kiedy indziej. I tyle. Mimo tych racjonalnych tłumaczeń nie mógł odzyskać równowagi. Wiercił się w fotelu, cisnął gaz, kombinował. Aż w końcu wybrał w smartfonie numer Szabłowskiego. Dlaczego? Sam nie umiałby tego wytłumaczyć. Po prostu nagle mu się wydało, że bagatelizowana przez niemal piętnaście dni informacja, którą miał od niego odebrać, może mieć jednak jakieś znaczenie. Gdyby nie był byłym gliniarzem, czyli kimś, kto nienawidzi tego słowa, nazwałby to intuicją.

– Siemka, Bartek, myślałem, że się już nie odezwiesz! – powitał go wesoły głos Marcina. – Po mieście chodzą słuchy, że masz zostać przywrócony. Podobno wniosek jest już w sądzie. To prawda?

– Miałeś mi coś do przekazania... – Konecki ostrożnie naprowadził go na właściwe tory. Nie miał teraz nastroju do plotek. Właściwie to nigdy nie miał na to nastroju.

– A tak. – Szabłowski lekko się nadał. – Chodziło o tego Ceglarczyka. Naprawdę cię to jeszcze interesuje? Facet nie żyje, a sprawa podobno ma się ku końcowi.

– Powiedz, co masz – poprosił Konecki.

– A więc tego kolesia odwiedzała w więzieniu tylko jedna osoba. Kapujesz? Siedział osiemnaście lat i nikt się do niego nie pokwapił. Ani tatuś, ani mama, brat czy siostra. Wygląda na to, że totalnie się go wyrzekli.

– Co to za osoba?

– Nikt z rodziny.

– To już powiedziałaś! – Bartek starał się panować nad głosem.

– Taak. No więc to był... czekaj, mam gdzieś zapisane. A tak! To był facet, który przychodził do kryminału w sutannie. Przedstawiał się jako ojciec Tomasz, ale w papierach miał zapisane: Daniel Hertel.

Bartkowi zakręciło się w głowie. Fałszywy księżulo, którego sam zaczepił w Radomiu... Który nie powinien mieć kompletnie nic wspólnego z tą sprawą, poza przypadkową znajomością z Pałuchą... Który właśnie, zresztą na jego życzenie, odebrał z aresztu Amelię Stokrocką... Ten ktoś, wręcz jego przyjaciel, może okazać się mścicielem.

Jakim, kurwa, sposobem?

Wdepnął jeszcze mocniej gaz, cooper doszedł do dwustu. Z drogi zaczęły mu ustępować porszaki, jedno maserati, mitsubishi evo podczepiło się do tyłka. A on myślał.

Daniel Hertel. To imię i nazwisko. Im dłużej obracał je na języku, tym bardziej wydawało mu się znajome. Gdzieś już je słyszał i to w związku ze sprawą Krystyny Talko. Słyszał? Nie, raczej czytał!

Nagle olśnienie. W mózgu otworzyła się zardzewiała klapka.

Rany, to niemożliwe.

A jednak. Daniel Hertel to chłopak zamordowanej, z którym państwo Talkowie przyjechali do stolicy latem 1992 roku, aby rozpoznać zwłoki swojej starszej córki. Pałucha tylko raz, w protokole przesłuchania, wymienił go z imienia i nazwiska, potem pisał o nim per świadek. Dlatego

Konecki go nie zapamiętał.

Był już w Alejach Jerozolimskich. Tu, rzecz jasna, musiał zwolnić. Do stu dwudziestu.

Chwycił komórkę, wybrał numer Żywuskiego. Naczelnik odebrał niemal natychmiast. W krótkich słowach poinformował go o swoim odkryciu. Były chłopak zamordowanej, już jako dorosły mężczyzna, odwiedza w więzieniu zabójcę miłości swojego życia. Brzmi melodramatycznie, ale Hertel przecież coś mówił o swojej próbie samobójczej, prawda? Łatwo zgadnąć, z czyjego powodu próbował odebrać sobie życie.

No więc odwiedza mordercę. Po co? A jakie to dziś ma znaczenie?! Ważne, że więzień zapewnia go o swojej niewinności. A jako osobę, która może to poświadczyć, wymienia nazwisko starszego aspiranta Norberta Pałuchy.

– To nie przypadek, że Hertel dotarł do OPS-u, w którym on wylądował po wylewie! – tłumaczył Bartek Żylecie. – Cholera! Pałucha stękał coś o facecie, który go wypytywał o sprawę Talko. Gdybym go wtedy lepiej przycisnął...

– Dobra, nie czas na bicie się w piersi – uciął Krzysztof Żywuski. – Mówisz, że Hertel odebrał spod aresztu Stokrocką?

– Sam go o to prosiłem – ponuro przyświadczył Konecki.

– I podejrzewasz, że to on zabił Martę Sobień?

– Nie wiem. Ale na pewno dobrze znał Ceglarczyka, kontaktował się z nim w Warszawie, kiedy ten planował zemstę. I nie wspomniał mi o tym ani słowem. Chyba wystarczy, żeby go podejrzewać?

– Przypuszczasz, że teraz chce załatwić Stokrocką?

– Chcesz się założyć?

– No to jesteśmy w dupie.

– Trzeba natychmiast sprawdzić adres na Bliskiej. I wysłać patrol na

ulicę Nowaka-Jeziorańskiego, do mieszkania Stokrockiej.

– Zrobimy to – obiecał naczelnik. – A ty zaczekaj. Tym razem się nie mieszaj.

– Chyba ocipiałeś! Właśnie zjeżdżam z mostu. Będę na Bliskiej za pięć minut.

– Masz broń?

– No skąd? Przecież wracam z prokuratury.

– Uważaj. To może być cholernie niebezpieczny facet.

Warszawa. Styczeń. Poniedziałek

Na Bliską Bartek dotarł w trzy minuty. Podwórko było jeszcze puste. Żadnego radiowozu. Zadudnił butami na schodach i wpadł do pokoju Hertla razem z drzwiami. Poślane łóżko. Dwa taborety. Pusty stół. No to z powrotem.

Dokąd mógł ją zabrać?

Konecki postanowił jechać na Gocław, do mieszkania Amelii. Wskoczył do autka, ignorując zaskoczone spojrzenia sąsiadów. Ruszył tak gwałtownie, że zmarznięte grudki błocka zabębniły o ceglaną ścianę. Gaz do dechy. W dali już słyszał nadjeżdżające radiowozy. Próżny trud.

Spojrzał na bryłę Dworca Wschodniego i wtedy w łeb zdzielił go wyrzut adrenaliny do krwi. No jasne! Brzeska. Najkrócej byłoby przebiec przez dworzec, ale nie chciał rozstawać się z samochodem. A nuż trzeba będzie jechać gdzieś dalej?

Jak kometa wypadł na Targową, przejechał pod wiaduktem kolejowym, zignorował zmieniające się światła i już skręcał w Ząbkowską. Brzeska była o krok.

Kiedy w nią wjechał, niemal od razu rzuciło mu się w oczy jedno z zaparkowanych przy chodniku aut. Granatowe suzuki liana. Rzadko spotykany model. Gdzieś już widział ten wóz...

Nagle zrozumiał. W jednej sekundzie stanęła mu przed oczami scena z połowy listopada, kiedy stał w korku na Sanguszki w drodze do biura. Nie miał wtedy jeszcze pojęcia, kim jest Zygmunt Zacharewicz, nie słyszał o zabójstwie Krystyny Talko, a jego Jolka mówiła, że go kocha. Teraz wydało mu się, że to było w innym życiu.

Tak, twarz dziewczyny o błędnym spojrzeniu widziana przez tylną

szybę. Mętym, jak u pijanej, ale pełnym śmiertelnego strachu. To musiała być Marta Sobień. Chciał wtedy wysiąść, zapukać tamtemu w szybę, sprawdzić, co się dzieje. Ilu tragedii udałooby się uniknąć, gdyby wówczas nie zajechał mu drogi ten japiszon w maździe? Albo gdyby on sam nie myślał non stop o alpraksie.

Wyskoczył z coopera, nie blokując nawet pilotem zamków. Na tej ulicy oznaczało to proszenie się o kłopoty. Pędził. Przez bramę, obok kapliczki, we wnętrzu której znów błyszczały lampki, i dalej pędem na ciemną klatkę schodową.

Wbiegł na piętro po cztery stopnie, omal nie wyzionął ducha. Rzucił się na klamkę u drzwi. Poddała się bez oporu.

Może jeszcze nie jest za późno?

Przedpokój. Dwa rzędy zniczy pod ścianami. Tania sceneria, która jednak przyprawiała o dreszcze. Zdyszany, spocony, od razu wywalił kopniakiem drzwi do „kaplicy”.

Uderzył w niego blask co najmniej dwudziestu świec. I od razu ich zobaczył. Niecałe dziesięć metrów przed nim, pod oknem zabitym płytą OSB. Ona siedziała na krześle z poręczami, przywiązana za ręce. Wodziła po pomieszczeniu półprzytomnym wzrokiem. W przedramię miała wkłuty wenflon. On stał za jej oparciem ze strzykawką w rękę.

– Stój! – Bartka osadził w miejscu jego krzyk. – Jeśli chcesz, żeby przeżyła...

Zatrzymał się w progu, ciężko sapiąc. Mierzyli się wzrokiem. Drobną sylwetką fałszywego księdza i kobieta, dla której na pewien czas stracił głowę. Ojciec Tomasz, Daniel Hertel, morderca, jedyny przyjaciel... Koneckiemu kręciło się w głowie.

– Podalesz jej to świństwo?

– Tak.

Natychmiast ruszył do przodu, sięgając po komórkę. Musiał jak

najszybciej wezwać pogotowie.

– Zatrzymaj się! Bo ona zginie!

Znów stanął jak wryty. Omiótł wzrokiem pokój. Ołtarz z palet i to jedno krzesło, jakieś kartonowe pudła pod ścianami, siekiera obok wejścia, na wyciągnięcie ręki. Siekiera? Skupił na niej spojrzenie. Ciężka, o stylisku wyślizganym i upstrzonym brązowymi plamkami. Krew? Czy to siekiera obcinacza?

– Podałem jej końską dawkę galaminy, kiedy zobaczyłem cię na podwórku. Zacznie działać za kilka minut! – Hertel szybko wyrzucił słowa. – Pogotowie w tym czasie i tak nie dojedzie. Jesteś w stanie ją reanimować, tłumacząc równocześnie dyspozytorowi, jak dotrzeć do mieszkania położonego po drugiej stronie podwórka w opuszczonej kamienicy?

– Ty sukinsynu! – Bartek znów zerwał się do skoku.

– Stój! Jest inny sposób!

Konecki miał dosyć tej ciuciubabki.

– Gadaj jaki!

Hertel potrząsnął trzymaną w palcach strzykawką.

– To neostygmina z odrobiną atropiny.

Gdy pojął, że Bartek nie rozumie, dodał:

– Antidotum. Działa od razu, odwracając paraliż wywołany przez galaminę.

– W takim razie natychmiast...

– Najpierw się cofnij. Do drzwi.

Konecki zrobił to po krótkim wahaniu.

– A teraz rzuć do mnie komórkę.

– W życiu!

– W takim razie... – Hertel upuścił strzykawkę i uniósł nogę, by zmiażdżyć ją na podłodze butem.

– Nie!

Noga okryta wyświechtaną sutanną zawisła w powietrzu. Bartek rzucił w jego kierunku swój smartfon. Fałszywy ksiądz natychmiast rozbił go o ścianę.

– Teraz podaj jej antidotum.

– Za chwilę... – Ascetyczna twarz Daniela Hertla rozciągnęła się w bladym uśmiechu.

– Nie pogrywaj ze mną, bo... – Konecki chwycił siekierę i zrobił krok, ale noga Hertla znów zawisła nad strzykawką.

Czując, że wszystko w nim kipi, Bartek cofnął się w stronę progu, ale nie wypuścił już z dłoni ciężkiego styliska.

– Nie wywiniesz się z tego – wycedził, ale zaraz zdał sobie sprawę, że takie groźby nie mają sensu.

Hertel nie bał się śmierci ani więzienia. Nie bał się niczego. Był szalony.

– Naprawdę nie interesuje cię, o co w tym wszystkim chodzi?

Człowiek w sutannie wciąż się uśmiechał, choć jego twarz była trupio blada. Amelia, choć oszołomiona GHB, wciąż oddychała równomiernie i bez wysiłku.

– Chodzi o to, że jesteś mścicielem – odwarknął.

– Mścicielem? – Hertel powtórzył to w zamyśleniu. – Tylko tyle zrozumiałeś ze wszystkich lekcji, których ci udzieliłem?

– Wymyśliłeś zemstę na mordercach dziewczyny, którą kiedyś kochałeś – sprecyzował Bartek. – Chciałeś ich zrobić w śmierć Marty Sobień i...

Przerwał, bo zrozumiał, że bredzi. Daniel wyraźnie przecież czekał na niego z uśmierceniem Stokrockiej. Mógł ją zabić dużo wcześniej. Po co wyreżyserował to przedstawienie? Z pewnością nie po to, żeby odegrać się na siedzących w areszcie Wasilewskim i Zacharewiczu. Nie, tu chodziło

o coś zupełnie innego.

– Nie słuchałeś mnie zbyt uważnie – cichym, jakby zasmuconym głosem przemówiła postać w sutannie. – Ja nie szukam już zemsty.

– Jasne. A ja jestem baletnicą – prychnął Konecki.

– Rzeczywiście, pragnąłem jej przez chwilę, przyznaję. – Daniel Hertel uderzył się w piersi kułakiem. – To było wtedy, kiedy odnalazłem Norberta Pałuchę. Od niego się dowiedziałem, kto naprawdę zamordował Krysię. I wtedy, na pewien czas, straciłem wiarę. Przecież tak ją kochałem! Napisałem więc list do Ceglarczyka, wezwałem go do Warszawy. Posłuchał, bo byłem jedyną bliską mu osobą. Na miejscu – i to jest mój wielki grzech – popchnąłem go ku zbrodni. Namawiałem, by zabił Zacharewicza i Wasilewskiego.

Zamilkł na chwilę, intensywnie wpatrując się w Koneckiego. W półmroku rozmigotanym ognikami świec prawie nie widać było jego oczu. To jednak, co się udało Bartkowi wyczytać z jego spojrzenia, wystarczyło, by uwierzyć, że fałszywym księdzem naprawdę targają wyrzuty sumienia.

– Zrozumiałem w końcu, że tamci dwaj zostaną surowo osądzeni po śmierci – znów podjął Hertel. – Tym surowiej, im skuteczniej na tym świecie uda im się uniknąć sprawiedliwości.

– Więc po co to wszystko? – Bartek zatoczył łuk trzymaną siekierą, wskazując świeczki, krzesło i przywiązaną do niego kobietę.

– Naprawdę się nie domyślasz?

Konecki zaczynał już pluć sobie w brodę, że tak pochopnie oddał tamtemu komórkę. Teraz naprawdę był w kropce. Musiał zrobić wszystko, żeby dawka neostygminy nie uległa zniszczeniu. Bez niej Amelia nie miała szans.

Hertel mówił tymczasem dalej:

– Nikt o tym nie wie, ale Krysia ze mną zerwała. Kiedy jechała na ten

satanistyczny koncert, w to siedlisko grzechu, nie była już moją dziewczyną.

Bartek kalkulował w myślach. Ile czasu zajmie mu doskoczenie do Daniela? Czy tamten zdąży w tym czasie zgnieść strzykawkę? I czy w strzykawce aby na pewno jest antidotum? Dużo pytań, a czas płynie.

– Złamała mi tym serce. Kiedy stanowiliśmy parę, była taka czysta... Aż nagle ją to znudziło i przeszła na ciemną stronę grzechu.

Cholera, Konecki zaczynał się czuć jak na seansie *Gwiazdnych wojen*. O co Tomkowi... ups, Hertlowi, chodziło?

– A potem stało się to nieszczęście. Została zamordowana w straszny sposób. – Daniel zawiesił głos, wbijając wzrok w Bartka. – Najpierw tego nie rozumiałem. Wciąż zadawałem naiwne pytanie: dlaczego? Chciałem się zabić, potem uciec do seminarium...

– Nie rozumiałeś? A co tu było do zrozumienia? – odezwał się w końcu Konecki.

Wreszcie do niego dotarło, po co ta cała koszmarna inscenizacja. Hertel chciał się przed nim wygadać. Wyrzucić coś z siebie. Była duża szansa, że kiedy skończy, po prostu się podda. Trzeba więc mu pomóc, żeby wszyscy troje mieli to jak najszybciej za sobą.

– Nie rozumiałem znaku z niebios – wyjaśnił Hertel.

– Znaku z niebios?!

O rany. Facet był bardziej popieprzony, niż można się było spodziewać.

– Tak. Najwyższy wyrwał ją z tego świata w tak okrutny sposób, by nie pozwolić jej błędzić. W swojej bezgranicznej mądrości pozwolił odkupić grzechy poprzez straszliwe cierpienie.

Konecki wybałuszył na niego oczy. Zaczynał rozumieć.

Odkupienie przez cierpienie. Ożeż.

– Widzę, że ty też rozumiałeś! – Daniel niemal się rozpromienił. –

Tak, wtedy zrozumiałem, co jest moim życiowym celem. Niesienie tego przesłania w świat. Przesłania i pociechy dla wszystkich cierpiących, maluczkich, upokarzanych.

– Jesteś kompletnym świrem, Hertel.

Człowiek w sutannie posmutniał.

– Myślisz, że zabicie tej młodej nierządniczy, Marty Sobień, sprawiło mi przyjemność? Otóż nie, zapewniam. Ale zrobiłem to, aby dostąpiła zbawienia. Ceglarczyk, choć jego akurat zamordował Zacharewicz, też został oczyszczony. Byli zatwardziałymi grzesznikami, ale dzięki cierpieniu zasiadają teraz wśród świętych.

– Grzesznikami? Zwykła ćpunka zmuszona przez okoliczności do dawania dupy i niewinnie skazany facet?

– O jego niewinności dowiedziałem się dopiero po wielu latach.

– Od Norberta Pałuchy? – domyślił się Bartek.

Hertel potwierdził skinieniem głowy.

– Najpierw, jak wszyscy, byłem przekonany, że mordercą jest Ceglarczyk. Odwiedziłem go w więzieniu, żeby mu wybaczyć. On jednak tego nie pragnął. Jego dusza płonęła w ogniu doznanej krzywdy. Przysięgał, że jest niewinny.

– Ale w pierwszej chwili mu nie uwierzyłeś?

– A ty byś uwierzył? Skazanemu przez sąd prawomocnym wyrokiem?

W pokoju na moment zaległa cisza. Bartek z niepokojem spojrzał na Amelię. Zdawała się powoli budzić z letargu. Na szczęście wciąż oddychała równo i głęboko.

– Odwiedzałem go wielokrotnie, w nadziei, że w końcu się ukorzy – mówił dalej Daniel. – Ale on trwał w uporze. I w końcu zacząłem mieć wątpliwości co do jego winy.

– Wtedy odnalazłeś byłego aspiranta. Wskazał ci go Ceglarczyk? Jako jedyne go gline, który wierzył w jego niewinność?

– Tak. Ale nie było łatwo znaleźć tego policjanta. Zajęło mi to dobrych kilka lat. Zrozum, byłem tylko żebrakiem w przebraniu księdza. Mogłem jedynie pytać, szukać, podążać nikłymi tropami, podrzucanymi mi przez pijaków, bezdomnych, ludzi cienia.

– Ale w końcu do niego dotarłeś. I sprawiłeś, że zaczął mówić.

– A kiedy potwierdził słowa Ceglarczyka, napisałem list do więzienia w Strzelcach Opolskich. Z przeprosinami.

– Resztę już znam. Ceglarczyk przyjechał do ciebie. A ty, sprytnie nim manipulując, wysłałeś go na Malczewskiego. Tylko dlaczego zabiliście Martę Sobień?

– On nie miał z tym nic wspólnego! – zapewnił Hertel. – Zabiłem ją sam. Mówiłem ci, żeby...

– ...odkupiła swoje grzechy i dostała zbawienia – dokończył za niego zniecierpliwiony detektyw. – Dobra, niech ci będzie. A co masz do niej? – wskazał siekierą Amelię, wodzącą po twarzy Koneckiego zdumionym wzrokiem. – Kolejna jawnogrzesznica do nawrócenia? Dlaczego postanowiłeś zabić akurat siostrę swojej ukochanej? Do reszty popieprzyło ci się we łbie?

Ksiądz odpowiedział dobrodusznym uśmiechem.

– To właśnie dzięki niej odzyskałem wiarę – wyznał. – O istnieniu Amelii Stokrockiej, a także o tym, kim ona jest naprawdę, dowiedziałem się z listu od Janusza. Po nieudanym zamachu na Wasilewskiego postanowił wracać do Opola. Nie powiedział mi tego jednak osobiście. Pewnie się bał, że się rozgniewam... Albo że będę naciskał, żeby zmienił zdanie. W każdym razie napisał list. I to w nim wyznał sekret, który udało mu się odkryć w czasie, gdy obserwował Wasilewskiego i Zacharewicza oraz ludzi z ich otoczenia. Wtedy się dowiedziałem, kim jest Stokrocka. I zrozumiałem, że szukanie zemsty na tym świecie jest świętokradztwem.

– Co ja tutaj robię? – przerwała im Amelia.

Najwyraźniej działanie GHB słabło. Odzyskiwała przytomność. Tym gorzej dla niej.

– Bartek, co się dzieje? Dlaczego jestem związana?

Nikt jej nie odpowiedział. Nie było czasu na wyjaśnienia.

– Skąd masz dostęp do leków anestetycznych? Gdzie nauczyłeś się je podawać? – Konecki robił wszystko, żeby zagadać zabójcę. Daniel Hertel tym razem już nie odpowiedział. Ani się nie uśmiechał. Patrzył na Bartka ze smutkiem.

– Jej czas się dopełnia – oznajmił ledwo słyszalnym głosem. – Zaraz osunie się na krzesło, potem nie będzie w stanie wypowiedzieć słowa, mogą pojawić się także drgawki. W końcu zaczniesz się dusić.

Stokrocka szarpnęła więzy.

– Bartek! Nie pozwól mu.

Odruchowo mocniej ścisnął siekierę. Dłonie ślizgały mu się od potu na jej trzonku.

– Daj jej teraz tę odtrutkę!

Hertel powoli przykucnął, sięgnął po strzykawkę. Wyprostował się z kciukiem na tłoczku. Przez otwór siknęła wąska strużka płynu.

– Nic z tego – wyszeptał. – Odkupienie przez cierpienie. Zapomniałeś?

Strużka opadała łukiem niemal na środek pokoju. Płyn migotał w chwiejnym świetle świec. Ile ubyło ze strzykawki?

– Nie rób tego! – Bartek rzucił się biegiem do przodu.

Daniel zrobił unik ku ścianie, zręcznie omijając szarżującego detektywa, i skoczył ku drzwiom. Konecki za późno połapał się w jego zamiarach. Z rozpędu wpadł na Stokrocką, przewracając ją razem z krzesłem. Zanim się pozbierał, Hertel już zniknął w przedpokoju. Ze strzykawką w dłoni.

Rzucił się za nim sprintem, ale tamten uciekał naprawdę szybko. Minął otwarte na oścież drzwi mieszkania i wypadł na schody. Bartek był jednak

tuż za nim. Wtedy, w półmroku, wydało mu się, że klecha znowu naciska tłoczek.

Uderzył bez zastanowienia. Na twarzy poczuł ciepłe kropelki, a w ustach metaliczny posmak. Zdumiony, uświadomił sobie, że wciąż trzyma w rękach siekiere. Ociekała krwią.

Hertel zatrzymał się, zachwiał, osunął w ramiona Bartka. Na jego szyi, od karku aż po krtań, ziała buchająca czerwienią olbrzymia rana. Konecki upuścił broń i usiłował podtrzymać rannego.

Rozcięta tętnica. Muszę zatamować upływ krwi. Tylko jak?

Dziura w szyi miała dwadzieścia centymetrów długości i dziesięć głębokości. Buchająca z niej krew pieniała się i bulgotała, kiedy ranny oddychał.

– Tomek... o rany.

Chude palce zacisnęły się na jego ramieniu, Hertel wpatrzył się w Bartka gasnącym wzrokiem.

– Dziękuję – wycharczał.

I osunął się na ziemię.

Dopiero wtedy Konecki oprzytomniał. Chwycił upuszczoną na podest schodów strzykawkę. Spojrzał, ile płynu pozostało. Daniel nie wylał z niej nawet połowy zawartości. Wbrew pozorom musiał bardzo delikatnie obchodzić się z tłoczkiem.

Bartek zawrócił biegiem do pokoju. Amelia Stokrocka była już w agonii. Wybałuszone oczy patrzyły na niego błagalnie, czarne usta walczyły o każdy mililitr powietrza w serii rozpaczliwych prób zaczerpnięcia oddechu. Wcisnął wylot strzykawki w wenflon i opróżnił ją do końca. Czy to wystarczy? Czy Hertel nie blefował, że to antidotum?

Przez długą minutę zdawało mu się, że nic się nie zmienia. Porwał ją już nawet razem z krzesłem, żeby wynieść na ulicę i tam wołać o pomoc, gdy w końcu Amelia przestała szarpać więzy. W pierwszym momencie

pomyślał, że to koniec. Ale nie. Wciąż chwyciła powietrze z rozpaczliwą zachłannością, lecz na jej twarz powoli powracał rumieniec. Oddychała coraz głębiej, wolniej. Wciąż wyglądała jak zawałowiec zmuszony do sprintu, ale już się nie dusiła. Kilkoma szarpnięciami uwolnił jej ramiona z więzów i wziął na ręce.

– Ty... ty jesteś ranny – wysapała.

– To nie moja krew – odparł, przypominając sobie o ciele leżącym na schodach.

Ojciec Tomasz. Daniel Hertel. Morderca. Przyjaciel.

Nagle zrobiło mu się strasznie żal. Jakby stracił kogoś bardzo bliskiego.

Odkupienie przez cierpienie.

– Nie zamierzałeś jej zabić. To ty chciałeś dziś umrzeć – wyszeptał bezgłośnie. – Przechytryłeś mnie, draniu.

Radom. Luty. Poniedziałek

Za oknem sypał gęsty śnieg. Porywy wiatru formowały go na chodnikach w zaspę i oklejały nim szyby OPS-u. Lampy na korytarzach i w pokojach nie były w stanie pokonać granatowej szarości dnia. Cały ośrodek wydawał się odcięty od świata przez skłębione zwoje białego puchu.

Pielęgniarz i ratownik medyczny Cezary Zgrycz zmiął i rzucił na podłogę gazetę. Nie miał już siły czytać kolejnego artykułu na temat Proroka. Tabloidy od miesiąca żywiły się jego trupem. Wstydu nie mieli. Cienia poszanowania dla świętego człowieka. Pismaki i telewizory dotarli do jego stareńkich rodziców, oblegali też dom, w którym mieszkali matka i ojciec Błogosławionej Krystyny Talko. Nękali starych ludzi dociekliwymi pytaniami, wywlekali osobiste dramaty, rozdrapywali ledwo podgojone rany. A wszystko przez tego gbura, Bartosza Koneckiego, którego zdjęcia publikowano niemal równie często jak portrety ojca Tomasza. Jego przedstawiano jednak jako bohatera, który zabił potwora. Informowano o jego triumfalnym powrocie do służby w policji.

Ścierwa. Nawet nie zasłaniali Prorokowi oczu. Bez skrępowania walili na pierwszej stronie jego oblicze i opatrywali czerwonymi wołami: „Morderca”, „Zwyrodnialec”, „Psychopata”.

Nic, literalnie nic nie zrozumieli z tej lekcji.

Cezary Zgrycz kopnął leżącą gazetę, jakby odrzucał od siebie czarnego skorpiona.

Prawda w końcu zwycięży.

Wstał i rozejrzał się po dyżurce pielęgniarek. Jeśli nie liczyć Basi przygotowującej poranny zestaw leków dla podopiecznych ośrodka oraz

tłukącej wiadrem i mopem na korytarzu pani Gabrieli, był sam. A więc już czas. Przeciągnął się.

Próbował oczyścić umysł ze wspomnień. Wciąż miał przed oczami tamten dzień sprzed dwóch miesięcy, kiedy zbudowana przez nich świątynia zachwiała się po raz pierwszy. Pamiętał każdy szczegół.

To było wtedy, kiedy ośrodek odwiedził Konecki. Ojciec Tomasz był tu przed nim i zbierał się właśnie do wyjścia, kiedy do dyżurki wpadła pani Gabriela. Bardzo wzburzona poinformowała, że u tego warzywniaka Pałuchy panoszy się jakiś policjant, który ją strasznie obraził. Ledwo to wydyszała i już gnała dalej – wprost do dyrektora.

Spojrzeli sobie wtedy z Prorokiem głęboko w oczy. Zgrycz się przestraszył, zawsze był człowiekiem małej wiary. Ojciec Tomasz uznał to jednak za kolejny znak z niebios. I jak to on, natychmiast wpadł na pomysł, w jaki sposób przekuć rysującą się na horyzoncie porażkę w zwycięstwo. W kilku słowach nakreślił plan. Kiedy ze swego gabinetu wyskoczył dyrektor, Czarek już wiedział, co robić. Dołączył do szefa, który z wdzięcznością przyjął pomoc rosnącego pielęgniarza, a Prorok zszedł na dół, by móc udawać, że dopiero wkracza na ich piętro. Kilka chwil później wzorcowo odegrali scenę przypadkowego spotkania księdza z wychodzącym akurat Koneckim. Tępy detektyw był przekonany, że sam los zesłał mu ojca Tomasza w darze. Tymczasem to on miał stać się narzędziem w rękach świętego...

Cezary Zgrycz podszedł do swojego plecaczka. Zawsze nosił przy sobie zestaw do udzielania pierwszej pomocy: lateksowe rękawiczki, ustnik do sztucznego oddychania, bandaże, opatrunki higieniczne, nożyczki, folię NRC, ampułki adrenaliny. Tym razem było w nim jednak coś jeszcze. Sięgnął po fiolkę, otworzył, napełnił płynem strzykawkę, po czym ukrył ją w kieszeni białego fartucha.

Czuł dumę. Był jedynym z nielicznego grona Nawróconych, który chciał kontynuować dzieło Proroka. Zresztą tylko dzięki niemu ojciec

Tomasz w ogóle mógł wprowadzać swoje wizjonerskie działania w życie.

Odkupienie przez cierpienie.

Kiedy Prorok dojrzał do tego, by ich hasło zamienić w czyn, to Zgrycz stał się jego zapleczem logistycznym. Użyli jego samochodu, suzuki liana, do przewiezienia pierwszej półprzytomnej Wybranej. Cezary załatwił GHB i Trikuran, starannie dobierając dawkę do wagi jej ciała. Osobiście wkłuł się w trudne do zlokalizowania podczas sekcji zwłok miejsce na jej skórze – celując w punkt pomiędzy palcami. On także, bo słaby ciałem i zbyt wrażliwy Prorok nie byłby w stanie tego zrobić, odrąbał ofierze dłoń.

Odkupienie przez cierpienie.

Z tego genialnego w swojej prostocie hasła najbardziej przypadł mu do gustu drugi człon.

Cierpienie.

Sprawiło mu przyjemność patrzeć, jak wybrana na Błogosławioną zaczyna się dusić. Jak poprzez otępienie wywołane GHB zaczyna do niej docierać, co się dzieje. Ojciec Tomasz, święty i dobry człowiek, płakał nad jej losem. Gładził jej włosy, kiedy konała, całował. Nie słuchał Zgrycza, który uprzedzał, że w ten sposób tylko zostawia po sobie ślady. A Cezary sycił się tym widokiem. Następnie, gdy koniec był już bliski, sięgnął po siekiere i dwoma potężnymi cięciami pozbawił Wybraną dłoni.

Nie do końca rozumiał, dlaczego Prorok tak bardzo obstawał przy takim właśnie scenariuszu. Wiedział oczywiście, że zgon tej żalosnej dziwki Marty Sobień, a potem (niestety niezrealizowany) tej bezczelnej kurewki Andżeliki z burdelu na placu Konstytucji, miał być odwzorowaniem śmierci ich pierwszej Męczennicy.

Błogosławiona Krystyna Talko.

To ona wskazała Prorokowi drogę. Dzięki niej zrozumiał głęboki sens przekazu o odkupieniu. Ta historia, która wciąż się w nim tliła, stała się

fundamentem jego nauki. Ojciec Tomasz, obecnie już także Błogosławiony, bo wszak dostąpił zaszczytu męczeństwa dzięki temu prymitywowi Koneckiemu, długo się wahał, kiedy Zgrycz zaproponował mu, by to, co u zarania jego nauki było znakiem z góry, teraz kontynuować własnymi siłami. Błogosławiona Krystyna przetarła szlak. Teraz wystarczyło tylko kroczyć tą drogą, by służyć Najwyższemu.

Prorok jednak się wzbraniał, nie chciał zabijać. Zabawne, ale ostatecznie do wprowadzenia w życie idei odkupienia przez cierpienie przekonał go nie najwierniejszy uczeń Cezary Zgrycz, lecz ten patałach Ceglarczyk. To on doniósł ojcu Tomaszowi, kim jest Amelia Stokrocka. Siostra Błogosławionej, upadły anioł, zabawka w rękach demona Zacharewicza i jego podłego sługi Wasilewskiego. Dopiero wtedy Święty zrozumiał, że zło panoszy się wszędzie. Kpi z najwyższych wartości, profanuje biel nieskalanych dusz, by następnie zagarnąć je ze sobą w głąb otchłani. I nareszcie wydał zgodę, by zacząć aktywnie walczyć z ogarniającą świat czernią nocy.

Na pierwszy ogień poszła jednak nieszczęsna prostytutka, młoda dziewczyna, która nie chciała słuchać nauki ojca Tomasza. Łatwy cel, na którym przetestowali to, co miało odtąd stać się ich świętą misją. Kolejnych ofiar już nie było. Wszystko przez chwilę słabości Proroka. Niepotrzebnie zapalał ogniem zemsty. A ten matoł Ceglarczyk nie potrafił jej zrealizować. Wszystko, co osiągnął, poza własną męczeńską śmiercią, to zwrócenie uwagi policji. Patałach.

Najwyższy dał im jednak szansę. Rany, jak się Cezary ucieszył, kiedy usłyszał o aresztowaniu Zacharewicza i Wasilewskiego! Oczy organów ścigania, mediów, opinii publicznej były odwrócone w fałszywym kierunku. Wystarczyło się przycziąć, odczekać, aż wrzawa przycichnie. A potem działać dalej. Przecież ich misja nie była ukończona! Trzeba było wybawić nie tylko Stokrocką, ale i innych. Tyle miłosiernych czynów do dokonania! Ale nie. Prorok od dawna był gotów zarówno na męczeńską

śmierć, jak i na wieloletnie więzienie. Nie zależało mu na niczym – naprawdę był świętym. Nie posłuchał więc Cezarego, który doradzał ostrożność. Śpieszył się. Sam chciał zostać wreszcie Błogosławionym.

Cezary szedł korytarzem. Minął panią Gabriellę, która rozpromieniła się na jego widok. O nią mógł być spokojny, ona go nie wyda. Potem przeszedł obok poruszającej się z pomocą balkonika dziewięćdziesięcioletniej Łucji. Tu też spoko. Staruszka była niemal ślepa i kompletnie głucha. Uspokojony brakiem świadków doszedł do końca korytarza. Obejrzał się. Nikt go nie obserwował. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Trzeba było kontynuować dzieło Proroka. Ale ostrożnie. Policja już i tak wnikliwie przesłuchiwała Zgrycza w sprawie samochodu, który pożyczał ojcu Tomaszowi. „Pożyczał” – dobre sobie. Święty był fatalnym kierowcą. Zgrycz był przerażony, kiedy Prorok oznajmił mu w połowie stycznia, że tym razem sam zajmie się zbawieniem kolejnej Wybranej. Że odbierze Amelię Stokrocką spod aresztu i osobiście zawiezie na Brzeską, po czym wstrzyknie jej przygotowany zawczasu przez swego Ucznia Trikuran. Tak, Uczeń przez duże U. Pielęgniarski nieskromnie uznał, że zasłużył na taki przydomek.

Norbert Pałucha obecnie mieszkał w pokoju sam. Siedział teraz na wózku inwalidzkim, ale nawet nie podniósł głowy, kiedy za Zgryczem trzasnęły drzwi. Odkąd odszedł ojciec Tomasz – jedyny człowiek, który zdobył zaufanie starego policjanta i który był w stanie na krótkie chwile wydobywać go z otępienia – Pałucha bardzo podupadł na zdrowiu. To też widomy znak świętości Proroka. Przecież nikt nie powiedział warzywniakowi o śmierci księdza. Grzeszna dusza gliniarza chyba to jednak wyczuła.

Pielęgniarski kocim krokiem podszedł do siedzącego. Uniósł jego chudą i kruchą rękę. Od kilku dni Pałucha kompulsywnie rozdrapywał sobie przedramiona. To dobrze. Zgrycz delikatnie wkłuł się w jedną

z podłużnych ranek. A następnie opróżnił strzykawkę.

Pacjent drgnął, nawet uniósł na niego oczy, potem jednak znów zapatrzył się w podłogę.

Długi czas trwali w bezruchu. Mijały minuty. Jedna, dwie, pięć, dziesięć. W końcu Norbert się zatrząsł, spróbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się jedynie niezrozumiały bełkot. I zaraz osunął się na podłogę. Mięśnie byłego aspiranta traciły nawet tę resztkę mocy, która im jeszcze pozostała. Pojawił się ślinotok, a usta zaczęły sinieć i coraz łapczywiej zasysały powietrze.

Czarek patrzył na to jak urzeczony. Żałował, że nie może zadać leżącemu większego cierpienia. Przyspieszyć jego zbawienia. Cóż, na to przyjdzie czas przy następnych Błogosławionych. Bo na pewno tacy będą. Na pierwszy ogień pójdzie Bartosz Konecki. Na tego grzesznika Cezary najbardziej się cieszył.

Chwilowo jednak musiał być czujny. Osoby zmarłe w ośrodku, o ile ich zgon wydawał się naturalny, z założenia nie miały przeprowadzanej sekcji. Ani tym bardziej badań toksykologicznych. Uczeń Proroka mógł więc założyć, że w śmierci Pałuchy nikt nie dopatry się jego działania. Na razie musiało to mu wystarczyć. Na razie.

K O N I E C

Copyright © by Zbigniew Zborowski

Koncepcja okładki

Izabella Marcinowska

Opracowanie graficzne okładki

Marek Klapka

Fotografie na okładce

Copyright © Stephen Mulcahey / Arcangel Images

Copyright © Maxplay photographer / Shutterstock

Copyright © Olga Rom / Shutterstock

Redakcja

Milena Schefs

Opieka redakcyjna

Monika Kucab

Agata Pieniążek

Korekta

Pracownia Mole

ISBN 978-83-240-5600-2



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink



po więcej ebooków koniecznie zajrzyj do chomika **JamaNiamy**